



Obeszli ciężarówkę dokoła, przyjrzeni się jej ze wszystkich stron. Twarze ich były bardzo poważne. Upewniwszy się, że pasażerowie są cudzoziemcami, rozsunęli bariery. – Coś mi się zdaje, że wszyscy dziś powariowali

Per Wahlöö

CZYTELNIK

Ciężarówka

powiedział
Dan Pedersen.

– Jeszcze
jeden glina, a zacznę krzyżeć.

PER WAHLÖÖ

CIEŻARÓWKA



Rozdział pierwszy

1

Willi Mohr został zaaresztowany siódmego października około drugiej po południu, w środku sjeisty.

Mieszkał samotnie w podupadłym piętrowym domu przy Barrio Son Jofre na południowym krańcu miasta, będącym jednocześnie najstarszą i najwyższą położoną dzielnicą.

Człowiek, który go aresztował, był członkiem gwardii cywilnej; czterdziestoletni, o sennej, ciężkiej twarzy i szczeciniastych siwiejących wąsikach. Z karabinem przewieszonym przez ramię przeszedł całą drogę z posterunku, położonego dobry kawał za miastem. Dotarłszy do wąskiego, wybrukowanego okrągłymi kamieniami zaułka, który ostrymi zakrętami prowadził w górę do Barrio Son Jofre, przystanął i odsapnął.

Na pięć minut przed aresztowaniem Willi Mohr wiedział, że ktoś idzie w kierunku domu. Leżał w półmroku na wznak, z rękami splecionymi pod głową, i patrzył w sufit. O niczym właściwie nie myślał. Usłyszawszy lekki szelest odwrócił głowę i zobaczył kota wślizgującego się przez szparę w drzwiach; wąski, ukośny cień padł na nasłoneczniony romb podłogi. Zwierzę natychmiast zeszło ze słońca w cień, szparki oczu rozszerzyły się, źrenice zrobiły się prawie okrągłe, niemal pochłonęły jasnozielone tęczęwki. Kot nie wszedł w głąb pokoju, zatrzymał się tuż przy drzwiach i ostrożnie wpatrywał się w zaułek. Jego rudo pręgowany ogon sterczał nieruchomo, tylko sam koniuszek poruszał się rytmicznie. Kot był najwyraźniej tchórzliwy, ostrożny i ciekawy.

Willi Mohr leżał spokojnie i spoglądał w kocią szparę. Nasłuchiwał, ale słyszał tylko kurę rozgrzebującą zeschnięte zielsko i nowo narodzone szczenięta popiskujące za kamienną

przegrodą w kuchni.

Jutro je pozabijam, pomyślał. Wszystkie prócz jednego. Wybiorę to, które najładniej się zapowiada, i zatrzymam. A tamte zabiję, zaczekam jednak do jutra.

Kot przesunął głowę, o jakiś centymetr tylko, i nastawił uszu.

Willi Mohr, choć był już przygotowany i naprawdę starał się, usłyszał kroki dopiero, gdy były tak blisko, że zobaczył przez kocią szparę nogę mężczyzny, nie całą nogę, tylko brązowy sznurowany but i zielony kamasz zapinany na haczyki.

Gwardzista zapukał do drzwi, zupełnie lekko, pewnie ołówkiem albo cybuchem fajki, Willi Mohr uniósł się, oparł łokciem o materac i zawołał:

- Już idę!

Kot cofnął się o pół metra i przycupnął na podłodze, gotów do ucieczki. Willi Mohr wsunął rękę pod materac, wyciągnął pistolet i notes. Poszedł do kuchni, sięgnął pod kamienną ławę, wyczuł wilgotne ciepło psiego kłębowiska. Wetknął pistolet i notes pod słomę, głęboko aż pod samą ścianę; nim zdążył cofnąć rękę, suka polizała go, szeroko, mokro, ufnie.

Wyprostował się, wytarł psią ślinę o spodnie. Poszedł otworzyć.

Gwardzista stał w słońcu kołysząc się na piętach i uważnie oglądając dom, który rzeczywiście był w bardzo złym stanie.

Gdy drzwi się otworzyły, zrobił ruch, jakby chciał zaszalutować, ale skończyło się na niewyraźnym geście.

- Idziemy - powiedział.

Miał wprawdzie w kieszeni pisemny nakaz, ale nie zamierzał wyciągać go bez potrzeby.

Willi Mohr zdjął z gwoźdźca na futrynie drzwi słomiany kapelusz i wyszedł na słońce. Zamknął, klucz włożył do kieszeni. Gwardzista przyglądał się przez ten czas jego spodniom.

Schodzili w zaułek, Willi Mohr bez zainteresowania patrzył na rozciągające się poniżej miasto. Niewiele tam było do zobaczenia, nieregularne zbiorowisko płaskich, brunatno-żółtych dachów różniących się wielkością i nachyleniem. O tej porze dnia pod tymi dachami drzemało jakieś trzy tysiące

ludzi. Wielu z nich chętnie wyrzekłoby się południowego odpoczynku dla pracy, tylko nie było żadnej pracy. Monotonie miasta przerywała jedynie wieża kościoła, ale nawet ona nie odcinała się wyraźnie od tła szarozół- tych wypalonych zboczy. Góry otaczały miasto, ograniczając pole widzenia ze wszystkich stron, prócz wschodniej, gdzie między wysuniętymi szczytami otwierał się wąski korytarz i widać było mieniący się spłacheć morza. Dokładnie trzynaście kilometrów stąd; bitą drogą — złą, krętą, ale prowadzącą w dół - kierowca pocztowego autobusu mógł na jałowym biegu zjechać od rynku w mieście aż do rybackiego osiedla na wybrzeżu. Co stanowiło znaczną oszczędność.

Tam we wsi nad morzem może są jeszcze turyści z jakiejś zapóźnionej zbiorowej wycieczki, myślał Willi Mohr. Na przykład długonogie angielskie, niemieckie i skandynawskie biuralistki, wbrew nakazom moralności przesiadujące pod parasolami w dwuczęściowych kostiumach kąpielowych i popijające pepsi-colę przez słomki. A wieczorami z oddaniem pojękujące w czyimś łóżku, w najgorszym wypadku w łóżku przewodnika grupy; rano miały sińce wy- cmokane na ramionach i udach.

Od dawna tam nie był.

Szli wzdłuż Avenida Generalísimo Franco, ulica była zupełnie opustoszała, jeśli nie liczyć pozostawionych przez staruszki koszykowych krzesełek i kotów śpiących w bruździe cienia pod ścianami. Ulica była kręta i niezbyt szeroka, za to pięknie i równo wybrukowana płaskimi, przez naturę oszlifowanymi otoczkami, kunsztownie ułożonymi w zawyły wzór. Taka kamienna wykładzina, że mogłaby mieć ze trzysta lat, a w rzeczywistości była zupełnie nowa, ułożono ją dla uczczenia caudilla, który miał tu kiedyś przyjechać na inspekcję. Wcale nie przyjechał, wielu Asturyjczy- ków, zatrudnionych przymusowo przy wykonaniu tego projektu, pomarło z głodu i z powodu krwotoków, nim paradna ulica została ukończona.

Słowem się do siebie nie odezwali od chwili opuszczenia domu przy Barrio Son Jofre. Gwardzista, który zaaresztował

Willego Mohra, szedł po jego lewej stronie, przez cały czas trzymając się o pół kroku w tyle, jakby dla zaznaczenia swego stosunku do zatrzymanego, jednak bez zbytniego manifestowania.

Przecięli rynek na ukos. W cieniu pod pompą z kadzią do prania stał wózek, zaprzężony w osła a wyładowany takim zielskiem, jakie w braku lepszego może być użyte do karmienia świń. Między wysokimi kołami wózka spał stary oberwaniec z twarzą przykrytą wyblakłym i podartym słomkowym kapeluszem. Wychudzony osioł drzemał ze zwieszonym łbem. Jego poraniony grzbiet obsiadły błyszczące jadowite muchy. Stoliki i trzcinowe krzesła, ustawione pod parasolami przed Café Central, świeciły pustkami, drzwi do baru były na pół przymknięte na znak, że lokal jest właściwie zamknięty.

Willi Mohr poczuł nagle, że ma pragnienie, gwardzista pewnie też. Poza tym Café Central była jednym z tych miejsc, gdzie wciąż jeszcze miał kredyt. Wskazując na stoliki, powiedział po hiszpańsku, co wymagało pewnego wysiłku:

- Wypije pan ze mną szklaneczkę?

Gwardzista ostrzegawczo pogroził palcem, ale widząc, że tamten nie zamierza powtórzyć zaproszenia, zrezygnował, wzruszył ramionami i usadowił się pod parasolem. Karabin oparł o stół, czarną lakierowaną czapkę położył na marmurowym blacie. Willi Mohr klasnął w ręce i po kilku zaledwie sekundach spomiędzy chrzęszczących żaluzji wysunęła się abuella, pomarszczona staruszka, w trójkątnej chusteczce na głowie i w długiej, czarnej wdowiej sukni. Zmieszanym, pytającym spojrzeniem obrzuciła Willego Mohra i gwardzistę, ale nic nie powiedziała. Dostali wermut i syfon wody, Willi Mohr nalał, najpierw gwardziście, potem sobie.

Po chwili namysłu, obracając w palcach szklanekę, zapytał:

- Dlaczego mnie pan zabrał?

Gwardzista rozłożył ręce, uśmiechnął się współczująco i powiedział:

- Rozkaz.

Opróżnił szklanę jednym łykiem i cierpliwie czekał, aż tamten wypije.

Potem znowu szli, dokładnie w takim jak przedtem szyku, wąską, świeżo wysypaną zwirem drogą, prowadzącą za miasto. Po obu stronach drogi rosły małe guzowate drzewa oliwne o szarzielonych, jedwabiście matowych zakurzonych liściach.

Posterunek leżał w odległości trzech czwartych kilometra od ostatnich domów. Był to dość niepokąźny, niski, wydłużony murowany budynek o trzech czy czterech bardzo małych oknach. Obok wejścia zwisała żółto-czerwona flaga, a pod flagą jakiś gwardzista w zielonym mundurze zajęty był zanurzaniem dętki rowerowej w miednicy napełnionej czerwono-brunatną wodą. Obok stał jego rower odwrócony do góry nogami, z wymontowanym przednim kołem.

Zupełna ciemność w sieni sprawiała, że wchodzący z zewnątrz prawie nie mógł rozróżnić znajdujących się dokoła przedmiotów. Gwardzista zapukał do jakichś drzwi i otworzył je pod takim kątem, że Willi Mohr nie mógł zerknąć do pokoju, z głębi którego ktoś coś mówił szybko i zwięźle, z wyraźnym seplenieniem, co świadczyło, że właściciel głosu pochodzi z innej części kraju. Gwardzista zamknął drzwi i szturchnął aresztanta w plecy na znak, że ma iść dalej. W głębi sieni otworzył inne drzwi, za którymi trzy schodki wiodły w dół do długiego korytarza z kamienną podłogą. Słaba żarówka rozsiewała niepewne światło na rząd wąskich obitych blachą drzwi. Gwardzista podeszedł do ostatnich, otworzył je i popchnął Willego przez próg. Potem zamknął, przekręcił klucz w zamku. Cella była bardzo mała, najwyżej dwa metry na półtora. Ściany bielone, i tylko dwa przedmioty znajdowały się wewnątrz, przymocowana do ściany drewniana prycza i blaszane wiadro. Okna nie było, ale z otworu w suficie, przez mały kwadrat grubego, nieprzezroczystego szkła sączyło się blade światło dzienne. Willi Mohr przeszedł trzy kroki od drzwi do krótszej ściany i z powrotem. Oparł się o ścianę i rozważał.

Po kilku minutach dały się słyszeć kroki na korytarzu, ktoś przekręcił klucz, drzwi się otwarły, gwardzista, który go przyprowadził, wszedł do celi z dzbankiem wody i zniszczonym

szarym kocem. Koc położył na pryczy, gliniany dzbanek postawił na podłodze obok wiadra.

Powiódł wzrokiem od aresztanta do pryczy i powiedział:

- Najlepiej jest spać.

Potem wyszedł.

Willemu wydawało się, że zarówno koc i dzbanek z wodą, jak dobra rada są czymś w rodzaju nadzwyczajnego przywileju, podziękowania za poczęstunek przy rynku.

Ponieważ nie zatroszczono się o zrewidowanie go, mógł przynajmniej palić. Prócz tego miał także pasek, mógłby się więc powiesić, gdyby chciał.

- Gdyby było do czego umocować stryczek - powiedział sam do siebie i uśmiechnął się leciutko. Mówienie do siebie stało się w ostatnich czasach jego przyzwyczajeniem. Czasami przyłapywał się na tym, że przemawia także do kota i psa. Częściej do kota, wydawał się inteligentniejszy i bardziej myślący. Obmacawszy kieszenie znalazł papierosy, ale zapalek nie było. Podeszedł do drzwi i załomotał w nie pięścią. Nic nie nastąpiło. Przypuszczalnie nie było to wynikiem nonszalancji, tylko po prostu nikt go nie słyszał.

Po chwili dał za wygraną i ułożył się na pryczy z kocem zwiniętym pod głową. W budynku panowała zupełna cisza. Nim zasnął, spojrział na zegarek. Wskazywał za pięć trzecią.

Gdy Willi Mohr otworzył oczy, w celi było ciemno. Poczul przenikliwy wilgotny chłód ciągnący od kamiennych ścian i zrozumiał, że przebudził się, bo zmarzł. O tej porze roku dnię bywały ciepłe, ale noce zaskakująco zimne.

Leżał na drewnianej pryczy na wznak, bolały go ramiona i krzyż. Z trudem podniósł rękę; musiał przysunąć zegarek do oczu, żeby rozróżnić fosforyzowane wskazówki. Dziesiąta. A więc jest tu od siedmiu godzin i najwidoczniej nikogo to nie obchodzi. W całym domu panowała śmiertelna cisza, nie mógł nawet dostrzec świetlika w suficie.

Musiał chyba spać z otwartymi ustami, bo język miał wyschnięty i zeszytywniały, w gardle piekło, na podniebieniu czuł swędzenie. Kiedy usiadł na pryczy i po omacku szukał dzbanka z wodą, złapał go kurcz w łydkach. Jęcząc głośno,

poruszał palcami, mozolnie usiłując rozciągnąć zeszywniałe ścięgna.

Znalazł dzbanek, napił się. Potem wstał na zdrętwiałych nogach i wysiusiał się do blaszanego kubła. Dźwięk go zaktywizował, podszedł do drzwi i zabębnił w nie zaciśniętymi pięściami. Skończył dopiero, gdy to zaczęło boleć. W dalszym ciągu zupełna cisza.

Willi Mohr niechętnie rozruszawszy obolałe ciało usiadł na pryczy. Wyciągnąwszy nogi wcisnął się w kąt, oparł o ścianę, cienki koc zarzucił na ramiona. Myślał, że nie wie, co ma o tym myśleć.

W ciągu najbliższych godzin trzy razy walił w drzwi, ale dość ospale, bez energii czy oburzenia. Od czasu do czasu popijał wodę z dzbanka i mniej więcej co dziesięć minut zmieniał pozycję, gdy zaczynał odczuwać ból w jakiejś części ciała. Uciekał się do różnych sposobów, by powstrzymać się od ciągłego spoglądania na zegarek, ale nic nie pomogło. Zbyt był nastawiony na wyczekiwanie i czas płynął nieznośnie powoli.

- To może być trudne - powiedział. - Jako więzień nie masz żadnej rutyny.

Musiał jednak zdrzemnąć się w swym kącie, gdyż nagle uświadomił sobie, że coś go zbudziło i chyba przed chwilą. W celi nie było już ciemno, wypełniało ją słabe żółte światło elektrycznej lampki, pewnie wmontowanej za szybą świetlika. Słyszał kroki i głosy, ktoś podniósł klapkę po zewnętrznej stronie drzwi i zajrzał przez judasza. Przekręcono klucz i niewysoki gwardzista, którego dotychczas jeszcze nie widział, otworzył drzwi. Na progu ukazał się wysoki oficer w zielonym mundurze ze złotymi naszywkami na ramionach i z szeroką wstęgą na otoku lakierowanej czapki. Przyjrzał się człowiekowi na pryczy, bezradnie i jakby odrobinę pytająco, zamienił kilka słów z gwardzistą. Mówili po katalońsku. Potem wszedł, robiąc tylko jeden krok, i uśmiechnął się z przymusem.

- Teraz już nie będzie pan musiał zbyt długo czekać - powiedział. Chwilę jakby się wahał. I dodał uprzejmie: - Mam nadzieję, że nie było tu panu bardzo niewygodnie.

Z irytacją spojrzął na kubel i na brudny koc, szybko odwrócił

się i wyszedł. Gwardzista zamknął drzwi.

Światło paliło się dalej.

Zapomniałem powiedzieć o zapalkach, pomyślał Willi Mohr. Spojrzał na zegarek. Była już za kwadrans druga.

Po dziesięciu minutach mały gwardzista wrócił i powiedział:

- Idziemy.

Przy schodkach na końcu korytarza Willi Mohr spytał:

- Co teraz będzie?

Człowiek w mundurze odpowiedział natychmiast, bez cienia wahania:

- Będzie pana przesłuchiwać sierżant Tornilla.

- To ten, który tu był?

- Nie, to był szef, porucznik Pujol.

Gwardzista zapukał do tych samych drzwi, które tamten drugi gwardzista przed dziesięcioma godzinami uchylił. Potem otworzył je szeroko i usunął się na bok. Willi Mohr wzruszył ramionami i wszedł do pokoju. Drzwi zamknęły się za jego plecami.

2

Pokój nie był tak mały jak cela, ale też i niewiele większy. Mieściły się w nim tylko cztery meble - małe biurko, bejcowana na brązowo szafa na dokumenty, czarny fotel z poręczami i chwiejna ławka, mogąca pomieścić dwie osoby - a jednak wydawał się wypełniony, a nawet zatłoczony. Nie było okna, na ścianie nad biurkiem wisiała duża fotografia caudilla w ciężkiej czarnej ramie. Pod tym portretem siedział jakiś człowiek i pisał w kręgu światła wiszącej lampy z zielonym kloszem.

Gdy Willi Mohr wszedł do pokoju, człowiek ten natychmiast odłożył pióro i wstał z fotela.

Starannie zsalutował, wyciągnął rękę i powiedział z uśmiechem:

- Nazywam się José Tornilla, bardzo mi przyjemnie. Przykro mi, że musiał pan czekać.

Willi Mohr, wpatrując się w niego jasnoniebieskimi oczami, machinalnie odwzajemnił uścisk ręki.

A więc to jest sierżant Tornilla, człowiek o sepleniącym głósie, człowiek, który ma go przesłuchać i który kazał mu czekać na to przesłuchanie dziesięć godzin. Średniego wzrostu, nieco otyły, oczy piwne, wąsiki, żołnierska czapka z kitką, sztywnie zsunięta do przodu, zielony mundur, biała koszula, pendent na ukoś przez pierś, policzki gładko wygolone, białe zęby, palce wymanikiurowane starannie, nienagannie wyszczotkowany, jakby wycięty wprost z książeczki instruktażowej.

Snob. Nadęte zero, pomyślał Willi Mohr.

Sierżant Tornilla obszedł biurko, przysunął nieco bliżej chwiejną ławkę. Jeszcze szerzej się uśmiechając, wskazał na nią przesadnym gestem:

- To jest - powiedział żartobliwie - ława oskarżonych.

Wymawiał słowa bardzo wyraźnie.

Usiedli naprzeciw siebie. Człowiek w fotelu nie przestawał się uśmiechać. Oparł łokcie o stół i wolno złączył palce, potem całe dłonie. Jak gdyby coś bardzo ważnego przyszło mu na myśl, rozłączył je nagle, z jakiegoś schowka za archaicznym telefonem z korbką wyjął pudełko papierosów i podał je. Bisonte, hiszpańskie papierosy monopolowe amerykańskiego typu.

Nieźle, tylko nieprzyzwoicie drogie. Papierosy snobów, pomyślał Willi Mohr.

Wziął papierosa i nim zdążył podnieść go do ust, tamten znowu pochylił się nad stołem i zapalił zapalniczkę.

Willi Mohr wciągnął dym. Zapieкло go w gardle.

Sierżant Tornilla odwrócił zapalniczkę do góry dnem i powiedział dobrodusznie:

- Austriacka. Kontrabanda, nawet w policji...

Schował ją. Znowu złączył czubki palców i uśmiechnął się. Willi Mohr zauważył, że od chwili gdy wszedł do pokoju, tamten nie spuszczał z niego wzroku.

Sierżant Tornilla wciąż się uśmiechał. W pokoju było cicho, ze trzydzieści sekund. Potem eksplodował, wygłosił długą tyradę, mówił cicho i z naciskiem, z dużo wyraźniejszym niż przedtem sepleniącym akcentem.

- Verstehe kein Wort - powiedział Willi Mohr.

Co było prawdą. Dosłownie nic z tej przemowy nie zrozumiał.

- Przepraszam - powiedział sierżant Tornilla - zapominam, że pan jest przecież cudzoziemcem.

Odwrócił skórzaną ramkę na fotografii tak, by rozmówca mógł zobaczyć trzy owalne podobizny, otyłej kobiety z wachlarzem, w kunsztownie haftowanym szalu, i dwóch chłopczyków w marynarskich ubrankach.

- Moja rodzina - powiedział dumnie. - Moja żona i dwaj moi synowie. Mają teraz jedenaście i dziewięć lat, obaj urodzili się po wojnie. - Zrobił krótką pauzę i podniósł palec wskazujący, jak gdyby odpowiadał na pytanie, które wcale nie zostało postawione.

- Nie, nie tu. W Huelvie. Moja żona i ja, obie rodziny pochodzą z Huelvy. Te zdjęcia nie są tu robione, ani nie w Huelvie. W Badajoz. Wie pan, służba. Często się trzeba przemieszczać. Moi synowie mają na tych zdjęciach po siedem lat. Obaj zostali sfotografowani z okazji pierwszej komunii. Juan i Antonio.

Wskazując na fotografie, jedną po drugiej, powtarzał, jakby udzielał lekcji:

- Juan... Antonio... Teraz chodzą tu do szkoły. Mam nadzieję, że kiedy będą starsi, zostaną przeniesiony do większego miasta, gdzie są lepsze szkoły.

Znowu poczęstował papierosem, podał ogień, sam zapalił i mówił dalej.

Willi Mohr czuł, że w jakiś sposób nie jest w stanie przeciwstawić się temu człowiekowi po drugiej stronie stołu, ani potokowi jego słów, ani jego nieruchomemu spojrzeniu. Był zmęczony, brudny i zniechęcony. Bolesnie świadomy, że nie mył się od dawna, że jego spodnie są sztywne od plam z terpentynowej i olejnej farby, że wyblakła brązowa koszula jest przesiąknięta zapachem zastarzałego potu, że jego jasne włosy są brudne, zmierzwione i od dawna nie obcinane i że mimo swego długiego i chudego ciała czułby się mały, gdyby tamten w mundurze wstał.

Prócz tego był głodny.

- ...w tej części kraju ma się wiele czasu. Jest tu takie przysłowie, które mówi, że czeka się na statek. I w tym coś jest, nawet dużo więcej, niż by można z początku sądzić. Idzie się do portu, czasem wiele mil, i czeka się. W końcu zawsze przybija jakiś statek, znowu odpływa i dalej się czeka. Kiedy spytać kogoś, na co czeka - okazuje się, że wciąż na statek, może następny statek, może jakiś inny. Niektórzy nawet nie chodzą do portu, czekają jednak, na statek albo na coś innego. Dla obcego jest to z początku trudne, ale powoli można się nauczyć czekać. Czasami - i w pewnych sytuacjach - może to nawet być bardzo korzystne.

Cisza. Sierżant Tornilla przestał się uśmiechać.

- Tak to jest. Tu i w innych częściach naszego kraju. Ludzie tutejsi to prości, dobrzy ludzie. Niczego nie żądają, zasługują jednak na spokojne i uregulowane życie. Powiedzmy, że są biedni, wielu z nich jest w biedzie, ale są szczęśliwi albo będą szczęśliwi, kiedy wszystkie te okropności i niepokoje, jakie tu przeszli, pójdą w zapomnienie. Gdy zostaną do tego stopnia wyszkoleni, że nauczą się rozumieć, co jest słuszne. Już są na dobrej drodze. Potrzebna im jest mocna wiara, uporządkowany rytm życia i tyle pracy, żeby mogli wyżyć. Oni chcą tylko żyć, podobnie jak większość innych. Już otrzymali albo właśnie są w trakcie otrzymywania tego, czego im trzeba. Wszelkie inne wpływy, wszelkie obce wpływy mogą im tylko zaszkodzić. Raz już wielu z tych ludzi zostało doprowadzonych do katastrofy przez przywódców, którzy wcale nie byli przywódcami - tylko przestępcami. Nie wszyscy byli przestępcami, to prawda, niektórzy z nich byli głupcami. Nie nadawali się do tego, żeby wziąć na siebie odpowiedzialność, nadawali się tylko do tego, żeby umrzeć. Na to, żeby umrzeć, nie trzeba odwagi, ale zabijanie wymaga odwagi, podobnie jak wzięcie na siebie odpowiedzialności wymaga odwagi. Łaska boża, że tym razem znalazło się kilku ludzi odważnych.

Milczenie.

Papieros.

Uśmiech.

Błękitny benzynowy płomyk zapalniczki.

Willi Mohr dokonał odkrycia. Rozumie wszystko, co ten człowiek mówi, tylko na początku tego jednego zdania nie rozumiał. Nagle uświadomił sobie, dlaczego rozumie. Sierżant Tornilla mówił nie jednym, a dwoma językami. W osnowę zwykłej hiszpańszczyzny wplatał liczne głosy niemieckie. Efektem tego językowego eksperymentu nie była kanciastość i dziwaczność, tylko płynna zrozumiałość.

- Pan mówi po niemiecku.

- Tak, trochę. A gdzie się nauczyłem? W Rosji. Podczas wojny. Dywizjon Azul - błękitne dywizje. Pułapka pod Witebskiem... okrażenie... wszyscy... Bardzo pouczające, pod różnymi względami.

Uśmiechnął się.

- Tam nauczyłem się niemieckiego. Potrafię nawet prowadzić rozmowę po niemiecku, jak mi się zdaje. Ale dlaczego miałbym to robić tu, w Hiszpanii? Ze względu na pana, nie, nigdy nie nauczyłby się pan naszego języka, hiszpańskiego, castellano, gdyby wszyscy rozmawiali z panem w innym języku. Ludzie tutejsi mówią źle, gwarą, bardzo nieczysto, mieszaniną różnych narzeczy.

Znowu złożył dłonie i roześmiał się prawie.

Co to ma być, pomyślał Willi Mohr, lekcja języka? Metodą praktyczną? Głośno powiedział:

- Dlaczego polecił pan sprowadzić mnie tutaj?

- Proszę dać mi paszport.

Willi Mohr wyciągnął paszport z tylnej kieszeni. Wygięty od wilgoci. Człowiek za stołem przekartkował go uważnie. Potem znowu się uśmiechnął, usprawiedliwiająco.

- Mieszka pan w moim dystrykcie. Jest pan tu jedynym cudzoziemcem. Chcę znać ludzi z mego dystryktu. Mieszka pan przy...

- Barrio Son Jofre.

- B-a-r-r-i-o S-o-n J-o-f-r-e, a więc B-a-r-r-i-o S-o-n J-o-f-r-e, tam pan mieszka. Nie dajmy się nabrać. Tu ludzie nawet swego własnego nazwiska nie potrafią wymówić.

Dwukrotnie powtórzył adres, bardzo wyraźnie akcentując.

Lekcja języka, myślał Willi Mohr uparcie.

Sierżant Tornilla nie przestawał się uśmiechać.

- Tylko kilka szczegółów - powiedział. - Jeśli pan tu mieszka, jest pan zobowiązany rejestrować się, na przykład. Mimo że otrzymuje pan co trzy miesiące z kancelarii gubernatora generalnego przedłużenie zezwolenia na pobyt, musi się pan meldować tu, w policji. Tego pan nie dopełnił. Brak panu pieniędzy, zadłużył się pan w kilku miejscach.

Pauza.

- Tak, wiem, to nie jest przestępstwem. Ale przedtem dostawał pan skądś pieniądze regularnie. Niektóre rzeczy wyglądały przedtem inaczej... Jeśli o pieniądze chodzi, nie przywiózł ich pan z sobą, przybywając tu. W każdym razie nie zostały zgłoszone.

Pauza.

- Nie, nie otrzymał ich pan z zagranicy. Nie były też nielegalnie przesyłane w listach. Zresztą pan prawie nie otrzymuje listów, w każdym razie nie takie, które zawierałyby pieniądze. I w ogóle nie otrzymywał pan zagranicznej waluty, nie wymieniał pan.

Pauza.

- Nie, nielegalnie też pan nie wymieniał. Pan dostawał hiszpańskie pieniądze. I nie listownie.

Willi Mohr czuł palenie w skroniach. Na zewnątrz jednak zachowywał spokój, uparty, zuchwały spokój. Zaciął się w gniewie, odwieczna obrona. Milczał.

- Cóż, widzi pan, siedzi się tu, ma się wątpliwości, to służba, wiecznie ta sama służba. Człowiek się zastanawia i układa mu się to w jakąś całość.

Znowu podał mu pudełko z papierosami i podsunął zapalniczkę.

- Przypuszczam, że wkrótce otrzyma pan pieniądze — powiedział przyjaźnie. - Być w obcym kraju bez pieniędzy to przykra sytuacja. Gdyby pan miał trudności, proszę tu przyjść. Jakież możliwości zawsze się znajdują.

Willi Mohr dokonał pewnego odkrycia. Człowiek siedzący

naprzeciw niego nie palił. A przecież od początku na popielniczce leżało kilka niedopałków, nie było więc wątpliwości, że tuż przed jego wejściem ktoś w tym pokoju palił. Naiwne rozumowanie, wynik zmęczenia. Oczywiście ktoś inny był tu przed nim przesłuchiwany.

Długa cisza. Sierżant Tornilla z roztargnieniem przeglądał paszport.

- Gdzie pan służył podczas wojny? - spytał.

- Nie zdążyłem wziąć udziału.

- Oczywiście, był pan za młody.

- Nie taki młody.

- To prawda, nie taki młody. Miał pan osiemnaście lat, kiedy wojna się skończyła. Wielu z pana rówieśników już wtedy poległo.

- Ja nie zdążyłem wziąć udziału.

- Gdzie pan był podczas zawieszenia broni?

- We Flensburgu.

- Gdzie pan był przedtem?

- W Gotenhafen.

- Na szkoleniu?

- Tak.

- Co za rodzaj szkolenia to był?

- Łodzie podwodne.

- w... Gotenhafen?

- Tak.

- To się teraz nazywa Gdynia, czy nie?

- Tak.

- I nie zdążył pan zostać odkomenderowany na morze?

- Nie.

- A później, kiedy wojna się skończyła, co pan wtedy robił?

- Pojechałem do domu.

- Dokąd? Do jakiej miejscowości?

- Do Domburga.

- W jakiej części Niemiec to miasto się znajduje?

- W Turyngii.

- Czy to nie jest po niewłaściwej stronie granicy?

To pytanie wytrąciło Willego Mohra z równowagi. Nie

odpowiedział na nie.

- Jak dawno temu widział pan Ramona Alemany?
- Czy mógłbym dostać trochę wody?
- Za chwilę. Jak dawno temu widział pan Ramona Alemany?
- Cztery miesiące temu.
- Wie pan, gdzie on się teraz znajduje?
- Nie.
- Gdzie widział go pan ostatnio?
- We francuskim porcie.
- Pamięta pan, jak się ten port nazywa?
- Ajaccio.

- Zgadza się. Ajaccio na Korsyce. Ale widział go pan chyba później?

- Nie.
- Wie pan, jak się nazywa jego brat?
- Santiago.
- Kiedy pan ostatnio rozmawiał z tym Santiagiem?
- Nie wiem. Chyba zeszłego lata.
- A nie spotkał się pan z nim przed trzema dniami?
- Owszem.

- A więc omylił się pan, mówiąc, że nie rozmawiał pan z nim od zeszłego lata?

- Nie.
- Przecież widział się pan z nim przed trzema dniami.
- Tak.
- Może pan to jakoś wyjaśni.
- Spotkaliśmy się, ale nie rozmawialiśmy ze sobą.
- Gdzie go pan spotkał?
- Tu.
- Tu? Tu na posterunku?
- W domu.
- W domu przy Barrio Son Jofre?
- Tak.

- Proszę powtórzyć: Spotkałem się z nim w domu przy Barrio Son Jofre.

- Spotkałem się z nim w domu przy Barrio Son Jofre.
- Dobrze. Mówi pan po hiszpańsku coraz lepiej. No więc, pan

prosił Santiaga Alemany, żeby do pana przyszedł?

- Nie.
- Więc dlaczego przyszedł?
- Nie wiem.
- Przyszedł wyłącznie po to, żeby się z panem zobaczyć?
- Jechał do miasta z rybami.
- Zgadza się, jechał do głównego miasta prowincji z rybami.

O czym mówiliście?

- O niczym.
- Przez godzinę?
- Nie pamiętam, ile to trwało.
- O czym mówiliście?
- O niczym.
- Przez godzinę ani słowa do siebie nie powiedzieliście?
- Nie pamiętam, ile to trwało.
- Słowem się do siebie nie odezwaliście?
- Może jakieś słowo padło.
- Dał panu pieniądze?

Willi Mohr nie odpowiedział na pytanie.

- Domburg w Turynii. Czy to w rosyjskiej strefie?
- Tak.
- Jak długo pan tam mieszkał?
- Do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego.
- Ile lat?
- Sześć.
- Dlaczego się pan przeniósł?
- Nie czułem się tam dobrze.
- Jak długo pozostawał pan w Niemczech Zachodnich?
- Dwa i pół roku.
- A potem wyniósł się pan stamtąd?
- Tak.
- Dlaczego?
- Nie czułem się tam dobrze.
- Kiedy się panu Niemcy Zachodnie sprzykrzyły, przyjechał pan tu?
- Tak.
- Tu dobrze się pan czuje?

Willi Mohr otworzył usta, ale nie odpowiedział. Pojmował, że mógłby odpowiedzieć tak albo nie, ale nie mógł się zdecydować, co wybrać. Jak zwykle po przygwożdżeniu go sierżant Tornilla zmienił temat.

- Pan mieszkał przy Barrio Son Jofre już dawniej, kiedy pańscy duńscy przyjaciele jeszcze tu byli?

- Norwescy.

- Słusznie. A więc mieszkał pan przy Barrio Son Jofre, podczas kiedy pańscy norwescy przyjaciele tu byli?

- Tak.

- Jak długo?

- Trzy miesiące.

- Chyba cztery.

- Możliwe.

- Zobaczmy, podczas gdy pańscy norwescy przyjaciele tu byli i mieszkał pan razem z nimi, przestawał pan chyba również z braćmi Alemamy?

- Owszem.

- Wszyscy pięcioro żyliście z sobą jak jedna wielka rodzina?

- Czasami.

- Czyli zna pan Santiaga Alemamy od dawna?

- Tak.

- Zna pan także Antonia Miliana, zwanego również Antonio Roj o?

- Nie.

- Tylko z nazwiska?

- Nie.

- Zna pan jednak Santiaga Alemamy?

- Tak.

- Lubi pan Santiaga Alemamy?

Sierżant Tornilla znowu trafił. Natychmiast zmienił temat.

- Oboje pana rodzice żyją?

- Tylko matka.

- Mieszka w...

- Domburgu.

- Rzeczywiście, mieszka w Dornburgu, w rosyjskiej strefie.

- Tak.

- Należał pan do partii komunistycznej, kiedy pan mieszkał w rosyjskiej strefie?

- Nie.

- Tylko w ostatnich latach?

- Nie.

- Bardzo trudno tam było żyć?

- Nie.

- A jednak pan się stamtąd wyniósł?

- Nie czułem się dobrze.

- Teraz maluje pan, maluje obrazy. Mówiono, że dobrze pan maluje.

- Dziękuję.

- Czy w Niemczech zarabiał pan na życie jako artysta?

- Nie.

- A w ogóle malował pan, kiedy pan tam mieszkał?

- Nie.

- Czyli zaczął pan malować dopiero po przybyciu tutaj?

- Tak.

- Sądzi pan, że pańscy norwescy przyjaciele żyją?

- Nie.

- Czy Ramón Alemany jest teraz w Hiszpanii?

- Nie.

- Skąd pan wie, że go nie ma w Hiszpanii?

Willi Mohr nie odpowiedział. W oczach mu się ćmiło. Sierżant Tornilla postawił tylko jeszcze dwa pytania.

- Ta koszula, którą pan ma na sobie, jest pana własna?

- Tak.

- Jest pan zmęczony?

- Tak.

Sierżant Tornilla zadając pytania siedział nieruchomo, zupełnie nieruchomo, ze spojrzeniem również znieruchomiałym i ze ściśniętymi czubkami palców. Teraz sięgnął ręką za krzesło i podniósł gliniany dzbanek z wodą. Wstał, obszedł stół dookoła. Wyglądał całkowicie obojętnie, schludnie i nienagannie. Znowu się uśmiechał przyjaźnie i współczująco.

- Zaczyna pan być zmęczony - powiedział - ale może pan być o wiele bardziej zmęczony. Proszę się napić.

Willi Mohr pił długo i chciwie. Potem dostał papierosa, ogień. A tamten wrócił na swoje miejsce pod portretem.

- Nie robi pan wrażenia szczęśliwego. Ale może to jest dla pana z pożytkiem. Czytałem artykuł w jakimś dzienniku, w „Vanguardii” zdaje się, że prawdziwa sztuka powstaje w trudnych, a nawet nędznych warunkach. Zresztą tu dość łatwo być szczęśliwym, wystarczy spojrzeć na ludzi dokoła. Są biedni, ale wielu z nich to ludzie szczęśliwi. Proszę spojrzeć na ich twarze, zwykli robotnicy i chłopi, ale zadowoleni ze swych rodzin, swej wiary, z cudu, że mogą żyć i stwarzać nowe pokolenia. Łatwo też tu stać się nieszczęśliwym, łatwo ściągnąć na siebie kłopoty. Jeśli ktoś chce. O nieszczęście nietrudno temu, kto go szuka. To jest naprawdę bardzo miłe miasteczko, gdy się je pozna, a ludzie są dobrzy, prócz kilku wyjątków. Kiedy wyjątki zostaną wyeliminowane, wszystko będzie dobrze. To wielki cel: eliminowanie wyjątków.

Willi Mohr znowu dokonał odkrycia. Spojrzał w górę, żeby przeszkodzić ciągłemu opadaniu głowy w dół, i zauważył podobieństwo między człowiekiem w wyplatanej krześle a generałem na portrecie. Fotografia była stara, caudillo mógł mieć ze czterdzieści lat, gdy ją zrobiono, czyli w takim wieku, w jakim był obecnie sierżant Tornilla. Podobieństwo było nieprawdopodobnie wyraźne. Taki sam mundur, różniący się jedynie dystynkcjami, tak samo wypiełgnowane wąsy, takie same bandolety, tak samo na bakier włożona czapka. Czy dlatego właśnie siedzi we własnym pokoju nie zdejmując czapki? Willi Mohr tak długo wpatrywał się w portret, że zamigotało mu w oczach, a przez cały ten czas strumień słów przeciekał do jego świadomości. Przyłapał się na tym, że przysłuchuje się portretowi, widzi, że to jego usta się poruszają. Lekko potrząsnął głową i usiłował przenieść spojrzenie na rzeczywistość, żyjącą twarz poniżej.

- .. .dziewięć lat, od tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego do czterdziestego piątego byłem żołnierzem, innymi słowy: prawie nieustannie w boju. To było pouczające, jak już powiedziałem. Między innymi można się było nauczyć, jak w chwilach przerażenia kontrolować swój strach. Choć wielu

twierdzi inaczej, nie były to nieszczęśliwe lata dla tych, którzy mieli cel przed oczyma. Trzeba się było nauczyć eliminować wrogów, swoich własnych i kraju, jeśli się nie chciało do końca swoich dni żyć wśród wrogów. Jest wiele sposobów eliminowania. Byłem w armii nawarryjskiej podczas ofensywy nad Noguera Pallaresa w kwietniu trzydziestego ósmego. Wie pan coś o tej ofensywie nad Noguera Pallaresa? Nie, oczywiście że nie. Zapal, mój przyjacielu!

Willi Mohr z trudem sięgnął po papierosa. Ręka trzymająca zapalniczkę nie drżała.

- Noguera Pallaresa to dopływ Segre. Segre, jak wiadomo, płynie wzdłuż znacznej części granicy między Aragonią a Katalonią. Nad Segre, na zachód od Barcelony, leży Lerida, największe miasto wschodniej Katalonii. A tuż blisko na północ od Leridy znajduje się miasto Balaguer, a jeszcze dalej na północ, właśnie nad Noguera Pallaresa, miasto o nazwie Tremp. Tremp zaopatruje Barcelonę i prawie całą północną Katalonię w wodę pitną i elektryczność. Katalończycy należeli wtedy do tych, którym najtrudniej było nauczyć się myśleć tak jak my. Część z nich jeszcze się tego nie nauczyła. Wśród naszych żołnierzy było wielu Marokańczyków. Marokańczycy zdobyli Leridę drugiego i przewidywano, że pociągniemy w głąb Kataloni. Katalończycy oczekiwali tego, wszyscy się tego spodziewali. Ale generał Silchaga zarządził odwrót w kierunku północnym, wzięliśmy Balaguer i nacieraliśmy wzdłuż Noguera Pallaresa, gdzie czerwoni prawie nie mieli wojsk. W cztery dni później zaatakowaliśmy Tremp. Katalończycy mieli tam mało ludzi, tylko słabe formacje, ale w panice bili się prawie do ostatniego człowieka. Wielu poległo tego dnia. To było wysoko w górach, wciąż jeszcze zima — dobra wprawka przed Rosją. Kiedy zobaczyliśmy rezerwuary z wodą, elektrownie, wiedzieliśmy, że milion robotników zamieni się w bezrobotnych, a pół miliona gospodarstw będzie bez wody i elektryczności. Barcelona jest wielkim miastem. Złamaliśmy mu kręgosłup, a tym samym Katalończykom także. A jednak...

Urwał i w zamyśleniu przyglądał się człowiekowi na ławce,

jakby chciał zobaczyć, czy uczeń jeszcze reaguje.

- A jednak - powiedział - Katalonia dopiero po roku skapitulowała. Czasami zgnilizna sięga tak głęboko, że staje się nieuleczalna. Czasami niewiedza jest tak wielka, że nauczyciel musi uśmiercać ucznia. Dla dobra obu stron. Mówmy jednak o czym innym. Jak dawno spotkał się pan z Ramonem Alemany?

- Cztery miesiące temu.

- Pięć miesięcy i sześć dni, jeśli ma być dokładnie. Tak pan powiedział przy przesłuchaniu. Mam to zaprotokołowane.

Czubkami palców dotknął kartonowej teczki leżącej na stole.

- Mieszka pan w nieprzyjemnej części miasta - powiedział z żalem. - Ja mieszkam w lepszym miejscu, koło kościoła, przy avenidzie. Naprawdę piękny dom, stary, ale solidnie zbudowany, za domem ogród, duża przestrzeń. Dobre dla dzieci.

Znowu zacznie wypytywać, pomyślał Willi Mohr z tępa rozpaczą.

Sierżant Tornilla wstał, uśmiechając się, wyciągnął rękę.

- Była to przyjemna rozmowa. Przyjdę może kiedy, żeby obejrzeć pana malowidła. A teraz do zobaczenia.

Willi Mohr zachwiał się wstając. Był mokry od potu, w oczach mu się ćmiło. A tamten wyglądał zupełnie tak samo, jak kiedy pierwszy raz wstał z krzesła, czyli nieskończenie dawno.

- I jeszcze jedno. Pański paszport chwilowo zatrzymuję. Jeśli zamierza pan gdzieś wyjechać, proszę tu przyjść. Kiedy pan zechce. Wszystko razem drobiazgi tylko, ale...

Z ubolewaniem rozłożył ręce. Uśmiech.

Potem podszedł do drzwi i uprzejmie je otworzył.

Willi Mohr przystanął w sieni, która wydawała mu się jasna w porównaniu z pokojem, który opuścił.

Na dworze świeciło słońce.

Wysoki oficer wszedł w bramę. Robił wrażenie, jakby dopiero wstał i świeżo się ogolił, ale czoło już miał spocone. Zobaczywszy Willego Mohra zatrzymał się i powiedział niepewnie:

- Przykro mi. Pomyłka, nieprawdaż?

Otworzył drzwi do pokoju przesłuchań, wszedł. Nim drzwi się zamknęły, Willi Mohr raz jeszcze zobaczył sierżanta Tomillę.

Siedział za stołem i pisał. Między wskazującym a środkowym palcem lewej ręki trzymał zapalony papieros, twarz miał surową i poważną.

Willi Mohr na niepewnych nogach wyszedł na słońce.

3

Sierżant Tornilla przeprowadził rozmowę z szefem. Obaj wypowiedzieli tylko po trzy zdania.

- No? - powiedział porucznik Pujol.
- Ktoś dał mu wody.
- Co pan sądzi?
- Jeżeli tego nie zrobił, to zrobi.
- Może się pan myli.
- Wątpię.

4

Willi Mohr szedł przez miasto, wysoki, chudy osobnik w wyblakłej koszuli, poplamionych farbą spodniach koloru khaki i w skórzanych sandałach, trzymających się na jednym pasku. Słomkowy kapelusz rzucał cień na jego opaloną twarz. Był zmęczony, jednak siły fizyczne go nie zawiodły. Szedł wprawdzie wolno, ale krokiem lekkim i świadomym celu.

Na Avenida Generalísimo Franco spotkał kilku ludzi idących w góry do pracy przy budowie drogi, do ciężkiej, nieprawdopodobnie nieopłacalnej pracy z funduszu pomocy społecznej dla bezrobotnych, wykonywanej prawie bez żadnych przyrządów mechanicznych i posuwającej się bardzo powoli. Szli w milczeniu, martwym spojrzeniem patrząc przed siebie. Nieśli kosze z łyka, w koszach dzbanki z wodą i ćwiartki okrągłych bochenków chleba. Za chwilę będą się tymi koszami posługiwać w pracy.

Spojrząc na ich twarze, zwykli robotnicy, ale zadowoleni ze

swojej wiary, z cudu, że mogą żyć...

Kłamie, pomyślał Willi Mohr.

Potem przyszła mu na myśl inna wypowiedź, ta o koszuli.

Prawie ponadnormalnej bystrości spojrzenia trzeba, żeby natychmiast zidentyfikować mającą piętnaście lat koszulę Hitlerjugend, wyblakłą, spraną, z wyprutymi oznakami.

Uderzyło go, że na wszystkie pytania odpowiadał zgodnie z prawdą, nawet na to, które dotyczyło wydarzenia sprzed trzech dni. Santiago Alemany przyszedł około piątej po południu i został chwilę, ale nie rozmawiali ze sobą. Zaparkował samochód z rybami, wszedł do domu i rozejrzał się, przede wszystkim po kuchni. Potem usiadł na najniższym schodku i bawił się z kotem. Kilka razy otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale widocznie się rozmyślił. Kiedy odszedł, trzy brudne stupesetowe banknoty leżały na schodkach. Willi Mohr cały czas siedział przy sztalugach i pracował nad obrazem przedstawiającym dom i dużo kaktusów. Przez dwa dni nie ruszył pieniędzy, potem wziął je i zapłacił rachunek w sklepiku. W czterdzieści minut po opuszczeniu posterunku Willi Mohr stanął przed domem przy Barrio Son Jofre. Kiedy otworzył drzwi, kot podszedł i otarł mu się o nogę, suka rzuciła się ku niemu, przypadła do podłogi, skomląc, łaszcząc się i merdając ogonem. Musiała być bardzo głodna i spragniona, zupełnie jak on sam.

Dom przy Barrio Son Jofre był dwukondygnacyjny i mieściły się w nim trzy pokoje i kuchnia. Z dużego pokoju na dole kamienne schody prowadziły na pięterko. Większy z pokoi na górze był w dobrym stanie, a mniejszy nie do użytku. Podłoga się tam zarwała, częściowo spadła na dół do kuchni. W całym domu były tylko dwa meble: duże po-bejcowane na brązowo łóżko z filarkami na górze i wyplatane trzciniowe krzesło na dole. W pokoju na parterze znajdował się tylko materac, koc i ze dwadzieścia olejnych obrazów. Większość płócien leżała na podłodze, kilka tylko przybito do ścian pluskiewkami. Obok krzesła stała naftowa latarnia, zrobiona z blachy, a na kawałku workowego płótna w kącie leżało trochę ubrania i inne osobiste rzeczy. Na parterze

podłoga była porządnie zamieciona, ale na pięterku, gdzie nikt od dawna nie zaglądał, wszystko pokrywała gruba warstwa kamiennego szarobiaławego pyłu.

Willi Mohr nalał suce wody do glinianej miski, do której wrzucił kilka kawałków suchego chleba. Potem wsunął rękę między szczeniaki, wyciągnął pistolet i notatnik. Broń była ciężka i wilgotna, idąc do pokoju ważył ją w ręce. Przystanąwszy na środku powiedział sam do siebie:

- Czego on chciał u licha?

A po pauzie:

- On mnie znowu wezwie, więc muszę przedtem zabić i tego drugiego.

Przejrzał notatnik. Na pierwszej stronie była data, trzy-nastego lipca ubiegłego roku, dzień po wyjeździe Hugona.

W pierwszych dniach zapisywał wiele stron, potem notatki robiły się coraz krótsze, po czwartym września w ogóle ustały. Następne strony zabazgrał cyframi i drobnymi szkicami, potem znowu następowała notatka. Pismo było wyraźne i czytelne:

16 grudnia godz. 08.00. Wczoraj przez całe popołudnie i wieczór czekałem w puerto, ale nie wrócili. Po tej dacie następowało wiele notatek i teraz notes był prawie całkowicie zapisany.

Willi Mohr przygryzając dolną wargę wolno potrząsał głową.

Potem wetknął notes i broń na zwykłe miejsce, to znaczy pod materac. Rozebrał się i położył na wznak nagi, z rękami splecionymi nad głową.

W pokoju było gorąco, był bardzo zmęczony.

Myślał: Jutro zabiję szczeniaki. Wybiorę najładniejszego i zostawię. A resztę zabiję.

Tuż przed zaśnięciem pomyślał o ciężarówce i o dniu, kiedy Skandynawowie pili w barze Jacinta. Czternaście miesięcy minęło od tego dnia.

Rozdział drugi

1

Ciężarówka to był przebudowany fiat kamionetka model z 1931 roku. Nie miała błotników i maski silnika ani kabiny dla kierowcy. Platforma została zdjęta i zastąpiona przez dwie drewniane ławki, trochę przypominające wygodne jak kanapy ławki parkowe. Wszystkie te zmiany miały cel praktyczny: uczynić pojazd lżejszym i bardziej dostosowanym do przewozu ludzi po trudno dostępnych drogach.

Samochód miał swoją historię, dostał się do Hiszpanii podczas wojny domowej wraz z pierwszą dywizją czarnych koszul generała Bergonzoli i wpadł w ręce milicji robotniczej po bitwie nad Brihuegą w marcu tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego. Ale o tym nikt teraz nie wiedział i dlatego nie przypisywano kamionetce żadnej historycznej wartości.

Dan Pedersen przejął ją od pewnego znajomego, który był majstrem murarskim w Santa Margarita, i wóz, choć miał dwadzieścia pięć lat, funkcjonował zupełnie zadowolająco.

Droga prowadziła długimi serpentynami w dół zbocza górskiego, a w dole, po drugiej stronie zatoki, domy rybackiej osady piętrzyły się wzdłuż nabrzeża. Powierzchnia wody była spokojna, błękitna i rozświetlona słońcem, przy molo widać było trochę kąpiących się. Za balustradą zakotwiczyło kilka białych żaglówek, a dalej przy samym nabrzeżu z pół tuzina brudnożółtych kutrów z sieciami udrapowanymi wokół masztów jak żałobne welony. Mimo odległości można było dostrzec grupy lekko ubranych turystów, którzy stojąc na wybrzeżu przyglądali się łodziom rybackim.

Był początek sierpnia, bardzo gorąco. Wóz z wyłączonym silnikiem szvbkto toczył się w dół, słychać było tylko zgrzyt mechanicznych hamulców i odgłos kamyków uderzających o podwozie. Droga była wąska i gwałtownie skręcająca, ale też prowadziła do najodleglejszych i najbardziej odizolowanych

domów wsi.

W samochodzie były trzy osoby. Dan Pedersen, który prowadził, obok niego Siglinde, jego żona. Z tyłu na ławce siedział Willi Mohr w słomkowym kapeluszu zsuniętym na czoło, co miało stanowić osłonę przed kłębiącym się kurzem. Musiał dosłownie zapierać się rękami i nogami, żeby go nie wyrzuciło na ostrych zakrętach.

Myślał o opalonym szczupłym karku dziewczyny, a kiedy pęd powietrza unosił jej krótkie blond włosy, widział niby naszyjnik z perełek rząd maleńkich kropelek potu u nasady włosów. Widział też, że u nasady włosy były ciemne, zrozumiał, że farbuję włosy na blond i zdziwił się: dlaczego.

- Nie jedź tak cholernie szybko - powiedziała Siglinde. — Kurz aż dławi.

Dan nie odpowiedział. Myślał:

Skandynawowie dostali pieniądze i piją teraz u Jacinta. A o tym, że mnie są winni dwa tysiące pesetów, a ja mam komorne za dwa miesiące nie zapłacone i pieniędzy mi ledwie starcza na jedzenie, całkiem zapomnieli. Zapomnieli jednak i o tym, że to jest mała dziura, że tu się wszyscy o wszystkim dowiadują prawie natychmiast. Ale teraz mi ci dranie zapłacą. Mam nadzieję, że uda mi się złapać Santiago albo Ramona, bo będzie awantura, a ten Niemiec nie na wiele się przyda. On się nadaje tylko do tego, żeby siedzieć i gapić się na Siglinde, kiedy się opala, proszę bardzo, sam bym to robił, gdyby nie to, że już dokładnie wiem, jak ona gdzie wygląda.

Dan Pedersen używał określenia Skandynawowie z nieco pogardliwym naciskiem, zapominając, że on sam mógłby być zaliczony do tej samej grupy.

O tej porze roku w puerto było może ze dwustu cudzoziemców, a jakiś tuzin z nich mieszkał tu stale. Byli to ludzie różnych narodowości, przeważnie tacy, którzy malowali, pisali albo przynajmniej udawali, że to robią; większość z nich stanowili Szwedzi i Finowie. Wyróżniała się wśród nich mała grupka nigdy nie mająca pieniędzy. To ich obejmowało miano Skandynawowie. Bardzo lubili wódkę.

Siglinde myślała:

Będzie awantura, wiem, bo znam Dana, mam nadzieję, że spotkamy po drodze Ramona albo Santiago, bo z Niemca nie będzie wielkiego pożytku, choć wydaje się uprzejmy, i malować też nie umie, biedaczyna, niech to cholera, że Dan pozwolił mu u nas mieszkać, nie można się nago opalać.

Była młodą kobietą, w typie na Północy pospolitym, zdrowa, silna i dość ładna. Miała na sobie figi, biustonosz, zakurzone sandały z wąskich paseczków i niebieską sukienkę na ramiączkach. Była szarooką blondynką, opaloną mocniej niż to się zwykle blondynkom zdarza.

Człowiek na tylnym siedzeniu chłodno patrzył na jej nagie ramiona i prowadził sam dla siebie bezgłośny monolog:

Co ja właściwie mam wspólnego z tymi ludźmi? Jestem im równie obojętny, jak oni mnie. Ale co miałem z sobą zrobić, kiedy Hugo odjechał, a ja zostałem nie mając gdzie mieszkać i słowa nie znając w tutejszym języku? Pójść do jakiegoś pensjonatu? Wtedy pieniędzy by nie starczyło, a mam tu zostać przez rok i malować. Tak powiedziałem i tak zrobię. Nawet jeżeli to zupełnie nie ma sensu. Zresztą nie pojmuję, co ludzie tacy jak Hugo widzą w tym kraju i w tym środowisku. Jest gorąco, ale też tylko tyle. A teraz ci ludzie oczekują ode mnie pomocy w jakiejś ich prywatnej awanturze i powinienem im chyba pomóc, bo przecież tydzień u nich mieszkałem. Nie wiem, o co chodzi, ale co mi tam.

Zjechali na gładką nadbrzeżną drogę, która łukiem okrążyła wewnętrzną część zatoki i łączyła miejscowość z niewielką grupką domów położonych w pobliżu mola i grobli. Dan włączył silnik, który zabrzączał niepokojąco. *Je-1* chał szybko i niedbale wzdłuż zalewu. Dwie noce temu dwóm łodziom rybackim zdarzyło się zagarnąć ławicę żółwi w sieć pociągową i przez połowę drogi do wsi rozciągnięte było pasmo poszarpanych sznurków, mające ponad sto metrów długości. Sieć zajmowała połowę drogi, co dziesięć metrów mniej więcej siedzieli ścibolący rozerwane oczka mężczyźni i kobiety.

Przy trzecim z naprawiaczy sieci Dan zahamował i kamionetka stanęła.

- Halo - powiedział.

Santiago Alemany podniósł głowę, gdy cień samochodu padł na niego, i dwoma palcami zsunął kapelusz z czoła.

Siedział w wysuszonym przez słońce żwirze z rozsuniętymi nogami i żeby napiąć płachtę sieci, zaczepił sobie jedno z oczek o wielki palec prawej nogi.

- Co jest?- spytał.

- Skandynawowie dostali pieniądze i piją u Jacinta.

- Słyszałem. Nawet jak tu się siedzi, można się wszystkiego dowiedzieć.

- Pójdiesz?

Santiago Alemany ostrożnie wyplątał się z sieci i wstał. Jego ruchy miały wystudiowaną powolność, co nadawało mu pewne dostojeństwo, choć był bosy i dość brudny, bo praca była brudna, choć jego wyblakła odzież miała bardzo nieokreślony kolor.

Liczył sobie dwadzieścia siedem lat, był prawie równolatką siedzących w samochodzie, miał spokojne, jasnopiękne oczy, szerokie czoło i niezbyt ciemne włosy.

Wysoki. Pomyślała Siglinde, której często coś zupełnie bezsensownego przychodziło do głowy.

- Z tym bieda - powiedział, wskazując rozciągniętą sieć.

- Dziś musi być gotowa. Albo jutro.

Roześmiał się, wyciągnął zmiętą paczkę ideali i poczęstował. Wzięli wszyscy prócz Willego Mohra, który jeszcze nie przywykł do tutejszego mocnego tytoniu. Poza tym fakt, że nie rozumiał, co tamci mówią, wywoływał w nim nastrój apatycznej pasywności.

Santiago wdrapał się na samochód i usiadł obok Willego Mohra.

- Zabierzemy mego młodszego brata - powiedział. - On jest skuteczny... w takich sytuacjach.

Kiedy samochód ruszył, najbliższy z reperujących się odwrócił głowę i nie przerywając pracy zawołał:

- A Santiago znowu gdzieś zmyka z cudzoziemcami... jak zawsze!

Ramón Alemany siedział ostatni w rzędzie, pochylony,

gmerając w oczkach. Miał jakieś niewyraźne cechy rodzinne łączące go z bratem, ale właściwie wcale nie był do niego podobny. Zobaczywszy samochód natychmiast wyplątał się ze sznurów, odrzucił je, zerwał się, niski muskularny, krzywonogi. Miał rozczochrane czarne włosy, żywe czarne oczy, a spod niedbale związanej koszuli widać było owłosioną spotniałą pierś i duże ciemne brodawki.

Włazł na tylną ławkę i żywo uściśnął ręce siedzących. Bracia rozmawiali z sobą po katalońsku. Śmieli się obaj. Dan Pedersen ruszył.

Siglinde odwróciła się z uśmiechem do trzech siedzących z tyłu mężczyzn.

2

Grupka domów w porcie - tego jak i każdego innego letniego dnia - była skąpana w słońcu. Od szerokiego równego nabrzeża ciasne cieniste uliczki pięły się w górę między pochyłymi białymi ścianami domów. Kilka kawiarenek nad brzegiem morza usiłowało nadażyć za wymaganiami czasów, umieszczając pasiaste parasole nad stolikami. Jeden z właścicieli barów występował w białej kurtce. Na nabrzeżu było mnóstwo cudzoziemców, jedni siedzieli przy kawiarnianych stolikach, inni kręcili się bezplanowo, patrzyli na kutry i na świeżo złowione żółwie, które poprzywiązywano drucianymi linkami do nabrzeżnych pierścieni. W uliczkach opaleni turyści w szortach i kolorowych koszulach wymijali dzieci i chude czarne świnie. Dwóch gwardzistów stało w cieniu pod szopą na ryby. Z roztargnieniem lustrowali tłumek na wybrzeżu. Księżyna w płaskim białym kapeluszu dreptał wzdłuż rzędu domów. Długa czarna sutanna owijała mu się wokół nóg, nie odrywał wzroku od ziemi, jakby obawiał się nieszczęśliwego wypadku.

Turystyka wtargnęła do puerto. Rozpacзлиwa potrzeba obcych walut skłoniła władze do ograniczenia utrudnień wjazdowych. Tu, podobnie jak w setkach innych nadbrzeżnych miejscowości, zewnętrzne rygory zostały rozluźnione. Obcy

przybysze nie otrzymywali już drukowanych zawiadomień, że nie wolno pokazywać się poza domem z obnażoną górną połową ciała, nie wolno chodzić w szortach, dwuczęściowych kostiumach kąpielowych i sukienkach trzymających się tylko na ramiączkach, że nie wolno całować się na ulicach i wyrażać się uwłaczająco o caudillo i jego boskiej władzy. Cudzoziemców trzeba było dobrze traktować, przywozili do kraju pieniądze. Pieniądze, które można było zużytkować z korzyścią dla biednych i nieświadomych, nieoświeconych. Wkrótce gwardia cywilna zostanie wyposażona w broń automatyczną zamiast przestarzałych niewspółczesnych karabinów.

Część osób prywatnych także dorabiała się pieniędzy na cudzoziemcach. Byli to właściciele przedsiębiorstw, którym już przedtem nieźle się wiodło. Zwyczajni ludzie byli tak samo biedni jak zawsze. Może tylko bardziej uświadamiali sobie swoją sytuację.

I w tym właśnie tkwiło ryzyko.

Siły milicji zostały wzmocnione liczebnie, a jednocześnie jej rolą stała się w większym stopniu obserwacja. Podobnie jak duchowieństwo gwardia cywilna pracowała teraz raczej cichcem, najczęściej czekając tylko zimy.

W sezonie letnim patrole La Policia Secreta, tajnej policji, pokazywały się rzadko i jedynie bardzo późną nocą.

Część ludności, zwłaszcza nieodpowiedzialni młodzi mężczyźni, zbyt młodzi, by mieć za sobą przeżycia wielkiego i sprawiedliwego przelewu krwi, zdawali się skłonni do wyrzeczenia się pokory, wiary, prawdy i czystości dla innego sposobu życia, innych ideałów.

Ich nazwiska były starannie notowane przez przedstawicieli tak ziemskiej, jak niebiańskiej władzy. Co było procedurą naturalną, i co zapisywani na ogół przeżywali. Daleko gorsze było zabicie w grzędawisko między rzeczywistością, w jakiej zostali wychowani, a nieścislými wyobrażeniami, jakie udzielały im się za pośrednictwem odurzonych słońcem Skandynawów i półnagich niemieckich biuralistek.

We wrześniu turyści wyjeżdżali, polowanie na komunistów mogło się znowu rozpocząć.

A także walka o dusze.

Szeregowy personel gwardii cywilnej bywał często zmieniany, wedle jakiegoś zawilego schematu przesunięć, który ustalano w regionalnej kwaterze głównej w mieście położonym wysoko w górach.

O trzysta kilometrów stąd. Z nabrzeża można było dojrzeć miasto jako rozmazane zaciemnienie na jednostajnie szarozółtym tle gór.

W górskim mieście byli ludzie, którzy wiedzieli, co się zdarzało we wsi nad morzem, choć nigdy tam nie jeździli.

Odcinali wieś nad morzem, jakby to był wrogi przyczółek mostowy podczas wojny. Otaczali ją żelaznym pierścieniem, ale bardzo niewiele obcych zwracało uwagę na ten szczegół.

Jedyna droga z puerto prowadziła w góry.

3

Dan Petersen skręcił w jedną z poprzecznych uliczek i dał pełny gaz, żeby sforsować wzniesienie. Energicznie naciskał klakson, dzieci, świny i koty uskakiwały w bok. Kilkoro przechadzających się turystów przywarło do ścian i ze zdumieniem wytrzeszczało okrągłe niebieskie oczy. Potem kamionetka stanęła przed barem Jacinta.

Bar znajdował się w najwyższej części wsi, niedaleko od kościoła, na zewnątrz niewiele było do zobaczenia. Stolików nie wystawiano na ulicę. Tylko dwa wyplatane krzesła dla abuela i abueli i bładniebieskie łuszczące się litery szyldu nad wejściem, widoczne na bielonej ścianie, zdradzały istnienie baru. W drzwiach wisiała prymitywna zasłona, zrobiona ze sznurków i zgniecionych kapsli od butelek.

Dawniej bar był przystanią dla mieszkańców wsi, ale teraz coraz bardziej anektowała go mała kolonia osiadłych tu na stałe cudzoziemców.

Siglinde została w samochodzie, założyła nogę na nogę, brodę oparła na rękę, a łokieć na kolanie. Nie chciała z nimi wejść, nie dlatego że się bała, po prostu nie miała ochoty. Fala dźwięków z wewnątrz świadczyła o tym, że Szwedzi i

Finowie zaczęli już dość dawno.

Bo śpiewali.

Gdy zasłona opadła za Willim Mohrem, który wszedł ostatni, śpiew ucichł.

Siglinde usiłowała zrozumieć dochodzące dźwięki. Potem wzruszyła ramionami i z rezygnacją potrząsnęła głową.

Wewnątrz baru bójka rozpoczęła się natychmiast.

Osobnikiem winnym najwięcej pieniędzy Danowi Petersenowi był szwedzki malarz. Wysoki, ciemnowłosy, posągowo piękny, a także piekielnie bojący się wszelkiej bijatyki. Uważał się za wybitnego uwodziciela i potajemnie obawiał się, że ktoś mógłby targnąć się na jego największy skarb, twarz. Był także dość ograniczony i usiłował maskować fizyczne tchórzostwo arogancją.

Szwed siedział blisko drzwi razem z małym brodatym facetem, który też był uważany za malarza, a który z całą pewnością był Finem. Inny fiński malarz, sławny w swej ojczyźnie, stał przy barze, pijany i usposobiony pokojowo. Był bosy i ubrany w niebieskawy dres. Prócz tego w lokalu była czwórka innych Skandynawów, w tym dwie dziewczyny. Za ladą stał Jacinto, wyglądał na zadowolonego i właśnie przepijał do sławnego Fina. Abuela, mała, zażywna, owinięta w brudny czarny szal, niosła właśnie nową butelkę szampana do stolika przy drzwiach.

Szampan rozwścieczył Dana Petersena. Był to wprawdzie najtańszy gatunek, kosztujący tylko dwanaście pesetów butelka, nadawał jednak scenie charakter niestosownego i niezasłużonego luksusu. Dan powiedział coś popędliwie, a gdy Szwed uśmiechnął się zimno, chwycił go za ramię. Mały Fin podniósł się i uderzył Dana zaciśniętą pięścią mocno w kark, Dan potknął się o wyciągniętą nogę Szweda. Padając zobaczył Jacinta wymykającego się tylnym wejściem i usłyszał, że abuela woła o pomoc. Potem uderzył głową o żelazną podstawę stołu i chwilowo wypadł z gry - Szwed, zobaczywszy niszczycielski efekt podstawienia nogi, wstał i ruszył ku wyjściu. Willi Mohr stał mu na drodze i pomyślał, że powinien go uderzyć. Ale zobaczywszy, że Szwed się boi, zawahał się. Ramón, od

początku wrogo nastawiony, odepchnął Willego Mohra i powalił długiego Szweda dwoma szybkimi ciosami w żołądek. Potem mocno kopnął go w bok. Jednocześnie Santiago zaszedł Fina od tyłu i udało mu się otoczyć go ramionami. Ramón zbliżył się pochylony, z zaciśniętymi kułakami, ale Finowi, mimo że ramiona miał unieruchomione, udało się kopnąć przeciwnika w pierś. Ramón odleciał o kilka kroków. Dwaj z pozostałych Skandynawów uwiesili się po amatorsku na Santiagu od tyłu, tak że musiał puścić Fina.

Nagle zapanowała cisza i Willi Mohr odkrył, że to, co kilka sekund temu mimo wszystko było czymś w rodzaju nierealnej zabawy, nagle stało się czymś poważnym.

Ramón i Fin okrążali się wzajemnie ciasnym kręgiem, pochyleni, w półprzysiadzie, z ramionami uniesionymi i zgiętymi jak szpony. Twarze mieli zeszywniałe.

Oni mogą się pozabijać bez żadnego powodu, pomyślał Willi Mohr zdumiony.

Żaluzja w drzwiach zachrząściła i z ulicy weszli dwaj gwardziści w zielonych mundurach. Jeden z tyłu uderzył Ramona Alemany na ukos przez czaszkę kolbą karabinu. Ramon upadł i potoczył się po kamiennej podłodze, trzymając się rękami za głowę. I tak został, leżąc na boku skulony. Ręce i nogi drgały mu jak umierającemu zwierzęciu.

Drugi gwardzista zamierzył się karabinem na Fina, ale powstrzymał się, zobaczywszy, że to cudzoziemiec. Opuścił broń i zadowolił się pchnięciem lufą w pierś zawodnika. Fin pogardliwie spojrział na karabin, potem wyprostował się i odprężył.

- Jedno powiem: Północ to zawsze Północ - oświadczył ten pokojowo usposobiony przy barze i podniósł kieliszek, jakby na cześć sportowego zwycięstwa.

Spokój został przywrócony w barze Jacinta.

Dan Petersen wstał. Zadraśnięcie na policzku krwawiło.

Długi Szwed siedział jęcząc i trzymając się za żołądek.

Ramón leżał nieprzytomny. Brat ukląkł przy nim i ostrożnie dźwignął jego głowę z podłogi.

Bójka się skończyła. Nie trwała dłużej niż dwie, najwyżej

trzy minuty.

Dan Pedersen nie odebrał swych pieniędzy.

4

W dwie godziny później Dan Pedersen, Willi Mohr i Santiago Alemany opierając się o pobieloną ścianę stali w cuartelu gwardii cywilnej tuż za kościołem. Palili papierosy i przyglądali się cabo, który chwilowo był najwyższą osobistością władz policyjnych w puerto. W pokoju znajdowały się także drewniana ławka i wyplatane krzesło, na którym gwardzista mający dyżur siadywał zwykle i spał z rozpiętym konierzem i karabinem położonym na kolanach. Chwilowo na krześle siedziała Siglinde Pedersen, skrzyżowawszy opalone nogi i obyczajnie obciągnąwszy spódniczkę. Zdjęła sandaalki i z niezadowolaniem kiwała stopą.

Cabo był dość młodym człowiekiem w eleganckim mundurze i w czarnych butach z cholewami. Czoło miał spocone, zirytowany spacerował tam i z powrotem przed stojącymi pod ścianą. Od czasu do czasu płochliwie spoglądał na opalone nogi Siglinde.

- Dość już tego — powiedział. — Jesteśmy narodem uprzejmym, ale nie możemy tolerować wszystkiego. Bardzo wiele już z waszej strony zniesiliśmy tolerancyjnie, pijaństwo, bluźnierstwo, amoralność...

- Amoralność? - powiedział Dan Pedersen sztywniejąc.

- Tak, my to tak nazywamy - pospiesznie powiedział cabo. - Wiem, wy twierdzicie, że w waszym kraju są inne poglądy. W każdym bądź razie tu jest inaczej. Prowokacja nie mająca sobie równej, na granicy napaści...

- To właściwie nie była nasza wina - powiedział Dan Pedersen.

- Bez wykrętów—powiedział cabo grożąc palcem. - Proszę nie występować z twierdzeniem, żeśmy czegoś zaniedbali. My znamy swoją pracę. Przesłuchałem Jacinta, abuelę, nawet tych opoi. Nie ma wątpliwości co do tego, że wy zaczęliście. I nie próbujcie wmówić, że dochodzenie nie było staranne.

Wiedziałem, że pan to powie, ale tym razem się nie uda. Sześciu ludzi się tym zajmowało.

- W mojej ojczyźnie — powiedział Dan Pedersen — w takiej miejscowości jak ta wystarcza zwykle jeden policjant, może nawet pół. A pan ma piętnastu.

- Siedemnastu - powiedział cabo. - I nie ma półpolicjantów. Ale to nie jest salon i miejsce do konwersacji. Macie się stąd wynieść, i to natychmiast.

- A moja żona?

- Ona też - powiedział cabo nie patrząc na Siglinde.

- Niechże pan na nią popatrzy - powiedział Dan Pedersen.

- Jest najzupełniej żywa i nie gryzie. Proszę popatrzeć, nie tak często możecie sobie na to pozwolić, zatraceni biedacy.

Cabo zatrzymał się przed nim.

- Proszę teraz ostrożnie - powiedział wolno — bardzo ostrożnie, jeżeli nie chce pan spędzić reszty swego pobytu w tym kraju w bardzo małym pomieszczeniu. Mógłbym...

- All right, a więc mamy się wyprowadzić?

- Natychmiast.

- Dokąd?

- Gdziekolwiek. Z tego dystryktu.

- Tu na górę do miasta na przykład?

Cabo wzruszył ramionami.

- Ale wtedy będziemy przecież mogli tu codziennie przyjeżdżać, tego pan chce?

Cabo znowu wzruszył ramionami.

- Idiotyzm - powiedział Dan Pedersen.

- W ciągu dwudziestu czterech godzin - powiedział cabo. - Raczej wcześniej. W przeaiwnym razie będę musiał sporządzić protokół, wtedy będzie sprawa sądowa. Wolałbym tego uniknąć, nie ze względu na pana, tylko ze względu na mnie.

Jest przynajmniej szczerzy, pomyślał Dan Pedersen, a głośno powiedział:

- A Niemiec?

- On może zostać.

- A gdzie będzie mieszkać?

- Nie moja rzecz.

Cabo obojętnie spojrział na Willego Mohra. Potem zwrócił spojrzenie na Santiago Alemany, który stał oparty plecami o ścianę i patrzył w sufit.

- A ty co powiesz? — spytał prowokacyjnie.

- To nie nasza wina, a ja nic nie zrobiłem, tylko próbowałem ich rozdzielić.

- Ty nigdy nic nie robisz - powiedział cabo, nienawistnie patrząc na Santiago. - Nigdy nic nie robisz, tylko zawsze uczestniczysz. Nawet nie pracujesz solidnie jak twój ojciec i brat. Oni prawie co noc wypływają łodzią, a ty zadowolasz się przesiadywaniem w barach z cudzoziemcami i wożeniem ryb do miasta raz, najwyżej dwa razy w tygodniu.

Santiago Alemany otworzył usta i zwilżył wargi językiem.

- To czasem bywa ciężka praca - powiedział.

Właściwie zamierzał powiedzieć coś zupełnie innego.

- A poza tym coś zrobił ze swoim bratem?

Santiago znowu zwilżył wargi.

- Zabrałem go do domu - powiedział. - Powinien odpocząć. Ze swego miejsca w wyplatanej krześle Siglinde dostrzegła, że jego oczy zrobiły się zimne i wrogie. Chyba nikt inny tego nie zauważył.

- Twój brat posiedzi w areszcie, tydzień, może dwa. No, jakoś to wytrzyma.

- Z pewnością - powiedział Santiago Alemany.

- I proszę zapamiętać, co powiedziałem - powiedział cabo, znowu zwracając się do Dana Pedersena. - Najpóźniej jutro. Lepiej dziś wieczorem. A teraz adieu.

Gdy szli do samochodu, cabo stał w drzwiach za żaluzją i patrzył na Siglinde. Niebieska sukienka opinała się na biodrach i pośladkach, kiedy szła, a białoszary kurz wirował koło jej nagich nóg.

- Kretyni - powiedział cabo sam do siebie i wrócił do pokoju. Wyciągnął spod blatu aparat telefoniczny i niecierpliwie nacisnął widełki.

Ten cabo w policji nie miał przyszłości. Przysłano go do puerto, gdyż uważano, że jest typem nowoczesnym, który

potrafi zająć się cudzoziemcami. W imieniu swego kraju cierpiał na kompleks niższości i studiował zagraniczne metody. Przełożeni z regionalnej kwatery głównej śledzili jego działalność ze wzrastającą podejrzliwością.

Po drodze Dan Pedersen powiedział do Willego Mohra:

- Musimy się przeprowadzić, to nasza wina, że zostałeś w to wciągnięty. Możesz z nami jechać, jeżeli chcesz. Znam tam pewien dom, który możemy tanio wynająć. Na południowym krańcu miasta, nie ma tam elektrycznego oświetlenia, ale ujdzie.

- Masz jakieś pieniądze - zwrócił się do Santiaga - bo ja jestem bez grosza.

Santiago wyjął z kieszeni rulon zniszczonych, brudnych banknotów.

- Ile potrzebujesz?

- Tylko pięćdziesiąt.

Santiago odwinął banknot stupesetowy.

Dan Pedersen uśmiechnął się, wsuwając go do kieszeni.

- A ty co sądzisz? - powiedział do Siglinde.

Wariat jesteś, ale nie szkodzi. Tam może być dobrze.

- Dobra z ciebie dziewczyna. Wiesz, co pomyślałem patrząc, jak tam siedziałaś? W tym przeklętym kraju ty jesteś znieważającą prawdą.

Urwał i obejrzał ją od stóp do głów.

- Chcę się z tobą kochać, później.

- Jeszcze zobaczymy - powiedziała Siglinde i uśmiechnęła się.

Pełna optymizmu, oczekująca czegoś od przyszłości, spoglądała na niewyraźne, odległe zarysy gór.

Dan Pedersen z Willim mówił po niemiecku, z Santiago po hiszpańsku, a z żoną po norwesku. Mimo pewnych przeciwności czuł się w formie i poklepał tamtych po plecach. Wdrapali się na kamionetkę.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Willi Mohr poczuł, że coś w nim odtajało. Poczuł małą, ale drążącą ciekawość, co może się jeszcze zdarzyć.

Ja mam pieniądze - powiedział.

Dobrze - oświadczyła Siglinde - będziemy żyli z two- r.o, póki się czegoś nie zorganizuje.

Zostawili Santiago przy sieciach w połowie drogi, okrążającej zatokę.

- Przeprowadzimy się wieczorem, jak się trochę ochłodzi — powiedział Dan Pedersen. — Przyjedziesz rybim wozem?

- Jasne - rzekł Santiago i podniósł rękę na pożegnanie. Kiedy samochód odjechał, usiadł na ziemi, naciągnął sieć, zaczepiając ją o wielki palec i zabrał się do wiązania w tym miejscu, w którym skończył.

Nie odezwał się ani słowem do tych, którzy siedzieli w pobliżu, i nikt do niego nic nie powiedział.

5

Była trzecia po południu, kiedy gwardzista Pablo Canaves uderzył Ramona Alemany w barze Jacinta lufą karabinu tak, że Ramón stracił przytomność.

Ramón ocknął się po piętnastu minutach. Śmiał się, gadał, ale szedł bardzo niepewnie i wydawało się, że nie rozpoznaje ludzi dookoła. Brat pomógł mu dojść do domu i położył go do łóżka. Potem obmył mu krew z rany i przyłożył kompres z zimnej wody na guz z tyłu głowy. Wtedy Ramón już spał.

Spał ciężko ze cztery godziny. Potem przyszedł ojciec i obudził go. Ramón Alemany wstał z bólem głowy. Źle widział i musiał raz po raz potrząsać głową, by kontury otoczenia połączyły się i przybrały znany stary kształt. Gdy potrząsał głową, bolało bardzo. Próbował zjeść kawałek chleba umoczonego w oliwie, ale zaraz dostał mdłości i zwymiotował.

Bezpośrednio potem zaniósł dwa oplatane gąsiorki z naftą do łodzi, jakieś osiemset metrów. Gąsiory były pełne i ważyły razem przeszło osiemdziesiąt kilo. Ani razu nie przystanął z nimi po drodze i kiedy przelaził przez reling, czerwone i czarne koła tańczyły mu przed oczyma. Widział bardzo niewyraźnie i mówił bełkotliwie i bez związku. Ojciec myśląc, że się upił, uderzył go kilka razy paskiem przez plecy, ale niezbyt mocno.

W tym samym czasie Pablo Canaves skończył służbę. Był żonaty, mieszkał w puerto, siedział w domu w chłodnej kuchni, bez butów, w rozpiętym mundurze. Jedząc gotowany ryż z dwiema solonymi sardynkami rozmawiał z żoną.

- Uderzyłem dziś chłopaka, że przytomność stracił - powiedział.

- Kogo?

- Ramona Alemany.

- A, to nie ma znaczenia.

6

Miasto było dość małe, a jednak największe i najznacniejsze w prowincji. Leżało wysoko i było całkowicie otoczone górami, tylko od wschodu wąska kręta dolinka otwierała się ku morzu. Góry były strome, ale mocno zwietrzałe, szarozółte pokryte piargiem zbocza porastały pinie i niskie kolczaste krzaki. Po wschodniej stronie, w kierunku morza, były tarasowate pola z oliwnymi i migdałowymi drzewami, tam też znajdowało się trochę chłopskich zagród, większość z nich w ruinie, opuszczona. Z miasta prowadziły dwie drogi, jedna wzdłuż dolinki w dół ku puerto, druga, równoległa do wybrzeża, na południe w kierunku stolicy prowincji, położonej w odległości siedemdziesięciu kilometrów. Główna droga była asfaltowana i pięła się długimi serpentynami do przełęczy w górskim łańcuchu. 17 przed dziesięciu laty zaczęto tę drogę przedłużać na północ, żeby stworzyć przejezdne połączenie z kilkoma odizolowanymi wsiami, ale praca wykonywana w ciężkich warunkach nie dawała widocznych postępów.

Ci, którzy jechali ze stolicy prowincji do puerto, nie musieli robić objazdu przez miasto w górach, było bowiem połączenie na skróty, zbiegające się z drogą główną o dwanaście kilometrów na południe od miasta. Droga była stara i bardzo zła, ale dawała oszczędność czasu i widok na morze. Wielu z tej drogi korzystało.

W mieście między górami mieszkało trzy tysiące ludzi, w tym

około pięciuset zdolnych do pracy. Większość stanowili chłopci i robotnicy rolni, ale ponieważ ziemia nie mogła ich wyżywić, wielu pracowało przy budowie drogi, co było właściwie pracą z zasiłku dla bezrobotnych. Ale i tu ze względu na ograniczone fundusze poszukujący pracy z trudem znajdowali zatrudnienie. Maksymalną zapłatą dzienną była bardzo niska kwota.

Niedaleko od miasta na zachodnim zboczu był obóz wojskowy, gdzie kwaterowało dwustu zawodowych żołnierzy piechoty morskiej. Byli to naburmuszeni wiejscy chłopcy, którzy karabinami posługiwali się nieudolnie i nieufnie. Często słychać było ich strzały, gdy w górach odbywali ćwiczenia. Na mieście pokazywali się tylko w sobotnie i niedzielne wieczory.

W mieście było dziesięć barów, posterunek gwardii cywilnej z trzydziestopięciosobową załogą, dwunastu księży i jeden lekarz. Opieką zdrowotną zajmowało się kilka zakonnicy, które jak anioły śmierci wędrowały od domu do domu ze strzykawkami ukrytymi pod brzydko pachnącymi welonami.

Takie było miasto w górach. Ciche i w postronnym obserwatorze wywołujące wrażenie kontemplacji i wzniosłego spokoju.

7

Dan Pedersen wynajął dom przy Barrio Son Jofre tuż przy południowej roгатce i wprowadził się tam razem z Siglinde i Willim Mohrem. Mieli bardzo urozmaicony dobytek. Osobliwe pamiątki, psa, naczynia kuchenne, kota, maszyny do pisania, ubrania, książki, kosze z łyka, bloki rysunkowe, a nawet pojedyncze meble, gdyż Dan i jego żona mieszkali w tym kraju prawie dwa lata i zdążyło się trochę nazbierać. Willi Mohr posiadał nie więcej, niż mógł sam unieść: plecak, kasetę z farbami i rulon płócien.

Wszystko załadowano na kamionetkę i na samochód, którym Santiago Alemany rozwoził ryby, i wyruszono w trzynastokilometrową prowadzącą wciąż pod górę drogę. Dan Pedersen prowadził, Siglinde i Willi Mohr siedzieli z tyłu i próbowali jakoś uporządkować niedbale wrzucony bagaż.

Santiago Alemany jechał za nimi swoim samochodem, małym i bardzo starym fordem. Wszyscy byli w dobrej formie, śpiewali, głośno, wrzaskliwie, żeby przekrzyczeć warkot silników.

W połowie drogi musieli stanąć i dolać wody, bo w fordzie zagotowało się w chłodnicy, w chwilę później minęli dwóch gwardzistów, którzy natychmiast poznali, że to cudzoziemcy, i pomachali im. Tuż przed wjazdem do miasta wyminęli inny patrol, dwaj ludzie w zielonych mundurach stali oparci o rowery nad rowem.

Warowny przytułek dla ubogich, pomyślał Dan Pedersen i natychmiast zapomniał, że mu się tak pomyślało.

Dom przy Barrio Son Jofre od dawna stał pustką, właściciel kazał jednak pozamiatać w nim i nanieść wody, w ciemności nie wyglądało tu najgorzej.

- Na górze jest jeden pokój nadający się do zamieszkania i na dole jeden — powiedział Dan Pedersen do żony — który chcesz?

- Ten na górze, z oknami — powiedziała Siglinde.

- A tak w ogóle jak ci się podoba?

Mimo wszystko czuł się jednak niepewnie.

- Świetnie będzie - powiedziała Siglinde.

Byle tylko nie za długo trwało, pomyślała.

Na dworze Santiago Alemany zapalił naftową latarnię i wziął się z Willim Mohrem do wyładowywania.

- Najpierw wyładujcie z kamionetki - powiedział Dan Pedersen - i zostawcie graty, niech leżą, to pojedziemy i przywieziemy od razu tamte rzeczy.

Właściciel domu, który prowadził w rynku Café Central, był starym znajomym Dana. Obiecał na okres przejściowy pożyczyć im łóżko i materac. Łóżko było zbyt duże, by mogło się zmieścić na żaluzji małej platformy samochodu do rozwożenia ryb.

W dziesięć minut później bagaż leżał przed drzwiami zwalony na kupę.

- Który z was mocniejszy, niech jedzie i pomoże - powiedział Dan - łóżko jest wielkie jak kościół farny.

Willi Mohr wdrapał się do samochodu. Był przyzwyczajony do ciężkiej pracy fizycznej.

- Dobra - powiedział Dan - a wy możecie tymczasem rzeczy pownosić.

Był zadowolony z takiego podziału pracy, bo Santiaga znał dłużej i mógł na nim polegać.

Dan Pedersen uruchomił samochód i odjechał. Santiago i Siglinde stali przed domem. Było ciemno, cicho, słyszeli szum silnika, póki samochód nie stanął na rynku.

Santiago zaczął wnosić rzeczy. Naftowa latarnia ustawiona w pokoju na dole rozsiewała niepewne migotliwe światło. Rudy kot podejrzliwie obwąchiwał ściany.

Wniesienie wszystkiego do domu zajęło Santiagowi jakieś pół godziny. Robił to powoli i starannie, umieszczając każdą rzecz tam, gdzie Siglinde uznała, że stać powinna.

Ostatnią rzeczą, jaką wniósł, była należąca do Dana maszyna do pisania. Ostrożnie postawił ją na podłodze w pokoju na piętunku.

Potem wyprostował się i zapalił papierosa. Siglinde otworzyła okno i wyjrzała przez nie. Naftowa lampa z dołu rzucała ruchome niepewne refleksy na schody. Przez otwarte okno wpadał ciepły powiew od rozgrzanych słońcem gór.

Po wypaleniu papierosa Santiago zamierzał rzucić oga- rek na podłogę i zdeptać, ale rozmyślił się i zrobiwszy dwa kroki do przodu, wypstryknął go za okno. Deszcz iskier spadł na kamienie podwórza. .

Stał teraz tuż za Siglinde. Była bosa i wciąż miała na sobie tę niebieską sukienkę na ramiączkach. Stała zupełnie nieruchomo.

Nic nie mówili. Santiago otworzył usta i zwilżył wargi językiem.

Na zewnątrz panowała cisza. Zbliżył się jeszcze krok i położył ręce na jej nagich, pokrytych puszką ramionach.

Siglinde nie poruszyła się. Stał tuż przy niej. Miał na sobie tylko czystą koszulę i bawełniane spodnie, czuła jego bliskość, jego oddech i może przyspieszone bicie jego serca. A jednak pozwoliła, by jego ręce tak spoczywały, tylko chwilę, może

żeby poczuć, jak to jest.

Santiago szybkim konsekwentnym ruchem zsunął ramiączka sukienki i biustonosza, przycisnął wargi do jej szyi poniżej ucha i obiema rękami objął jej nagie piersi.

Nie uczynił tego brutalnie, raczej niepewnie i po omacku, jakby się bał jej dotknąć.

Jej piersi były miękkie, sprężyste, okrągłe, trzymał je, wrażliwym wnętrzem dłoni wyczuwając guzowatą sztywność sutek.

Zmienił uchwyt, ważył jej piersi w rękach, czubkami wskazujących palców dotykając brodawek. Ostrożnie ugryzł ją w miękkie zagłębienie pomiędzy ramieniem a szyją.

Poprzez cienki materiał sukienki Siglinde czuła tuż pod krzyżem jego członek zeszywniały, sterczący w górę.

Zdążyła poznać, jak to jest.

Uwolniła się, odwróciła i dość mocno uderzyła go w twarz wierzchem dłoni.

On zrobił krok do tyłu, w ciemność.

Ona szybko podciągnęła ramiączka, zdążył jednak zobaczyć duże ciemne brodawki, na tle opalanej skóry wydawały się prawie czarne.

- Nie próbuj tego nigdy więcej - powiedziała pogardliwie.

Właściwie nie czuła oburzenia. Ale tyle razy w swoim życiu znajdowała się w podobnej sytuacji, że dokładnie wiedziała, jaki ton należy przybrać.

Wymijając Santiaga Alemany poszła ku schodom. Nie spojrzała na niego, zresztą nie mogłaby rozróżnić jego rysów w słabym świetle.

Krzątała się na parterze, trwało to długą chwilę, wreszcie Santiago zszedł na dół. Z opanowaną, zamkniętą twarzą, ze wzrokiem utkwionym w jakiś punkt za plecami Siglinde.

Spojrzała na niego i nieznacznie wzruszyła ramionami.

Nie tak dawno wypróbowała trochę samą siebie, może nawet trochę przeholowała. Nie ze względu na siebie wprawdzie, gdyż mimo fizycznego kontaktu przeważnie nic nie czuła. Lubiła sypiać z mężczyznami, ale tylko z jednym na raz i najchętniej z jednym i tym samym przez tak długi okres, jak tylko to było

możliwe. Poza tym była starannie zaspokajana i na ogół uważała się za szczęśliwą.

Właściwie miała ochotę powiedzieć „no, nie bądźże taki nadęty”, ale na to była za mądra, więc powiedziała swobodnie:

- Bądź tak uprzejmy, daj mi papierosa.

Oczy Santiaga rozszerzyły się ze zdziwienia, maska spadła na krótką chwilę.

Ach, ty biedaku, pomyślała Siglinde, szkoda u licha, że nie możesz sobie znaleźć kogoś, kto by chciał. Boże drogi, trzeba by stworzyć specjalną ekipę ratunkową znajdujących się na rzeczy kobiet, które by tu przysłano jako instruktorki, żeby wymieść obłudę, głupotę i kompleksy, nim tłuszczy, czarni, onanizujący się księża i zakonnice zdążą zniszczyć i to pokolenie.

Gdy ponownie spojrzała na Santiaga, jego twarz znów była zmieniona. Ze spokojnym, skupionym spojrzeniem, zwilżając wargi, starannie sortował rzeczy leżące na podłodze.

W chwilę później usłyszeli zbliżającą się ciężarówkę.

Dan Pedersen i Willi Mohr musieli rozebrać łóżko na części, żeby je załadować. Teraz musieli te części ponosić na górę i ponownie łóżko zmontować. Gdy się z tym uporali, przyszła Siglinde, spojrzała i wybuchnęła śmiechem. Było to ogromne, wsparte na czterech filarkach łożo z ciemnego dębu, z wyrzeźbionymi wzdłuż boków ornamentami. Z łatwością mogłoby pomieścić wszczególnie cztery osoby, cud, że nie zostało przed dziesiątkami lat zużyte na opał w tym ubogim w drzewo kraju. Prawdopodobnie nikt nie miał tyle energii, żeby je porąbać. Siglinde położyła się na próbę i stwierdziła, że łóżko skrzypi, godnie i wymagająco.

Willi Mohr musiał się zadowolić wacianym materacem. Ułożył go na podłodze w pokoju na parterze i starannie zasłał.

Potem pojechali do Café Central i wypili butelkę białego wina. Lokal był duży, ubogi i prawie pusty. Przy drzwiach kilku gwardzistów grało w karty, a w głębi stał chwiejny stół do ping-ponga.

Dan Pedersen i Santiago pograli chwilę. Dan był lepszy i wygrał w trzech setach, przez cały czas mając przytłaczającą

przewagę. Gdy zamieniali miejsce przed ostatnią rundą, spytał:

- Co z Ramonem?

- Nie jest dobrze, myślę, że to wstrząs mózgu. Ale wstał i wypłynął łodzią.

- Ze wstrząsem mózgu? Nie powinien był tego robić.

- On jest mocny.

- Ale są granice.

W pół godziny później rozstali się na skrzyżowaniu dróg. Santiago wszystkim kolejno podał rękę.

- Patrole cię będą zatrzymywać - powiedział Dan.

- Tyle razy mnie zatrzymywali, myślę, że się im sprzykrzyło.

Całą drogę do puerto przejechali bez zatrzymywania.

Tamci stali przed domem przy Barrio Son Jofre. Okrągłe kamienie pod ich stopami były przyjaźnie ciepłe. Nad górami sklepiało się wygwieżdżone niebo.

- A propos tego tam kaprała - powiedziała Siglinde - dlaczego Santiago nie pracuje jak inni?

- Bo nie wystarczy złowić mnóstwo ryb - odrzekł Dan Pedersen - trzeba je jeszcze sprzedać i dostać przyzwoitą zapłatę. Gdyby było więcej takich jak Santiago, ten kraj nie wyglądałby tak, jak wygląda.

- Czy wy dwaj jesteście przyjaciółmi? — spytał Willi Mohr.

- Znamy się od dawna. Tak, jesteśmy przyjaciółmi. Tu przyjaźń jest czymś specjalnym, należy do świętych zasad, jest czymś ważnym i znaczącym. Z czasem przekonasz się o tym.

- Prawdziwa przyjaźń nie jest czymś, co się znajduje na ulicy - dodał. - Jest równie rzadka, jak prawdziwa miłość.

Pchnął skrzypiące drzwi i weszli do swego nowego domu.

Rozbierając się Willi Mohr słyszał, jak Dan i Siglinde chodzą i rozmawiają na górze. Po chwili łóżko skrzypnęło i chwiejne światelko lampy stojącej na schodach zgasło.

Zdmuchnął swoją świecę i myślał o słowach miłość i przyjaźń. I jak zwykle myśli ześliznęły się na określony tor.

Willi Mohr myślał o Barbarze Heinemann.

- Dobranoc, Willi, śpij dobrze - zawołali z góry Dan i Si-

glinde.

Uśmiechnął się w ciemności i spróbował pomyśleć: Może jednak...

Jutro będzie malować.

8

Dan Pedersen, po zewnętrznych objawach sądząc, był człowiekiem bez zahamowań tak fizycznych, jak psychicznych. Miał łatwość znajdywania przyjaciół, łatwo przychodziła mu praca, łatwo miłość. Był zwrócony na zewnątrz, otwarty na wszelkie impulsy i wrażenia, miał ruchliwy umysł i pobudliwy temperament i często padał ofiarą chwilowych słabości i depresji. Podobnie jak jego żona był produktem wygodnej egzystencji i tolerancyjnego wychowania. Przyjechał do Hiszpanii, bo tu było tanio i chciał skończyć kiepską powieść w odcinkach, którą pisał pod pseudonimem i za którą należność pobrał z góry. Potem wziął nową zaliczkę i zwlekał z pisaniem, póki nie stało się absolutnie konieczne. W swoim zawodzie był, jak to się mawia, zręcznym fachowcem, potrafił pisać tak, że to, co napisał, wydawało się dobre, choć w gruncie rzeczy wcale takie nie było. Na ogół wiedział, jak takie rzeczy powinny być zrobione, ale rzadko sam tak właśnie je robił. W Hiszpanii czuł się bardzo dobrze, ale w Norwegii też się dobrze czuł, nawet podczas wojny. Chętnie pił, ale rzadko przekraczał miarę. Często czuł się bardzo niepewnie, ale trudno to było po nim poznać.

Siglinde w dużej mierze była do niego podobna, a pod pewnymi względami go przewyższała. Była bardziej przewidująca i praktyczna, ale także bardziej świadoma zagrożeń, jakie stwarza istnienie. Przez całe życie nosiła w sobie skryty strach przed wszystkim, strach, którego przyczyny i charakter często się zmieniały i który usiłowała stłumić, bo wydawał się jej nedorzeczny. Jej bezpośrednia atrakcyjność robiła wrażenie autentycznej i sprawiała, że otaczający ją ludzie zaczęli myśleć o seksie. Na ogół była zupełnie normalną dziewczyną o normalnej konstytucji fizycznej. Tu, w tym

koszmarnym świecie tłumionych uczuć, grała jednakże rolę wyjątkową, sama to zauważyła, ale mało ją to obchodziło, właśnie dlatego, że wydawało się tak absurdalne. W puerto często mieli kłopoty z zaglądanymi w okna, gdyż dla zagląających w okna ona była wcieleniem marzeń. Właściwie była wstydliva, o pewnych rzeczach na przykład nie mogła mówić nie okrywając się potem.

Willi Mohr był złym malarzem mimo technicznej zręczności. Brak mu było iskry bożej, artyzmu i próbował zastąpić te braki pilnością i uporem, ani przez chwilę jednak nie wierząc, nawet nie chcąc, żeby się to udało. W ogóle nie był w stanie w cokolwiek się zaangażować, jak mu się zdawało, nawet we własne problemy, które uważał za nie mające znaczenia. Tkwił w zamkniętym systemie krążenia i z pewnością nie mógłby sobie przypomnieć sytuacji, w której byłby naprawdę uradowany albo naprawdę zasmucony. Tkwił w potrzasku fizycznego i intelektualnego perfekcjonizmu. Gdyby potrafił spodziewać się, spodziewałby się cudu.

Tych troje ludzi mieszkało w domu przy Barrio Son Jofre przez cztery miesiące i sześć dni, od dziewiątego sierpnia do piętnastego grudnia.

W okresie gdy tam mieszkali, wydarzyło się to i owo. Lato skończyło się ostatnim wybuchem upału, rozżarzonymi do białości dniami i parnymi, wilgotnymi nocami. Potem nastąpiła krótka jesień z ulewnymi ciepłymi deszczami i podziemne górskie strumienie wzbierały z szumem. Wyszły studnie wypełniły się, a roślinność, która nigdy nie poddała się całkowicie, rozkwitła w oczekiwaniu słońca, mającego wkrótce powrócić i wypalić wszystko. Po deszczach nastąpiła zima, będąca najbardziej interesującą i najprzyjemniejszą porą roku. Za początek zimy można było uznać listopad. Piękne, przezrocyste jak szkło słoneczne dni bywały wypierane przez nagle wichry i apokaliptyczne burze. Nigdy nie było wiadomo, jaki będzie następny dzień.

Mieszkańcy domu przy Barrio Son Jofre poznali swe przyzwyczajenia i sposób postępowania i dopasowali się wzajemnie. Szybko ustanowili trwały porządek dnia, który

sam się ułożył. Nie trzeba było nad nim dyskutować. Dan Pedersen zabrał się wreszcie do pogoni za zaliczkami. Siedział na przedostatnim stopniu kamiennych schodów, wiodących na pięterko, i pisał. Maszyna stała przed nim na stołku, a światło z otwartych drzwi padało na papier. Dobrze się czuł w tym miejscu, mimo że kot uparcie wylegiwał się na rękopisie, mimo że musiał się odsuwać za każdym razem, kiedy Siglinde schodziła po schodach. Zwykle przeciągał wtedy ręką po jej gołych nogach.

Willi Mohr pożyczwszy potrzebne narzędzia zbił sztalugi. Malował siedząc przy drzwiach w odległości dwóch metrów od schodów. Namalowanie obrazu zajmowało mu mniej więcej tydzień, potem wyjmował pluskiewki z wiórowej płyty, przypinał płótno do ściany i nigdy na nie nie spoglądał.

Dan Pedersen patrzył niekiedy na obrazy i mówił krytycznie:

- Musisz się rozluźnić, Willi, spróbuj. To jest technicznie zręczne, ale nie ma żadnej treści. Ani żadnego uczucia, przede wszystkim jednak żadnej treści.

Pukał fajką w swój rękopis.

- To jest przynajmniej fałszywe i odstrasające - mówił

- a poza tym ja wiem, dlaczego to robię.

Wzdychał i pisał nowe zdanie.

Willi Mohr uśmiechał się sardonicznie i dalej dłubał pędzlem.

Czasami Siglinde wyciągała swój rysownik, siadała na zewnętrznych schodkach i szkicowała kota. Robiła to szybko i zręcznie, ze śmiałymi uproszczeniami. Kiedy Dan jej mówił, że to dobre, nie wierzyła, choć rzeczywiście miał rację. Była zdolna, lecz nie potrafiła dostrzec żadnego sensu w tym, że rysuje kota.

- Rzeczy, które są zupełnie pozbawione sensu, nie mogą być chyba dobre — mówiła.

Poza tym zajmowała się gospodarstwem, odrabiając w ten sposób najcięższe dniówki. Musiała gotować na otwartym palenisku i robiła to z prawdziwym talentem. Prawdopodobnie jej zasługą było, że dom przy Barrio Son Jofre

rozkwitł w środku swego groteskowego rozpadu.

Poprzedni lokatorzy, grupa przymusowo przesiedlonych asturyjskich robotników drogowych z funduszu bezrobocia, nie czuli się równie szczęśliwi. Napisy na ścianach świadczyły o ich rozpacz i nienawiści.

Siglinde robiła zakupy.

Willi Mohr nosił wodę.

Dan Pedersen starał się o drzewo na opał. Nikt tego świadomie nie organizował. Tak się samo ułożyło.

Honorarium Dana Pedersena nie nadchodziło i mogło to jeszcze jakiś czas potrwać. Willi Mohr płacił. W portfelu na dnie plecaka miał sporo pieniędzy. Na portfelu leżał dziewięciomilimetrowy pistolet, Walther, wojskowego typu, starannie owinięty w ręcznik.

Ponieważ nie mieli oświetlenia, prócz świec i starej latami naftowej, dzień ich pracy ograniczał się do światła dziennego. Gdy zmierzchało, szli do baru przy rynku, by coś wypić. Czasami grali w ping-ponga, ale Dan zawsze wygrywał. Willi Mohr zwykle dostawał cięgi nawet od Siglinde i to go trochę drażniło.

Przy jakiejś okazji, tuż przed zaśnięciem, uznał, że jest to oznaką zdrowia.

Mieszkańcy domu przy Barrio Son Jofre mieli rozkład dnia, ale nie pozwalali mu się zniewolić. Kilka razy w tygodniu uruchamiali starą ciężarówkę i jechali do puerto. Jeśli było ciepło, kąpali się skacząc ze skał albo z falochronu koło molo, pływali w zielonej słonej wodzie. Czasami zostawali do późna w nocy i wstępowali do baru Jacinta albo gdzie indziej. Przy takich okazjach zawsze był z nimi Santiago albo Ramón, najczęściej obaj.

Często także zdarzało się, że któryś z braci Alemany przyjeżdżał do miasta. Przywozili ryby, które Siglinde przyrządzała w kuchni na otwartym ogniu, i razem je zjadali.

Trzy razy Willi Mohr wyjeżdżał z tamtymi na połów. Santiago i Ramón mieli motorówkę, której zwykle używano na nocne połowy kalmarów. Łódź była duża, solidnie zbudowana i nadawała się znakomicie na rozrywkowe wyprawy.

We wszystkich trzech wypadkach wypływali dość daleko, do małego archipelagu skalistych wysepek, i łowili na haczyki tuż pod wysokimi stromymi ścianami skał. Archipelag był nagi i nie zamieszkały, ale bogaty w ustronne zatoczki.

Kąpali się tam także i pewnego razu Ramón Alemany spojrzął na Dana Pedersena i śmiejąc się powiedział:

- Masz bardzo ładną żonę.

Siglinde stała w odległości dwóch kroków w ociekającym wodą niebieskim kostiumie kąpielowym.

Dan Pederson żartobliwie klepnął ją w tyłek i powiedział:

- Siglinde? Ee, ma stanowczo za duże siedzenie.

Santiago siedział w łodzi i przyglądał się im. On się nie śmiał.

Willi Mohr zauważył tę scenę i zachował ją w pamięci.

Złowił tego dnia dużo małych czerwonych rybek i jedną dużą, płaską, niebieską, ale zbytnio go to nie cieszyło.

Następnym razem nie pojedę z nimi, pomyślał.

9

W końcu października do puerto przybył wysoko postawiony funkcjonariusz faszystowski. Był członkiem rządu i wojskowym, został tu zwabiony przez żonę, która znajdowała przyjemność w odwiedzaniu idyllicznych i dziewiczych części kraju. Zabawili trzy dni, mieszkając u niezmiernie bogatego dyrektora stołecznego banku; dyrektor już dawno temu kazał tu sobie w pobliżu latami morskiej wybudować ogromną letnią rezydencję ze sztabem na stałe zatrudnionej służby - i praktycznie biorąc nigdy w niej nie bywał. Parze towarzyszyła dwudziestoczteroletnia córka i jej narzeczony, syn wysokiej rangi urzędnika ambasady portugalskiej. Przyjechali ze stolicy prowincji wielkim kremowym amerykańskim samochodem. Na przyczepie przywieźli małą wyścigową motorówkę, mahoniową, wyposażoną w olśniewająco nowy silnik, umocowany na zewnątrz, zagraniczny, takiego typu, jaki nie zdarzał się w oficjalnej sprzedaży.

Córka studiowała ekonomię na uniwersytecie madryckim i

należała do niewielkiej grupy emancypowanych kobiet hiszpańskich. Chodziła w białych spodniach, czerwonym sweterku i francuskich pantoflach na korkowych koturnach, które sprawiały, że robiła wrażenie choć odrobinę bardziej długonogiej.

Ona i Portugalczyk polecili służbie spuścić motorówkę na wodę, włączyli silnik i okrążyli molo. Za górami dął wiatr, ale w zatoce woda była zielona i spokojna. Znalazłszy się w odległości kilkuset metrów od latarni, zmniejszyli ilość obrotów silnika i przysunęli się do siebie w głębi łodzi. Ona rozpięła stanik i rozsunęła zamek błyskawiczny spodni, po czym oddali się czynności, która napełniłaby członka rządu zdumieniem i rozpaczą, gdyby był wyposażony w lunetę.

W trzy minuty później zgubili silnik, który był źle przymocowany i obluzował się na skutek wibracji. Woda prysnęła, gdy wpadł, od razu poszedł na dno i legł na głębokości trzynastu metrów, zaklinowany między dwa wielkie głazy. Kilka wystraszonych małych sepii rozplynęło się w różne strony.

Dziewczyna natychmiast straciła ochotę, odsunęła rękę młodego człowieka i zaciągnęła zamek błyskawiczny. Wprawdzie i pół godziny nie potrwało, a łódź wyścigowa została przez barkas gwardii cywilnej przyholowana do molo, pozostawał jednak silnik, zupełnie niezastąpiona zabawka. Barkas znowu wypłynął.

Młody cabo w lakierowanych butach z cholewami w zamysleniu przyglądał się silnikowi przez lornetę wodną. Poleciał jednemu ze swych ludzi spuścić bosak, ale zaraz zobaczył, że to na nic. Potem wysondował głębokość i potrząsnął głową. Gdy barkas wrócił, córka członka rządu stała na mostku patrząc na cabo zimno i wymagająco.

Cabo dokładnie wiedział, ile czasu zabierze sprowadzenie ze stolicy prowincji nurka czy wodołaza, toteż jego uśmiech był niezupełnie przekonujący. W pół minuty później pomyślał o Ramonie.

Wypadło to w połowie sjeisty i bracia Alemany spali w izbie za kuchnią, gdy wszedł cabo. Potrząsnął Ramonem, obudził go

i powiedział:

- Córka generała Moscardo zgubiła silnik łodzi, przy wejściu na pełne morze. Możesz go wydostać?

- Pewnie - powiedział Ramón i zamrugał budząc się na dobre. - Zanurkuje z kamieniem.

Santiago też się zbudził i usiadł.

- Jak głęboko leży? - spytał.

- Jakieś siedem, osiem metrów i trzeba go wydostać teraz, zaraz.

- Ale nie gratis, mam nadzieję - powiedział Santiago.

- Nie, generał z pewnością zapłaci - odrzekł cabo.

- A ta awantura w barze? - spytał Santiago.

- Może będzie zapomniana - powiedział cabo patrząc w sufit — pod warunkiem, że silnik rzeczywiście zostanie wydobyty.

- Na pewno?

- Tak, na pewno.

Santiago podszedł do drzwi i zawołał:

- Francisco, chodź tutaj!

Weszła jego siostra, nieśmiała dwudziestoczteroletnia prawiczka, która już się roztyła i zdążyła stracić resztkę świeżości. Patrząc na nią, Santiago za każdym razem odczuwał obrzydzenie. Był pewien, że nie uda się jej wydać za mąż.

- Chcę, żebyś słyszała, co mówi cabo - powiedział. - Mówi, że Ramón, jeżeli zanurkuje po silnik, nie zostanie oskarżony za awanturę w barze, bo okazało się, że jest niewinny. Czy nie tak pan powiedział?

- Tak chyba powiedziałem - kwaśno potwierdził cabo.

Z irytacją zwrócił się do Ramona:

- Pospiesz się, to jest pilne.

Ramón dalej leżał na łóżku i spoglądał na brata.

- Mam wstać? - spytał.

- Tak, chodź, idziemy.

- Ty nie musisz z nim iść — powiedział cabo.

- Niech mi kto spróbuje przeszkodzić.

Dziewczyna z Madrytu i Portugalczyk też byli w barkasie. Uznali, że zaczyna to być interesujące i koniec końców może

zgubienie silnika było wcale niegłupim pomysłem.

- Zobacz, jaki mały, krępy i muskularny i jaki owłosiony

— powiedziała córka członka rządu, gdy Ramón ściągnął ubranie.

Santiago słyszał to, ale nie zareagował, był zajęty badaniem dna morskiego przez lunetę.

- Osiem metrów - powiedział i prychnął. - Dajmy temu spokój, Ramón.

- Trzyście metrów, sondowali - powiedziała dziewczyna z Madrytu.

Santiago spojrział na cabo z pogardą.

- Odwieźcie nas z powrotem - powiedział do cabo.

- Mogę spróbować - rzekł Ramón, znużonymi oczyma zaglądając w głąb wody.

- Pomyśl o barze Jacinta - powiedział cabo i zabębnił w reling obciążniętymi rękawiczką palcami.

- Jakoś to będzie - powiedział Ramón.

Santiago znowu spojrział przez lunetę.

- Tak ci się zdaje? - powiedział.

- Tak, jakoś będzie.

Santiago przysunął się do brata i pochyliwszy się szepnął mu w ucho:

- Spróbuj, ale nie ryzykuj. Jak poczujesz, że się nie da, natychmiast upuść kamień i wypłyn, słyszysz, co mówię: natychmiast...

Ramón kiwnął głową. Podniósł z pomostu wielki kamień i trzymając go oburącz przelazł przez reling.

- To jest fascynujące - szepnęła dziewczyna z Madrytu.

A głośno powiedziała:

- Miejmy nadzieję, że on go rzeczywiście podniesie, to mój silnik i jest bardzo drogi.

- To jest mój brat - powiedział Santiago, patrząc na nią nienawistnie.

- Pozwólcie mi popatrzeć - powiedziała dziewczyna gwałtownie i uklękła na pomoście. - Daj mi ten aparat.

Santiago dał jej lunetę. Morze było spokojne i w czystej wodzie w dalszym ciągu mógł dojrzeć Ramona i bez pomocy

lunety. Biały kształt powoli stawał się coraz mniejszy. Czas jakby stanął, sekundy wydłużyły się, stały się uporczywe i jasne.

- Wydaje mi się, że już go ma, nie, nie, nie wiem - mówiła dziewczyna z podnieceniem.

Ten przekłety idiota - myślał Santiago - on by się zanurzył z tym kamieniem i na czterdzieści metrów, gdyby było tak głęboko. A jeżeli silnik mocno gdzieś utkwiał, zostanie tam, póki nie utonie.

Był mokry od potu.

- To się nie może udać - powiedział Portugalczyk.

- O, o, wraca, wspaniale - powiedziała dziewczyna.

Santiago dojrzał brata przez wodę. Niewyraźny biały kształt zwiększał się powoli, nieznośnie wolno.

On nie wytrzyma - myślał Santiago. - A jak mu się coś stanie, całą tę bandę wrzucę do morza.

Wypuść to, wypuść na litość boską - szeptał. - Rzuć tę przekłątą luksusową zabawkę, niech przepadnie.

- Wypłyn, wypłyn, no już, chłopcze — mówiła dziewczyna z Madrytu.

Czarna głowa Ramona wyjrzała z wody, w tej samej sekundzie Santiago chwycił go pod ramiona.

Gwardzista złapał za silnik, a cabo także wniósł swój wkład mocząc mundur aż po ramiona.

- Dobrze, dobrze — krzyknęła dziewczyna klaszcząc w ręce.

Ramón desperacko machał rękami i charczał gwałtownie. Portugalczyk pomógł wyciągnąć go przez reling i ułożyć na pokładzie. Santiago ukląkł przy bracie i pozostał tak, póki nie okrążyli latami.

- Fascynujące - szepnęła dziewczyna do narzeczonego. - Popatrz tylko, jak zwierzę, jeden tylko cel przed oczyma...

Kiedy dobili do brzegu, Ramón mógł utrzymać się na nogach. Wciąż miał zsiniałą twarz i oddychał ciężko i chrapliwie. Santiago pomógł mu wejść na nabrzeże.

Zabawa się skończyła. Żar w oczach dziewczyny przygasł.

- Masz j akieś drobne pieniądze? - spytała narzeczonego.

Portugalczyk pogrzebał w kieszeni spodni i wyjął całą garść monet i drobnych banknotów. Niemal zawstydzony podał je i

Santiago wziął z wahaniem.

- No, więc do widzenia - powiedziała córka generała.

Stała przez moment przed Ramonem, oglądając go od stóp do głów i uśmiechając się wieloznacznie.

- Chodź, jedziemy - powiedział Santiago.

Otoczył brata ramieniem i poszli do furgonetki rozwożącej ryby.

- Jak się czujesz?

- Znowu mnie w głowie coś boli. Ile dostaliśmy?

- Nie wiem, chyba ze dwie stowy.

- Nieźle, więcej, niż zarabiamy na tych twoich tajemniczych interesach.

- Ciiii... i nie robimy tego tylko dla pieniędzy.

- No pewnie. A widziałeś, jaka dziewczyna? Ty, a jakby taką zerznąć! Wyobraź sobie, tylko te spodnie z niej zerwać... Ładniejsza niż ta Norweżka!

- Braciszku, co ty wygadujesz - powiedział Santiago i poważnie rozejrzał się dokoła.

10

Na początku grudnia nastąpiła zmiana pogody. Temperatura nagle wzrosła, wicher ucichł. Było tak ciepło jak w środku lata i większość z osiadłych w puerto na stałe cudzoziemców zaczęła się znowu kąpać. Łodzie rybackie, od kilku dni zalegające w porcie z powodu złej pogody, wypłynęły w morze i miały dobre połowy. W górskim mieście upał ciężko i nieruchomo zwiślał między kamiennymi ścianami. We dnie trudno było pracować, a gorące noce nie sprzyjały zaśnięciu.

Ta piękna pogoda trwała dwa tygodnie.

Rozdział trzeci

1

Po zachodzie słońca upał wzmógł się jeszcze. Jakby się zmaterializował i w postaci czegoś suchego, czarnego, kurzącego zamknął się wokół domów i ludzi.

Mieszkańcy domu przy Barrio Son Jofre po jedzeniu siedzieli na schodkach, palili i milcząc patrzyli w ciemność.

Nie pracowali, niemal cały dzień spędzili w puerto, wylegując się w cieniu skał, o dwa kroki tylko od wody. Po powrocie byli wypoczęci i orzeźwieni, czuli kielkującą ochotę do działania. Teraz wszystko to już przeminęło, wiedzieli tylko, że długo potrwa, nim noc przyniesie pewną ulgę.

Siglinde poruszyła się niecierpliwie i zgmiotła niedopałek w palcach.

- Nie zniosę i dziś wieczorem tego cichego ciemnego upału - powiedziała. - Jedźmy znowu do puerto, tam jest chociaż trochę przewiewu. Łatwiej oddychać, kiedy się jest bliżej wody.

- I tu zrobi się przyjemniej za kilka godzin- odrzekł Dan Pedersen.

- Właśnie przez te kilka godzin chcę być gdzie indziej. Jeżeli nie chcecie, pojedę sama.

- Nie odważysz się.

- Dlaczego nie miałabym się odważyć?

Wydawała się szczerze zdziwiona.

- Przecież nawet uruchomić samochodu nie potrafisz.

- Uważaj, żebym ci nie pokazała, co potrafię!

Pojechali wszyscy troje. Siedzieli jak zwykle, Dan i Siglinde z przodu a Willi Mohr na tylnej ławce.

W połowie drogi do puerto Dan Pedersen zabił owcę. Całe stado stało nieruchomo na drodze za ostrym zakrętem, a ponieważ kamionetka jechała z wyłączonym silnikiem, dla obu stron spotkanie było równie zaskakujące. Dan zahamował gwałtownie, ale to nie pomogło. Najbliższe ze zwierząt,

przewrócone przez zderzak, dostało się pod prawe koło. Przed kilku zaledwie dniami autobus pocztowy w ten sam sposób zabił piętnaście owiec jednocześnie. Pasterzem był niedorozwinięty umysłowo staruszek, który większość dzwonek posprzedawał i nie potrafił utrzymać stada na poboczu drogi. Nie był to więc jakiś wyjątkowy wypadek, jednak owca, mleczna matka, była niewątpliwie martwa, leżała w żwirze na grzbiecie z żałośnie rozrzuconymi nogami. Pasterz podszedł do samochodu, coś bełkocąc w podnieceniu i gestykulując sękatym kosturem. Stróżujący w stadzie pies podkradł się i usiłował ugryźć Dana w nogę. Dan zaklął i odepchnął go kopniakiem.

- Dobrze, dobrze - powiedział zirytowany, jutro rano zapłacimy. - Pójdziemy do właściciela i zapłacimy. Ale wtedy, niech to diabli, zabierzemy mięso dla siebie.

Pasterz dalej coś plótł w swym prawie niezrozumiałym dialekcie.

Dwaj gwardziści wynurzyli się z ciemności i zaświecili latarkami. Zobaczywszy ich, pasterz urwał nagle i jak gdyby zapadł się w swe łachmany. Stał z opuszczoną głową, jakby oczekiwał uderzenia. Dygotał całym ciałem, ale może po prostu ze starości.

- Przepraszamy - powiedział jeden z gwardzistów - owce nie powinny znajdować się na drodze i powinny mieć porządne dzwoneki.

Drugi gwardzista podszedł do pasterza, uniósł mu głowę szturchnięciem palca pod brodę i gardłową katalońską wymową wywrzeszczał kilka zdań. Potem wymierzył starcowi policzek, mocno i z trzaskiem. Pasterz zaczął płakać.

Dan Pedersen i Willi Mohr wdrapali się z powrotem na kamionetkę.

Gwardziści zasalutowali.

Ciężarówka potoczyła się dalej.

W pięć minut później otwarła się przed nimi zatoka i zobaczyli pierwsze światła puerto. Na morzu widać było benzynowe latarnie łodzi łowiących kalmary, na ciemnym tle wody białe punkciki światła wyglądały jak naszyjnik wy-

rzezany z białych jak perły światełek.

Dan Pedersen pozwolił kamionetce toczyć się, póki sama nie stanęła pośrodku nabrzeża.

Usiedli przed jednym z portowych barów i zamówili wermut i wodę z lodem. Tu było odrobinę chłodniej. Ponadto pachniało morzem.

Przesiedzieli zaledwie pięć minut, gdy nadeszli Santiago i Ramón, włóczący się wzdłuż wybrzeża. Podali im ręce, przysunęli do stołu dwa wyplatane krzesła i usiedli.

Dan Pedersen poszedł do baru po pudełko z szachami, ustawił szachownicę między sobą i Santiagiem i zaczął ustawiać figury.

Willi Mohr wolno sącząc wermut obserwował pozostałych.

Ramón robił wrażenie osowiałego i przygnębionego, choć uśmiechał się pospiesznie, gdy tylko poczuł, że ktoś mu się przygląda. Kilka razy dotykał czoła i tyłu głowy, jak gdyby usiłował rozluźnić niewidzialną pętlę. Od czasu do czasu spoglądał pożądliwie na nagie stopy i gołe smukłe nogi Siglinde.

Siglinde kręciła się, jakby jej było niewygodnie, i często zmieniała pozycję. Czasem błędziła spojrzeniem od jednego do drugiego. To znów patrzyła na Dana, przesuając wzrokiem po jego ciele, najczęściej zatrzymując się na twarzy i rękach. Robiła wrażenie zdenerwowanej. Może to wpływ upału, pomyślał Willi Mohr, który nie miał dużego doświadczenia z kobietami.

Partia szachów z początku była dość wyrównana. W połowie gry Dan Pedersen przeprowadził pomysłowy manewr i wziął pionka i laufra. W chwilę później coś przegapił i stracił pionka. Potem znowu się skupił, zimno i systematycznie wykorzystując swą niewielką przewagę.

Willi Mohr pomału przeszedł na obserwowanie wyłącznie jego przeciwnika.

Santiago widział, że zaczyna przegrywać, że jego położenie wolno i nieubłagane się pogarsza, ale nie poddawał się. Spojrzenie jego stawało się coraz bystrzejsze i coraz bardziej niezadowolone. Już nie popełniał pomyłek, ale było za późno. Z

każdym posunięciem bliższy był zupełnego osaczenia, co jest jednym z logicznych zakończeń tej szarpiającej nerwy gry pozycyjnej.

Dopiero gdy Dan Pedersen zrobił ruch swym jedynym laufrem i wziął królową, Santiago poddał się.

Willi Mohr doznał wrażenia, że byłby gotów na wszystko, byle zapobiec tej klęsce.

- Wygrałeś? - spytał Ramón.

Santiago potrząsnął głową i brat spochmurniał. Gdy jednak zauważył, że Willi Mohr na niego patrzy, znowu się roześmiał.

- Dobrze dziś grałeś - wielkodusznie powiedział Dan Pedersen. - Wprawdzie jedno pociągnięcie przegapiłem, ale ty dobrze grałeś. Choć za późno wzięłeś się w garść.

Podali sobie ręce, Santiago uśmiechał się, choć bez przekonania.

Dan Pedersen zebrał figury i wszedł do wnętrza, żeby oddać szachy.

Siglinde z irytacją skrzyżowała nogi i przeprowadziła go spojrzeniem.

W puerto było cicho, wszyscy czekali na orzeźwiająca chłodną bryzę. Bardzo nieliczni goście siedzieli przed kafejkami w porcie. Dochodziła pierwsza, właściele tych barów, w których nie było już nikogo, zaczęli zamykać.

- Wiem, co należałoby teraz zrobić - powiedział Dan Pedersen. - Należałoby wykąpać się jeszcze raz, potem iść spać.

- Jeżeli, to tam dalej przy latarni - powiedział Santiago.

- A czy tam nie kręci się mnóstwo gwardzistów?

- Kilku zaledwie. Patrolują na molo i wzdłuż wybrzeża. Zwykle łatwo dojrzeć, gdzie są.

- Nie mamy kostiumów kąpielowych - stwierdziła Siglinde.

Nie zabrzmiało to jak sprzeciw. Chciała raczej czysto informacyjnie wskazać, jak się sprawa przedstawia.

- To nie ma znaczenia - oświadczył Dan Pedersen. - Przecież my nie jesteśmy sobie obcy, zresztą jest ciemno.

Siglinde wzruszyła ramionami. To rzeczywiście nie miało znaczenia.

Siglinde ostatnia wyszła z wody. Leniwymi, długimi ruchami pływała szerokim łukiem, a delikatne strumienie fosforyzującego światła spływały wzdłuż jej ciała.

Ona, Dan i Willi Mohr kapali się głębiej przy latarni, tam gdzie potężne czoło z betonu i grubo ciosanych głazów półkręgiem zamykało falochron. Santiago i Ramón, którzy mieli kąpielówki, trzymali się o jakieś dziesięć metrów bliżej brzegu. Występowanie bez kostiumu kąpielowego było przyjemnością karalną i nie wartą ryzyka przyłapania na gorącym uczynku.

Panowała gęsta, czarna, nieprzenikniona ciemność, lecz co sześćdziesiąt sekund stożek słabego światła latarni przesunął się nad ich głowami. Za każdym razem wlokąc za sobą błady, niepewny poblask, wąty, zamglony, wystarczający jednak, by można było rozróżnić przedmioty znajdujące się w najbliższym otoczeniu.

Ubrania położyli na obmurowaniu.

Dan Pedersen właśnie się na to obmurowanie wydrapał.

W ciemności widać było jedynie rozżarzony czubek jego papierosa.

Willi Mohr stał na samym cyplu mola i przyglądał się odległym światłom puerto.

Siglinde jeszcze się nie pokazała, ale wąski bladozielony ślad w ciemności wskazywał, że płynie w kierunku lądu.

Wkrótce dał się słyszeć plusk wody spływającej z jej ciała.

- Bądź tak dobry, pomóż jej - powiedział Dan Pedersen

— tam na dole kamienie są takie śliskie.

Kiedy Willi Mohr usłyszał, że Siglinde szuka między głazami miejsca, gdzie mogłaby stąpnąć, zrobił krok w dół po wyrąbanych schodkach i wyciągnął rękę w ciemność.

Odnalazła tę rękę natychmiast, a uścisk jej dłoni był zimny, mokry i pewny. Podciągał ją powoli, aż złapała równowagę, i czuł wyraźnie sprężystość jej gimnastykowanego ciała, gdy znalazłszy oparcie dla stopy, wydostała się na płaski ociosany kamień.

Willi Mohr nie mógł jej dojrzeć, ale wiedział, że stoi na

schodkach tuż przy nim.

Wtedy właśnie światło latarni przecięło ciemność nad nimi i przez sekundę czy dwie widział ją w blasku przesuwającej się smugi reflektora.

Stała na rozsuniętych nogach, ze stopami zwróconymi na zewnątrz, z opuszczonymi ramionami i głową przechyloną w bok, by wytrząsnąć wodę z uszu i odrzucić z czoła krótkie kosmyki jasnych włosów. Jej ramiona, piersi, barki pokrywały okrągłe, znieruchomiałe krople, które wydawały się tak zdecydowanie i ostatecznie uformowane, że można by bez obawy stłuczenia zebrać jedną po drugiej i trzymać w dłoni jak małe przepołowione szklane perełki. Brodawki jej piersi były duże i zeszywniałe, a skóra na pięknie zarysowanych kręgarach wokół nich była ściągnięta. Poniżej woda spływała po biodrach a także dwoma jasnymi strużkami z miękkiego zagłębienia nad pępkiem po sklepieniu brzucha, by znaleźć ujście w kędzierzawej kępie włosów między pachwinami. Włosy te były czarne, bujne, zmierzwione i lśniące tysiącem drobinek wody.

Stała tak blisko, że Willi Mohr wszystko to widział dokładnie, nie zdążył tylko przypatrzeć się jej twarzy.

Nie mógł się powstrzymać od stwierdzenia, że funkcjonalna piękność jej ciała zrobiła na nim wrażenie. Po raz pierwszy od czasu, kiedy się zetknęli, wydawało mu się, że jest ładna.

I jest to stwierdzenie całkowicie obiektywne, pomyślał.

Gdy światło zniknęło, usłyszał, że tuż za nim ktoś głęboko wciągnął powietrze.

Dan Pedersen wciąż siedział na betonowym obmurowaniu, jego papieros żarzył się w ciemności.

Willi Mohr słyszał, że Siglinde poruszyła się gwałtownie i niechętnie. Potem wyminęła go szybko, idąc ku nabrzeżu.

Kiedy stożek światła przesunął się po raz drugi, miała już na sobie sukienkę i obciągała ją na mokrym ciele. Widocznie zrezygnowała z włożenia na siebie bielizny. Willemu wydawało się, że ktoś za nim stoi w odległości kilku metrów.

- Teraz patrol tu nadchodzi - powiedział z ciemności Santiago.

Jego głos brzmiał zwyczajnie, spokojnie.

- Tak - powiedziała Siglinde - ubierajcie się, wracamy.
- Wolno nam być, gdzie się nam podoba - krnąbrnie powiedział Dan Pedersen.

- Późno już - zauważyła Siglinde - proszę was, ubierzcie się.

- Coś taka cholernie gderliwa - odrzekł Dan.

Zeskoczył z nabrzeża i zaczął wciągać spodnie.

- Ja bym mógł tu tkwić całymi godzinami - powiedział do Willego, który stał najbliżej. - Dobry pomysł z tą kąpielą.

- Bardzo dobry - potwierdził Willi Mohr.

Podjechali tak blisko, jak tylko można, i kamionetka stała pod otworem w balustradzie, tuż przy nieregularnym spiętrzeniu kanciastych bloków skalnych, które tworzyły przyczółek falochronu. Gdy wdrapali się na głązy, zza ciężarówki wyszli dwaj gwardziści i oświetlili ich kieszonkowymi lampkami. Żandarmi zasalutowali Siglinde, kiwnęli głowami w kierunku Dana Pedersena i Willego Mohra. Potem odprowadzili na stronę Santiago i Ramona, kazali im podnieść ręce i rewidowali ich nedorzecznie długo i dokładnie.

Wreszcie zgasili latarki i zniknęli w ciemności.

- Czego oni szukają? - spytał Dan Pedersen.

Santiago skrzywił się i wzruszył ramionami.

- Nie wiem - powiedział.

- Ja bym tego nie zniósł - dodał Dan.

3

Dan Pedersen w drodze powrotnej z puerto jechał powoli. Myślał może o owcy i przygłupim staruszką. Silnik warczał i zgrzytał, a na obrzeżu kręgu światła reflektorów ukazywały się od czasu do czasu błyski oczu kotów, drzemiących wzdłuż drogi. Noc wciąż była gorąca, ale na otwartej ciężarówce był przyjemny przewiew. Willi Mohr jak zwykle siedział za Siglinde.

Zauważył, że w dalszym ciągu trudno jej spokojnie usiedzieć. Trzy czy cztery, może pięć razy położyła rękę na ramieniu

Dana, lecz natychmiast ją cofnęła. Raz oparła głowę o jego ramię.

Willi Mohr nie mógł nie myśleć o tym, że przed chwilą widział ją nagą.

4

Podjechali do domu przy Barrio Son Jofre, Willi Mohr wyjął ze szpary w ścianie wielki klucz i zaczął nim kręcić w zamku.

Siglinde skurczyła się nagle, zmaląła, przytuliła się do Dana, objęła go wpół, tam gdzie poniżej brzegu niedbale związanej koszuli skóra była goła. Na trzecim schodku wspięła się na palce i szepnęła mu coś do ucha.

- No, staruszek, co się z tobą dzieje? - powiedział. Zupełnie jakby teraz dopiero zauważył jej obecność.

Znowu stanęła na palcach, ugryzła go lekko w koniuszek ucha i szepnęła:

- Chcę się z tobą kochać. Przez cały dzień chciałam. Tak mi jakoś dziwnie.

Otoczył ramieniem jej nagie plecy, poczuł jej skórę rozgrzaną i wilgotną. Choć nie mógł tego dojrzeć, wiedział, że Siglinde poczerwieniała.

- Czy to nie okropne - powiedziała.

Wolno weszli na pozostałe stopnie schodów. Potem Dan odwrócił ją do siebie i przytulił. Całowali się, przez ciekawą sukienkę czuł jej ciało, miękkie, ciepłe, żywe. Puścił ją i wszedł do pokoju.

Siglinde rzuciła na podłogę kobiałkę z sandałkami, bielizną i papierosami i dalej stała pod ścianą, jakby była przedmiotem, który ktoś na chwilę zostawił, by zaraz po niego wrócić.

Dan Pedersen zapalił świecę i postawił ją na jednym ze słupków łóżka. Potem pozamykał okienka, ściągnął z łóżka na podłogę koce. Od czasu do czasu spoglądał na Siglinde, która stojąc pod ścianą wodziła za nim wzrokiem. Uśmiechała się niepewnym, zastygłym uśmiechem.

Dan opierając się o ścianę zdjął sandały, rozwiązał koszulę, powiesił na drugim słupku łóżka, ściągnął spodnie, bez pośpiechu. W końcu odpiął zegarek i położył na taborecie koło łóżka.

Wciąż stojąc pod ścianą u szczytu schodów, Siglinde bardzo wyraźnie go widziała w wibrującym miękkim świetle, mimo że znajdował się w przeciwległej części pokoju. Był dość chudy, mocno opalony, biały trójkąt, ślad slipek, odcinał się ostro od reszty ciała, jak obce pole. Lubiała na niego patrzeć, zwłaszcza na jego wąską talię, brzuch, organa płciowe. I na nogi, długie, żylaste, pokryte prawie białymi włoskami.

Gdy do niej podszedł, przygryzła koniec języka i wpatrywała się w jego ciało.

Nie poruszyła się.

Dan Pedersen delikatnie pogładził ją po policzku wierzchem palców. Potem schylił się i ująwszy oburącz za brzeg ściągnął z niej sukienkę. Pomogła mu odrywając się od ściany i podnosząc ręce do góry.

Siglinde była naga. I znowu nieruchomo opierała się o ścianę.

Położył rękę na jej biodrze, suchym, ciepłym, przyjaznym. Potem pochyliwszy się przesunął końcem języka od obojczyka pod prawą pierś i objął wargami sutek. Duży, twardy i smakujący solą po kąpieli. Po kilku sekundach wciągnął go głębiej w usta i wgryzł się leciutko i bardzo ostrożnie.

Siglinde nie ruszyła się, tylko zaczęła szybko oddychać.

Wyprostował się i patrząc na nią przesunął ręką po wypukłości jej brzucha. Potem rozsuniętymi palcami przecesał gęste włosy, zjeżone, szorstkie i nieustępliwe. Siglinde rozsunęła trochę nogi, żeby otworzyć drogę i lepiej czuć dtyk jego ręki.

Drugą ręką gładził ją po ciemieniu, tyle głowy, obejmował jej wąskie plecy.

Lubiła jego ręce.

Po raz pięćsetny może poczuł niewyraźne i nie przemyślane zdziwienie, że w stosunku do budowy jej ciała łono wydawało

się takie duże, szerokie i szczodre.

Otwartą dłonią pieścił to miejsce między nogami, z początku lekko i szybko, potem coraz wolniej, z coraz większą świadomością celu i prawa posiadacza.

Siglinde, drżąc, znowu poruszyła nogami, bardziej je rozstawiła, otwierając mu się zupełnie, żeby mógł poczuć wzbierające w niej łagodne oczekiwanie i skrytą bierną siłę.

Podniosła prawą rękę i przejechała rozcapierzonymi palcami po jego twarzy, na brodzie i gardle wzmocniła dotyk, by szybko i mocno zadrapać go poniżej piersi. Potem ręka stała się miękka i płaska na przeponie i brzuchu i znowu mocna i wymagająca, gdy wśliznęła się w jego pachwiny i tam została. Gładziła go szybko, mocno, często zmieniając uchwyt.

Rozmawiali.

- Nie za mocno?

- Wcale nie.

- Teraz mnie już bierz.

- A nie założyłaś pesarium.

- Nie szkodzi.

Dan Pedersen schylił się, prawą ręką opasał jej uda tuż nad zgięciem kolan, podniósł ją, zarzucił na ramię, lekko, szybko, koleżeńsko.

Niosąc swą żonę przemierzył pokój na ukos i ułożył ją na rozesłanych kocach.

Usiłował całować jej ciało, ale rozłożyła nogi i z dzikim pośpiechem wciągnęła go na siebie. Desperacko uniosła podbrzusze i natychmiast poczuła go w sobie, długi, twarde, wyzwalający. Dyszała gwałtownie i wiała się pod nim nieprzytomnie. Gdy to minęło, postawiła stopy na ciepłej podłodze poza obrębem koca, dźwignęła go na sobie jak na łukowatym moście i zamknawszy jego biodra w uścisku usiłowała jeszcze głębiej wcisnąć go we wnętrze swej kobiecości.

Potem nastąpił spazm i uwolnił ją od bezsilności i zamroczenia. Zaczął się gdzieś w głębi i wzdłuż pochwy rozszerzył się koncentrycznie na całe ciało. Drgawki ogarnęły jej uda, łydki, słabnąc przeszły w skurcze i dosięgły stóp.

Siglinde leżała płasko na wznak z ramionami opuszczonymi i rozrzuconymi nogami i czuła, jak sperma męża spływa w nią powoli.

Po chwili łagodnie i czule zarzuciła mu ręce na kark i czekała. Wiedziała, że to jeszcze nie koniec.

Leżeli tak ze dwadzieścia minut, może pół godziny, a świeca na słupku spokojnie paliła się żółtym światłem.

Potem Siglinde poczuła, że rośnie w niej, że zwiększa się kontakt owych miriad punktów unerwionych. Wiedziała, że teraz jej kolej.

Wolno podciągała nogi w górę, wielkimi palcami zarysowując tę drogę wzdłuż jego nóg i bioder, potem wyprostowała nogi, równie wolno, i powtarzała to.

Stała się miękka, głęboka, przyjaźnie wyczekującą kołyską; wziął ją, to trwało długo, wsunęła okrągłe pięty w jego pachwiny i leżała z wysoko podciągniętymi kolanami i ramionami zarzuconymi na jego kark. Był jej, trzymała go rękami i nogami i nie zamierzała wypuścić. Nieco później jednak rozluźniła uścisk, zarzuciła mu nogi na ramiona, tak że na pół złożona, zupełnie bezbronna i naga leżała pod nim i gdy to się stało konieczne, ugryzła go w rękę, żeby nie krzyknąć.

Potem leżała nieruchomo.

Dan Pedersen wiedział, że za jakąś godzinę mógłby ją znowu wziąć, ale wiedział także, że to byłoby zupełnie zbędne.

Myślał, że przez cały czas jego uwaga nie była zupełnie na niej skoncentrowana, i to go drażniło.

Zaniósł ją do łóżka, rozłożył prześcieradła, zgasił świecę i też się położył.

Siglinde Pedersen była szczęśliwa. Zgiętą lewą nogę ułożyła na Danie i spała z głową na jego ramieniu i z otwartym ciepłym łonem przyciśniętym do jego uda.

Tuż przed zaśnięciem pomyślała:

Niedługo pojedziemy do domu, będziemy mieszkać w prawdziwym mieszkaniu z własnymi meblami. Będziemy pracować, zarabiać pieniądze, kupimy sobie ładne ubranie, a jak będziemy mieli ochotę, przyjedziemy tu i wykąpiemy się od czasu do czasu. Niedługo pojedziemy do domu. Teraz jestem

zupełnie pewna.

Willi Mohr też zasnął. Raczej domyślił się niż zrozumiał, dlaczego z góry nikt nie woła dobranoc.

Zmusił się do zaśnięcia. To była jedna z jego cennych umiejętności. Po chwili jednak obudził się i zrobił coś, czego na ogół od dawna usiłował unikać. Samo przez się było to zupełnie naturalne, ale ponieważ robił to tak rzadko, odrobinę go to irytowało.

Gdy obudził się po raz drugi, było widno i kot spał, ułożywszy się na jego nogach, ciężki okrągły grzejniczek. Usiadł ostrożnie, żeby tamtych nie zbudzić.

Drzwi się otworzyły i Siglinde weszła z dworu. Świeżo umyta, świetlistooka, bosa, w czystej bawełnianej sukience. Wyszła z domu tak cichutko, że nic nie zauważył.

- Dzień dobry, Willi - powiedziała wesoło i weszła do kuchni.

Willi Mohr apatycznie spojrzął na swoje obrazy, ziewnął i podrapał się pod bluzą pizamy.

W pół godziny później zszedł ze schodów Dan Pedersen nie uczesany, ze zmierzwionymi włosami. Westchnął, przysunął stółek z maszyną do pisania, przeczytał ostatnią stronę swego rękopisu i powiedział z goryczą:

- Okay, spróbujmy może popracować, nim zrobi się za gorąco.

Klawisze zastukały, ale przerwał, nim zdążył napisać pół wiersza, napił się wody i zapalił papierosa.

- Po południu pojedziemy do puerto - powiedział - czuję, że dziś będę musiał trochę wypić.

Willi Mohr nie odpowiedział, zasiadł już do malowania. W chwilę później Siglinde wyszła do miasta po zakupy.

Mijając Dana na schodach, potargała go.

Szła przez zaułek szybko i zręcznie, wywijając pustą kobiątką.

6

Siglinde, nim doszła do rynku, zauważyła, że coś jest nie tak.

W dole na głównej drodze napotkała dwie ciężarówki

wyładowane piechotą morską. Już przedtem widywała samochody wojskowe i przyzwyczajona była do tego, że żołnierze zwykle gwizdali, krzyczeli i przesyłali jej pocałunki, tym razem jednak siedzieli cicho, skurczeni na drewnianych ławkach, z tornistrami na plecach i karabinami na kolanach. Samochody były wysłużone i pracowały ciężko wspinając się po zakrętach na najniższym biegu.

Na Avenida Generalísimo Franco wyminął ją nędzny ambulans wojskowy z czerwonym krzyżem na tylnych drzwiach. Jechał szybko i niepewnie po wyboistym bruku i skręcił w boczną drogę, prowadzącą do koszar.

Na rynku była ciżba ludzi, mężczyźni i kobiety, którzy albo siedzieli przed kafejkami, albo stali grupkami koło pompy. Niektórzy rozmawiali i gestykulowali, większość jednak milczała.

Siglinde kupiła rybę, wybierała ją długo i starannie, żeby mieć najlepszą i najtańszą. Potem poszła do piekarni i dalej do tiendy po wino i jarzyny.

Zabrało to dość dużo czasu, bo w sklepach był tłok, choć wydawało się, że nikt nic nie kupuje.

Kiedy Siglinde miała już wszystko, poczuła pragnienie i weszła do Café Central na café eon leche. Tam także przy wielu stolikach siedzieli ludzie, postanowiła więc wypić kawę przy barze. Jakiś gwardzista na motocyklu zatrzymał się przed kawiarnią. Twarz miał spoconą, buty pokryte białym kurzem. Stał obok Siglinde, zastukał w ladę monetą i zamówił szklankę białego wina.

Widocznie oni znowu mają jakieś święto czy fiestę, pomyślała Siglinde.

Potem przypomniała sobie ambulans na Avenida Generalísimo Franco.

- Dlaczego wszędzie tyle ludzi? - spytała gospodarza, który właśnie wpuszczał w jej mleko gorące powietrze z ekspresu.

Postawił szklankę, zmarszczył brwi i powiedział:

- Jakieś nieszczęście zdarzyło się w kopalni.

- Czy ktoś zginął?

- Tak, na to wygląda...

- Wielu?
- Mówią, że tak. Dość wielu.
- Tylko Asturyjczycy - powiedział gwardzista, zwracając się do niej z uśmiechem. - Tylko asturyjscy robotnicy, nikt stąd, z okolicy.

- Więc dlaczego tu tyle ludzi?
- Są zaniepokojeni, bo roboty drogowe zostały wstrzymane - powiedział gwardzista.

I po chwili dodał:

- Tylko chwilowo... takie zapobiegawcze rozporządzenie... na wypadek gdyby była potrzebna szybka pomoc...

- Stracą dzienny zarobek - powiedział gospodarz.

Gwardzista wzruszył ramionami.

- A pan tam był, w kopalni? - spytał gospodarz.

- Nie - krótko uciął gwardzista.

Opróżnił szklankę i wyszedł.

- Powiadają, że dziś będzie dodatkowa msza - poinformował gospodarz.

- I jak do tego doszło, czy nieszczęśliwy wypadek? - spytała Siglinde.

- Nie wiadomo - odrzekł gospodarz rozkładając ręce.

Z roztargnieniem spoglądał w inną stronę, jakby wolał raczej położyć kres tej rozmowie.

Gdy Siglinde znowu na ukos przemierzała rynek, ludzie zaczęli się rozchodzić w boczne ulice. Z daleka słychać było dzwony kościelne.

Tylko Asturyjczycy, pomyślała.

Nie pierwszy raz słyszała o kopalni. Leżała ona w odległości mniej więcej dwóch mil od miasta, na zachód od głównej drogi, w kierunku na Santa Margarita. Raz, gdy tamtędy przejeżdżali, miała okazję widzieć ją z pewnej odległości: skupisko szarych kamiennych budynków, wysokie rusztowania, komin. Widziała także kilku z tych Asturyjczyków, niedużego wzrostu zasmoleni mężczyźni, szli ciągnąc beczkowóz. W górę do kopalni prowadziła wąska wijąca się droga, wybrukowana żółtą kamienną kostką.

A więc tam w górze wydarzyło się nieszczęście.

- Tylko Asturyjczycy - powiedziała Siglinde Pedersen sama do siebie. — Co za kraj!

A w rzeczywistości wydarzyło się, co następuje:

Okolo siódmej poprzedniego dnia robotnicy kopalni podjęli strajk, który pod wieczór przybrał charakter zbrojnego buntu. Strajk był przedsięwzięciem desperackim, wywołanym rozpaczą i o pomstę do nieba wołającą nędzą, co wcale nie przeszkadzało, że był bardzo starannie zaplanowany. Coś jednak zawiodło. Kombinat, składający się z kopalni cynku i starej nie unowocześnionej huty, zatrudniał dwustu robotników. Niemal wszyscy zostali przymusowo przesiedleni z Asturii, i większość była obciążona karalnymi wykroczeniami, to znaczy przynależnością do nielegalnych związków zawodowych albo też podejrzeniem o komunizm. Bardzo nieliczni w czasie wojny domowej wchodzili w skład milicji robotniczej, pozostali byli na to za młodzi. Niektórzy byli wcześniej skazani za przestępstwa polityczne i odbyli długoletnie kary w obozach koncentracyjnych lub w kopalniach soli w Formenterze. Po wypuszczeniu na wolność zostali przeniesieni do kopalni, celem dopasowania się do życia w społeczeństwie. Urządzenia sanitarne w kombinacie pozostawiały wiele do życzenia. Robotnicy byli zakwaterowani w dwóch kamiennych budynkach, systemem koszarowym, w jednym pomieszczeniu bez ścianek działowych. Kanalizacji, wodociągu i ogrzewania brakowało. W każdej z koszar mieszkało około setki mężczyzn; ci, którym przyznano przywilej zabrania z sobą żon i dzieci, próbowali polepszyć swą sytuację zbijając drewniane przepierzenia dla swoich rodzin.

Płace były bardzo niskie. Tym, którzy mieli rodziny, pieniędzy starczało tylko na minimum codziennych potrzeb, na chleb i suszoną rybę. Oficjalnie robotnikom przysługiwało prawo wolnego poruszania się w granicach prowincji; w rzeczywistości jednak nędza i brak środków transportu ograniczały wolność do terenu kopalni i otaczających ją gór. Problemem było zaopatrzenie w wodę, ponieważ na miejscu nie było wody pitnej. Woda, dowożona przez wózki zaprzężone w osły, była zanieczyszczona i bardzo żelazista, trzeba ją było

przed użyciem zagotować. W kopalni nie było lekarza, był natomiast posterunek żandarmerii w sile trzydziestu pięciu ludzi.

Bunt zaczął się dość nieśmiało: trzech wybrani przedstawiciele przedłożyli kierownictwu konkretne żądania. Żądania dotyczyły pewnych ekonomicznych i sanitarnych ulepszeń. Organizatorzy nie liczyli jednak na jakiegokolwiek powodzenie metod parlamentarnych. Wiedzieli, że wszelkie zamiary strajkowe są nielegalne, i od dawna przemycali broń na teren kopalni. Gdyby to okazało się konieczne, trzecią część robotników można by uzbroić w pistolety i karabiny. Zapasy amunicji były jednak bardzo skąpe i powodzenie całego przedsięwzięcia zależało od dostawy, która miała nadejść tegoż wieczoru. Na umówionym miejscu w pobliżu drogi głównej ciężarówka z działu transportowego kopalni miała przejąć partię skrzynek z amunicją od pewnego przemytnika broni i dostarczyć ją strajkującym. Na ciężarówce był strażnik, lecz został przekupiony, operacja wydawała się absolutnie pewna, zwłaszcza że miała się odbyć w biały dzień. Ogólne zarysy planu przedstawiały się następująco: Jeżeli delegacja będzie przyjęta, robotnicy czekający w barakach zostaną uzbrojeni i podzieleni na grupy operacyjne. Potem zneutralizuje się posterunek żandarmerii i wejdzie w posiadanie zapasu dynamitu. Wśród tych, którzy brali udział w wojnie domowej, było wielu saperów, biegłych w sztuce posługiwania się materiałami wybuchowymi. Kierownictwo strajku liczyło na to, że dzięki dynamitowi i spłonkom ich same przez się bardzo skromne wymagania zyskają pewną siłę nacisku. Groźba wysadzenia w powietrze całego kombinatu była mocnym argumentem.

Wszystko od początku się nie udało. Kierownictwo natychmiast poleciło zatrzymać delegację i zamknąć ją na posterunku, który był tak położony, że panował nad jedyną drogą wiodącą do magazynu z materiałami wybuchowymi. Amunicja jeszcze nie nadeszła. Przywódcy strajku nie mogli zapobiec spontanicznej manifestacji za uwolnieniem więźniów. Jeden z inżynierów, który usiłował zatrzymać demonstrantów, został obrzucony kamieniami, wtedy szef żandarmerii dla

przykładu kazał więźniów zastrzelić i wyrzucić ich ciała na drogę. Wszyscy trzej mieli żony i dzieci, czyn ten wywołał wielkie rozgoryczenie. Rozdano broń robotnikom, trzech urzędników, którzy nie zdążyli schronić się pod opiekę żandarmów, zastrzelono.

Przed zapadnięciem nocy robotnicy wielokrotnie podejmowali próby opanowania posterunku i przebicia się do dynamitu, ale z braku amunicji ich broń była bezużyteczna. Godzina za godziną na próżno oczekiwali ciężarówki ze skrzyniami naboji i granatów ręcznych, o zmroku musieli wycofać się do koszar i do odlewni, gdzie zabarykadowali się, gotowi do obrony, jak długo to będzie możliwe.

Mimo wszystko pod pewnym względem mieli szczęście. Tuż przed zerwaniem przewodów telefonicznych szef posterunku żandarmerii połączył się z innym posterunkiem i zdążył przekazać lakoniczny meldunek o niepokojach. Raport miał być przesłany do miasta, do regionalnej kwatery głównej gwardii cywilnej, ale został zupełnie źle zrozumiany i przekazany do Santa Margarita.

Cabo gwardii cywilnej, który miał tam dyżur, próbował dodzwonić się do kopalni, ale bezskutecznie. Ponieważ zakłócenia w działaniu telefonów były czymś zupełnie zwykłym, nie przywiązywał do tego większego znaczenia. Tuż po północy na posterunek, który przyjął pierwszy meldunek, przybył patrol drogowy i doniósł o pojedynczych strzałach dochodzących z kopalni. Szef posterunku ponownie zwrócił się z zapytaniem do regionalnej kwatery głównej i raz jeszcze sprawę przekazano do Santa Margarita.

O godzinie trzeciej pięciu gwardzistów otrzymało wreszcie rozkaz pojechania do kopalni na rowerach.

Patrol nie spieszył się i przybył na miejsce dopiero około wpół do piątej, kiedy już było widno. W dwadzieścia minut później tak regionalna kwatera główna, jak jej lokalny oddział w Santa Margarita otrzymał meldunki, że asturyjscy górnicy się zbuntowali. Raport donosił, że straż porządkowa poległa, droga wyjazdowa jest zabarykadowana, a na hutę i baraki wciągnięto czerwone flagi.

Natychmiast w całej prowincji ogłoszono stan wyjątkowy. W obawie, że rewolta się rozszerzy, wydano rozkaz o przejściowym zwolnieniu załóg we wszystkich miejscach pracy zatrudniających więcej niż dziesięć osób. Jednocześnie wydano surowe zarządzenie, że pacyfikacja ma być utrzymana w tajemnicy. Komunikacja telefoniczna i telegraficzna została zarezerwowana wyłącznie dla celów służbowych. Pewną liczbę ludzi niepewnych zbudzono i zaaresztowano.

Dowódca wojskowemu prowincji, pułkownikowi nazwiskiem Ruiz, powierzono kierownictwo akcji pacyfikacyjnej.

Regionalna kwatera główna skierowała do kopalni wszystkie dostępne siły bezpieczeństwa i stu pięćdziesięciu żołnierzy piechoty morskiej. Żołnierze mieli karabiny maszynowe i granatniki a prócz tego dwa czołgi wypożyczone z pułku pancernego, kwaterującego o kilka mil dalej w głąb kraju.

Była za kwadrans szósta, gdy pierwsze siły bezpieczeństwa podeszły pod przegradzającą drogę wjazdową barykadę z żelaznych belek, kamieni i poprzewracanych wózków. Po krótkiej wymianie strzałów niewielka grupa robotników, znajdująca się za barykadą, wycofała się. Gwardziści zaczęli burzyć barykadę, oczekując jednocześnie na dalsze posiłki. Jeszcze się na dobre nie rozwidniło.

W ciągu nocy strajkujący podejmowali dalsze desperackie próby przebicia się do magazynu materiałów wybuchowych, ale musieli od nich odstąpić ze względu na brak amunicji. Ogień żandarmerii zabił lub zranił dziesięciu ludzi. Gdy stało się zupełnie jasne, że amunicja nie nadejdzie bądź nadejdzie za późno, robotnicy podzielili się na trzy grupy. Dzieci i większość kobiet odprowadzono do budynku magazynu, a pozostali zamknęli się w hucie i obu barakach. Drzwi i okna zabarykadowali kamieniami. Broni mieli dość, ale tylko kilkaset naboju.

O wpół do siódmej przybyło tyle policji i regularnych oddziałów wojska, że pułkownik Ruiz uznał się za dość silnego, by uderzyć. Pro forma wezwał zrewoltowanych do poddania się, wyrzawszy przez megafon ultimatum. Odpowiedzią było kilka pojedynczych strzałów.

Baraki wzięto kolejno. Po piętnastu minutach ognia granatników i broni szybkostrzelnej zrobiono wyłom w murze i pierwszy budynek został zdobyty. Po wystrzeleniu wszystkich naboju robotnicy rozpaczliwie bronili się kilofami i łomami, wielu poległo.

Krzyki i świadomość, że dzieci i kobiety znajdują się w mocy napastników, zdemoralizowały załogę drugiego baraku, poddała się bez godnego wzmianki oporu.

W hucie było czterdziestu mężczyzn i ze dwadzieścia kobiet, przeważnie młodych. Ta grupa była najwaleczniejsza, a także rozporządzała najznaczniejszą częścią amunicji. Dowództwo objęli kierujący strajkiem, wciągnięto na dach czerwoną flagę.

Opanowanie huty zajęło dwie godziny, mimo że nieustannie była ostrzeliwana z granatników i broni automatycznej. Wreszcie nadjechał czołg, rozbił wielkie żelazne wrota i ściany po obu stronach wrót. Szturm powierzono kompani gwardii cywilnej, ponieważ regularne oddziały zaczęły wykazywać brak zapasu do walki. Wśród żołnierzy było wielu Basków i Katalończyków, i ostrzał nie był na ogół prowadzony z pożądaną dokładnością. Gwardziści dali dowód słusznej oceny sytuacji, posługując się przeważnie granatami ręcznymi i gazem łzawiącym. Dziesięć minut im wystarczyło, by warunki w hucie stały się tak straszne, że strajkujący skapitulowali. Trzydziestu trzech mężczyzn i czternaście młodych kobiet wyszło z budynku z rękami splecionymi na karku. Od dwunastu godzin nie mieli wody do picia. Kilkoro było rannych, a wszyscy brudni, spoceni i wyczerpani. Kobiety były ubrane w zasmolone kombinezony, większość z nich miała czerwone szmaty na rękach albo w pasie. Rewolta została stłumiona.

Ze strajkujących poległo trzydziestu czterech mężczyzn i siedem kobiet, zostali zastrzeleni albo rozerwani na strzępy. Dalszych siedmiu mężczyzn, oskarżonych o morderstwo i podżeganie, natychmiast rozstrzelano. Było wielu rannych, trzech tak ciężko, że zmarli po kilku godzinach.

Poległ jeden gwardzista i pięciu żołnierzy, ci ostatni podczas walki wręcz w pierwszym baraku. Ponadto kilku było rannych.

Jeden z żandarmów wewnątrzfabrycznego posterunku został zastrzelony, jeden tylko postrzelony.

Regularne oddziały wojskowe zostały zatrudnione przy grzebaniu martwych Asturyjczyków w zbiorowym grobie, po czym stopniowo je wycofano.

Wszystkie drogi w kręgu dziesięciu kilometrów zostały zamknięte.

Represje pozostawiono żandarmom, którzy mieli znajomość warunków miejscowych i chrapkę na młodsze Asturyjki. Niektóre z nich cechowała dzika, nieokiełznana piękność. Z czternastu kobiet, które brały udział w walce, jedna została zgwałcona i cichcem wywieziona, druga jakimś cudem uratowała się. Pozostałe zaprowadzono do maszynowni, gdzie żandarmi zdarli z nich kombinezony i płomykami pochodni przypalali im krocza.

Krzyk kobiet był tak przeraźliwy i irytujący, że musiano zamknąć okna biura kopalni, gdzie pułkownik Ruiz i jego sztab mieli kwaterę główną.

W ciągu dnia strajkujących małymi grupami odtransportowano do różnych więzień śledczych i obozów izolacyjnych. Robotnicy, którzy mieli przywieźć amunicję, na próżno czekali na umówionym miejscu przez całą noc i większą część dnia. Dopiero po południu zostali zauważeni przez jakiś patrol i aresztowani.

Bunt w kopalni cynku miał rozległe konsekwencje.

Dziesięciu robotników skazano na śmierć za morderstwo i podżeganie. Pięciu z nich w pół roku później zgładzono, pozostałych pięciu ułaskawiono, zamieniając im karę na dożywotnie ciężkie roboty. Pozostali otrzymali kary pozbawienia wolności od pięciu do dwudziestu pięciu lat.

Szef posterunku żandarmerii został awansowany, a wszyscy jego podwładni odznaczeni.

Pułkownika Ruiza mianowano generałem.

W przeciągu trzech tygodni wymieniono całą kadrę kierowniczą gwardii cywilnej w kwaterze regionalnej i w pododdziale Santa Margarita i zastąpiono ją bardziej wypróbowanym personelem ściągniętym z innych części kraju.

Mimo szeroko zakrojonych przesłuchań nie udało się wykryć pochodzenia broni, wykonanej w Hiszpani i w Czechosłowacji. Przywódcę strajku, który mógłby chyba coś wiedzieć, w zamęcie nadgorliwości rozstrzelano tuż po stłumieniu buntu.

Żadnych oficjalnych informacji o tych wydarzeniach nie publikowano, dopiero znacznie później, a i wtedy w bardzo niejasnej formie.

W najbliższej położonych miejscowościach nic nie wiedzano o tych zamieszkach. Jedynie w godzinach rannych tego dnia, gdy rewolta została stłumiona, panował stan wyjątkowy i wzmożona aktywność wojska wzbudziła pewien niepokój.

7

Zjechali do puerto około czwartej i mimo że był to czas sjesty, wyminęli trzy bariery na drodze. Dwie pierwsze były obsadzone przez gwardzistów, którzy zadowolili się rozpoznaniem ich i z uśmiechem dali znak przejazdu. Trzecia — przez patrol Policia Armada. Dwaj policjanci siedzieli w szarym jeepie zaparkowanym na brzegu drogi w cieniu drzewa świętojańskiego. Zobaczywszy, że kamionetka ma hiszpańską tablicę rejestracyjną, wyszli na drogę i dali znak zatrzymania. Obeszli ciężarówkę dokoła, przyjrzeni się jej ze wszystkich stron. Twarze ich były bardzo poważne. Upewniwszy się, że pasażerowie są cudzoziemcami, rozsunęli bariery.

- Coś mi się zdaje, że wszyscy dziś powariowali - powiedział Dan Pedersen. - Jeszcze jeden glina, a zacznę krzyczeć.

- Pewnie wydarzyło się jakieś nieszczęście - zauważyła Siglinde.

Puerto wydawał się zupełnie wyludniony. Przy nabrzeżu stały tylko dwa kutry, a wszystkie okna były starannie zasłonięte. Każdy robił, co można, żeby nie wpuścić upału do wnętrza.

Usiedli pod markizą przed jednym z barów i Dan Pedersen klasnął w ręce. Gospodarz wyszedł, zamówili wermut i syfony. W barze był jeszcze jeden gość, cudzoziemiec w śre-

dnim wieku, ubrany w popielate spodnie i wyrzuconą na wierzch koszulę, słoneczne okulary i białe kepi. Siedział o kilka stolików dalej i popijał koniak. Obok kieliszka leżał małoobrazkowy aparat fotograficzny w eleganckim skórzanym futerale.

Siglinde i Dan spierali się z sobą o wszystko. Od czasu do czasu rzucali kilka słów po niemiecku do Willego, żeby nie czuł się tak zupełnie wykluczony.

Po chwili człowiek w koszuli wyrzuconej na spodnie wstał i skierował się w ich stronę. Przystanął w odległości dwóch kroków i powiedział:

- Usłyszałem, że państwo mówią po skandynawsku. To może się wydać natrętne, ale czy mógłbym przysiąc się na chwilę? Tu, w tym otoczeniu, czuję się czasem trochę osamotniony...

Zrobił gest, ale nie było żadnego Hiszpana, na którego mógłby wskazać.

- Ależ proszę bardzo - powiedział Dan Pedersen.

Nieznajomy przyniósł swój aparat i kieliszek z koniakiem. Potem wszystkim trojgu po kolei podał rękę, za każdym razem wymieniając swe nazwisko:

- Berg.

- Szwed z Malmö-dodał siadając.

Siglinde i Dan zapomnieli powiedzieć, jak się nazywają, a Willi Mohr ani słowa z tego wszystkiego nie rozumiał. Po chwili nieznajomy powiedział:

- Przepraszam... ale nie dosłyszałem...

Wszyscy wymienili swe nazwiska i znowu na chwilę zapanaowała cisza. Nowy znajomy chrząknął i zaproponował:

- Czy wolno mi na coś państwa zaprosić?

Bezradnie rozejrzał się za kimś podającym.

Dan Pedersen zaklaskał, gospodarz zaraz się zjawił.

- U nas byłoby to nie do pomyślenia - powiedział nowy znajomy - takie klaskanie na kelnera.

- Dlaczego nie? - zdziwiła się Siglinde.

Czuła, że nie będzie w stanie zaaprobować tego faceta.

Gospodarz przyniósł butelkę, nalał.

- Proszę zostawić butelkę - powiedział zamawiający.

Gospodarz wzruszył ramionami i postawił flaszkę na stoliku. W dalszym ciągu była prawie pełna.

Szwed podniósł kieliszek, powiedział:

- Tak daleko od domu i między nami Skandynawami nie musimy być zbyt oficjalni. Ivar mi na imię.

Tręcili się.

- Tu mieszkanie? - spytał po chwili.

- Tam na górze. - Dan wskazał mgliście szarą plamę między górami.

- Pięknie tam wygląda - powiedział Szwed. - To cudowny kraj.

Przez chwilę zastanawiali się nad tym, a on znowu napełnił kieliszki.

- Cudowny, jak powiedziałem, nie nabiorą tu człowieka, wszyscy są życzliwi i uczynni.

- Tak, to dobry naród - przyświadczył Dan Pedersen, żeby coś powiedzieć.

Po trzecim kieliszku tamten znów podjął:

- Przed czterema laty byłem tu, krótki pobyt za interesami, tym razem zresztą jest to również podróż służbowa. Wziąłem sobie jednak kilka dodatkowych dni, dla odprężenia, nim polecę do domu.

- Aha - mruknął Dan Pedersen, który, gdy popił, stawał się nieuprzejmy bez wyraźnej konieczności.

- Od tamtej pory wszystko się tu znacznie poprawiło - ciągnął Szwed. - Nie ma takich trudności na granicy, jest o wiele demokratyczniej.

- Tu nie ma demokracji - oświadczył Dan Pedersen. - To jest skorumpowana dyktatura, którą faszyci nazywają demokracją, żeby otumanić tępych cudzoziemców. Właściwie nie powinno się tu przyjeżdżać.

- Dlaczego tu mieszkasz w takim razie?

- Dlatego, że nas zupełnie nie obchodzi, jaki tu jest reżim, dopóki jest tanio, ciepło i dopóki nas zostawiają w spokoju. Tu się bardzo dobrze żyje, zwłaszcza cudzoziemcom, zresztą Hiszpanom także w wielu wypadkach. Większość ludzi

zupełnie to samo robi, czy wypadło im żyć w idealnym społeczeństwie demokratycznym, czy pod tyranią. W codziennej praktyce różnica jest niewielka. Ludzie tyrają, jedzą, gżą się, wieczorem idą spać zmęczeni, a rano wstają jeszcze bardziej zmęczeni. W soboty upijają się albo siedzą w domu i słuchają radia, albo wychodzą na spacer. Nas nie obchodzi polityka, dlatego możemy tu mieszkać. Ale to nam nie przeszkadza dostrzegać, że gdzieś jest istne piekło.

Siglinde przyglądała się swemu mężowi z rozbawieniem. Lubiała sposób, w jaki mówił „my”. Kochała go. Myślała o wczorajszym wieczorze.

- A tu jest istne piekło, jak powiedziałeś?

- Tak, zdecydowanie.

Facet znowu napełnił kieliszki, choć tylko on i Dan swoje już opróżnili. Potem powiedział:

- Mylisz się. Franco dużo dla tego kraju zrobił. Przed nim tu panował chaos i nieporządek, ekonomicznie było znacznie gorzej niż teraz, ludzie strzelali do siebie na ulicach. A on przeciął ten gordyjski węzeł i uwolnił ten kraj i naród od najgorszych problemów. Przywrócił porządek. Czy nie mam racji?

- Owszem, jeżeli właściwym sposobem uwolnienia kogoś od problemów jest zabicie go.

- Na zdrowie - powiedział tamten.

- Na zdrowie - powiedział Dan Pedersen.

Butelka została opróżniona.

Do stolika podszedł Santiago. Wydawał się jeszcze nie na dobre rozbudzony po sjeście.

Siglinde wykorzystała sposobność do wycofania się.

- Właśnie przyszedł chłopak, na którego czekaliśmy - powiedziała.

Wstali i pożegnali się z człowiekiem z Malmö.

- Cholera - zwrócił się Dan Pedersen do żony - mnóstwo ludzi tak właśnie rozumuje. Szlag mnie trafił.

Klepnął w plecy Santiago.

- Teraz idziemy do Jacinta i strzelimy sobie butelkę szampana.

Po wzniesieniu, wiodącym w kierunku kościoła, Willi Mohr szedł o kilka metrów za tamtymi. Choć wypił znacznie mniej niż Dan, czuł pustkę w głowie i jakąś nienormalną lekkość w całym ciele. Przy upale koniak mocniej działał. Zdecydowanie nie lubił być pijany i pomyślał, że w ciągu najbliższych godzin musi zachować umiar. Był jednak w przyjemnym nastroju i oczekiwał miłego wieczoru. Zaczął odczuwać pewną wspólnotę z Danem i Siglinde, nie potrafiłby wyjaśnić tego uczucia, ale nadawało ono jakiś sens mijającym dniom. Często przyłapywał się na tym, że ciekaw jest, co się jeszcze zdarzy.

Dan Pedersen szedł w środku otoczywszy ramionami tamtych dwoje. Santiago miał na sobie wyblakłą bawełnianą koszulę i niebieskie spodnie. Siglinde tuliła się do Dana, obejmując go w pół.

Na szczycie wzgórza uwolniła się i odwracając się z wyciągniętą ręką powiedziała:

— Chodź, Willi, nie powinieneś iść tak samotnie!

Roześmiała się i jej szarobrunatne oczy zaślniły, wydawały się bardzo jasne, choć właściwie były dość nieokreślonego koloru.

W barze panował mrok i nie było ani jednego gościa. Pod ścianą w głębi znajdowała się lada ze staroświeckim ekspresem, opalany torfem, a półki nad ladą zajmowały butelki i aparat radiowy. Na samym środku lokalu stał żelazny piecyk, od którego kręta rura prowadziła w górę do otworu w przewodzie kominowym, a w jednym z kątów znajdowała się studnia z prostym kołowrotem i umocowanym do niego wiadrem. Sufit był poczerniały od sadzy i tłuszczu, zaś ściany pokryte kolorowymi plakatami, reklamującymi filmy i corridy. Przy piecyku w starym wyplatany fotelu siedziała abuella i robiła na drutach, kot spał na jej kolanach, Jacinto drzemał za ladą na swoim składanym krzeselku, z rozpostartą płachtą gazety przed sobą. Jacinto był kiedyś gwardzistą w Santa Margarita, zwolnił się ze służby, gdy udało mu się wżenić w ten bar. Prowadził go dobrze, nie nie przeznaczając na elegację i modernizację, zarabiał zupełnie

przyzwocie, zwłaszcza na osiadłych tu na stałe cudzoziemcach, którym udzielał względnie sporych kredytów. Jeżeli bywał czasami oszukany, to odbijał sobie straty, z zyskiem nawet, zwłaszcza przy okazji obowiązków świąt, kiedy to miał zwyczaj wystawiać bardzo pomysłowe rachunki. Potrzebne mu były pieniądze, bo musiał się opiekować zarówno swoimi, jak i żony rodzicami, a żona ani na chwilę nie zapominała, że zakład jest właściwie jej własnością.

Gdy goście weszli, natychmiast ocknął się, wstał i nawykowo przetaił ladę brudną ścierką.

- Szampana - powiedział Dan Pedersen - weź kieliszek i siadaj z nami.

Jacinto wszedł na krzesło i z rzędów butelek szampana, wiszących nad półkami, ściągnął dwie, najtańszego gatunku. Potem przysiadł się do ich stolika, rzuciwszy żonie w przejściu:

- Pięć kieliszków.

Abuela odłożyła robotę i spędziła kota.

Jacinto zręcznie otworzył butelki, tak by korki strzeliły. Podnieśli kieliszki, wypili.

Była szósta, gdy pijatka w barze Jacinta się zaczęła. Miała trwać niemal bez przerwy przez dziewięć godzin.

Gadanina, hałas, picie. Doraźnie wiele osób przyłączało się do towarzystwa. Niektórzy przychodzili, siadali na chwilę i znikali. Ktoś przyszedł z gitarą i przygrywał. Gitarzysta należał do tych, którzy wytrwali do końca, podobnie jak młody Anglik i jego rudowłosa żona. Od czasu do czasu wstępował dwuosobowy patrol, gwardziści stawiali karabiny przy ladzie. Pozwalali się zaprosić na koniak, pokazywali w uśmiechu białe zęby i znowu wychodzili w noc. Rozmowy toczyły się na przemian w wielu językach. Jacinto w regularnych odstępach wchodził za ladę i zajmował się podliczaniem. Mały fiński malarz, który tak się odznaczył podczas bójki przed kilku miesiącami, też przysiadł się na chwilę i spełnił cały szereg pojedynczych toastów. Pił za szybko, prędko się upił i odszedł na niepewnych nogach.

Okolo dziesiątej Santiago próbował nakłonić Siglinde, by poszła się z nim kapać. Potrząsnęła głową i pobłażliwie poklepała go po ramieniu.

Willi Mohr siedział między nimi i prawdopodobnie on jeden zauważył ten epizod.

Dan Pedersen tak był pochłonięty niekończącą się dyskusją z Anglikiem na temat kobiet, że w ogóle nic nie dostrzegł.

Pito dalej. Wszyscy wydawali się bardzo zadowoleni.

Okolo północy Santiago wstał i obojętnie powiedział do Siglinde:

- Teraz łodzie wpływają. Pójdiesz ze mną na spotkanie Ramona?

- Pójdziemy? - spytała Siglinde Willego Mohra.

Dan Pedersen dalej dyskutował z Anglikiem.

Willi Mohr poszedł z nimi.

Kiedy wyszli z hałaśliwego, zadymionego baru, noc spadła na nich nieopisanie czystą i miękką czernią. Ochłodziło się znacznie i wygwieżdżone niebo potężnym łukiem sklepiało się między górami. Gdy zeszli nieco w dół, gwar z baru ścichł, słychać było tylko od strony przystani prychanie silników spalinowych łodzi rybackich.

Na nabrzeżu wszystkie światła były wygaszone prócz kilku żałośnie mrugających latarni ulicznych.

Usiedli na samym brzegu bulwaru i czekali. Woda była czarna i gładka, w dali widać było szczytową latarnię pierwszego trawlera.

Siglinde, która siedziała pośrodku, zsunęła pantofle i położyła się na wznak na ciepłym betonie. Jedną nogę podciągnęła i oparła stopę na obmurowaniu. Druga noga zwisała nad wodą.

- Panie Boże - powiedziała - jednak życie jest piękne.

- Czy nie? - spytała, gdy nikt się nie odezwał.

- Tak — przyznał Willi Mohr.

Santiago się nie wypowiedział. Palił i z roztargnieniem patrzył na jej nogi.

Willi Mohr był mocno podпиты i uderzyło go, że to wcale nie jest nieprzyjemne.

Pierwsza łódź okrążyła molo. Odbicie światła latami leżało na wodzie długą drgającą smugą.

- To oni - powiedział Santiago.

Łowiono sardynki i za trawlerem ciągnęły dwie małe łodzie z wielkimi latarniami na rufach. O jakieś pięćdziesiąt metrów od nabrzeża ktoś na pokładzie łodzi rybackiej zapalił latarnię benzynową i zawiesił ją na maszcie. Chłodne białe światło padło na srebrzysty stos rybek na pokładzie.

- Dobrze poszło tej nocy - powiedział Santiago.

W kilka minut później dziób trawlera dotknął kamiennej okładziny. Santiago chwycił linę i umocował. Cała łódź zdawała się wypełniona metalicznie połyskującymi sardynkami. Ramón zręcznie przesadził reling i przykucnął. Był bosy, miał na sobie stary czarny sweter i podarte niebieskie spodnie. Zmierzwione włosy sterczały, a twarz i sweter lśniły od malutkich błyszczących łusek. Ze śmiechem zsunął się na nabrzeże, objął brata, potrząsnął ręką Siglinde i Willego.

- Ojciec idzie, chyba lepiej będzie przyprowadzić wózek
— powiedział.

Pedro Alemany przeszedł nad relingiem. Był to krępy niewysoki rybak o wąskich ustach i zimnych oczach. Ubrany w baskijski beret, czarną koszulę i czarne spodnie. Stanąwszy przed Santiagiem spytał:

- Dlaczego wczoraj wieczorem nie pojechałeś z rybami?

- Bo pomyślałem, że lepiej będzie pojechać dziś rano.

- Masz jeździć, kiedy ci powiem, a nie w innej porze.

- Wczoraj samochód nawalał.

- Łziesz jak zawsze - zimno stwierdził Pedro Alemany. - Przypilnuj, żeby to zostało wyładowane.

Ruchem ręki wskazał sardynki na pokładzie. Rzucił pogardliwe spojrzenie na Siglinde, odwrócił się i poszedł w kierunku wsi.

Santiago zagryzł wargi, ale nic nie powiedział. Unikał patrzenia na tamtych.

Ramón wrócił z ręcznym wózkiem pełnym pustych skrzynek. Santiago wydał jakieś zarządzenia trzem członkom załogi,

pozostałym na pokładzie, potem wrócili do baru Jacinta. Ramón cały czas gadał po katalońsku i obejmował brata. Santiago przerwał mu:

- Jak twoja głowa? - spytał.

- Nieźle - odpowiedział Ramón.

- Biedny Santiago - szepnęła Siglinde do Willego Mohra. - To uraziło jego dumę.

W barze dym papierosów tak zgęstniał, że słaba żarówka ledwie była widoczna, jak zimowe słońce za mgłą. Znowu zasiedli przy stole i nic nie wskazywało na to, że ktokolwiek zauważył ich wyjście. Jacinto, który sam zaczynał tracić równowagę, do połowy zaciągnął żaluzje i zamknął drzwi, żeby zaznaczyć, że od tej pory święto należy uznać za skończone. Abueła już poszła spać.

Pijatyka trwała dalej. Szampan się skończył, trzeba było przejść na białe wino. Ramón pił chciwie. Był pewnie zmęczony i próbował dojść do formy. Willi Mohr łyknął jeszcze jeden kieliszek i zauważył, że zaczyna mu się w głowie mącić. Więcej już nie piję, pomyślał.

Po chwili dziewczyny zaczęły przejawiać ożywienie. Angielka z początku tańczyła z gitarzystą, potem solo. Siglinde uparcie chciała z kimś zatańczyć, i wreszcie wybrała Santiaga. Tańczyli bardzo elegacko i rytmicznie. Dan Pedersen, Jacinto i Anglik rozprawiali o czymś głośno i z wielką energią.

Nastrój był coraz swobodniejszy i pełen zamieszania. Wszyscy byli pijani i wszyscy na różne sposoby odczuwali potrzebę ruchu. Siglinde i rudowłosa Angielka nie mogły powstrzymać się od przebierania nogami, wykonywały więc prywatny cancanashow na ladzie baru. Gitarzysta grał jak opętany.

Willi Mohr nagle wziął się w garść i zupełnie wytrzeźwiał. Małe zwycięstwo silnej woli, osądził. I jednocześnie zobaczył otaczających go ludzi wyraźnie i obiektywnie.

Mały spocony człowiek z gitarą, w rozchelstanej koszuli, grał jak opętany i przytupywał.

Twarcz Anglika sztywniała coraz bardziej, mówił coraz

wolniej i coraz mniej pewnie.

Dan Pedersen właśnie przewrócił kieliszek, ale wciąż przemawiał z nie słabnącą siłą.

Jacinto, który miał za sobą długi dzień ciężkiej pracy i wypił dużo więcej niż zwykle, miał minę zmęczoną, ale zadowoloną.

Dziewczęta śmiejące się, krzyczące, usiłujące stepować na ladzie. Angielka upojona rytmem i szampanem, potargane rude włosy kleiły jej się do czoła. Obie nie były trzeźwe, ale w ich zachowaniu nie było nic niesmacznego. Wydawały się tylko bardzo wesołe.

Santiago siedział na krześle wyprostowany i wpatrywał się w ladę. Wciąż zwilżał wargi językiem.

Ramón pochylony, z otwartymi ustami gapił się na dziewczyny tak naiwnie i pożądliwie, że było to niemal rozczulające.

Chociaż Angielka wydawała się właściwie bardziej przystępna, a w każdym razie nogi miała ładniejsze, Willi Mohr odniósł wrażenie, że ci dwaj patrzą tylko na Siglinde. Ale oczywiście mógł się mylić.

Scena prawie gwałtownie została przerwana. Siglinde zmęczyła się, zeskoczyła z lady. Obeszła stół i usiadłszy otarła pot z czoła. Wkrótce potem Anglik wstał i na niepewnych nogach podszedł do baru, zdjął z niego żonę i razem z nią wyszedł.

- Gdzie jest mój przyjaciel Santiago? — spytał nagle Dan Pedersen, jak gdyby niespodziewanie powrócił z dalekiej podróży.

Wstał i przepił do Santiaga.

- Wy od dawna się już znacie - spytał Jacinto ziewając.

- Santiago - patetycznie oznajmił Dan Pedersen - jest jednym z najlepszych przyjaciół, jakich zdarzyło mi się mieć. Santiago i ja niejedno razem przeżyliśmy. I gotów byłbym we wszystkim mu zaufać. Na zdrowie!

Stali naprzeciw siebie z uniesionymi kieliszkami. Wyglądało to na parodię przysięgi wierności.

- Niech żyje przyjaźń! - zawołał Ramón.

Dan Pedersen postąpił krok do przodu i objął Santiaga, który stał nieruchomo ze zwieszonymi ramionami.

Po sekundzie może Willi Mohr uchwycił jego spojrzenie ponad ramieniem Dana. Było udręczone i boleśnie wzburzone, w chwilę później Santiago ostrożnie, lecz zdecydowanie uwolnił się z objęć Dana.

- W środę skończy się połów kalmarów - powiedział wymijająco. - Wtedy pojedziemy na ryby.

- O, cholera, pojedziemy - poświadczył Dan Pedersen.

W dwadzieścia minut później wszyscy się rozeszli. Dan był bardzo pijany i schodząc ze wzgórza opierał się na Siglinde.

- Ty z twoją przyjaźnią — powiedziała Siglinde, mocniej go obejmując - jesteś bardziej hiszpański niż najbardziej hiszpańscy Hiszpanie.

Wdrapawszy się na kamionetkę, Dan Pedersen natychmiast zasnął. Siglinde trochę się zachwiała zajmując miejsce w samochodzie i Willi pomógł jej się dźwignąć.

- Co za noc - powiedziała.-Słuchaj, Willi, czyjasięnie właściwie zachowywałam?

- Ależ nie.

- Ja tylko czasami robię się taka jakaś—powiedziała ziewając.

Willi Mohr prowadził w drodze do domu. Czuł się jednak pijany i musiał raz po raz potrząsać głową, by wyraźniej dostrzec jezdnię w świetle reflektorów. Gwardzistów w ogóle nie widział, ale już dostatecznie znał ten kraj, żeby mieć pewność, że oni tam są.

8

Gdy Siglinde Pedersen obudziła się, światło dnia wlewało się do pokoju przez otwarte okna, ale chociaż było już bardzo gorąco, słońce zdawało się blade i przyćmione.

Leżała za plecami męża, na boku, z jedną ręką wsuniętą pod policzek, a drugą między uda, tuż nad kolanami. Zwykle sypiała w tej pozycji. Ale teraz zbudziła się, otwarła oczy i przez chwilę wsłuchiwała się w równy oddech męża i w odgłosy dochodzące

z zewnątrz. Słyszała kury grzebiące w zeschniętej trawie między kamieniami, motocykl z trzaskiem biorący zakręty, a także dochodzący z daleka krzyk osła. Chwilowo czuła się bezpieczna, spokojna i szczęśliwa, że zbudziła się do nowego dnia.

Siglinde przewróciła się na wznak i przeciągnęła swe ciepłe, nagie ciało. Badawczo przesunęła rękami po biodrach, przeponie, piersiach, a następnie wcisnęła głowę w poduszkę i długo, szeroko ziewała. Potem wspierając się na łokciu sięgnęła ponad śpiącym mężem po zegarek, który leżał obok łóżka na taborecie.

Było wpół do ósmej a datownik wskazywał piętnasty grudnia.

Wysunęła się z prześcieradeł i ostrożnie przeszła nad Danem, który oddychał tak równo i spokojnie, że pozwoliła sobie na lekkie pocałowanie go w ucho i zakołysała się kilkukrotnie, tak że nagie piersi musnęły jego ramię. Z trudem oderwała się od niego, ale chciała wstać pierwsza, bo potrzebowała więcej czasu na ubranie się.

Potem coś jej przyszło na myśl i stała trochę, uważnie obmacując piersi, by się przekonać, czy zaczynają być lekko obrzmiałe. Nic nie poczuła. Pogrzebawszy w kobiałce leżącej na krześle, znalazła kalendarzyk i pośliniwszy palec przewracała kartki, z wydętymi ustami przyglądała się cyfrom. Jeśli wyliczenie się zgadzało, szesnastego powinna mieć menstruację, a tu jeszcze nic. To może nie mieć znaczenia, ale jednak coś jest nie tak.

Siglinde Pedersen spojrzała na męża z uśmiechem.

Zdjęła ze słupka płaszcz kąpielowy i owinąwszy się nim podeszła do okna. Światło słoneczne było blade i przyćmione, a niebo zakrywała szarawobiała mgła. Za oknem rozciągało się miasto, płaskie i brunatnożółte, ospale gnuśne, na wschodzie widoczność była tak zła, że nie mogła dojrzeć morza.

Boso i na palcach zeszyła ze schodów i wymknęła się na dwór. Willi Mohr leżał na wznak. Spał z otwartymi ustami i rękami pod głową.

Kiedy Siglinde wróciła z ubikacji, leżał na boku, ale wydawało się, że dalej śpi.

Poszła do kuchni i zamknąwszy drzwi szybko obmyła całe

ciało zimną wodą. W tym czasie i reszta mieszkańców domu zbudziła się. Pies wpadł i otarł się o jej nogi, słyszała, że Dan i Willi nawołują się wzajemnie.

Gdy wyszła, Willi siedział na materacu skurczony i palił papierosa. Uśmiechnął się na jej widok, bo dość zabawnie wyglądała w płaszczu kąpielowym Dana.

- To dziś mamy jechać na ryby — powiedziała. — Namyśliłeś się? jedziesz?

- Nie, ale odprowadzę was do puerto. Położę sobie i poszkicuję przez ten czas, kiedy was nie będzie.

- Może i masz rację, nie wydaje mi się, żeby dzień był odpowiedni.

Na górze Dan wciąż jeszcze leżał w łóżku. Wodził wzrokiem za Siglinde, która zdjawszy płaszcz kręciła się po pokojku.

- Co się tak gapisz? - spytała. - Jeszcze nigdy nie widziałeś?

- To musi być strasznie śmieszne uczucie mieć takie mnóstwo włosów między nogami. W dodatku zupełnie czarnych!

- Przychodzi mi na myśl coś, co wydaje mi się dziesięć razy śmieszniejsze.

Siglinde włożyła majtki i biustonosz i na chwilę przystała, dumając nad tym, jak należy się ubrać.

- Opatul się porządnie - powiedział Dan - bo dziś chyba nie będzie tak ciepło.

- Wydaje się gorąco, ale jakoś tak dziwnie.

Znowu się zastanowiła. Potem wyciągnęła szorty i czystą białą bluzkę, która bardzo dobrze wyglądała przy jej opaleniznie. Ubrawszy się i zasznurowawszy espadryle zirytowała się, że nie mają porządnego lustra.

- Zabiorę z sobą na wszelki wypadek dżinsy i koszulkę polo. Jak myślisz? Dobrze będzie?

- Pewnie - obojętnie odparł Dan.

Siglinde włożyła słomiany kapelusz z rondem obszytym zieloną lamówką i przyniosła z- kuchni torbę. Przed pójściem do sklepu dostała od Willego Mohra nowy stupeseto- wy banknot i starannie zapisała tę kwotę na ścianie koło

kuchennych drzwi, bo tam prowadziła rachunek ich wspólnych wydatków na gospodarstwo.

Sklep był ciemny, chłodny i bardzo brudny. Przy jednej z dłuższych ścian stały worki z fasolą, cukrem i strąkami suszonej papryki, wzdłuż drugiej beczki z winem, zaopatrzone w krany i blaszane miarki. Spod sufitu zwieszały się kiełbasy, dzbany z wodą, płaty wędzonej baraniny i uprząże. Właścicielka niedbale przepędziła psa, który wspiąwszy się na tylne łapy wylizywał cukier z worka. Potem z brunatnego papierowego worka wydobyła dziesięć podłużnych małych chlebków.

- Wycieczka dziś będzie?

- Wyprawiamy się na ryby.

- Dziś nie jest dobry dzień, żeby wypływać w morze — powiedziała kobieta ponuro. - Lepiej zostać w domu.

Prócz dziesięciu chlebków Siglinde kupiła dwa litry najtańszego czerwonego wina, kawałek sera i kilka plastrów wędzonej kiełbasy. Kupowała tylko tyle, ile mieli zabrać ze sobą. Na wieczór będą ryby, a oliwę do ich usmażenia miała w domu.

Idąc pod górę do Barrio Son Jofre Siglinda kilka razy zerknęła ku niebu. Czowała ogarniającą ją falę niepokoju, choć żaden rozsądny powód do niepokoju nie przychodził jej na myśl.

Dan i Willi zdążyli wstać, zaścielić łóżka i zamieść. Siglinde usiadła na schodach, pokroiła chleb, przełożyła go serem i kiełbasą. Potem włożyła jedzenie do torby, upychając na spodzie dzinsy i koszulkę polo.

Willi Mohr pozbierał bloki rysunkowe, skrzynkę z ołówkami, pudełko z farbami, związał to wszystko rzemieniem, żeby można było cały bagaż zarzucić na ramię.

Tuż przed wyjściem Siglinde odkryła, że nafta się już kończy. Postawiła bańkę przed drzwiami mówiąc:

- Pamiętajcie, żeby mi przypomnieć, gdybym zapomniała.

Willi Mohr zamknął drzwi, klucz wsunął w szparę w ścianie. Gdy już zajęli miejsca w samochodzie, Siglinde odkryła, że suka została na zewnątrz i węszy pod domem.

- Może weźmiemy z sobą Perritę? - spytała.

- Na morze! - zdziwił się Dan.

Wydawał się dość zgorzony.

- Niech idzie z Willim, nie będzie taki sam przy rysowaniu.

Willi Mohr uśmiechnął się. Ostatnio rzadko czuł się zupełnie samotny. Zeskoczył i podsadził psa na kamionetkę. Potem sam się wdrapał i usiadł za Siglinde.

Opuścili dom przy Barrio Son Jofre.

Ciężarówka jechała równo, spokojnie i pewnie. Siglinde zsunęła kapelusz z czoła i spojrzała w niebo, równo pokryte białą lśniąca mgłą. Światło kłuło w oczy, trudno je było znieść i mimo że powłoka chmur wydawała się niegroźna, ją przerażała. Pojawił się jej obraz nieba otwierającego się nagle, eksplodującego jakąś złowrogą, nie przeczuwaną katastrofą. Siglinde spojrzała w dół na brzeg drogi i zobaczyła małą zieloną jaszczurkę, która pospiesznie skryła się pod kamień, gdy cień ciężarówki padł na nią.

Dlaczego muszę się bać i dlaczego właśnie dziś, myślała Siglinde. I nikt tego nie zauważa, chyba tylko Dan, a przeważnie on też nie. On wie, że mnie się czasem coś zwiduje i mam różne nedorzeczne przecucia, a koniec końców przecież wcale się dziś nie boję więcej niż mi się setki razy zdarzało już przedtem, a przecież nigdy się nic nie stało.

Położyła rękę na ramieniu Dana i próbowała przejąć od niego trochę ufności, a po cichu sama do siebie powiedziała:

- Właściwie jest to duża tragedia osobista, kiedy ktoś jest takim głupkiem.

W tym samym mniej więcej miejscu co ostatnio natknęli się na owce. Ale tym razem stało się to na prostym odcinku, więc Dan Pedersen zobaczył je i zdążył zahamować.

Siedzieli w milczeniu, patrząc, jak stary pasterz biega, usiłując spędzić owce z drogi. Pędził to tu, to tam w rozwianych łachmanach, rzucał się jak aktor w amatorskiej farsie, ale ani razu nie odważył się spojrzeć na ludzi w samochodzie.

- Wyjście dzieci Izraela z Egiptu, reżyseria Mack Sen- nett - powiedział Dan Pedersen i splunął w kurz przydrożny-

W końcu psu udało się utrzymać owce na poboczu drogi.

Gdy samochód przejeżdżał, stary stał z kapeluszem w ręce i z opuszczoną głową. Dygotał całym ciałem.

Siglinde czuła się zakłopotana. Wolałaby wysiąść i poklepać go przyjacielsko albo dać mu pieniądze czy cokolwiek innego.

Gdy podjechali do nabrzeża, Santiago i Ramón już stali w łodzi. Wyjęli już wędkę i chleb i wlewali właśnie-benzynę do kanistra. Obaj byli boso, ubrani w niebieskie spodnie i czarne koszule. Ramón podniósł głowę i roześmiał się pokazując białe zęby. Był nie ogolony, a ciemne włosy rozwiewały się wokół głowy jak chmura. Santiago nic nie powiedział, ale zanim podniósł rękę na powitanie, spojrzął na zegarek.

Dan Pedersen zeskoczył do łodzi, a Siglinde spuściła kolejno koszyki z ubraniami, dzbanem wina i jedzeniem. Santiago i Dan poupychali bagaż w schowku na dziobie. Siglinde zeskoczyła, zanim ktoś się pokwapił jej w tym pomóc.

Santiago przeszedł na rufę i odczepił łódź, przytrzymując ją mocno, by umożliwić Willemu zejście na pokład.

- On z nami nie płynie - powiedział Dan Pedersen.

Willi Mohr zrozumiał i potwierdził to przeczącym ruchem głowy.

Santiago rzucił na niego dziwne spojrzenie.

- Ach, on nie - powiedział i odbił.

Ramón pokręcił kołem rozpędowym, silnik zawarczał.

- Co myślisz o pogodzie? - pytała Siglinde.

- Nic groźnego - odrzekł Santiago nie patrząc na nią.

Silnik zaczął działać, Dan Pedersen chwycił wrzeciono sterowe.

Willi Mohr został na nabrzeżu z przyborami do rysowania, związanymi paskiem i przerzuconymi przez ramię. Podniósł palec wskazujący na znak pozdrowienia.

Tamci z łodzi kiwali na pożegnanie.

Łódź wzięła kurs na latarnię przy wejściu do przystani, zostawiając za sobą szeroki łuk piany. Siglinde, klęcząc na rufowej ławeczce, patrzyła, jak domy puerto malały, stawały się coraz bardziej niewyraźne i bezkształtne w tym dziwnym świetle. Słoneczna mgła zdawała się gęstnieć i wypełniać całą

dolinę, a dalej w głębi ładu przez przesmyk w łańcuchu górskim nadciągały już powolne uroczyste chmury. Wciąż było gorąco i duszno i Siglinde miała nadzieję, że na pełnym morzu będzie przynajmniej jakiś przewiew.

Równo perkocący silnik napełniał otuchą a jolka przyczepiona na linie do rufy podskakiwała na rozkołysanym to- rze wodnym. Jolka służyła do połowu kalmarów i właściwie nie było powodu, by ją zabierać. Ale kiedyś zabawiali się nią przy szkierach. Okrążyli latarnię i przepłynęli tuż koło miejsca, gdzie kąpali się nocą jakiś tydzień wcześniej. Siglinde przypomniała się fosforyzująca poświata i mroczna cisza a potem ta chwila, kiedy stała mokra, naga i bezbronna w stożku bladego światła. Wzdrygnęła się, nie wiadomo dlaczego.

Dan Pedersen zakręcił wrzecionem koła i łódź wzięła kurs na ujście zatoki. Skały po obu stonach były wysokie i strome, gęsto porośnięte piniami i niskimi suchymi krzakami.

Ramón przycupnął na dziobie i spoglądał w słońce. Widziała jego owłosione muskularne łydki i podeszwy stóp zgrubiałe i szare od kurzu. Pod prawą piętą miał dużą ciemną plamę oleju. Czasami odwracał się i śmiał do nich. Wtedy spomiędzy białych zębów wychylał się język.

Santiago, siedząc na ładowni ze skrzyżowanymi nogami, systematycznie i starannie wykrawał małe kwadratowe kawałeczki z białego i przezroczystego mięsa kalmarów. Każda z linek miała osiem haczyków i nadzianie przynęty na wszystkie wymagało dużo czasu. Nie odrywał wzroku od swej pracy. Długi ostry nóż w jego ręce połyskiwał w świetle słońca.

Okrążyli najbardziej wysunięty cypel i napotkali martwą falę, przetaczającą się od wschodu, długą, miękką, regularną. Za każdym razem gdy dziób unosił się na fali, słony bryzg spadał na łódź cieniutką rozmigotaną chmurką. Mimo że wciąż było gorąco, Siglinde czuła, że dostaje gęsiej skórki na ramionach i udach. Miała ochotę wyciągnąć się na pokładzie, ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu chciała być jak najbliżej męża, więc została na miejscu. Gdy się odwróciła w kierunku ładu, zobaczyła na szczycie najwyższej ze skał

gwardzistę. Stał z karabinem na plecach pochylony nad rowerem. Obserwowała go długo, póki nie stał się małym ciemnym zarysem, zastanawiała się, czy rzeczywiście mógł aż tam wjechać na rowerze.

Gdy znaleźli się głębiej na otwartym morzu, fala zwiększyła się, ale nadal była dobrotliwa i bynajmniej nie przykra. Morze przesuwało się ku nim długimi miękkimi grzbietami, teraz wyraźnie widać było szkiery jako nieregularną grupę małych czarnych sylwetek na tle rozmigotanego horyzontu. Żeby do nich dopłynąć, potrzebowali mniej więcej godziny.

Santiago wciąż siedział na środku pokładu ze skrzyżowanymi nogami i wciąż zajęty był haczykami, nie podnosił oczu. Czasami coś sobie zanucił, ale nie odzywał się.

Ramón opuścił swe miejsce na dziobie i przysiadł w kucki koło silnika. Parę razy pomajstrował przy regulatorze gazu, potem gapił się na kolana i uda Siglinde.

Czuła się naga pod jego spojrzeniem. Wolałaby mieć na sobie długie spodnie i sweter. Zastanawiała się nawet nad możliwością przebrania się, ale uznała, że to mogło wydać się śmieszne i niedorzeczne. Poza tym dzinsy były ciasne i nie mogłaby wciągnąć ich na szorty. A przebierać się w otwartej łodzi nie chciała.

Po krótkiej chwili Ramón podniósł oczy, spojrzał jej w twarz i uśmiechnął się. Coś zawołał do Dana, a tamten mu odkrzyknął, ale nie zrozumiała, co mówią.

Ławica świnek morskich przepływała po obu stronach łodzi. Przewracały się z leniwym rozbawieniem w ciemnej, głęboko zielonej wodzie, a jedna z nich była tak blisko, że gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby poklepać ją po lśniącym, ołowianoszarym grzbiecie. Siglinde znowu spojrzała na skały. Bardzo się już zbliżyły i ich chropawa mokra czerń wydała się jej groźna. Wiele razy je już przedtem widziała, ale nigdy w ten sposób.

Siglinde przechyliła się przez reling i przesunęła prawą ręką po ciepłej pluskającej wodzie.

Pozbierajże się, dziewczyno, myślała. Bo to nie ma sensu.

A wkrótce potem: Będziemy łowić ze dwie godziny, o trzeciej,

najpóźniej o czwartej będę w domu z powrotem. Z każdą mijającą minutą jestem bliżej domu.

Rozejrzyjże się dokoła, a zobaczysz, że wszystko jest jak zawsze, pogoda zupełnie znośna, siedzisz w tej samej starej łodzi, z tym samym starym Danem... i tym samym starym Santiagiem... i tym samym starym Ramonem...

Wyprostowała się gwałtownie. Najbliższa ze skał była tuż. Wysoki, czarny, kamienny wierzchołek, ukośnie wynurzający się z morza, otoczony wąską wstęgą bulgocącej piany. Ramón znowu usiadł na dziobie, śpiewał i śmiał się do słońca.

Santiago uporał się z haczykami. Odwrócił głowę i spojrzał na jej nogi, zwilżając przy tym wargi językiem.

Przełynęli w odległości kilku metrów od pierwszej skały i wjechali w archipelag. Tu już prawie nie czuło się kołysania fali, Ramón przestawił regulator i silnik wolniej teraz pyrkał. Bładoniebieski dym spalin ciągnął się za rufą lekką chmurką, rozplywając się nad wodą. Skały były wulkaniczne, mocno zwietrzałe. Wiele było małych i zaledwie wznoszących się nad powierzchnię wody, inne były wielkie i wysokie, o stromo opadających zboczach. Gdy się wjechało między skały, robiły wrażenie ruin jakiegoś bardzo dawno temu opuszczonego miasta pustynnego. Tu i ówdzie były laguny i zaciszne zatoki z niewielkimi plażami, zasypanymi miałkim żwirem i sproszkowanymi muszlami ślimaków.

- Jedziemy chyba w to miejsce gdzie zawsze - powiedział Dan Pedersen.

Santiago rozejrzył się i kiwnął głową.

- Po południu będzie pewnie wiatr. Chyba długo nie zostaniemy.

Nie zostaną długo... Siglinde doznała nieuzasadnionej ulgi, ale zaraz znowu się przeraziła. Może mającego nadejść sztormu.

Trudno jej było spokojnie usiedzieć, nieustannie splatała palce. Zauważyła, że Santiago spojrzał na jej ręce. Rozsunęła więc palce i przycisnęła obie dłonie do ławeczki, na której siedziała. Czuła słoje suchego, ciepłego od słońca drewna, ale to nie dawało żadnej otuchy.

Wiele razy tu byli i znali ten archipelag równie dobrze jak bracia Alemany. Dan zręcznie i ze świadomością celu manewrował w wąskich przesmykach, biorąc kurs na największą z wysepek, wysoki wydłużony grzbiet skalny, najgłębiej prawie wysunięty w morze. W kilka minut później okrążyli jej północny kraniec i łódź posuwała się wzdłuż zewnętrznego brzegu wyspy, tuż pod ścianą skalną. Ramón zastopował gaz, a Dan unieruchomił ster. Gdy silnik zamilkł, Siglinde usłyszała krzyk ptaków morskich, a także opadanie i wzbieranie fali głębiej w morzu.

Łódź przestała się posuwać. Kołysała się wolno na fali, zaledwie o pięć metrów od skały. Tamci wstali, zaczęli zbierać rybackie przybory. Siglinde siedziała.

Wysepka miała ćwierć kilometra długości, jej brzeg wznosił się na jakieś czterdzieści metrów. Od strony zewnętrznej skała prawie prostopadle opadała w morze i nie było tam gdzie nogą stąpnąć. Na szczycie znajdowała się nieczynna latarnia morska, wykuta w kamieniu, bardzo dawno temu zbudowano ją z wielkim trudem. Potem okazało się, że przy złej pogodzie latarnia jest bezużyteczna, gdyż chmury opuszczały się tak nisko, że ją zupełnie zasłaniały. Kolejni latarnicy stopniowo popadali na tym miejscu w szaleństwo. Potem kamienną latarnię zastąpiły dwie niewielkie automatyczne latarnie metalowe, po jednej na każdym cyplu. Obecnie wysepkę odwiedzali jedynie rybacy i łodzie policyjne polujące na wrogów państwa.

Kiedy Siglinde spojrzała w górę, zobaczyła, że zbocze góry jest nachylone w niewłaściwą stronę i że najwyższa krawędź skały znajduje się prosto nad jej głową. Duże białe ptaki wystrzeliwały ponad tę krawędź jak wyrzucone z kaptuły. Ptaki fruwały, zataczając wielkie kręgi, potem znikwały tam, gdzie góra ograniczała pole widzenia. Jeszcze wyżej było niebo, pokryte srebrzyście białą, lśniąca mgłą.

Dan żartobliwie trącił ją w ramię i podał jej przypon z ołowianką i ośmioma haczykami z przynętą. Wzięła machinalnie lewą ręką. Dan podniósł kwadratową drewnianą ramę z liną i też jej podał.

- Coś ty taka roztargniona - powiedział z pewną irytacją. -
Źle się czujesz?

Siglinde, zmuszając się do nikłego uśmiechu, powiedziała:

- Ależ nie, kochanie, dobrze się czuję.

Zostawił ją i poszedł na dziób. Łódź zakołysała się pod jego krokiem.

Siglinde siedziała nieruchomo, patrząc na tamtych. Ramón i Santiago uplasowali się w połowie pokładu, każdy po innej stronie. Haczyki już zarzucili. Ramón przykucnął, łokciem wspierając się o reling, zgiętym środkowym palcem przytrzymał linę. Wpatrywał się w Siglinde wielkimi błyszczącymi oczami, usta miał półotwarte, widziała koniuszek języka między czerwonymi wargami. Santiago był wpół zgięty, pochylony nad relingiem. Zdawał się patrzeć wprost na ścianę skalną. Siglinde wzdrygnęła się i upuściła przypon z haczykami. Wpadł w wodę z lekkim pluśnięciem.

Gdy zaczęła wybierać linę, Santiago odwrócił się i po raz pierwszy od opuszczenia puerto spojrzał na nią.

- Wypuść całą linę - powiedział.

Jego piwne oczy były chłodne i obojętne. Patrzył jej w twarz nie uśmiechając się.

Linka była bardzo długa, trzymając ją na wskazującym palcu Siglinde czuła wibrację, gdy woda poruszała linką.

Spojrzała na ścianę skalną, mokrą, czarną i lśniąca, i na drażące ją wolno drobne niezmordowane fale. Przypomniało jej się, że ilekroć tu byli przedtem, zawsze było wesoło. A dziś wszystko jakoś inaczej i nie mogła obronić się przed myślą: Za trzy godziny będę w domu.

Nie miała zegarka i próbowała ocenić, ile czasu minęło. Przez długą chwilę liczyła sekundy. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście, szesnaście, siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści, trzydzieści jeden, trzydzieści dwa, trzydzieści trzy, trzydzieści

cztery, trzydzieści pięć, trzydzieści sześć, trzydzieści siedem, trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć, czterdzieści, czterdzieści jeden, czterdzieści dwa, czterdzieści trzy, czterdzieści cztery, czterdzieści pięć, czterdzieści sześć, czterdzieści siedem, czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt jeden, pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt trzy, pięćdziesiąt cztery, pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt sześć, pięćdziesiąt siedem, pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt dziewięć, sześćdziesiąt.

Nie ma nic dłuższego niż minuta, pomyślała Siglinde Pedersen.

Nikt na łodzi nie odzywał się, bo nie mieli zwyczaju gadać podczas połowu.

Od czasu do czasu ktoś wybierał linkę, zawsze na haczykach tkwiły ze dwie, trzy małe bladoczerwone rybki. Odczepiano je i rzucano na pokład, gdzie kilka razy zatrzepotawszy umierały. Potem na opróżnione haczyki zakładano nową przynętę.

Siglinde długą chwilę rejestowała słabe sygnały alarmowe objawiające się drganiem linki, nim zaczęła ją wybierać. Szło to powoli, bo czuła się wyczerpana i ramiona miała bezsilne. Złapały się jej cztery sztuki z tych małych czerwonych z kolczastymi płetwami, odczepiła je i zobaczyła, jak haczyki rozrywają ich małe czerwone pyszczki. Spuszczając znowu linkę pomyślała, że jeżeli poczeka dłużej od jednego do drugiego podebrania, nie będzie tego musiała robić więcej niż jakieś trzy, cztery razy.

Po krótkiej chwili ryba znowu wzięła, ale Siglinde nie ruszyła się, patrząc w ciemną, zieloną wodę. Wysoko nad sobą słyszała krzyk ptaków. Muszę tu już być jakieś pół godziny, może nawet trzy kwadransy.

Siglinde czuła nieopanowany strach, nie wiedząc dlaczego. Uciekała się do wszelkich możliwych sposobików, by stłumić niepokój. Myślała o różnych rzeczach.

A tamci w równych odstępach czasu wyciągali linki i zdejmowali z haczyków czerwone rybki.

Siglinde myślała: Usmażę dziś rybę. Te są łososiowate, delikatne. I drogie, gdyby je trzeba było kupić. Kilka sztuk

jednak schowam i jutro ugotuję zupę rybną. Najpierw wyopatroszę i ugotuję zupę na łbach i wnętrznościach, może dołożę ze dwie z tych najgorszych rybek, jeżeli się takie trafią. Ugotuję w dużym garnku, zaleję to wszystko kilkoma litrami wody. Musi się długo gotować i trzeba porządnie posolić. Potem przecedzę przez płótno, żeby tylko czysty wywar został. Gotowane łby i wnętrzności dam kotu, surowej ryby nie dostanie, bo miałyby potem robaki. Kupię szafranu, pietruszki i suszonych pimentos i zwykłej złotej cebuli, posiekam to wszystko, dodam do wywaru razem z porami. I trochę ryżu. Ryż i pory mam w domu. Dobrze byłoby włożyć i kawałek bobkowego liścia, ale w tiendzie chyba nie dostanę. Mogę oczywiście zapytać, żebym tylko nie zapomniała. Potrzebne mi także będą suszone pomidory i papryka, trochę oliwy też, bo Willi lubi, żeby w zupie pływały oczka tłuszczu. Potem pogotuję jeszcze co najmniej z pół godziny pod pokrywką, aż zakipi, włożę kilka oczyszczonych rybek, przynajmniej pod dwie na każdego. Potem usiadziemy sobie w kuchni na kamieniach i zjemy zupę, tym razem zrobię taką dobrą, bo już się nauczyłam i wiem, jak trzeba. Musi być esencjonalna...

Poczuła nagle, że dłużej już nie może, zwiększyła się częstotliwość i siła drobnych drgań linki, ale nie mogła się zmusić do wyciągnięcia zdobyczy.

Zmusiła się natomiast do spojrzenia w inną stronę. Gwałtownie odwróciła głowę i zobaczyła otwarte morze, rozpościerające się poza skalistymi wysepkami. Nad horyzontem wznosiła się biała obudowa dużego statku pasażerskiego wolno prującego szlak z północy na południe. Po kilku minutach powędrowała spojrzeniem do mężczyzn na łodzi. Dan właśnie wybierał linkę. Ramón jawnie się w nią wpatrywał. Santiago także spoglądał w jej stronę, ale tak jakby obserwował coś znajdującego się za jej plecami.

Siglinde zadrżała i znowu spojrzała na chropawą czarną ścianę skalną.

Usiłowała znaleźć nowy przedmiot odwracający uwagę. W desperacji chwyciła się tego, czym posługiwała się bardzo

rzadko i tylko w ostatecznym wypadku.

Pomyślała o człowieku, z którym żyła, nim spotkała Dana.

Pracowała wtedy w biurze projektów, dobrze się tam czuła, choć było nudno. On pracował w biurze ogłoszeń i był bardzo dobrze ubranym i gładko uczesanim młodym człowiekiem, starannie wychowanym; wszyscy mówili, że ma ujmujący sposób bycia. Zetknęła się z nim już w szkole zawodowej, wtedy był taki sam. Mieli pewne cechy wspólne i lubiła go właściwie, przynajmniej czasami. Zajmował dwupokojowe mieszkanie, bardzo czyste i praktyczne, urządzone w modernistycznym, pseudoartystycznym stylu, geometria na ścianach, chłodno bezosobowe bryły na suficie. Ten człowiek raz lub dwa w tygodniu zmieniał się, zdzierał z niej ubranie, przewracał ją na co popadło, na dywan czy łóżko, czasem nawet w kuchni na podłogę. Zdarzało się to najczęściej w sobotę, czasami także w środy wieczorami. Gdy była naga, rozsuwał jej uda, pamiętała, że miał dość szerokie biodra i czarny zarost na piersi i brzuchu. Gryzł ją w piersi, w ramiona, w podbródek, w poniedziałki miewała na ciele czerwone ślady, które w środku tygodnia bladły, by zupełnie zniknąć przed następną sobotą. On robił wszystko bardzo szybko i brutalnie, czasami bywał impotentem i rozpaczliwie gryzł ją w szyję, a ona nie bała się, tylko była bardzo zażenowana, gdyż mimo wszystko nie miała doświadczenia i nie wiedziała, jak się zachować. Z początku wydawało jej się, że właściwie wszystko jest dobrze, ale dość szybko straciła zainteresowanie. Znacznie później odkryła, że wtedy właśnie nauczyła się nienawidzić i podejrzewać ludzi, którzy potrafili być tak zmienni. Wciąż jednak wspomnienie pewnych sytuacji z przeżyć na dywanie i kuchennej podłodze budziło w niej podniecenie.

Siglinde wciąż widziała przed sobą czarną, ociekającą wodą ścianę skalną. Miała gęsią skórkę na całym ciele, a strach stał się dziki i nierozumny. Niejasno pojmowała, że jej myśli idą w złym kierunku.

I właśnie wtedy chwyciła duża ryba. Ciężar i potężne szarpnięcie sprawiły, że linka przesunęła się jej między palcami, lecz Siglinde owinęła ją sobie tylko wokół dłoni, by

jej nie wypuścić. I siedziała tak długą chwilę, póki Dan nie powiedział:

- Siglinde, masz dużą rybę.

Zacząła powoli wybierać linkę, cały czas patrząc w wodę. Wkrótce zamigotało tam w głębi, duża ryba rzucała się na wszystkie strony, chcąc się uwolnić. Była coraz bliżej i bliżej, wcale nie taka wielka, ale jednak, ze czterdzieści centymetrów długości. Złapały się także trzy małe czerwone rybki, cztery pozostałe haczyki były puste. Wrzuciła zdobycz do łodzi i wtedy właśnie duża ryba uwolniła się i wpadła jej między nogi. Była brzuchata i mieniąca się zielenią i fioletem, Siglinde widziała jej wielkie, zimne, okrągłe oko. Wzięła ją w obie dłonie i usiłowała uderzyć jej grzbietem o jeden z leżących na pokładzie kamieni, lecz choć uderzała kilka razy, udało jej się tylko zwiększyć jej mękę. W końcu dała za wygraną. Ryba wysliznęła jej się i poleciała na pokład.

Santiago, nie patrząc na Siglinde, postawił bosą stopę na rybie, wyjął noż z futerału i dźgnął ją w kark. Ryba umarła natychmiast.

Siglinde znieruchomiła patrząc na nóż. Dłonie miała zimne i kleiste, na palcach zostało trochę rzadkiej krwi.

— To się nazywa mieć szczęście - powiedział Dan. - Przecież tobie się nawet linki trzymać dziś nie chce.

Siglinde otrząsnęła się. Całe ciało miała spotniałe, a serce łomotało gwałtownie.

Ramón gapił się na nią pożądliwie i niepoohamowanie.

Raz po raz wracała tylko jedna jedyna jasna myśl: Żeby tylko wrócić do domu, żeby tylko wrócić do domu, wszystko zrobię, żeby tylko wrócić do domu, żeby tylko...

Santiago wyciągnął swoją linkę i nawinął ją na ramię. Uniósł się nieco i spojrzał na morze.

- Teraz zaczyna się wiatr - powiedział. - Chyba lepiej będzie wracać.

Wzdłuż linii horyzontu mgła bardziej poszarzała i zgęstniała. Woda nieco mocniej uderzała o skały. Wysoko w górze krzyczały ptaki.

Siglinde wróciła do rzeczywistości. Zamrugowała i rozejrzała

się dokoła, jakby się właśnie zbudziła z koszmarne go snu. Serce wciąż łomotało i strach wciąż tkwił w przeponie, ale nagle wszystko wydało się znowu takie, jak zwykle. Teraz wyruszą z powrotem i nic się nie zdarzy, i za godzinę będą w domu. Wierzchem dłoni wytarła pot z czoła, uśmiechnęła się z zakłopotaniem i usadowiła na rufowej ławeczce.

Santiago zgarnął ryby i wrzucił je do płaskiego kosza. Dan i Ramón zwinęli wędki.

Na horyzoncie ciemniało coraz bardziej i słaby podmuch wiatru przeciągnął wzdłuż skał.

Dan wstał, przeskoczywszy przez Ramona przeszedł na rufę i usiadł przy sterze, uruchomił go i mocno ujął trzon steru.

- Jak się czujesz, kochanie? - spytał gładząc Siglinde po policzku.

- Ależ zupełnie dobrze, dobrze.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Boisz się? - spytał.

- Troszkę - powiedziała Siglinde.

- Moja mała, nie ma się czego bać. -I Dan Pedersen roześmiał się.

Santiago przysiadł na skrzyżowanych nogach i porządkował wędki.

Ramón klęcząc na pokładzie manipulował kołem napędowym. Po drugim obrocie silnik zapalił i zaczął działać. Łódź szybko popruła wzdłuż ściany skalnej.

Dan Pedersen odbił nieco od lądu i wziął kurs na południe, aby okrążyć szkiery. Wyszli z rzucanego przez skałę cienia w słońce, Dan spokojnie i uspokajająco położył dłoń na udzie Siglinde, tak wysoko, że dwa palce wsunęły się pod krótką i szeroką nogawkę i dotknęły kilku włosków, które utkwily między skórą a przyciskającą je gumką majtek. Mieli przed sobą trzon steru, każde trzymało zań ze swej strony.

Siglinde poczuła powracającą ufność. Spojrzała na braci Alemany, wyglądali jak zawsze. Santiago, pochylony nad haczykami, coś sobie nucił przy pracy. Ramón przykucnął koło silnika i majstrował przy regulatorze.

Dan przełożył ster, okrążyli południowy cypel wysepki. Tu

już fala była dość silna i jolka na lince skakała w górę i w dół.

Siglinde po omacku szukała papierosów pod ławeczką. Za godzinę będą w domu.

Wtedy właśnie silnik zaczął się zacinać. Nie stanął, tylko pracował ciężko i nierówno.

- A cóż to takiego? - powiedział Dan Pedersen.

Ramón zajął do wnętrza silnika, dotknął regulatora i potrząsnął głową.

- Lepiej od razu sprawdzić, nim na dobre ruszymy - powiedział Dan. - Wejźmy tu w zatokę, unikniemy dryfowania.

Przyciągnął do siebie trzon steru, łódź odwróciła się znowu ku szczyrze długim skosem. Silnik działał coraz słabiej.

Od zachodu szkiera wyglądała inaczej niż od strony morza. Stok góry był łagodniejszy, a wybrzeże poprzecinane długim szeregiem odrębnych kamienistych zatoczek, gdzie woda była spokojna, zaś wąskie plaże pokryte sproszkowanymi skorupkami ślimaków. Tu właśnie przy południowym krańcu była ustronna zatoczka, w której dawniej kąpali się kilka razy.

Gdy minęli wąskie wejście do zatoczki, silnik stanął. Łódź wolno sunęła po wodzie, póki dziób nie zarył się miękko w pasmo płowożółtej plaży.

- Tylko spokojnie, zaraz to naprawię - powiedział Dan.

- Ja wiem, co to takiego — powiedział Santiago — to olej na świecy zapłonowej.

Już zaczął się podnosić.

- Eee, niech Dan to załatwi, jak ma taką ochotę - powiedział Ramón ze śmiechem.

Dan ukląkł przy silniku. Ramón stał tuż za nim trochę z boku, z rękami na kolanach. Santiago wstał.

- Daj mi klucz śrubowy — powiedział Dan Pedersen.

Siglinde wciąż siedziała na przedniej ławeczce.

Czas się zatrzymał. Każdy szczegół nabrał rażącej ostrości, jak w znieruchomiałym świetle błyskawicy.

Siglinde zrozumiała, czego się bała, zrozumiała, że miała rację i że jest już za późno.

Dan Pedersen leżał martwy, padł na twarz.

Ramón Alemany schylił się, podniósł z pokładu jeden z

kamieni obciążających i zmiądzzył mu głowę.

To, co pozostało, było stalowym błyskiem przerażenia i strachu odbitym w lustrach ich oczu.

Siglinde leżała na brzegu na wznak, Santiago trzymał ją za ramiona, a Ramón zdierał z niej szorty i majtki. Czowała smród potu i ryby, wydzielający się z ich koszul. Wysoko nad nią białe ptaki wlatywały nad skały jak wystrzelone z katapulty.

Chciała żyć, dlatego stawiała opór.

W pół godziny później ją też zabili.

Rozdział czwarty

1

Willi Mohr miał bliskiego przyjaciela, który nazywał się Hugo Spohler.

Poznali się w końcu zimy 1951 roku w obozie repatriacyjnym pod Kolonią, gdzie mieszkali w drewnianym baraku i zajmowali górne prycze w tym samym rzędzie. We dnie pracowali przy odgruzowywaniu, a wieczorami i nocami prowadzili rozmowy. Zima była chłodna, szara i błotnista, prawie codziennie padało.

Willi Mohr przeszedł granicę między strefami w Berlinie przed kilku tygodniami, dostał w komendanturze nowe dowody tożsamości brytyjskiego sektora i został wysłany na zachód. Tęsknił do matki, która została w Domburgu, i już zaczynał żałować, że przeszedł na tę stronę.

Hugo Spohler był Saksończykiem z Drezna, wszyscy jego bliscy zginęli podczas wielkiego ataku lotniczego pod koniec wojny albo w zamieszaniu, jakie nastąpiło po nim. Hugo był o cztery lata starszy od Willego i w szkole jeszcze został wybrany do oddziałów specjalnych. Był niebieskooki, szeroki w ramionach, miał metr osiemdziesiąt siedem wzrostu, a więc więcej niż zadowalająco spełniał żądane warunki fizyczne, chociaż nie był zbyt silny.

Obecnie dokuczał mu wrzód żołądka i stara rana postrzałowa, już dawno udało mu się przekupić pewnego lekarza, który usunął mu operacyjnie tatuaż SS na lewym przedramieniu.

Wojna skończyła się dla niego latem 1944, gdy w Normandii poddał się indywidualnie Amerykanom, jego jednostka została uprzednio okrążona i rozbita na małe grupki. Stało się to jasnym wczesnym rankiem. Pochyliwszy się biegł wąską dróżką między wysokimi krzakami. Biegając trzymał pistolet w wyciągniętej ręce, tak by w chwili zaskoczenia móc się nim posłużyć albo go odrzucić, zależnie od sytuacji. Za ostrym

zakrętem zderzył się z żołnierzem amerykańskim, podał mu pistolet na otwartej dłoni, mówiąc:

- Souvenir.

Zaskoczony Amerykanin przyjął broń i tym samym Hugonowi Spohlerowi udało się osiągnąć właśnie to, do czego świadomie zmierzał: został jeńcem wojennym.

Ponieważ należał do SS, przewieziono go do Stanów Zjednoczonych i nie odesłano z powrotem przed ostatecznym upewnieniem się, że jest osobą najzupełniej pozbawioną znaczenia.

Przed owym wczesnym pogodnym rankiem w krzakach Hugo Spohler zdążył dokładnie zapoznać się z wojną. Do Francji przybył po wielkiej ofensywie 1940 roku i został skierowany do Bajonny. Było to przyjemne odkomenderowanie i bardzo był z niego kontent, lecz po upływie roku zasnął u pewnej siedemnastoletniej francuskiej ekspedientki i nie zdążył stawić się na pobudkę. W tydzień później wysłano go na wschodni front. Czternaście miesięcy spędził na jednym z południowych odcinków frontu, gdzie zimą było trzydzieści stopni powyżej, a latem trzydzieści stopni poniżej zera. Jesienią 1942 odłamek granatu trafił go w prawe przedramię i został odtransportowany na tyły do włoskiego szpitala polowego. Uszkodzenie było poważne, rana źle opatrzona, a włoski chirurg miał oczy czerwone i zaropiałe po dziesięciu godzinach operowania, płaszcz zakrwawiony.

Obmacał ramię Hugo Spohlera i pokiwał głową. Potem wyjął z kieszeni kawałek niebieskiej kredki i przeciągnął kreskę nieco poniżej ramienia. Hugo usiłował go przekonać, ale nie mieli wspólnego języka, w którym mogliby się porozumieć, a poza tym Włoch był naprawdę bardzo zmęczony.

Gdy lekarz wyszedł, Spohlerowi udało się wstać z noszy i wydostać z namiotu. Na drodze zatrzymał wóz z taborów, który zabrał go do położonego dalej od frontu niemieckiego punktu opatrunkowego. W dwa tygodnie później dołączono go do odjeżdżającego na zachód transportu chorych. Uratował rękę, która bolała tak, że krzyczał, gdy uśmierzające działanie morfiny ustawało.

Po trzech miesiącach był ozdrowieńcem, choć nie nadającym się do służby pod bronią.

Przydzielono go do służb specjalnych i znowu wysłano do Francji, na wybrzeże północne, gdzie słońce nie było tak uwodzicielskie jak w Bajonnie. Duchowy klimat także stał się surowszy, ale to go nie obchodziło.

Hugo Spohler opanował sztukę zapominania o tym, co uznał za niegodne wspomnienia.

Podczas wojny nie udało mu się uniknąć zabicia kilku ludzi, sześciu może czy siedmiu, lecz nigdy o tym nie mówił ani nie myślał.

Bardzo dobrze przypominał sobie pępek i rzęsy francuskiej ekspedientki, ale zupełnie nie pamiętał, że pewnego ranka, nim ciepło ich wspólnego łóżka uleciało z ciała, uczestniczył w rozstrzelaniu trzech robotników, którzy - najprawdopodobniej niesłusznie - byli podejrzani o sabotaż.

Potrafił ze szczegółami opisać pewną ukraińską partyzantkę, którą on i jeszcze dwaj inni zgwałcili w stajni (miała nieprawdopodobnie wielkie sutki, czarno owłosione nogi, a co najdziwniejsze, była niewinna), natomiast nie zachował żadnego wspomnienia o przerażających scenach w punkcie opatrunkowym czy o włoskim chirurgu z niebieską kredką.

Ze szczęśliwych lat zapamiętał melodie, parady, führera, którego wielokrotnie przy różnych okazjach widział z bliska, dawno natomiast zapomniał o rudym feldfeblu, który czterdzieści razy z rzędu zmusił go do padnięcia plackiem w głęboką gliniastą kałużę na koszarowym dziedzińcu.

Hugo Spohler opowiadał o wojnie tak, jakby to była fantastyczna eskapada, pełna absurdalnie zaskakujących wydarzeń.

Zwycięzał przeszłość zapomnieniem, a terażniejszość optymizmem, zmyśleniem oddalał od siebie smutki i trudności. Ludzie go lubili, był ciepły i gotów przyjmować życie takim, jakie jest, zawsze spoglądający w przyszłość.

Jego stosunek do Willego Mohra był mało skomplikowany -

Nie chciał bowiem uwierzyć, że ktoś, kto nigdy nic nie przeżył, mógł jednak być naznaczony przez swe przeżycia.

Ponieważ zupełnie nie miał zrozumienia dla wielorakich form depresji i braku odwagi, chmurną oziębłość Willego Mohra brał za prawdziwą niezłomność i perfekcjonizm, cechy, które zawsze podziwiał.

Hugo Spohler pustkę otaczającą Willego Mohra wypełniał gadaniną. Nie zapomniał Bajonny i pośród szarzyzny obozowej zimy, słoty i ubóstwa oddawał się niewyraźnym, ale tonącym w słońcu wizjom Południa. Bo Południe stało się jego Shangri-la, krainą szczęścia naiwnego eskapizmu.

Willi Mohr godzinami leżał z brodą wspartą na dłoniach i słuchał. Pomału przekonywał się, że nawet jego biernemu oporowi brak siły, potrzebnej do trwania. Że jest na drodze do poddania się.

Hugo Spohler pierwszy wydostał się z obozu. W tydzień później spotkał jakąś dziewczynę z Berlina i zmajstrował jej dziecko. Potem pożyczył od niej dwieście marek, wystarał się o paszport i na gapę pojechał w kierunku południowym. Przypadkowo wylądował w puerto i udało mu się tam utrzymać przez pewien czas.

Po czterech tygodniach wrócił, bez grosza, szczęśliwy, upojony przeżyciami. Namalował cztery wiejskie obrazy - przy pomocy pożyczonych farb i przyborów. Nieco później zdobył mieszkanie i ożenił się z ową berlinianką. Dziewczyna pochodziła z zamożnej urzędniczej rodziny, ale tylko ona jedna została przy życiu i nie posiadała nic prócz zdrowia, starannego wychowania i posady urzędniczki w biurze porad.

Tak więc Hugo Spohler, zorganizowawszy własną egzystencję, mógł się znowu zająć Willim. Wyciągnął go z obozu dla repatriantów, tak jak się wyciąga stary zapomniany kufer, i umieścił na poddaszu starej, walącej się, uszkodzonej przez bomby kamienicy czynszowej przy Zugasse, na lewym brzegu Renu.

Przedłużeniem pokoju Willego był wielki otwarty strych do suszenia bielizny, nad którym dach był zapadnięty, a po podłodze wałały się połamane dachówki i szczątki opalonych desek. Uprzątnęli to rumowisko i uszczelnili dach płytą laminowaną i papą. Mieli tam potem wspólne atelier, w

którym Hugo Spohler namalował wiele obrazów. Był zupełnie pozbawiony talentu, ale nie obawiał się krzykliwych kolorów i uważał swe malowidła za zupełnie dobre. Kilka z nich udało mu się sprzedać po piętnaście marek, co bardzo go zachęciło.

Willi Mohr miał ze swego okna widok na rzekę. Była jesień, mokro, mgliście, przepływające holowniki z przechylonymi do tyłu wysokimi kominami wyglądały we mgle jak zwidy, za holownikami chlupotał długi ciąg barek. Pewnego dnia Willi wypożyczył sobie farby Hugona, usiadł w oknie i namalował obraz. Ślęczał nad nim długo, ostrożnie dłubiąc pędzlem. Od czasu do czasu wydymając usta spoglądał taksująco w szare strugi deszczu.

Osiągnięty rezultat nappełnił Hugona Spohlera zdumieniem i entuzjazmem, Willi Mohr był bardziej trzeźwy. Od dawna wiedział, że powinien umieć namalować mgłę, żeby wyglądała jak mgła, a holownik jak holownik.

Hugo dostał za ten obraz siedemdziesiąt pięć marek, ale nie udało mu się nakłonić Willego, aby malował dalej w tym samym guście. Żaden z nich nie miał stałej pracy, ale od czasu do czasu byli dorywczo zatrudniani przy wyładunku albo przy jakiejś budowie. Willi Mohr przeważnie leżał na starym chwiejnym łóżku polowym i, paląc niedopałki osadzone w fifce, patrzył w sufit. Czasami zastanawiał się nad tym, co tu właściwie robi.

Hugo, którego żona w ósmym miesiącu ciąży musiała zrezygnować z pracy, stanął wobec zupełnie nowego problemu. W trzydziestym drugim roku życia po raz pierwszy musiał wziąć na siebie ekonomiczną odpowiedzialność za siebie i za kogoś drugiego. Pod żadnym względem nie czuł się już żołnierzem. Wojna skończyła się ostatecznie. Miał wrażenie, że trwała bardzo długo, zaczęła się kiedyś na początku lat trzydziestych, kiedy był małym chłopcem, i w pewnym sensie trwała także po tym pamiętnym ranku w zaroślach Normandii.

Tuż po Nowym Roku Willi Mohr i Hugo Spohler podjęli starania o pracę w charakterze dekoratorów w dużym angielskim domu towarowym, nastawionym głównie na ob-

sługiwanie sił okupacyjnych. Chociaż kwalifikacje miał niewątpliwie Willi, pracę dostał Hugo. Udało mu się także zainkasować wypłatę za tydzień z góry i uczcili to piwem i kilkoma kieliszkami wódki w piwiarni przy katedrze. Potem poszli do burdelu. Willi Mohr lubił ten burdel, bo był czysty, schludny, funkcjonalny i zupełnie bezosobowy. Mieścił się w nowo zbudowanym dwupiętrowym domu z żółtej cegły, wzdłuż korytarza prostytutki zajmowały jed- nakowiusieńkie pokoje z numerami na drzwiach. Zupełnie jak w szpitalu. Pokoje były porządnie wysprzątane, praktycznie urządzone, z narzutami i zasłonami w jasnych pastelowych kolorach; pensjonariuszki ubrane były w sweterki barwą harmonizujące z urządzeniem. Pracujące tam kobiety były dobierane z pewną starannością, aby przedsiębiorstwo mogło zaspokoić różne upodobania, jeśli chodzi o tuszę, wzrost czy kolor włosów. Willi Mohr nie miał skłonności do żadnego określonego typu, unikał tylko zwykle niebieskookich. Sam nie wiedział dlaczego.

Hugo Spohler powiedział, że burdel jest przefajnowany kolorystycznie i kręcił nosem na to, co Willi Mohr uważał za zdecydowane udoskonalenie w porównaniu z burdelem, w którym bywał w Gotenhafen podczas wojny.

Po wizycie w burdelu kupili litr wina i wypili siedząc na łóżku w pokoju Willego. Na dworze deszcz, monotony, szary, syreny holowników wyły we mgle. Na nadrzecznych ulicach szumiał i pobrząkiwał niemiecki cud gospodarczy.

Podobnie jak w repatrianckim obozie Hugo robił, co mógł, by zagadać atmosferę przenikliwego chłodu. Po wyprawie na południe nie był już skazany wyłącznie na własną fantazję, miał pewne doświadczenia. Toteż jego argumentacja stała się bardziej przekonująca.

Willi Mohr słuchał opierając się o ścianę. Podciągnął nogę, postawił ją na kancie łóżka i balansował szklanką na kolanie.

- Trzeba się wypowiedzieć i tylko to jest istotne - mówił Hugo. - Wypowiedzieć się poprzez farby, słowa czy tony. Dlaczego tu trudno jest się wypowiedzieć? Dlatego, że tu nie ma nic, co chcielibyśmy wyrazić. I nie tylko, także dlatego, że tu cholernie dużo nas wiąże, przeszkadza. Ty mógłbyś zostać

wielkim malarzem, gdybyś miał właściwe środowisko i atmosferę do pracy. Ja może też. Willi, posłuchaj mnie raz wreszcie...

- Ja cię zawsze słucham - poważnie odpowiedział Willi.

- Nie chcesz spróbować?

Willi Mohr pociągnął wina, które było tanie i kwaśne. Spojrzał w okno i kiwnął głową.

- Okay, spróbujemy - powiedział.

Tego właśnie wieczoru powzięli postanowienie. Postanowienie, które dla Willego Mohra miało rozstrzygające znaczenie, a dla Hugona Spohlera właściwie żadnego.

Będą gorliwie pracować przez półtora roku i oszczędzać każdy fenig. Potem pojadą do Hiszpanii, pomieszkają tam z rok, będą malować. Być może, jeśli pieniędzy starczy, Hugo zabierze z sobą rodzinę.

- Chociaż z drugiej strony—mówił Hugo - nie przypuszczam, żeby Marię mogło to naprawdę ucieszyć. W przyszłym roku znowu zaczniesz pracować, może i lepiej, zarobi na utrzymanie swoje i dziecka.

Gdy Hugo wyszedł, Willi Mohr rozebrał się i włożył do łóżka. Był trochę pijany, pościel wydała mu się wilgotna i zimna. Lecz w głębi jego świadomości zbudziła się do życia wyczekująca nadzieja, zastanawiał się, czy kiedykolwiek uda mu się zaznać choćby cienia tego upajającego szczęścia, jakie Hugo potrafił wywołać jedynie przy pomocy własnej fantazji.

W trzy dni później znalazł sobie pracę i na zawsze opuścił poddasze przy Zugasse.

Przez następny rok nie widzieli się ani razu. Willi wysyłał czasami widokówkę z lapidarnym tekstem, ale nigdy nie otrzymał słowa w zamian, może dlatego, że nie miał stałego adresu.

Gdy nadeszło lato, Hugo Spohler miał zaoszczędzonych trzysta marek. Pojechał do Hiszpanii na gapę i przez trzy tygodnie zażywał kąpiei. Powrócił do domu bogatszy o wielu nowych znajomych i podobiznę caudilla na jednym hiszpańskim duro, którego nikt nie chciał mu wymienić.

Następnego lata Willi Mohr wrócił do Kolonii. Mało się

zmienił, schudł jeszcze, o ile było to możliwe, sposepniał i oczy miał bardziej niebieskie. Zaoszczędził trzy tysiące pięćset marek i zamierzał jechać do Hiszpanii i malować.

Hugo Spohler trochę się zmienił. Chociaż wciąż nie miał pieniędzy, przytył i robił wrażenie zamożniejszego. Przeprowadził się do nowego mieszkania, miał czternastomiesięcznego syna, a jego żona znowu była w ciąży. Hugo obracał się w kręgach pasjonujących się buddyzmem i kulturą zen, był przekonany, że siłą woli mógłby leczyć wrzody żołądka. Wieczorami zajmował się układaniem skomplikowanego systemu informacyjnego, który uczyniłby go zamożnym. Z malowaniem skończył, ale w dalszym ciągu miał pewność, że przeniesie się do cieplejszych krajów. Kiedyś.

Willi Mohr czuł się trochę zawiedziony, ale uśmiechając się sardonicznie wmówił sobie, że w gruncie rzeczy tego właśnie się spodziewał.

Panem sytuacji był jak zwykle Hugo Spohler. Wziął dwa tygodnie urlopu i pożyczył dwieście marek z kapitału Willego.

- Wyprawimy się tam i pokażę ci miejsce najlepsze ze wszystkich. Przedstawię cię znajomym, dobrym ludziom, a potem, tak mniej więcej za rok, przyjadę po ciebie.

Śmiał się i klepał Willego po ramieniu.

- Przez ten rok masz tam żyć za nas obu.

W przeprawie dopisywało im szczęście. Ostatni kawałek przez granicę w Pirenejach musieli przejść piechotą.

W odległości dwustu metrów od wylotu ostatniego francuskiego tunelu w poprzek drogi przeciągnięty był żelazny łańcuch. Z blaszanej budki pod zboczem góry wyszedł gwardzista w zielonym mundurze i czarnej lakierowanej czapce. Miał na ramieniu karabin i przez chwilę oglądał ich wizy, potem ich przepuścił.

- Właściwa kontrola paszportów jest o kilometr dalej - powiedział podnosząc łańcuch.

Do puerto przyszli w środku lata i Hugo Spohler mógł zostać tylko przez tydzień. W dniu wyjazdu kupił w mercarii gruby notes w niebieskiej oprawie i podarował go Willemu.

- Powiedziałem przecież, że masz tu przez ten rok żyć za

nas obu. Chcę, żebyś w tym notesie dzień w dzień notował swoje wrażenia, tak jakbyś pisał list do mnie. Później, kiedy się spotkamy, przejrzymy wszystko, co zapisałeś. Pamiętaj, że masz na wszystkie możliwe sposoby wyrażać siebie.

W pół godziny później opuścił puerto. Pierwszy odcinek powrotnej drogi miał przejechać z Santiagiem Alemany półciązarówką do rozwożenia ryb.

Wtedy przedstawił Willego Mohra Danowi Pedersenowi i jego żonie. Wszyscy troje stali przed barem Jacinta i patrzyli za odjeżdżającym samochodem.

Przez cały następny rok Hugo Spohler nie miał wiadomości od Willego Mohra i bardzo rzadko o nim myślał. Tuż po Bożym Narodzeniu wystarał się o lepszą pracę, a później w lecie nie miał sposobności, by pojechać na południe.

2

Gdy Willi Mohr rankiem szesnastego grudnia obudził się, był sam w domu przy Barrio Son Jofre. Choć spał tylko cztery godziny, otrząsnął się z senności w tej samej sekundzie, w której się obudził. Otworzył oczy. Kot widocznie zmarł, bo wsunął się pod koc i leżał zwinięty w kłębek pod jego pachą. W domu było cicho, z zewnątrz też nie dochodziły żadne dźwięki, tylko szum wiatru, wiejącego daleko, nad grzebieniami gór. Już poprzedniego dnia po sjeście zerwała się wichura i żadne łodzie nie wypłynęły w morze, nawet duże kutry.

Odsunął kota i spojrzął na zegarek, leżący w zwykłym miejscu, na podłodze na lewo od materaca, razem z papierosami i pudełkiem zapalek. Było wpół do ósmej.

Willi Mohr wstał, zdjął górę piżamy poszedł do kuchni. Wyczyścił zęby, opłukał zimną wodą twarz i tors. Wrócił do pokoju, ubrał się, wypędził kota, który ponownie zwinął się w ciepłej pościeli, i otworzywszy drzwi starannie wytrze- pał koc i prześcieradła. Kot siedział na kamiennej podłodze i sennie mrużył oczy. Czekał na zakończenie ceremonii zaścielania, wtedy znowu będzie mógł się położyć.

Willi Mohr zapaliwszy pierwszego papierosa wyszedł na

schodki. Niebo było równomiernie zaciągnięte szarą powłoką i chociaż nie padało, powietrze było ciężkie, przesycone wilgocią. Mimo mgły i nisko zwisających chmur mógł dojrzeć, że wichura wściekle szarpie piniąmi na wierzchołku góry.

Przyniósł z kuchni lejek i oplatany gąsior z benzyną i przelał pozostałą resztę do baku kamionetki. Odstawiwszy na miejsce naczynia zdjął z wbitego w futrynę drzwi gwoździa słomiany kapelusz i zamierzał wyjść, ale zatrzymał się na progu, wrócił do pokoju i wyjął z chlebaka notes. Przysiadłszy w dole schodów, wiodących na pięterko, zaczął przewracać kartki.

Ostatnia notatka pochodziła sprzed przeszło trzech miesięcy i była bardzo krótka.

4 października godz. 22.30. Dziś przyniosłem chrustu, kąpałem się i grałem w ping-ponga z S. i D. Wydaje mi się, że zaczynam lubić...

Nie dokończył zdania.

Na najbliższych stronach były trzy czy cztery szkice domów i ulic i jeden osła ciągnącego kołowrót. Były też jakieś podsumowania wielu cyfr, ale zapomniał, jakie miały znaczenie.

Kartkował dalej, aż znalazł pustą stronę, odkręcił wieczne pióro, spojrzął na zegarek i napisał:

16 grudnia godz. 08.00. Wczoraj przez całe popołudnie i wieczór czekałem w puerto, ale nie wrócili. Przyszedłem do domu po drugiej w nocy.

Wetknął notes do tylnej kieszeni, wyszedł i uruchomił kamionetkę. Chwilę potrwało, nim ruszył. Suka znowu została na dworze po zamknięciu drzwi, nie zamierzał jej z sobą zabrać, ale tak długo biegła za samochodem, że zrobiło mu się jej żal i przystanął. Kiedy wciągnął ją na ławkę, poczuł, że zwierzę drży i serce mu lomoce.

W puerto panował wielki milczący spokój, jakby mieszkańcy jeszcze się nie przebudzili. Nabrzeże lśniło od wilgoci, woda była blada, wyrównana, jasnoszarymi tonami odbijało się w niej niebo. Wiele łodzi stało w porcie, lecz Willi natychmiast zauważył, że łodzi na kalmary wciąż nie ma.

Zaparkował kamionetkę przy nabrzeżu i zсадził sukę.

Wsluchując się z roztargnieniem w morze, szalejące za skałami, powoli przemierzał na ukos szeroką wybetonowaną płaszczyznę. Czekał tu już poprzedniego dnia przez dwanaście godzin, od drugiej po południu do drugiej w nocy. Nie mógł usiedzieć przez cały czas w kamionetce, przenosił się z kawiarenki do kawiarenki, nikt do niego nie zagadał, nikt w ogóle nie zauważył jego obecności.

Kupił w tiendzie bułkę i dwa plasterki czerwonej marmolady i usiadłszy przed najbliższym barem zamówił café eon leche. Wyplatane krzesło, choć stało pod markizą, miało poręcze lepkie i oślizgłe od wilgoci.

Dał suce połowę bułki i jeden plasterek marmolady, resztę wmusił w siebie, chociaż zupełnie nie czuł głodu.

Godzina minęła. Willi Mohr wciąż siedział w wyplatanim krzesle i wpatrywał się w zatokę. Jego oczy były niebieskie i pozbawione wyrazu. W porcie nie widać było żadnych oznak życia.

Pedro Alemany zszedł na nabrzeże z jednej ze stromych bocznych ulic. Żółtobrunatny wygasły papieros tkwił mu w kąciku ust, ubrany był w espadryle, czarną koszulę, czarne spodnie i baskijski beret. Z rękami w kieszeniach długą chwilę stał wpatrując się w ujście, niski, krępy, na szeroko rozstawionych nogach. Potem rozejrzał się dokoła i odkrywając Willego Mohra przed kawiarenką, ocieżałym krokiem przemierzył betonową płytę.

Niespiesznie podniósł krótki gruby palec i przytknąwszy go do skroni powiedział coś, czego tamten nie zrozumiał. Willi Mohr nie miał zdolności językowych i znał tylko niewielką ilość najpospolitszych słów.

Rybak zobaczywszy, że nie uda mu się porozumieć, wskazał najpierw na Willego, potem na morze i zrobił pytający gest.

Willy Mohr potrząsnął głową i Pedro Alemany chwilę stał milcząc.

Potem rozłożył ręce i powiedział z przesadnym naciskiem:

- Propablemente Villanueva.

Villanueva była małym łowiskiem położonym o milę w kierunku południowym, znacznie bliższym dla tych, którzy

przyplýwali z wysp. Rybacy zaskoczeni złą pogodą często tam właśnie szukali schronienia.

- Zatelefonować — powiedział Willi Mohr.

- Teléfono cascado - powiedział Pedro Alemany.

Zrozumiał, że ostatnie słowo nie trafiło do rozmówcy, wykonał więc rękami ruch, jakby coś rozrywał.

Rybak wskazał na morze i podniósł palec, jakby się w coś wsłuchiwał.

Willi z początku myślał, że rzeczywiście coś usłyszał, potem jednak zrozumiał, że tamten chce tylko podkreślić, jak zła jest pogoda.

- Mało, mało - powiedział Pedro Alemany trzęsąc głową.

To słowo nie wymagało bliższego wyjaśnienia.

Rybak wsunął rękę do kieszeni, wyjął wielką niklową cebulę, otworzywszy wieczko podsunął zegarek, kładąc kciuk na rzymskiej dwójce. Drugą ręką wskazał najpierw łodzie przy nabrzeżu, potem morze, kołysał przy tym gwałtownie ramionami.

- A las dos - powiedział.

Willi Mohr przytaknął. Widocznie zamierzają wypłynąć na poszukiwanie o drugiej, pomyślał, jeżeli nic się przedtem nie zdarzy.

Ojciec braci Alemany odwrócił się i odszedł.

Willi Mohr spoglądał za nim, póki nie zniknął w jakimś zaułku. Potem założył nogę na nogę i zapalił nowego papierosa.

Niedaleko od stolika stała mała brudna dziewczynka i wpatrywała się w niedojedzony przez sukę chleb i marmoladę.

Gwardzista na rowerze przejechał wzdłuż brzegu. Ciemnozielona gumowa peleryna okrywała mundur, a karabin był umocowany na rzemieniach wzdłuż ramy i bagażnika. Gdy mijał stolik, lufa przez chwilę była wycelowana wprost w siedzącego przy nim mężczyznę.

Willi Mohr ponad pięć godzin siedział w wilgotnym krześle, obserwując skąpe oznaki życia w puerto. Wypił kilka filiżanek kawy i raz tylko wstał od stolika, by pójść do estanco po nową paczkę papierosów. Suka leżała u jego nóg, czasem schylał się, by ją poklepać. Przewracała się wtedy na

grzbiet, żebrząc o pieszczotę, co skłaniało go do natychmiastowego cofnięcia ręki.

Nie czuł zdenerwowania ani niepokoju, tylko nie był w stanie zająć się czymkolwiek innym prócz tego właśnie: siedzenia i czekania. O wpół do drugiej wtoczył się na wybrzeże zielony autobus pocztowy, na co czekała już niewielka grupka czarno ubranych bab. Teraz pozbierały swe węzélki i kosze, wsiadły i siedziały w autobusie trzy kwadranse, póki nie wrócił kierowca, który, nim ruszył, kilkakrotnie nacisnął klakson, wydający przenikliwe żalodne wycie. Kilka obdartych niedorosłych dziewcząt z wiążkami chrustu na plecach przeszło drogą gęsiego. Potem na wybrzeżu zrobiło się cicho i pusto.

W jakieś pół godziny później autobus wrócił, o ile można było dostrzec, wypełniony tymi samymi babami i tymi samymi tobołkami.

Tuż przed trzecią Pedro Alemany ponownie zjawił się na wybrzeżu z trzema gwardzistami ubranymi w ciemnozielone impregnowane kombinezony. Gwardziści podeszli do pomalowanej na szaro policyjnej łodzi ratunkowej, wskoczyli do niej i leniwie zaczęli odpinać pokrowiec, chroniący wnętrze łodzi. Po chwili przyjechał na rowerze ca- bo.

Do puerto przysłano nowego szefa policji, przed czterema miesiącami, kiedy to wysiedlono stąd Dana i Siglinde Pedersenów i Willego Mohra. Ten nowy był niewysoki, krępy i starszy niż jego poprzednik. Zatrzymał się i oparłszy nogę o słupek rozmawiał z Pedrem Alemany. Od czasu do czasu przerywał rozmowę, żeby rzucić jakiś rozkaz ludziom w łodzi.

Willi Mohr wstał, podszedł do tej grupki. Tak długo siedział nieruchomo, że czuł ból w krzyżu i nogi miał zeszywniałe. Z początku tamci nie zwrócili na niego uwagi, potem ojciec braci Alemany spojrział w jego stronę i kiwnąwszy głową powiedział:

- Villanueva... no.

Natychmiast odwrócił się i dalej rozmawiał z cabo, podczas gdy ci w łodzi ślamazarnie przygotowywali się do wyruszenia.

Gwardziści przez chwilę usiłovali uruchomić silnik, potem dopiero odkryli, że benzyna się skończyła. Jeden z nich znalazłszy plastikowy kanister na dziobie, wyskoczył na

nabrzeże. Ociągając się poszedł w kierunku domów, minęło ze dwadzieścia minut, nim wrócił.

Ależ ratownictwo morskie, pomyślał Willi Mohr pogardliwie.

Gwardziści przelewali benzynę do baku i chwilę jeszcze manipulowali przy silniku. Potem wszyscy trzej wyskoczyli z łodzi i poszli do baru, gdzie wypili po filiżance kawy. Pedro Alemany wciąż rozmawiał z cabo. Willi Mohr odnotował, że ton rybaka stał się bardziej poirytowany, a cabo unosił brwi i żywo gestykulując wskazywał to na swych podwładnych, to na łódź i w stronę morza.

Trzej gwardziści wrócili i wysłuchawszy strumienia dalszych instrukcji swego szefa, zleźli na pokład. Potem silnik zapalił, odcumowali.

Barkas był szeroki, mocny, zbudowany z nitowanej blachy, miał liny przeciągnięte wzdłuż relingów, a na dziobie karabin maszynowy obciążony brezentem. Łódź szerokim łukiem wydostała się z basenu portowego, w niesamowitym oświetleniu wydawało się, że unosi się we mgle. Stojący na nabrzeżu podążali za nią spojrzeniem, póki nie zniknęła za falochronem. Willi Mohr stał w pewnej odległości od tamtych dwóch, nieruchomo, z rękami w kieszeniach.

Cabo jakby go teraz dopiero zauważył. Chwilę przyglądał mu się, rzucił jakieś pytanie Pedrowi Alemany.

Rybak odpowiedział tak wyraźnie, że Willi Mohr zrozumiał jego słowa:

- Przyjaciel Skandynawów.
- Aha-powiedział cabo. - Szkoda go. Jego przyjaciele...
- To są moi synowie - powiedział Pedro Alemany.

Willi Mohr wrócił do baru i usadowił się w tym samym krześle. Wypił jeszcze jedną kawę, obojętnie patrząc na podającą córkę gospodarza. Dziewczyna miała ze szesnaście lat i była dość świeża, z małymi okrągłymi piersiami, jasną cerą i żywym spojrzeniem. Miała jeszcze przed sobą kilka lat, nim zacznie rodzić. Potem otyłość, brud i niezaspokojenie.

Zakonnica minęła go i zniknęła w szparze między zaciągniętymi żaluzjami. Gdy w kilka minut później Willi Mohr wszedł do wnętrza po cukier, stała przy barze, czubkiem palca

wypróbując igłę strzykawki. Na ladzie siedział dzieciak z gołą pupą i wpatrywał się w strzykawkę wielkimi okrągłymi oczami. Zakonnica podeszła pod naftową lampę i zsunęła z czoła welon, żeby lepiej widzieć, wtedy zobaczył, że jest młoda i ma ładne rysy. Szyję miała nie umytą, a na czole tuż nad nasadą nosa duży czerwony pryszcz. Obrzuciła go krótkim płochliwym spojrzeniem.

Gdy Willi Mohr znowu siedział w swym wyplatany krześle, dosłyszał z baru przenikliwy krzyk dziecka.

W pół godziny później we mgle dało się słyszeć terkotanie motorówki i barkas wynurzył się zza latarni morskiej. Z dużej odległości dojrzał sylwetki trzech gwardzistów. Jeden z nich siedział w głębi, pochylając się nad czymś, i Willi Mohr, wstając i schodząc nad wodę, poczuł ku swemu zdziwieniu dziwne ssanie w okolicy przepony. Łódź zbliżała się szybko.

Żandarmi byli w łodzi sami. Woda błyszczała na ich impregnowanych kombinezonach, jeden z nich podniósł ruchomy pokład i czerpakiem wylewał wodę. Silnik ucichł, dziób miękko dotknął nabrzeża. Gwardziści bezradnie rozkładali ręce wskazując na morze. Zdjęli kaptury, ten, który siedział na burcie, miał twarz spoconą i bladą. Rozmawiali po cichu, Pedro Alemany przysłuchiwał się. Potem wypluł poczerniały rozgryziony niedopałek papierosa, odwrócił się i szybko odszedł. Gwardziści wzruszając ramionami wydrapali się na brzeg. Jeden z nich spojrzał na Willego Mohra i potrząsnął głową.

- Terrible - powiedział, naśladując ramionami gwałtowny ruch fal.

Willi Mohr wrócił do baru.

Siedząc w wyplatany krześle patrzył, jak Pedro Alemany ze swymi ludźmi szykuje trawler do wypłynięcia. Spuścili sieci, znieśli mnóstwo skrzynek. Zapłonowy silnik rozgrzał się i zapalił. Był tam cabo i jakiś inny funkcjonariusz w niebieskim mundurze i białej czapce. Przypuszczalnie kapitan portu. Dwaj nowi gwardziści weszli na pokład.

Przygotowania nie robiły wrażenia histerycznych i nacechowanych paniką, raczej odznaczały się zawodowym spo-

kojem, co napawało pewną nadzieją i zaufaniem. Pedro Alemany stał na dziobie i nadzorował pracę. Raz tylko stracił opanowanie, kiedy do łodzi ostrożnie zbliżyła się jakaś siwiejąca kobieta w szalu narzuconym na ramiona. Krzyknął wtedy ostro i gwałtownie, kobieta pospiesznie wycofała się między zabudowania. Willi Mohr odgadł, że to jego żona.

Ponad godzinę zajęło przygotowanie trawlera do wyjścia w morze i była już za kwadrans piąta. Willi Mohr kilkakrotnie zastanawiał się, czy nie zejść i nie pomóc, ale czuł, że nie potrafiłby nic zrobić i że nikomu na tym nie zależy. Zresztą nie rozumiał przecież, co mówią.

Siedział więc dalej, trawler cofając się odbił od brzegu, obserwowany przez cabo, kapitana portu i kilku jeszcze mężczyzn, którzy się tam zebrali. Willi Mohr, z brodą opartą na ręce, patrzył na łódź, póki nie okrążyła latami. Deszcz zaczął padać, małe ostre krople jak igielki rozbijały bladą powierzchnię wody.

Willi Mohr wsłuchiwał się w warkot silnika i dopiero po chwili odkrył, że już go nie słyszy, tylko monotony szum deszczu i pulsowanie krwi we własnym ciele. Wstał, poszedł do kamionetki. Wspinając się na ławkę, zauważył, że suka zniknęła, ale nim ujechał sto metrów, już go dogoniła i biegła przy samochodzie. Nie zatrzymał się.

Z miejsca, gdzie kończyło się nabrzeże portowe, kręta droga prowadziła dalej wzdłuż skalistego wybrzeża. Z początku równa i względnie szeroka, potem robiła się coraz węższa i coraz bardziej kamienista. Willi Mohr minął rząd czworokątnych willi, domy letniskowe wybudowane tu przez bogatych gości z miasta, teraz puste i zaryglowane. Potem zabudowa się skończyła, droga wiodła pod górę po zboczu. Po prawej stronie spomiędzy pinii prześwitywała szara woda zatoki. Im wyżej wjeżdżał, tym lichsza i bardziej kamienista stawała się droga. Kamionetka podskakiwała, zarzucała, ale była przeznaczona na jazdy po takim właśnie terenie, miała koła dostatecznie wysokie, by mogła wymijać nawet dość pokaźne głazy. Deszcz bił go teraz prosto w twarz, raz omal nie wjechał na dwóch gwardzistów w ciemnozielonych pelerynach, jechali na

rowerach w przeciwnym kierunku.

W kilka minut później minął kobietę w szalu na głowie. Usunęła się na bok i stała z odwróconą głową. Poznał żonę Pedra Alemany i zatrzymał. Wyskoczył i wskazując samochód powiedział:

— Proszę bardzo.

Ale ona uparcie patrzyła w inną stronę, a gdy się zbliżył, cofnęła się kilka kroków, między głązy. Willi Mohr stał bezradnie z wyciągniętą ręką. Potem wzruszył ramionami i wrócił do ciężarówki. Suka przez ten czas dobiegła. Dyszała z oddaniem i machała ogonem. Wsadził ją do samochodu i pojechał dalej.

W górach napotkał go wiatr, dmący wprost w niego, dziki i kapryśny. Wcisnął kapelusz na oczy i ostrożnie zerkał spod runda, ale chociaż zmniejszył szybkość, trudno było utrzymać kamionetkę na drodze. Tu w górze jechał przeważnie po płaskich gładzach, na których drogę wyznaczono pasami białej farby lub tu i ówdzie żelaznymi rurami, w zapadlinach postawiono latem prymitywne łąwki z listewek i cementu, lecz w niektórych miejscach już się rozleciały w nieforemne kupki kamienia i żwiru. Droga kończyła się przy głębokim osypisku. W poprzek tego pęknięcia zwietrzałych skał leżało kilka desek, a po drugiej stronie zbocze góry wznosiło się łagodnie i równo.

Willi Mohr zatrzymał się i wysiadł. Podparł koła kamionetki kamieniami, żeby jej nie zwiąło, i przeszedł przez prowizoryczną kładkę, która trzęsła się i trzeszczała. Potem piał się pod górę i chociaż wzniesienie dawało pewną osłonę, deszcz bił go w twarz. Suka z początku mu towarzyszyła, ale wkrótce zawróciła i ułożyła się pod samochodem.

Był na samej górze, na najbardziej wysuniętym cyplu i czuł nieubłaganą siłę sztormu. Nie można było się wyprostować, musiał przykucnąć i trzymać się bloku skalnego. Pod nim skała opadała niemal pionowo, a w dole widział morze przewalające się długimi, ciemnozielonymi grzbietami. Lecz odległość sprawiała, że fale wydawały się zdumiewająco małe i spokojne. Trawler był już dość daleko od lądu i kierował się na południowy wschód. Kolysał się potężnie i w regularnych

odstępach czasu można było dojrzeć zieleń dna pod brudnożółtą okładziną łodzi. Po krótkiej chwili kontury trawlera zostały zatarte przez deszcz i wirującą pianę.

Willi Mohr wciąż siedział, nie wiedząc, jak długo, bo nie patrzył na zegarek. Przestało padać, ale ciężki, słony wiatr wciąż miotał drobinami wody. Ubranie Willego było mokre i coraz trudniej mu było coś dojrzeć. Usiłował zapalić papierosa, ale zapałki z woskowanego papieru nie chciały się zapalać. Po opróżnieniu pudełka wyrzucił je i siedział z nie zapalonym papierosem w ustach, póki papieros nie zamókł i nie rozkleił się.

Raz odwrócił się i zobaczył, że ta kobieta stoi o jakieś pięćdziesiąt metrów za nim, pochylona pod wiatr, cała ciasno owinięta szalem.

Minęło jakieś półtorej godziny, nim trawler znowu wynurzył się z mgły, z początku jako słaby cień, potem kontur się utrwalił. Mieli teraz wiatr zza rufy i posuwali się nie z takim trudem, jak przedtem. Willi Mohr wyteżył wzrok i, chociaż oczy go bolały, dostrzegł, że łódź rybacka coś holuje. W chwilę później łódź na kalmary stała się zupełnie widoczna. Willi wstał i instynktownie wyciągnął głowę.

Trawler zbliżał się coraz bardziej i okręzał cypel. Willi mógł właściwie spojrzeć prosto na pokład i widział tam kilka osób, ale odległość była za duża, żeby mógł je rozpoznać. Łódź zniknęła, ład ją zasłonił, słyszał tylko dźwięk motoru, słabo i nierówno dochodzący poprzez wiatr.

Kiedy Willi Mohr odwrócił się, kobiety już nie było, wyminął ją dopiero w połowie powrotnej drogi do puerto. Tym razem przejechał nie zatrzymując się.

Willi Mohr wjechał na nabrzeże, nim trawler zdążył przybić. Zaparkował w odległości piętnastu metrów od miejsca, gdzie łódź cumowała. Siedział w samochodzie oparty o kierownicę, w kapeluszu zsuniętym na kark. Ubranie miał przemoczone, a oczy piekły po długim wyczekiwaniu na górze. W kilka minut później usłyszał słaby i urywany, tłumiony przez huk morza

odgłos silnika i szczyt masztu stał się widoczny jako cienki pionowy kijek wystający nad balustradą.

Cabo i kapitan portu wyszli z któregoś baru i zmierzali na przelaj przez betonową płytę na krawędź nabrzeża, by tam zaczekać. Cabo szukał czegoś w kieszeni munduru, mignęła kolba pistoletu maszynowego, który miał pod peleryną.

Trawler okrążył latarnię i zbliżał się szybko, ciągnął na linie łódź na kalmary i można już było dojrzeć stojącego na dziobie Pedra Alemany. Obok niego stał Santiago, z nogą opartą o reling, a ręką o drabinkę bukszprytu.

A więc ośmieszyłem się, pomyślał Willi Mohr.

Motor ucichł, trawler bezgłośnie sunął po wodzie. Nim tram uderzył o nabrzeże, Santiago Alemany wbiegł na bukszpryt i zeskoczył na ląd. Zaparł się nogą i odpychał łódź od brzegu, zamocowując jednocześnie linę wokół słupka. Choć musiał zauważyć Willego, ani razu nie spojrział w jego stronę.

Na pokładzie trawlera był Pedro Alemany, dwaj gwardziści i kilku ludzi z załogi. Tamci muszą być pod pokładem. Jeden z gwardzistów - ciężko i niezdarnie w swych marszowych butach - zeskoczył na ląd i składał raport swemu przełożonemu. Ktoś z załogi zrzucił z rufy kotwicę. Cabo słuchał, końcami palców muskając wąsiki. Santiago dość poufnie rozmawiał z kapitanem portu.

Drzwi od schodów wiodących do kajut otworzyły się i ukazała się głowa Ramona, a potem on sam. Wyszedł na pokład mały, krzywonogi, chwilę patrzył gdzieś mimo Willego Mohra. Twarz jego była całkowicie pozbawiona wyrazu, w poprzek lewego policzka miał długie zadrapanie, od kącika oka aż po szyję.

Kilka osób zjawilo się na nabrzeżu, między innymi brodaty Fin, który został pobity w barze.

Drzwi od zejścia do kajut nie otworzyły się więcej.

Ktoś odciągnął na stronę łódź na kalmary. W jej wnętrzu chybotalo trochę wody, ale niezbyt wiele.

Gwardzista dalej rozmawiał ze swym szefem. Willi Mohr raz po raz słyszał słowo desastre. Wiedział, że to znaczy nieszczęście.

Cabo niechętnie spoglądał w kierunku samochodu, potem zebrawszy odwagę podszedł do Willego Mohra.

Rozważnie gładził wąsy, jakby szukając właściwych słów.

- Catastrofe - powiedział - vuestros amigos...

Urwał, wskazał na wodę pożółkłym od tytoniu palcem. Potem szybko wykonał znak krzyża.

Zauważył, że został zrozumiany, i szybko mówił dalej, ale Willi Mohr już nic więcej nie rozumiał, właściwie nawet nie słuchał.

Patrząc ponad ramieniem cabo widział, jak Ramón Alemany zeskakuje na ląd. Ktoś z pokładu podał płaski kosz z łyka, a kiedy Ramón postawił go na ziemi, Willi Mohr mógł dojrzeć mnóstwo małych czerwonych rybek i jedną dużą, połyskującą zielenią. Ramón zapalił papierosa i podniósł kosz. Bracia Alemany szli przez nabrzeże, a ojciec o kilka kroków za nimi. Dalej między domami stała kobieta w szalu. Żegnała się nieustannie. Kiedy mężczyźni dotarli do zabudowań, objęła ich po kolei. Wszyscy czworo zniknęli w zaułku. Ani Santiago, ani Ramón nie spojrzeli na człowieka w samochodzie.

Willi Mohr znowu spojrział na cabo, który umilkł i robił wrażenie bezradnego i nieprzyjemnie dotkniętego. Rozejrzał się za jakąś pomocą, kiwnął na Fina. Fin mówił trochę po niemiecku.

- Twoi przyjaciele utonęli - powiedział.

Willi Mohr kiwnął głową.

- Niezupełnie dobrze rozumiem - usprawiedliwił się Fin

- ale on, zdaje się, mówi, że zarówno on, jak rodzina nazywająca się jakoś... Ale...

- Alemany - uzupełnił cabo.

- Właśnie, tak, że bardzo ubolewają z powodu nieszczęścia.

Willi Mohr kiwnął głową.

Wciąż siedział pochylony nad kierownicą, w kapeluszu zsuniętym na kark.

- Jak do tego doszło? - spytał.

Cabo znowu mówił przez chwilę, usiłując coś wyjaśnić przy pomocy żywej gestykulacji.

- Mówi, że jolka się wywróciła, wicher ją wywrócił. Gdzieś

tam przy jakichś wyspach.

Cabo zasalutował i wrócił do grupy stojącej przy trawlerze.

Fin stał wahając się.

- Co za cholerna sprawa - powiedział - może byś poszedł do mnie na chwilę? Mam w domu koniak. Myślę...

- Nie, dziękuję - powiedział Willi Mohr.

Rozprostował się, wyskoczył z samochodu. Nim przekręcił korbę, spytał:

- O której wczoraj zaczął się sztorm?

- Wydaje mi się, że koło szóstej...

Kamionetka zapaliła. Willi Mohr wspiął się na swoje miejsce, usunął psa z pedałów. Kiwnął głową Finowi i odjechał.

Zmierzch zapadł szybko i gdy Willi Mohr przyjechał do domu na Barrio Son Jofre, było już ciemno. Otworzył drzwi, odszukał latarnię, lecz próbując ją zapalić zauważył, że nie ma w niej nafty, przyniósł więc z kuchni ogarek świecy, zapalił i wolno wszedł na górę. Tam była cała paczka świec. Przed zejściem na dół podniósł butelkę z ogarkiem i rozejrzał się po pokoju. Na krześle przy łóżku leżał rękopis Dana i książka, którą widocznie czytał wieczorem, dwa dni temu. Na gwoździu wbitym w ścianę wisi zielona sukienka Siglinde i biustonosz, a na podłodze stała para jej pantofli, zupełnie jakby je przed chwilą zdjęła. W jednym z okien wisały na sznurku koszule Dana i Willego, uprane przez nią poprzedniego dnia. Już powinny być suche. Na parapecie leżała paczka waty, niebieski kostium kąpielowy Siglinde, kąpielówki Dana, grzebień i szczotka do włosów.

Willi Mohr wrócił na parter. Zapalił dwie świece, jedną postawił na schodach, drugą na podłodze przy materacu. Potem poszedł do kuchni, nalał wody do psiej miski i wyjął porcję ochłapów kupionych przez Siglinde. Wybrał dla suki kilka najlepszych kawałków i, kiedy jadła, poklepywał ją machinalnie. Zgasił ogarek, postawił na kamiennej ławie i wrócił do pokoju.

Stojąc nieruchomo, rozglądał się dokoła.

Jego ostatni obraz leżał na podłodze przy krześle, na którym siadywał malując, obok stała butelka z terpentyną i

puszka z pędzlami. Pod drzwiami stała bańka z naftą. Si-
glinde ją tam postawiła tuż przed wyjściem. Kot wszedł przez
niedomknięte drzwi i kilka razy otarł mu się o nogę. Potem
powędrował w ciemność.

Willi Mohr podszedł do drzwi i z całej siły kopnął bańkę.
Poleciała aż na schody, przewróciła świecę i odbiwszy się z
brzękiem, wpadła z powrotem do pokoju. Sięgnął po butelkę z
terpentyną i z pasją walnął nią o ścianę. Butelka roztrzaskała
się, odłamki szkła zawirowały w powietrzu. Przebiegł pokój,
zerwał jedno z płócien ze ściany, z wysiłkiem rozerwał je na pół
i zmiął. Potknął się o blaszaną bańkę, chwycił ją oburącz i raz
po raz ciskał o podłogę. Odrzucił ją wreszcie, całą pogiętą i
podszedł do wiszącego przy drzwiach lusterka. Niewyraźnie
zobaczył swą chmurną, zamkniętą twarz z zapuchniętymi,
przekrwionymi oczami. Podniósł rękę i pięścią strzaskał
lusterko. Świeca na podłodze wciąż się paliła. Rozdeptał ją i
rzucił się na materac.

Leżał w ciemności z twarzą wciśniętą w materac. Oddychał
ciężko i gwałtownie, dygocąc całym ciałem.

3

Łódź na kalmary została wyciągnięta na pochylnię w głębi
portu i kilka osób stało dokoła przyglądając się jej. Wioskowy
kował z pomocnikiem odkręcił silnik od podłoża i właśnie
wkładali go na wózek. Ramón Alemany, przykucnięty za burta,
zajęty był wzmacnianiem opalikowania.

Nie od razu zauważył Willego Mohra, zobaczył go dopiero,
kiedy Willi pochylił się, stanąwszy po drugiej stronie łodzi, i
oczy ich się spotkały. Ramon uciekł spojrzeniem i ze wzmożoną
energiją wbił klin między pniaki.

- Guten Tag - powiedział Willi Mohr i wyciągnął rękę pod
klinem.

Ramón uścisnął jego rękę słabo i niepewnie, z twarzą na pół
odwróconą, co nie pozwalało jednak ukryć długiej rysy na
lewym policzku. Brzegi rany były zaognione, lekko czerwone, a
cały policzek zafarbowany jakimś zielonkawozół- tym środkiem

dezynfekcyjnym.

Żaden z nich nic więcej nie powiedział, Ramón ospale przebierał klocki drewna. Nagle wstał i zniknął z pola widzenia.

Willi Mohr, przykucnąwszy na zgiętych kolanach, przyglądał się poszyciu burty, które nie miało żadnych widocznych uszkodzeń. Potem podciągnął się w górę na relingu i kontynuował inspekcję. I tam nie było nic godnego. Wewnątrz łódź wyglądała zupełnie tak samo, jak tamtego ranka przed dwoma dniami, kiedy stała przy nabrzeżu.

Zeskoczył i oddalił się wolno. Ludzie rozstępowali się przed nim prawie z respektem, a on na nich nie patrzył.

Kuźnia była we wsi jedynym zakładem mechanicznym. Znajdowała się na jej zachodnim krańcu, przy wyjeździe w kierunku miasta, w dużej szopie z falistej blachy, szopę pierwotnie zbudowano dla celów wojskowych, potem jednak polecono przekazać ją w cywilne ręce.

Kowal był Katalończykiem, wielkie chłopisko o rudo- blond włosach, krótkich mocnych ramionach i szerokich plecach. Władował właśnie silnik na warsztat i siedł ku drzwiom, aby podkuć wychudzonego osła, który czekał ze zwieszoną głową. Na wózku obok warsztatu leżały części silnika, który kowal rozkręcił i zabrał ze sobą.

Willi Mohr podszedł i przyjrzał się silnikowi. Miał smykałkę do mechanicznych rzeczy, poza tym nabył pewną wiedzę o łodziach w latach pobytu w Gotenhafen. Ten silnik był produkcji hiszpańskiej, dość stary, ale nie różnił się zbyt od typów używanych w innych krajach. A przede wszystkim zupełnie łatwo było dojrzeć, dlaczego przestał działać.

Przewód benzynowy został złamany tuż przy mutrze, która była zdeformowana, ze spłaszczonymi wyźłobieniami, a ramię dźwigni cylindrów było zgięte, niemal pęknięte.

Były to oczywiście uszkodzenia nie dające się naprawić, jeśli ktoś był na morzu i nie miał dostępu do części zamiennych i solidnych narzędzi.

Zebrał części drewnianej obudowy i dopasowawszy je, ułożył wokół silnika. Obudowa była właściwie cała i nie miała żadnych godnych wzmianki zadraśnięć ani innych śladów. A więc nie

okrywała silnika, gdy został uszkodzony.

Wysunąwszy nieco dolną wargę, Willi Mohr zebrał drewniane części. Lekko przesunął czubkiem palca po ramieniu dźwigni, wyczuł, że metal jest chropawy i porysowany wokół miejsca złamania. Przewód benzynowy był w poprzek odcięty, a powierzchnie złamania świeże.

Wziął z warsztatu klucz francuski i rozkręcił zapalnik. Było na nim trochę benzyny, ilość zupełnie wystarczająca, by zapalenie było nierówne. Dokręcił z powrotem sztyft i wyprostował się.

Kowal podkuł osła i wrócił do warsztatu.

- Terrible - powiedział.

Willi Mohr przytaknął.

- Mucho agua — powiedział kowal wskazując na silnik - muy malo.

I to było słuszne. Silnik niedawno musiał mieć styczność z wodą. Wydawał się nienaturalnie czysty. Ale ten człowiek prawdopodobnie coś zupełnie innego miał na myśli.

Nie zgadza się, myślał Willi Mohr, opuszczając szopę. Zupełnie się nie zgadza. Nic się nie zgadza.

W drodze do ciężarówki zobaczył Santiaga Alemany i przyspieszył kroku. Ale obaj zauważyli się z daleka i nim zdążyli się spotkać, Hiszpan skreślił w jakiś zaułek i zniknął.

W godzinę później Willi Mohr siedział na schodkach przed domem przy Barrio Son Jofre i patrzył w swój notes. W górze strony napisał:

17 grudnia godz. 08.30. Utonęli. Dowiedziałem się o tym około siódmej, wczoraj. Zachowałem się dziwnie, zniszczyłem jeden obraz, lusterko i bańkę na naftę. Czas się nie zgadza.

Zdjął nakrętkę z wiecznego pióra i dopisał kilka zdań:

Powinni być z powrotem około drugiej. Sztorm zaczął się o szóstej. Przewód benzynowy rozbity. Obudowa silnika cała. Szrama na twarzy Ramona. Wydają się przestraszeni.

Parę minut myślał, potem napisał jeszcze trzy słowa:

Wstydzą się może.

Siedział jeszcze chwilę patrząc na to, co napisał, potem zamknął notes i wsunął do kieszeni.

- A jednak się nie zgadza - powiedział sam do siebie.

Następnego dnia Willi pojechał do Santa Margarita i odszukał majstra murarskiego, który był właścicielem kamionetki. Człowiek ten przed rokiem wynajął samochód Danowi Pedersenowi za jednorazową opłatą i nie liczył na to, że go jeszcze zobaczy. Powątpiewająco trząsł głową, lecz po zwyczajowych ceregielach schował pieniądze, które Willi Mohr mu dał. Potem zaprosił go na koniak do lokalu na rynku i śmiejąc się mówił:

- Y los amigos? Otra vez en Noruega?

Widocznie myślał, że Dan i Siglinde wyjechali, i nikt go z błędu nie wyprowadził.

W powrotnej drodze cały czas padało i Willi wkrótce przemókł. Za wynajęcie starego samochodu zapłacił pięć razy więcej niż Dan Pedersen, ale przywykł do tego, by zawsze mieć kamionetkę do rozporządzenia, i nie chciał się jej wyrzec.

Zresztą był pewien, że będzie mu naprawdę potrzebna.

I rzeczywiście od tej pory niemal codziennie posługiwał się ciężarówką.

Jak długo bary były otwarte, przebywał w puerto, nocami leżał na materacu z głową opartą na ręce i z otwartym notesem przed sobą. Od czasu do czasu coś w nim zapisywał. Drzwi zawsze były zamknięte, a latarnia naftowa migotliwym żółtym światłem rozświecała zimny pokój.

Kawałek po kawałku gromadził fragmenty wspomnień z minionych miesięcy i włączał je do swej przerażającej ła-mięłó-wki.

4

Pewnego dnia między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, wczesnym rankiem przyjechali ze stolicy prowincji dwaj pracownicy konsulatu, by zająć się tym, co stanowiło własność Dana i Siglinde. Jako przewodnika mieli z sobą gwardzistę z miejscowego posterunku, przyjechali dużym jeepem z zagranicznymi tablicami rejestracyjnymi.

Willi Mohr właśnie wstał i mył się w kuchni. Włożył wyblakłą

brunatną koszulę, która służyła mu od czasów Hitlerjugend, i wyszedł do przybyszów, którzy byli na tyle dyskretni, że zatrzymali się na schodach, chociaż drzwi były otwarte.

Urzędnik konsulatu uściśnął mu dłoń, poczęstował amerykańskim papierosem. Potem weszli na pięterko i Willi Mohr pomagał w przywiązywaniu do poszczególnych przedmiotów kartoników z numerami i do pakowania wszystkiego w worki. Gdy znieśli worki i skrzynki i załadowali je do jeepa, w pokoju na górze zostało tylko łóżko z filarkami.

Jeden z urzędników rozejrzał się po parterze i spytał:

- Jest jeszcze coś, czy już wszystkie graty zabraliśmy?

Mówił znakomicie po niemiecku.

- Latarnia - powiedział Willi Mohr.

- Zdaje się, że bardziej tu się może przydać niż gdzie indziej - sucho powiedział urzędnik.

- Pies i kot.

- Ich krewni w Norwegii byliby pewnie zachwyceni, gdybyśmy im przysłali tę menażerię. Jeśli nie chce ich pan zatrzymać, pośliniwszy palec przerzucił kartki.

- Zatrzymam je — powiedział Willi Mohr.

Pracownik konsulatu wyjął notes oprawny w czarną ceratę, pośliniwszy palec przerzucił kartki.

- Czy rości pan jakieś pretensje do spadku po nich?

- Przepraszam?

- Czy byli panu winni pieniądze?

Willi Mohr skierował spojrzenie na tę ścianę, gdzie przy drzwiach kuchennych Siglinde prowadziła książkę rachunkową. Nad długimi kolumnami cyfr i zawikłanych działań napisała starannym pochyłym pismem: Jesteśmy winni Willemu 1125 marek.

Potrząsnął głową.

- W porządku — powiedział urzędnik. - Są poza tym w różnych miejscach zadłużeni. Niezbyt dobrze się tu zapisali.

Postawił znaczek w notesie.

- Te rzeczy zostaną zasekwestrowane - powiedział wskazując na załadowany samochód - nie dlatego, żeby były coś warte...

Schował notes i wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Czy dochodzenie jeszcze trwa? - spytał Willi Mohr.

- Dochodzenie? Dawno zostało zakończone. Sprawa jest zupełnie jasna, czyż nie?

Willi Mohr przytaknął z roztargnieniem.

- Zwykły nieszczęśliwy wypadek, nie ma co szukać wiatru w polu - powiedział urzędnik. - Policja sporządziła jednak protokół. Nie czytał go pan?

- Nie znam tak dobrze języka.

- Poleciliśmy zrobić odpis po angielsku, dla uproszczenia. Chyba mam z sobą egzemplarz. Jeśli pan chce, możemy wypożyczyć.

- Dziękuję.

Urzędnik poszedł do jeepa i przyniósł czarną aktówkę.

Wyjął dwie spięte razem kopie.

- To jest protokół oficjalnego dochodzenia. Może go pan zatrzymać, mam kilka dodatkowych kopii.

Potrząsnął jego ręką i wyszedł, bo jego pomocnik właśnie skończył załadunek.

W kilka minut później odjechali, a Willi Mohr długą chwilę słyszał warkot silnika, ciężko pracującego przy jeździe po długich ostrych zakrętach.

Gdy zapanowała cisza, położył papiery w kącie na workowej płachcie, pod którą trzymał ubranie, plecak i inne rzeczy. Potem poszedł do kuchni, zdjął koszulę i skończył ranną toaletę. Umył się szarym mydłem i zimną wodą, zęby umył grubą solą. Największy z odłamów zbitego lusterka zatrzymał i umocował w szczelinie kamiennej ściany kuchni, goląc się, kilkakrotnie napotkał swe własne obojętne spojrzenie i pomyślał, że wygląda zupełnie jak zawsze.

Przed wyjściem z domu wyciągnął portfel i przeliczył pieniądze. Wystarczy najwyżej na cztery miesiące, i to tylko, jeżeli będzie bardzo oszczędny.

Willi Mohr wysunął dolną wargę, złożył maszynopis protokołu i schował do portfela.

W puerto postawił kamionetkę na nabrzeżu i powędrował z baru do baru, aż znalazł Santiaga i Ramona. Siedzieli u

Jacinta i grali w karty. Gdy Willi Mohr wszedł, Santiago podniósł wzrok i kiwnął mu głową, potem natychmiast powrócił do gry. Jego brat zerknął spode łba, ale nie mógł się zdobyć na ukłon. W lokalu panował przenikliwy chłód i Jacinto ustawił pośrodku blachę z żarzącymi się węgielkami.

Willi Mohr usiadł przy drzwiach, aby móc widzieć twarze braci Alemany i mieć pewność, że nie mogą opuścić baru nie przechodząc tuż koło niego. Zamówił café eon leche do porannej bułki, ale nie spieszył się z jedzeniem, siedział nieruchomo ze skrzyżowanymi nogami i obserwował grających. Przy kilku okazjach Santiago podnosił głowę i spoglądał na niego przelotnie, raz ze słabym, bezradnym uśmiechem. Ramón uparcie patrzył w karty.

Willi Mohr zjadł bułkę, potem odsunął kubek, wyjął kopię z portfela i rozłożył na stoliku. Oparłszy głowę na ręce pogрузzył się w czytaniu. Ponieważ nie był specjalnie biegły w angielskim, dobrą chwilę zajęło mu przebrnięcie przez treść dokumentu.

Raport dotyczący nieszczęśliwego wypadku na morzu. Nieszczęśliwy wypadek przy kąpieli zdarzył się 15 tego miesiąca, utonęli obywatele norwescy, Daniel Olaf Pedersen, urodzony 1925 w Avendal (?) i jego żona Birgit Siglinde Wolf (?)-Pedersen, urodzona 1929 w (brak danych), oboje mający obywatelstwo norweskie, oboje wyznania protestanckiego; przybyli do Hiszpanii przez przejście graniczne w Irun 12 sierpnia 1952 na podstawie wizy n-ry 63428 i 63429, wystawionych przez Hiszpański Konsulat Generalny w Paryżu, Francja. Następnie prawo pobytu było przedłużane na podstawie zezwoleń generalnego komisariatu służby bezpieczeństwa numery dziennika 738/52, 739/52, 926/52, 927/52, 181/53, 182/53, 539/53, 540/53, 897/53, 898/53, 1012/53, 1013/53. Od 4 września tego roku Daniel Olaf Pedersen i Birgit Siglinde Wolf (?)-Pedersen nie byli stałymi mieszkańcami naszej prowincji.

Blizsze okoliczności: 16 grudnia br. o godz. 14.00 wpłynął raport, że mała łódź rybacka, która poprzedniego dnia wyszła w morze na przejażdżkę rozrywkową, z czterema osobami na

pokładzie, nie powróciła. Poprzedniego dnia między godziną 8.30 a 9 rano jeden z będących w obchodzie patroli zauważył łódź płynącą w kierunku grupy wysp Islo- tes Redondos, co dawało podstawę do przypuszczenia, że zmierza do wymienionych wysp. Łódź ratunkowa, należąca do komendy portu, z załogą składającą się z personelu gwardii cywilnej, została wysłana dla spenetrowania terenu, ale z powodu bardzo złej pogody musiała wrócić do portu, gdzie przybyła o 15.00. O 17.00 łódź rybacka nr 13- 1698 „La Virgen Dolores”, z załogą ochotniczą i personelem gwardii cywilnej, została wysłana w kierunku Islotes Redondos, gdzie przysłała z pomocą i zabrała na pokład dwie osoby, które się uratowały, przy czym wiadome się stało, że Daniel Olaf Pedersen i Birgit Siglinde Wolf (?) - Pedersen na skutek nieszczęśliwego wypadku utonęli po południu poprzedniego dnia. Ciało topielców nie udało się odnaleźć.

Zeznanie kierowcy Santiaga Alemany Ventosa:

Razem ze swym bratem i z Danielem Olafem Pedersenem oraz jego żoną Birgit Siglinde Wolf (?) -Pedersen udał się przed południem w kierunku Islotes Redondos na ryby. Ponieważ w ciągu dnia pogoda się pogorszyła, wielokrotnie proponował, żeby wrócić, ale z różnych powodów powrót został odłożony do popołudnia. Para cudzoziemców uparcie żądała, by wykąpać się przy jednej z wysp, mimo że świadek kilka razy odradzał im to. Podczas kąpieli Daniel Olaf Pedersen i jego żona odwiązali prowadzoną na holu jolkę i mimo zdecydowanych ostrzeżeń wypłynęli na niej z zatoki aż do miejsca, gdzie zaczynało się otwarte morze. Tam jolka trafiona niezwykle silną falą przewróciła się, przy czym señor i señora Pedersen wpadli do wody. Świadek, który wraz z bratem znalazł się w łodzi, niezwłocznie usiłował wystartować, ale silnik, który już przedtem, w ciągu dnia, źle działał, nie dał się uruchomić, gdy wreszcie dotarli, ofiary zatonęły i nie zdołano ich odnaleźć. Świadek i jego brat przeszło godzinę pozostali w najbardziej wysuniętym punkcie, pogoda przez ten czas jeszcze bardziej się popsowała, a gdy fala uderzyła w łódź, przy czym silnik znowu stanął, zmuszeni byli

wysiąć na ląd, na tę wyspę, na której ich potem znaleziono. Świadek przypuszcza, że jolka została rozbita przez fale i zatona albo została zniesiona na morze. Na wyspie, na którą świadek i jego brat się schronili, mieli osłonę przed wiatrem, dostęp do wody i prowiantu. W ciągu dnia usiłowali uruchomić silnik, co się nie udało. Świadek twierdzi, że w chwili wypadku morze było tak wzburzone, że nie było żadnych widoków na uratowanie ofiar, nawet gdyby silnik działał, jak należy.

Świadek nie może podać dokładnego czasu, w jakim wydarzył się wypadek, gdyż ani on, ani jego brat nie mieli zegarka, ocenia jednak, że mogło to być między 15.00 a 17.00.

Wypowiedź świadka we wszystkich zasadniczych punktach potwierdza rybak Ramón Alemany Ventosa, który przez cały czas był w towarzystwie świadka i podobnie jak on uczestniczył w wypadku.

17 stycznia 1954

z urzędu

Puesto de Policia nr 413

Zona Oriental S.F.P.D.

(podpis)

- Ani słowa prawdy - powiedział Willi Mohr sam do siebie.

Nie czuł ani zdziwienia, ani oburzenia, raczej czuł się jak człowiek postawiony przed dobrze mu znanym faktem. Może tylko trochę zaskoczony, że historia była tak niezręcznie zmyślona i tak jawnie nieprawdziwa.

Gwałtownie podniósł głowę i spojrzał na ludzi przy tamtym stoliku, zdążył przyłapać spojrzenie Ramona Alemany, na ułamek sekundy, nim mu umknęło. Było to spojrzenie oszalałe ze strachu, pytające, ułamek sekundy, potem Ramón znowu patrzył w karty. Mimo że siedział pochylony, mimo złego oświetlenia Willi Mohr widział wąską białą bliznę po zadrapaniu na jego policzku.

Santiago żartobliwie szturchnął brata i coś powiedział. Potem odłożył karty. Dwaj pozostali gracze coś tłumaczyli głośno i kłóliwie, ale Santiago, rzuciwszy na stół kilka drobnych monet, wstał. On i Ramón poszli ku wyjściu, a gdy

mijali stolik przy drzwiach, Santiago zimno i spokojnie spojrział w oczy Willego Mohra.

Willi Mohr posiedział jeszcze jakieś trzy, cztery minuty, wypił wystygłą kawę. Potem wstał i ruszył w obchód. Znalazł ich w małym nędznym barze na samym końcu bulwaru, gdzie prawie nigdy nie zaglądali goście. Staruch prowadzący bar rozcieńczał wino wodą i sprzedawał je tanio obcym rybakom.

Santiago i Ramón stali przy krótkiej brudnej ladzie i pili czerwone wino. Rozmawiali po cichu, gdy Willi Mohr wszedł, zamilkli.

Nie mają nawet odwagi polegać na tym, że nie rozumiem, co mówią, pomyślał.

Kiwnął głową i stanął obok nich. Santiago poprosił o jeszcze jedną szklankę, Willi Mohr pozwolił, żeby stary postawił, nalał, ale nie tknął szklanki. Po kilku minutach Santiago coś do niego powiedział, a on wzruszył ramionami, na znak że nie rozumie. Ramón uparcie patrzył w szklankę. Nagle opróżnił ją jednym długim łykiem, odwrócił się ku drzwiom, wyszedł. Santiago chwilkę postął, potem on też wyszedł, nic nie mówiąc i nie patrząc na stojącego obok człowieka.

Willi Mohr wzięwszy swoją szklankę stanął w progu i spoglądał za braćmi Alemany, idącymi bulwarem, teraz już razem. Willi wiedział, że zapędził ich do domu i że nie będzie musiał dalej za nimi chodzić.

Wreszcie będą mogli pójść do domu.

- Zaczynamy nabierać w tym wprawy - powiedział do psa.

Willi Mohr przez całe popołudnie został w puerto, ale bracia Alemany nie pokazali się więcej.

Raz jeszcze przeczytał raport i raz jeszcze zastanowiło go, że jest tak uderzająco kłamliwy i łatwy do obalenia.

Dziwiło go to i wprawiało w zamieszanie, czuł się zawiedziony i wyczerpany, jak gdyby wszystkie siły zużył na wysadzanie otwartych drzwi.

Chodzenie z baru do baru i śledzenie braci Alemany było zajęciem nieskomplikowanym, prawie mechanicznym i brakowało mu tego zajęcia. A jednocześnie irytowało go, że nie mógłby z całą pewnością powiedzieć, dlaczego to robi.

Miał uczucie, że wiele domysłów powoli zaczyna stapiać się w coś wyzwalająco prostego, miał jednak wątpliwości, czy to, co było tak jednoznacznie oczywiste, będzie miało siłę przebicia się z jego świadomości, uzewnętrznienia.

Przypuszczalnie pozostanie w głębi i ulegnie unicestwieniu. Może go to doprowadzi do szaleństwa.

Około dziesiątej pojechał do domu. Kamionetka jechała nierówno, coś się zacinało, postanowił, że następnego dnia weźmie się do przeglądu silnika, póki ma pieniądze na części zamienne.

Gdy Willi Mohr wszedł do domu przy Barrio Son Jofre, spadła na niego cisza i samotność. Wtedy właśnie przyszło mu na myśl, że tylko on mógłby obalić relację Santiaga Alemany. Gdyby raport nie został przetłumaczony, nie mógłby go przeczytać, a wszystkim innym wydawał się pewnie zupełnie wiarygodny.

Jego nikt nie brał pod uwagę. Jego pamięci i jego niemal nienormalnej wręcz wrażliwości na szczegóły. Szczegóły, które w dużej mierze tylko jemu jednemu były znane.

Stojąc w ciemności Willi Mohr rozmawiał sam z sobą. Zadawał sobie pytanie:

- Jak do tego doszło? Co oni zrobili? I dlaczego?

Wstrzymał oddech na dziesięć sekund, jakby oczekiwał odpowiedzi, lecz nic się nie stało.

Rozebrał się i wsunął między wilgotne prześcieradła. W głowie mu dudniło i długo nie mógł zasnąć.

5

Coś nim szarpnęło, obudził się, usiadł gwałtownie, jakby jakiś krzyk czy strzał rozbił ciszę i zamarł właśnie tu, w pokoju.

Sprawa była jasna.

Bracia Alemany zabili Siglinde i Dana.

Wiedział oczywiście, dlaczego to zrobili. Któż mógłby to wiedzieć lepiej niż on.

Teraz się boją, a ich strach nie jest nieumotywowany.

On ich zmusi do przyznania się, wszystko jedno kiedy i jak.

Potem ich uśmierci.

Wszystko było bardzo proste.

Nigdy przedtem tok jego myśli nie był tak jasny i pewny.

Willi Mohr ułożył się na materacu, zupełnie uspokojony, i prawie natychmiast zasnął. Zupełnie jakby teraz właśnie został wyzwolony od wielkiej niewiadomej lub też uzdrowiony z ciężkiej choroby.

6

Willi Mohr zmienił się nagle, lecz nie było nikogo, kto znałby go wystarczająco, by to zauważyć. Codziennie można go było zobaczyć w puerto, wysiadywał w barach lub włóczył się po zaułkach, chudy samotny cudzoziemiec, który nigdy nie budził czyjkolwiek zainteresowania.

Nie szukał towarzystwa braci Alemany i nigdy nie pokazywał się w towarzystwie któregoś z nich, ale często bywał w ich pobliżu. Gdy wstępowali do jakiegoś baru, on przeważnie już siedział w tym lokalu i rzadko zdarzało się, żeby wyszedł wcześniej niż oni. Gdy poszli gdzie indziej, nie potrwało długo, a on również tam się zjawiał. Nigdy nie widziano, by pił wódkę, potrafił jednak godzinami wysiadywać nad filiżanką kawy albo nad wodą mineralną. Czasami mogło się zdawać, że przygląda się otoczeniu, najczęściej jednak patrzył wprost przed siebie swymi pozbawionymi wyrazu niebieskimi oczami.

Zawsze miał z sobą czarno-białego kundla, a przyjeżdżał fiatem, ciężarówką przerobioną na osobowy. W sklepiku, gdzie robił zakupy, zauważono, że poduczył się języka, mówił coraz lepiej.

W początku kwietnia wyjechał z kraju, zaangażowany chwilowo jako członek załogi prywatnego jachtu. W niespełna dwa miesiące później, w końcu maja, wrócił i znów zamieszkał w domu przy Barrio Son Jofre.

Po powrocie nigdy już nie bywał w puerto.

Rozdział piąty

1

Po przesłuchaniu policyjnym Willi Mohr czuł się zmęczony i prawie cały dzień przespał. Obudził się około ósmej wieczór i poczuł głód, po umyciu się i ubraniu natychmiast poszedł do miasta, żeby coś zjeść. Mała i licha jadłodajnia, którą zwykle odwiedzał, znajdowała się w jednej z wąskich przecznic avenidy, na samej górze, przy kościele. Lokal prowadziły dwie stare kobieciny, a klientami byli przeważnie podoficerowie najniższej rangi, którzy od czasu do czasu odczuwali potrzebę urozmaicenia sobie wojskowego wikt. Jedzenie było odstręczające, ale tanie. Podawano tylko dwa dania, jakąś zupę z pływającymi w niej listkami zieleniny i coś w rodzaju krwistego salcesonu z ryżem. Zupa była wodnista i mało pożywna, natomiast ryż ociekał baranym tłuszczem i źle oczyszczoną oliwą, i kto zjadł oba dania, nie wstawał głodny od stołu. Przez trzy miesiące, czerwiec, lipiec i sierpień, Willii Mohr przychodził tu co wieczór, potem pieniądze się skończyły i zmuszony był żywić się chlebem i solonymi sardynkami, kupowanymi w tiendzie na kredyt. Nie miało to dla niego większego znaczenia, gdyż nie był wrażliwy na to, co je, a do zajęć gospodarczych nie miał skłonności, nie lubił zajmować się pi- chceniem.

Część pieniędzy, jakie zostały po odwiedzinach Santiaga Alemany przed czterema dniami, miał jeszcze, chociaż uregulował rachunek w tiendzie, więc zjadł oba dania. Był jedynym gościem w brudnym lokalu i obie babiny obsługiwały mu, od dawna tu nie wstępował i ich gorliwość była tyleż żalсна, co wzruszająca.

Willi Mohr nie spieszył się. Kawałkami chleba starannie wycierał tłuszcz i oliwę z talerza, długo i dokładnie dłubał w zębach, wreszcie wstał i powiedział dobranoc. Po otrzymaniu zapłaty babiny wycofały się w kąt i niby dwa czarne cienie tkwiły tam w niemym oczekiwaniu. Gdy tylko znalazł się na

ulicy, zamknęły drzwi.

Była już jedenasta. Willi Mohr poszedł na rynek i wypił kawę przed Café Central. I tkwił tam, choć wszyscy goście się rozeszli, a gospodarz ziewał. Wreszcie poszedł do domu i położył się.

Taki mniej więcej bywał rozkład jego dnia. Zdarzało się wprawdzie od czasu do czasu, że chwilę poświęcał malowaniu obrazu z domem i kaktusami, wątpił jednak, czy kiedykolwiek obraz stanie się bardziej gotowy niż był od dawna, a żadnego innego nie miał ochoty zaczynać.

Od czterech miesięcy nic właściwie nie robił.

Czekał.

Przedtem czekał, że Santiago Alemany przyjdzie do domu przy Barrio Son Jofre.

Teraz, kiedy to się już stało, czekał dalej.

Na powtórne odwiedziny.

2

Dziś muszę coś zrobić, myślał Willi Mohr.

Zamknął notes, wsunął do kieszeni i poszedł do kuchni.

Wsunął rękę pod ławę, po kolei wyjmował szczeniaki, zanosił je do pokoju i kładł na podłodze, w słonecznym miejscu przy schodach. Potem siadł na najniższym stopniu schodów i przyglądał się psiakom. Jest ich trzy. Początkowo było cztery, ale jeden zdechł prawie natychmiast i suka wyrzuciła go na środek kuchni. A teraz przyszła tu, stoi obok niego i macha ogonem. Ufa mu i manifestuje to liżąc jego rękę za każdym razem, gdy ją wsuwa do przegrody pod ławą i wyjmuje szczeniaka.

Kot usiadł nieco wyżej na schodach i przygląda się tej scenie ze zdumieniem i niechęcią.

Szczenięta popiskując gramolą się i rozłazą w różne strony. Są już na tyle dojrzałe, że zaczynają wykazywać pewną indywidualność; już nie mają błony na oczach i jeden z nich piszczy częściej i zupełnie w innym tonie niż pozostałe. Dwa są białoczarne, a ten trzeci brązowy nakrapiany.

Ten brązowy przypuszczalnie wyrósłby na brzydkiego psa. Jeden bok ma brudnobrązowy, drugi biały, na białym tle ma rzadko i nieregularnie rozrzucone archipelagi drobnych brązowych plamek.

Jeden z tych biało-czarnych wygląda bardzo zabawnie. Wokół prawego oka ma jak cyrklem zarysowaną okrągłutką łatę, nogi czarne, a łapy białe. To ten tak wciąż piszczy.

Drugi ma łeb i cały grzbiet czarny i bez wątpienia jest to deseniak najmniej nieudany.

Ustalenie, który ze szczeniaków jest najładniejszy, nie zajęło Willemu więcej niż pół minuty, siedział jednak dalej i przyglądał się pieskom.

Ogarnęły go wątpliwości, czy postąpił słusznie, oceniając szczeniaki według deseni.

Po chwili wstał i poszedł do kuchni po kobiałkę. Znowu przysiadł i patrzył na psiaki, bezładnie krążące po nasłonecznionym miejscu.

Podniósł brązowego i chwilę trzymał w górze, nim włożył go do kobiałki. Był taki mały, ciepły, miękki i żywy.

Suka wciąż stała zupełnie spokojnie.

Po kilkuminutowym dalszym namyśle podniósł dwa pozostałe szczeniaki i ważył je w obu rękach. W końcu tego prawie zupełnie czarnego włożył do koszyka, a tego drugiego postawił przy swoich nogach. Szczeniak natychmiast się przewrócił i zapiszczał przenikliwie, gramoląc się po podłodze. Ten z łatą koło oka.

Willi Mohr popatrzył na wybranego szczeniaka, od czasu do czasu z wahaniem zerkając do koszyka, gdzie tamte dwa przytuliły się do siebie i zasnęły.

Nagle dokonał zamiany. Włożył do kobiałki tego z łatą wokół oka, a wyjął brązowego, który natychmiast się ocknął i popiskiwał żałośnie, pełzając po podłodze.

Suka podeszła i polizala go.

- Nie - mruknął Willi - tak nie można postępować.

Znowu wymienił pieski, tego brązowego włożył do koszyka, a tego z łatą wyjął na podłogę, ale to go jeszcze bardziej mieszało. Drapał się w głowę i wreszcie tego trzeciego też

włożył do koszyka.

Suka machała ogonem, wpatrując się w niego głupimi brązowymi oczami.

- Cholera - powiedział.

Ustawił koszyk między nogami, zamknął oczy, wsunął rękę i wyciągnął jednego szczeniaka na chybił trafił. Tego brązowego.

Zaniósł go do kuchni i wsunął pod ławę.

Znalazł w kuchni kilka kawałków sznurka, które służyły mu zwykle do wiązania pęczków chrustu, położył sznurki na szczeniakach, zarzucił koszyk na ramię i wyszedł.

Za domem była kupa śmieci i odpadków i kilka krzaczków zakurzonych kaktusów, a nieco dalej kamienny murek, odgraniczający taras z dziesięcioma na pół zwiędłymi migdałowcami. Po drugiej stronie tarasu wznosiła się góra, stroma, kamienista, rzadko porośnięta wątlými piniami.

Willi Mohr na ukos przemierzył taras, stare skorupki migdałów i żółte grudki zeschniętej gliny chrzęściły mu pod nogami. Potem zaczął się wspinać między głazy. Od czasu do czasu słyszał popiskiwanie szczeniąt w koszyku.

Musiał wejść dość wysoko pod górę, żeby znaleźć kilka gałęzi, które warto byłoby związać i zabrać do domu, a im wyżej wchodził, tym rozleglejszy miał widok na krajobraz w dole. Gdy się odwrócił, widział miasto, płaskie, smutne, szarozółte, wciśnięte w kotlinę między górami, mógł też dojrzeć drogę ku morzu, kręte białe pasmo między szczytami i połyskliwą wodę w dali, i nawet domy w porcie, w którym nie był od tak dawna.

Wdrapywał się dalej, póki nie dotarł do grupy rosochatych pini, wystrzelających z osypiska kamieni poniżej pionowej, chropowatej rozpadliny skalnej. Tam postawił koszyk i odsapnął. Szczeniak z łata wokół oka wciąż skomlił głucho i żałośnie.

Było tu dużo suchych gałęzi. Willi wziął sznurki i położył je na płaskim kamieniu. Wyjął tego prawie zupełnie czarnego szczeniaka, przyjrzał mu się z roztargnieniem, potem szybko i z rozmachem cisnął nim o ścianę skalną. Klasnęło, jakby rzucił dziurawą piłką, zwierzak spadł w dół i skonał natychmiast.

Drugi szczeniak wciąż skomlił, ale gdy go wyjął, umilkł

natychmiast. Unikał spoglądania na niego, ważył go tylko w rękę i tak samo jak przedtem czuł, jaki jest mały i miękko żywy. Leżał na grzbiecie i akurat mieścił się na jego otwartej dłoni. Podniósł rękę na wysokość ramienia, cofnął ją, ale albo nieświadomie zawahał się, albo psiak się ześlizgnął, gdyż rzut wypadł słabo i ukośnie, szczeniak zawirował w powietrzu, odbił się od ściany i upadł.

Willi chwilę stał nieruchomo, nim zdobył się na to, by podejść i spojrzeć, gdzie upadł.

Utkwił w głębokiej klinowatej szparze między dwoma dość dużymi kamieniami. Gdy Willi Mohr pochylił się i zajrzał w dół, zobaczył, że on żyje. Szczeniak z czarną plamą koło oka leżał dość głęboko, z łapkami do góry. Poruszał nogami i widać było, że cienkie blade strużki krwi ciekną mu z pyszczka i z nosa, który był różowy i trochę pomarszczony.

Wsunął rękę w szparę, ale mimo wysiłków nie mógł nawet czubkami palców dosięgnąć szczeniaka, który wyraźnie się teraz poruszał i słychać było jego cichy pisk.

Willi Mohr wyszukał jakąś złamaną gałąź i wetknął ją w szparę. Próbował podważyć zwierzątko, ale tak mocno tkwiło między kamieniami, że nie mógł go ruszyć. Odrzucił gałąź i wdrapał się na bliższy z tych głazów, chcąc poszerzyć szparę, ale kamień nie drgnął, dał się natomiast przechylić do wewnątrz, tak że szpara się zwężała.

Cofnął się o krok. Postawił stopę na brzegu kamienia i pchnął z całej siły. Kamień przechylił się wolno i zdawało mu się, że słyszy, jak szczeniak pisnął ostatni raz, a potem został zmiażdżony. Zaparł się i długo przytrzymywał kamień, wreszcie puścił i kamień odchylił się z powrotem.

Po długiej chwili opanował się na tyle, że mógł wrócić na płaski kamień, gdzie położył sznurki.

Potem wolno i systematycznie zbierał suche gałęzie. Związał je, zarzucił wiązkę na plecy i zaczął schodzić.

Nie spieszyło mu się. W połowie drogi przystanął i zapalił papierosa. Siedząc zobaczył gwardzistę, który prowadząc rower szedł przez zaułek Barrio Son Jofre. Mimo odległości widział, że gwardzista ma na plecach karabin i że w połowie

wzgórza przystanął wachlując się lakierowaną czapką. Doszedłszy do celu, żandarm postawił rower pod ścianą i zniknął mu z pola widzenia. Pewnie stuknął do drzwi.

Willi Mohr dopalił papierosa, zarzucił wiązkę chrustu na plecy i schodził dalej. Cały czas wpatrywał się w to miejsce, gdzie gwardzista powinien się wynurzyć, ale się jakoś nie pokazywał. Rower stał dalej, ale po kilku minutach Willi Mohr znalazł się tak nisko, że migdałowce i kaktusy zasłoniły mu widok. Przeszedł przez taras, gdzie skorupki trzeszczały, i okrążył dom. Na podwórzu nie było nikogo, rower zniknął.

Willi Mohr wzruszył ramionami i wszedł do mieszkania.

Pod progiem leżał list, pewnie gwardzista wsunął go przez kocią szparę. Nie było adresu, tylko zamazany stempel w prawym rogu. Willi Mohr rozerwał kopertę i wyjął swój paszport.

Przekartkował go, ale nie znalazł żadnych nowych stempli ani adnotacji. Wzruszył ramionami i wsunął paszport do tylnej kieszeni, tam gdzie nosił notes.

3

Był pierwszy listopada. Dwadzieścia cztery dni minęły od przesłuchania, nic się nie działo z Willim Mohrem.

Dni stawały się coraz krótsze, noce zimniejsze, w ostatnich tygodniach kilka razy padał deszcz, ale na ogół nic się nie zmieniło.

Pieniądze mu się dawno skończyły, a nie zrobił nic, żeby postarać się o ich dopływ, chociaż mógłby napisać do Hugo Spohlera, który wciąż był mu jeszcze coś winien.

W sklepiku dawano mu jeszcze na kredyt, w Café Central także. Jego zadłużenie wzrastało wolno, bo zredukował zakupy do absolutnego minimum, żywił się wyłącznie Chlebem, solonymi sardynkami i figami. Te ostatnie nic go nie kosztowały, bo zrywał je z kilku drzew, rosnących w osypisku pod górą. Od czasu do czasu kupował paczkę ideali, a ponieważ palił rzadko i oszczędzał niedopałki na wypchanie fajki, starczały mu na wiele dni. Konto w barze przy rynku

obciążał regularnie, wypijając co wieczór małą kawę.

Z wyjątkiem gwardzisty, który wsunął kopertę z jego paszportem przez kocią szparę, nikt nie przychodził do domu przy Barrio Son Jofre. Brązowy szczeniak zdechł w trzy dni potem, jak on sam uśmiercił dwa pozostałe, wyrzucił go więc na śmietnisko za domem. Suka znowu towarzyszyła mu w codziennych przechadzkach po mieście i, mimo że od czasu do czasu kupował jej kości lub nadpsute ochłapy mięsa, schudła bardzo, podobnie jak on sam.

Tylko kot się nie zmienił. Sam troszczył się o swoje wyżywienie, wychodził i przychodził z całkowitą pewnością siebie, jakby był przeświadczony, że jest jedynym prawowitym lokatorem.

Willi Mohr zupełnie nie malował, zaczął także zaniedbywać się w niektórych innych sprawach. Nie golił się i nie mył zbyt dokładnie, rzadko urządzał sobie porządną kąpiel. Udawało mu się przecież wypełniać dnie zwykłymi zajęciami, noszeniem wody, rozpalaniem ognia, zbieraniem opału. Nieświadomie robił wszystko w tempie wolniejszym niż dawniej, nie miał więc określonego wrażenia, że jest beczynny lub ma zbyt wiele czasu.

Czekał na Santiaga Alemany, nie niecierpliwił się jednak i nie denerwował możliwością spotkania.

Był pewien, że Santiago prędzej czy później przyjdzie, już nawet zdecydował, jak się przy tej okazji zachowa.

Natychmiast go zastrzeli i w ten sposób jego udział w sprawie zostanie dopełniony.

Żadnych innych planów na przyszłość nie miał i nic go z tym miejscem nie wiązało. Nie miałoby więc sensu odwlekać egzekucji.

Pierwszego listopada Willi Mohr wstał o dziewiątej. Rozpalił ogień, zagotował wodę i wypił ją z kilkoma łyżeczkami cukru i połową wczorajszej bułki. Potem wyszedł i wysusiał się za kamionetką, która stała koło szopki, odrapaną, zakurzona i bezużyteczną.

W oponach nie było powietrza i silnika nie można było uruchomić. Kiedy w maju wracał ze swej podróży i jechał z

puerto do miasta, zapomniał nalać wody do chłodnicy. Nie zauważył, że silnik się zagrzał i para rozsadziła pokrywę głowicy. Ledwie udało mu się dojechać, zostawił wtedy samochód tu, gdzie teraz stał, nie dlatego, że nie stać go było na reperację, tylko dlatego, że nie sądził, by mógł mu być jeszcze potrzebny. Teraz kury w nim wysiadywały i cała maska i siedzenia były zabrudzone ich ekskrementami.

Willi Mohr zapał rozporok i wrócił do domu, aby zabrać się do przewidzianej na dziś pracy: do wyczyszczenia pistoletu. Od dawna o tym myślał.

Zamknął drzwi, wyjął broń spod materaca, gdzie ją schował. W pokoju było mroczno, ale światło, przesączające się przez kocią szparę i szpary w ścianach, wystarczało mu.

Rozłożył na podłodze kawałek płótna, usiadł na najniższym schodku i ważył pistolet w ręce. Zimny, ciężki, budzący zaufanie.

Zaczął od przesunięcia bezpiecznika i wyjęcia magazynku. Było w nim siedem kul, wyłuskał je i ułożył przed sobą rzędem. Ostatni nabój był w zamku, odciągnął go w tył i wytrząsnął nabój na dłoń. Ustawił go obok tamtych i sprawdził sprężynę magazynka, przed założeniem wypróbował jej napięcie. Potem po kolei podnosił naboje i uważnie je oglądał.

Willi Mohr miał także zapasowy magazynek, schowany na dnie plecaka, ale ponieważ nie zamierzał się nim posługiwać, zostawił go tam, gdzie leżał.

Przejrawszy łuski, na których nie znalazł żadnych rys ani innych defektów, zajął się pistoletem. Wykręcił lufę i podniósł ją, kierując na jasny czworokąt w drzwiach. Wylot był dobrze naoliwiony. Potem keiukiem wypróbował spust i ścisnął sprężynę, która była twarda i napięta, ułożył wszystko na płótnie, razem ze śrubokrętem, przetyczkami, nabojami i rozebrany magazynkiem.

Kot, śpiący w pościeli, obudził się na dźwięk uderzających o siebie metalowych części. Ocknęła się w nim ciekawość, przeciągnąwszy się kilkakrotnie, podszedł do schodów, usiadł w rogu płótna i z przechyloną głową przyglądał się rozłożonej broni. Potem podniósł przednią łapę i ostrożnie trącił sprężynę,

chwilę siedział spokojnie, z zainteresowaniem przyglądając się spirali, która skręcała się i rozkręcała. Nagle znowu opuścił łapę i uderzył w sprężynę, która z metalicznym dźwiękiem stoczyła się na podłogę. Kot wygiął grzbiet, skoczył za nią dwoma susami, chwycił w pazury, stanął na tylnych łapach, w przednich trzymając sprężynę, i przez łeb przerzucił ją w tył.

Willi Mohr, z rękami zwieszonymi między kolanami, znieruchomiał i przyglądał się zabawie kota ze sprężyną. Ale kot stracił jakoś zainteresowanie, ziewnął i wrócił na materac. A sprężyna potoczyła się w kąt pokoju i tam została. Willi wstał i poszedł ją podnieść.

Wydostał z plecaka pudełko ze smarem i dwie miękkie ścierki, dokładnie wytarł wszystkie części przed ponownym nasmarowaniem ich. Przeczyściwszy lufę, jeszcze raz podniósł ją pod światło.

Tak długo patrzył w jej wylot, że wszystkie proporcje się zatarły. Widział zimno połyskujący stalowy tunel, zwierciadlany korytarz strachu, przedłużony w nieskończoność przez krętą spiralę nacięć.

Gdy wreszcie odjął lufę od oka, zdziwiło go niemal, że jest tak krótka, lekka i zupełnie zwyczajna, że to tylko nic nie znaczący niewielki przedmiot, który kto chce może nosić w wewnętrznej kieszeni na piersi.

Zakręcił pokrywkę puszkę ze smarem i wziął się do składania pistoletu. Załadował magazynek, wsunął go w kolbę i wprowadził pocisk w zamek pistoletu, usłyszał zatrzaśnięcie, gdy pierwszy nabój wsunął się w zamek.

Wstał, zabezpieczył broń i odłożył na jej miejsce: pod materac, z prawej strony, dość głęboko.

Jego pistolet był dziewięćmilimetrowym Waltherem z 1936 roku. Willi Mohr nabył go drogą wymiany za dwie puszkę konserw we Flensburgu latem 1945 i od tego czasu zawsze udawało mu się przemycać go przez wszystkie granice. Nigdy z niego nie strzelił, ale znał dobrze jego konstrukcję i wiedział, jak działa.

4

Dwudziestego siódmego listopada, w pięć dni po przesłuchaniu, Willi Mohr niemal cały dzień przeleżał na materacu czekając. Osłabł z głodu, ale nie chciał iść do tiendy, bo właścicielka zaczęła mu się przyglądać z zaciekawieniem i współczuciem. Gdy zapadła ciemność, poszedł do Café Central, gdzie oddał w zastaw zegarek. Gospodarz był życzliwy, dał mu szklankę białego wina i dwie grube kromki chleba umoczonego w oliwie. Zjadł szybko i żarłocznie i czym prędzej wrócił do domu na Barrio Son Jofre. Bał się, że Santiago przyjdzie pod jego nieobecność, i nie odważał się oddalać na dłużej.

5

W pierwszych dniach grudnia zrobiło się bardzo ciepło, zupełnie jak w zeszłym roku o tej porze. Człowiek z domu przy Barrio Son Jofre nie miał kalendarza i nie wiedział, jaka jest dokładna data. Przed tygodniem mniej więcej pomyliła mu się rachuba, a nie chciało mu się pytać kogokolwiek. Sądząc po pozycji słońca, mogła być dwunasta, może wpół do pierwszej.

Willi Mohr przysłuchiwał się odgłosowi samochodu, który właśnie skręcił w zaułek, wiedział, że to Santiago Alemany nadjeżdża. Wyjął pistolet i odbezpieczył kciukiem.

Czuł się spokojny, odprężony, czekał przykucnąwszy przy materacu. Z pistoletem zwróconym ku drzwiom, z palcem na cynglu. Opuścił jednak broń, tak że wylot i przedni brzeg kolby opierały się o materac. Podgiął też róg koca, żeby pistoletu nie było widać, żeby gość miał szansę ucieczki albo ukrycia się za samochodem.

Strzeli natychmiast, ale nie wcześniej, nim będzie pewien, że trafi.

Dźwięk wzrósł się powoli, gdyż zaułek był stromy i trzeba było prowadzić ostrożnie po ostrych zakrętach. Kot już się wymknął i zajął swe zwiadowcze miejsce przy drzwiach. Zza

drzwi Willi widział rytmicznie poruszający się w tę i z powrotem koniuszek ogona.

Furgonetka wjechała przed dom i zatrzymała się tuż pod drzwiami. Santiago Alemany siedział w otwartej szoferce, ubrany w niebieskie spodnie i wyblakłą kraciatą koszulę. Gdy wyłączył silnik, ten kilka razy zakrzuszył się, a Santiago uważnie wsłuchał się w bulgotanie przegrzanej wody w chłodnicy. Platforma była załadowana umocowanymi skrzynkami, służącymi do przewożenia ryb. Skrzynki były zupełnie suche, z czego Willi Mohr wywnioskował, że są puste, czyli Santiago wraca z głównego miasta prowincji do puerto.

Suka zbudziła się i z ujadaniem wypadła z domu. Wymachując ogonem okrążała samochód.

Kot, rozpoznawszy przybysza, odprężył się i leniwie poszedł na słońce. Na zewnętrznych schodkach przystanął i w nagłym przyplýwie energii ugryzł się w prawą nogę.

Santiago Alemany odrzucił na pół wypalony papieros i wylaż z samochodu. Pochylił się, by pogłaskać sukę, a gdy przewróciła się na grzbiet z nogami do góry, dopełnił obowiązkowego podrapania jej w brzuch.

Potem wolno pokonał dwa niskie stopnie schodków i wszedł do wnętrza.

Zatrzymał się przy progu i kiwnął głową na powitanie. Jego spojrzenie przez chwilę spoczęło na skłębionej pościeli, potem wolno przesunęło się po wielkim nie sprzątniętym pokoju.

Najdłużej przyglądał się obrazowi, przedstawiającemu dom i kaktusy; obraz wciąż tkwił na sztalugach i nie zmienił się ani odrobinę od czasu, gdy był tu ostatni raz. Kiedy podszedł do drzwi kuchni, Willi Mohr zobaczył, że ma łuski rybie przyschnięte do spodni, a na biodrze przy pasku nóż do patroszenia.

Santiago Alemany odwrócił się i wyszedł z domu. Ostrożnie dotknął palcami pokrywy chłodnicy, przytrzymując ją lewą ręką, schylił się i pokręcił korbą. Za trzecim obrotem silnik zapalił. Znów kiwnął Willemu głową, naciskając pedał wycofał się i zniknął z pola widzenia. W połowie wzgórze wyłączył silnik

i wóz zaczął się staczać.

Hamulce zazgrzytały, gdy skręcał na główną drogę, zgrzyt rozniósł się daleko w pustce i ciszy.

Santiago Alemany opuścił Barrio Son Jofre.

Willi Mohr przez cały ten czas ani drgnął. Wciąż przykucnięty tuż przy materacu, ze wskazującym palcem prawej ręki na spuście, z dłonią zaciśniętą na kolbie i rogiem koca podciągniętym dla osłonięcia pistoletu. Nie wiedział nawet, jak długo to trwało, czy Santiago był tu pół godziny, czy tylko kilka minut.

W łydkach kłuło, kolana mu zdrętwiały, białe punkciki tańczyły mu przed oczyma. Wypuścił pistolet, zostawił odbezpieczony pod kocem. Dłoń miał mokrą od potu, wytarł ją o spodnie.

Zesztywniały, wstał niepewnie, wyszedł i siadłszy na progu, oparł łokcie o uda, a twarz wsparł na rękach.

Przed schodkami duża ciemna plama oleju ciemniała między kamieniami.

I nic z tego, pomyślał.

To była pierwsza świadoma myśl od chwili, kiedy usłyszał, że ciężarówka skręciła w zaułek. Czas między tymi dwoma momentami nie istniał. Choć wszystkie doznania zmysłowe tego okresu starannie uporządkowane zatrzymał w pamięci. Najmocniej zapamiętał sukę przewracającą się na grzbiet z oddaniem, gdy ten człowiek pochylił się, by ją podrapać między sutkami.

Willi Mohr podniósł niedopałek rzucony przez Santiaga, wyjął z kieszeni fajkę. Ostrożnie rozerwał bibułkę papierosa i przesypał tytoń do fajki cienkim strumykiem. Ani kruszyna się nie zmarnowała. Wykrzesał ogień, pocierając zapalką skrawek nawoskowanego papieru tak zdarty i pomięty, że musiał go ścisnąć paznokciami, tuż przy siarce. Trochę się sparzył, gdy ugniatał tytoń kciukiem. Wypaliwszy, wystukał fajkę o schodek i wrócił do mieszkania.

Przyniósł z kuchni miotłę z piawy i zamiótł podłogę. Zabezpieczył pistolet, schował go pod trzcinowe krzesło, wytrzepał pościel na podwórzu i porządnie zaścielił pościel.

Napełnił dzbanek wodą ze studni przy drodze. Po umyciu się i ogoleniu włożył świeżą koszulę, odbezpieczył pistolet i znowu włożył go pod poduszkę. Skontrolował, czy leży tak, że łatwo po niego sięgnąć, potem usiadł przed drzwiami i czekał na powrót Santiaga.

Był suchy, ciężki i duszny upał, ale słońce dalekie było jeszcze od zenitu i dom rzucał cień na schodki.

Willi Mohr nasłuchiwał, obserwując jednocześnie małą zieloną jaszczurkę na ścianie komórki. Wydawała się niemal nierzeczywista w swym absolutnym znieruchomieniu. Ktoś nie znający sposobu jej zachowania mógłby pomyśleć, że zwierzątko zostało sparaliżowane strachem albo jest po prostu wypchanym okazem. Lecz jaszczurka czekała, to czekanie było równie wzorowe, jak zdolność działania, gdy zdobycz znajdzie się w jej zasięgu.

Tak myślał Willi Mohr.

Jego własnej czujności też nic nie można było zarzucić. Drogą z puerto kilka razy przejechały motocykle i raz autobus pocztowy. Po kilku godzinach, może czterech, usłyszał ciężarówkę rozwożącą ryby. Był pewien, że to ona, gdy się zbliżyła do skrzyżowania, na długo przedtem, nim skręciła w zaułek ku Barrio Son Jofre.

Przyglądał się jaszczurce i czekał nieruchomo.

Santiago Alemany nie przebrał się ani nie wyładował pustych skrzynek, tylko w szoferce stały kobiałki, których przedtem nie było.

Wyłączył zapłon, posłuchał, jak się gotuje w silniku. Potem zeskoczył i powtórzył procedurę z psem, odpędził kilkoro wychudłych półnagich dzieciaków, które przybiegły za samochodem z domów położonych niżej w zaułku.

- Dzień dobry - powiedział do siedzącego na schodach.

Willi Mohr kiwnął głową.

Santiago ukląkł i zajrzał pod samochód. Wyciekające z silnika krople oliwy utworzyły już małą plamę o kilka metrów bliżej niż poprzednim razem.

- Koniec z tym samochodem - powiedział. — Przez wiele tygodni nie będę mógł nim jeździć.

Willi Mohr otworzył usta, ale nic nie powiedział.

- Oliwa przecieka.

- Zmień silnik - powiedział Willi Mohr.

- Nie wystarczy. Wszystko się wykończyło. Już nie mam odwagi hamować. Zresztą nie można już dostać tego rodzaju silników nadających się jeszcze do użytku. Wszystkie są tak samo do niczego.

- Można ten stary przeszlifować - powiedział Willi Mohr.

Mówił wolno, szukając słów.

- Nauczył się pan mówić po hiszpańsku przez ten czas - rzekł Santiago.

- Trochę.

- Ja uważam, że sporo.

Santiago odwrócił się i zdjął kosze z wozu.

- Ryby - powiedział - łososiowate, jeden kalmar i kilka langust. Chce pan?

Wydawał się trochę niepewny, oblizywał wargi.

Willi Mohr, obojętnie patrząc na ryby, myślał:

Oczekuje, że odmówię, wtedy wiedziałby, czego się trzymać. Wcale nie ma ochoty tu przychodzić, ale musi, bo musi się dowiedzieć. Jeżeli powiem nie albo nawet tylko głową zaprzeczę, postawi kosz na ziemi i pojedzie sobie, wtedy będzie wiedział trochę więcej niż przedtem. Oczywiście jeżeli go wcześniej nie uśmiercę. Pozwolę mu wejść do kuchni, przyniosę pistolet i zastrzelę go.

Tok myśli był zupełnie klarowny.

- Dlaczego nie - powiedział.

Santiago wziął koszyki i wszedł do wnętrza domu.

Willi Mohr odczekał chwilę, potem za nim podążył.

Santiago, przykłąknąwszy przed kominem, układał w popiele na palenisku nałamane gałęzie. Opróżnił już kosze, ich zawartość leżała na kuchennej ławie. Dwa bochenki chleba, oliwa, papierowa tutka z solą, wino, butelka białego i butelka czerwonego. Pięć paczek ideali, zapalki. Kości dla psa. Nafta. Duży zielony melon.

Willi Mohr, mimo że od kilku dni nic prawie nie jadł, nie czuł głodu.

Santiago wstał, rzucił kilka kostek psu, który natychmiast wziął się do ogryzania. Potem wlał wody w glinianą miszkę, usadowił się obejmując ją nogami, wyciągnął nóż do patroszenia i zaczął czyścić ryby. Wnętrznosci rybie odkładał na kawałek szarego papieru, który sobie przygotował pod ręką. Kot już tam był. Jedząc mruczał i przechylał głowę, by gryźć tylnymi zębami.

Willi Mohr przyglądał się temu, stojąc oparty o drzwi. Twarz Santiaga była spokojna, skupiona. Wydawało się, że jest całkowicie pochłonięty swym zajęciem, tylko koniuszek języka od czasu do czasu przesuwiał się po wargach. Willi Mohr skierował spojrzenie na jego ręce, zręcznie i z wprawą manewrujące szerokim ostrzem dużego noża przy małych czerwonych rybkach.

To nie były ręce robotnika, choć opalone i duże. Palce miał długie, dobrze utrzymane, o krótko przyciętych paznokciach. Przeguby i wierzch dłoni pokrywały rzadkie brązowe włoski. Między szybko i zręcznie poruszającymi się palcami spływały strużki bladej wodnistej krwi.

Te ręce chyba rozstrzygnęły sprawę.

Willi Mohr wrócił do pokoju, schylił się, sięgnął pod poduszkę. Kolba była żłobkowana i ukośnie ścięta, aby uchwyt był łatwiejszy. Dotknąwszy kolby, pomyślał o zimnym, lśniącem stalowym tunelu, przez który kula przebija się popychana nieubłaganą siłą.

Znieruchomiał, wsłuchał się w dźwięki dochodzące z kuchni. Potem cofnął rękę, spojrział na nią. Nie wyglądała, jak ręka robotnika, mimo że była duża i opalona. Palce długie, paznokcie szerokie i równo przycięte. Na przegubie rzadkie jasne włoski.

Wzruszył ramionami i podszedł do drzwi kuchni. Santiago Alemany skończył czyszczenie ryb i właśnie wycierał wielką patelnię. Od roku prawie porzucona, była bardzo brudna.

Santiago, coś mrucząc sam do siebie, tarł żelazo kawałkiem pakunkowego papieru. Od czasu do czasu przyglądał się rezultatowi. Wreszcie wlał oliwę na patelnię i ułożył na niej obtoczone w soli ryby. Potem chlusnął naftą na drobno

połamane gałązki i przytknął zapalną. Ogień rozgorzał natychmiast i palił się równym czerwonym płomieniem.

Gdy ryby były gotowe, przełożył je do glinianej miski, porządnie umytej i wypłukanej.

Willi Mohr przez cały czas stał w drzwiach i patrzył. W dalszym ciągu nie odczuwał głodu.

Santiago skończył z przyrządzaniem jedzenia. Postawił miskę na klepisku między dwoma płaskimi kamieniami, przeznaczonymi do siedzenia, wytarł nóż o spodnie. Przycisnął jeden z bochenków do piersi i pokroił go na grube kromki.

Znalazł także dwa stare blaszane kubki i nalał w nie wina.

- Proszę - powiedział.

Siedzieli naprzeciw siebie, między nimi miska.

Santiago kilka razy spojrzął na Willego Mohra niepewnie i pytająco.

Potem podniósł kubek i skłonił głowę.

Ponieważ Willi Mohr nie zareagował, upił łyk i odstawił kubek, nic nie mówiąc.

Po kilku minutach wziął rybę, zaczął jeść. Jadł palcami, od czasu do czasu zerkając na siedzącego naprzeciw.

Jego oczy nie są już takie jak przedtem, pomyślał Willi Mohr. Nie takie zimne i zuchwałe.

Gdy Santiago zjadł trzy ryby, Willi Mohr wyciągnął rękę i wziął trochę. Długo się jej przyglądał i jakby z wahaniem.

- Ładna ryba - powiedział.

- Tak. Bardzo ładna. O tej porze roku ryba jest najlepsza, tylko złowić ją trudno. Bywa taka pogoda, że zupełnie nie można. Teraz przez kilka dni była dobra. Łodzie miały dobre połowy. Ostatnia noc była najlepsza w tym roku. Dobry interes.

Willi Mohr wgryzł się w grzbiet troci. Już po pierwszym kęsie taki głód go opanował, że musiał powstrzymać się, żeby nie łykać zbyt szybko i żarłocznie.

- Dużo pieniędzy - powiedział Santiago i potarł kciukiem palec wskazujący. - Naprawdę dużo pieniędzy.

Willi nadgryzł chleb, popił dużym łykiem wina.

- Dużo pieniędzy - powtórzył Santiago. - Mogą się zresztą

przydać - dodał.

Jeszcze jedną rybę. Jeść wolno, ostrożnie.

- Gdyby wypłynęli dziś wieczorem, mogliby zarobić grube pieniądze - powiedział Santiago.

- A oni nie wypłyną? - spytał Willi Mohr.

Niemal zadławił się tą wypowiedzią.

Santiago wzruszył ramionami.

- Myślę, że nie - powiedział. — Kiedy im się uda, rzadko chce się im wypłynąć następnego wieczoru. Nawet gdyby tej nocy mogli zarobić tyle, co przez cały miesiąc. Zapominają, że przez cały miesiąc nic nie złowili, że ta piękna pogoda już jutro może się skończyć. A potem znowu przez cały miesiąc mogą być sztormy. Może dwa miesiące.

- Dziwne - powiedział Willi Mohr.

- Tacy już są. Wszyscy. Mój ojciec też. Beznadziejni. Ale jak połów jest zły, naprawdę zły, mogą tkwić na morzu dzień i noc, dzień i noc, byle złowić choć trochę, może nawet za benzynę się im nie zwróci. Księża nazywają to pokorą wobec nieuniknionego. Taka właśnie jest praca.

Willi Mohr jadł.

Następnej wypowiedzi nie zrozumiał, podniósł wzrok i potrząsnął głową.

Santiago podniósł palec i starał się wyjaśnić.

- Zanim postarałem się o samochód - mówił - siedzieli i czekali, aż jakiś skupujący z miasta przyjedzie, kiedy będzie chciał, i zapłaci tyle, ile będzie chciał. Czasami wcale nie przyjeżdżał i musieli oddać komuś albo wrzucić do morza cały połów, jeżeli to nie były takie ryby, które można zasolić. I to oni nazywają pracą. A to, co ja robię, to nie jest praca? Pan rozumie, co chcę powiedzieć?

Willi Mohr kiwnął głową. Bardzo dziwnie się czuł. Może dlatego, że po długim poście nie mógł znieść takiego sycącego jedzenia.

Jadł dalej. Drażniło go to, ale nie mógł przestać.

Santiago skończył, wypił wino, wytarł ręką usta. Potem podniósł z podłogi kawałek drewna, wystrugał na zapalną i dłużył w zębach długo i starannie.

Gdy Willi Mohr zjadł ostatni kawałek ryby, Santiago odrzucił wykałaczkę i spytał:

- Z jakiego kraju pan jest?

- Z Niemiec.

- Z Hamburga?

- Nie, właściwie ze wschodnio-południowej części. Niemiecka Republika Demokratyczna... Ale ja wiele lat temu się stamtąd wyniosłem.

- To był zły kraj?

Willi Mohr uważał, że trudno odpowiedzieć na to pytanie. Po chwili rzekł:

- Tak, tak mi się chyba wydawało... wtedy. W każdym razie pod pewnymi względami.

- Tam też pozwalają, żeby ludzie z głodu umierali? I strzelają do tych, którzy chcą lepszej zapłaty?

- Nie. Nie to. Nie, tam nikt z głodu nie umiera.

- Więc co tam było złego?

- O towary było trudno, na przykład.

- O jakie towary?

- Różne. O kawę, tytoń, niektóre gatunki ubrania, o samochody, motocykle, nie można było kupić żadnych zagranicznych rzeczy.

- I nie było pracy?

- Owszem. Za dużo prawie.

- Żadnego przemysłu?

- Odbudowywali. Cały kraj był spustoszony po wojnie.

- Ale fabryki coś przecież wyrabiały?

- Oczywiście.

- I te towary można było kupić, jak się miało pieniądze?

- Tylko najkonieczniejsze, proste rzeczy, artykuły pierwszej potrzeby. Wszystko inne to był luksus na eksport.

- Dlaczego?

- Żeby poprawić warunki ekonomiczne. Nasze pieniądze nie miały żadnej wartości w innych krajach.

- Ale jedzenie było?

- Tak. Wszyscy mieli jedzenie, ubranie, mieszkanie i pracę.

- Dlaczego pan się stamtąd wyniósł?

Pytanie było bezpośrednie i kłopotliwe. Willi Mohr przez chwilę szukał słów. Z jakiegoś powodu chciał odpowiedzieć możliwie wyczerpująco.

- To wymagało tak wielkich ofiar, a tak mało otrzymywało się w zamian. Wszystko, cała egzystencja, zbudowana na jednej idei jednego systemu. Jeśli się tam żyło, trzeba było mieć pewność, że ten system wart jest takich ofiar, trzeba było wierzyć w zasady idei, można powiedzieć. Bez tego nie ma sensu, a nie można się nie włączyć.

- Tam był komunizm, czy jak?

- Tak.

- Trzeba było być komunistą?

- Tak.

- A jak nie? Więzienie? Albo...

Wykonał znany na całym świecie gest, podniósł głowę i palcem przeciągnął po gardle.

- Nie, nie to. Nie w ten sposób trzeba było być komunistą. Nikt do tego nie zmuszał, nie można było nawet tak od razu zostać członkiem partii, nawet jeżeli się chciało. Trzeba było być komunistą z przekonania, żeby móc tak pracować i w takich warunkach.

Santiago chwilę siedział w milczeniu i z roztargnieniem patrzył w kierunku drzwi.

- Kiedy byłem chłopcem, podczas wojny, tu też byli komuniści. Pamiętam, że urządzali wiece. Andrés Nin tu był i przemawiał w porcie na bulwarze. Miałem wtedy z dziesięć lat. Albo jedenaście. Potem była wojna. Miałem dwóch braci, starszych ode mnie, obaj zostali zabici.

Willi Mohr kiwnął głową.

- Teraz komunizm jest tu zabroniony - powiedział Santiago po chwili.

- Jak wszystkie inne ugrupowania socjalistyczne, prawda?

- Tak - powiedział Santiago.

Badawczo spojrzął na Willego Mohra i dodał:

- Ja się nigdy polityką nie zajmowałem. Ale zeszłej zimy zdarzyło się coś, co...

Willi Mohr drgnął i szerzej otworzył oczy.

Santiago urwał i podniósł się.

Noga odsunął naczynia, wziął z ławki jedną z paczek papierosów i wyszedł z kuchni.

Willi Mohr zebrał garnki i postawił je w kącie obok stągwi z wodą. Potem rozerwał paczkę ideali i zapalił, zaciągając się długo i głęboko. Od tygodnia nie miał papierosów.

Wyszedszy przed drzwi zobaczył, że wieczór już zapadł. Słońce stało nisko i rzucało na ziemię długie fioletowe cienie. Powietrze było suche i gorące, a na wschodzie ponad ciężką granatowoczną wstęgą wstającego zmierzchu niebo gorzało żywymi barwami w tonach od indygo do purpury.

Santiago Alemany stał przy kamionetce i niedbale kopał przednią oponę, z której uszło powietrze.

- Zepsuty? — spytał.

- Tak.

- Nie powinien tak stać. Opony się niszczą.

Willi Mohr wzruszył ramionami.

- A czego mu brakuje?

- Wentyla.

- Wentyl to jeszcze nic nadzwyczajnego.

- Może łańcucha też.

Santiago pochylił się nad silnikiem i przesunął po nim palcami.

- Chyba nie - powiedział.

Willi Mohr nie odpowiedział.

- Trudno go będzie znowu uruchomić.

- Tak.

Santiago obszedł samochód dokoła i zdjął zapasowe koło wiszące na wyciągu nad bocznym ramieniem. Przetoczył je, a po kilku obrotach nacisnął palcami, by sprawdzić sprężystość.

- Opona jest dobra - oświadczył.

Co było słusznym spostrzeżeniem. Gdy Dan Pedersen przejął tę kamionetkę, nie miała ona zapasowego koła. Ponieważ Dan i Siglinde mieli wtedy jeszcze trochę pieniędzy, kupili oponę, żeby się zabezpieczyć, ale jakoś nigdy nie złapali gumy i nie trzeba było zakładać zapasowego koła.

- Mnie się przyda - powiedział Santiago. - Od dawna chcę

kupić, ale jakoś się nie składało.

- Nie jest moje.

- Nie. Rzeczywiście nie.

Santiago uśmiechnął się smutno. Wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów i odliczył trzysta pesetów. Willi Mohr nie przejawiał chęci przyjęcia pieniędzy. Podejrzliwie przyglądał się furgonetce do rozwożenia ryb.

- Ten sam rozmiar - powiedział Santiago.

Położył banknoty na błotniku kamionetki i poszukał kamyka do przycięnięcia ich.

- Żeby ich nie zdmuchnęło przy takiej pogodzie - powiedział.

- To za dużo - powiedział Willi Mohr.

- Przeciwnie, takie koło kosztuje co najmniej sto duros.

Santiago podtoczył koło do forda.

- Pan sobie teraz zupełnie dobrze radzi z hiszpańskim - powiedział.

Odwrócony plecami do wejścia, pochylił się i zakręcił kolbą. Silnik natychmiast zapalił. Zmierzch zapadał gwałtownie, było już prawie ciemno.

Santiago Alemany wdrapał się do szoferki i włączył światła.

Coś mówił, ale warkot silnika głużył słowa. Gdy wycofywał się tyłem, smuga światła reflektorów padła na człowieka stojącego nieruchomo na schodkach, z rękami w kieszeniach.

Gdy warkot silnika zamarł w oddali, Willi Mohr wszedł do domu i po omacku sięgnął pod poduszkę po pistolet. Stojąc z bronią w ręku powiedział sam do siebie:

- I nic z tego.

Czuł się bezradny, nedorzecznie zrozpaczony, jak gdyby nagle runęły podstawy jego egzystencji.

Zabezpieczył pistolet i wsunął pod materac. Potem poszedł do kuchni i zapalivszy zapałkę przyjrzał się rzeczom, leżącym rzędem na ławie.

- Przekleństwo-powiedział.

Poszedł do kamionetki i odszukał banknoty, zwinął je i schował do kieszeni.

Gdy zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku, opanował się

i pomyślał: Nie mogę w taki sposób. Muszę go dopaść, jak zrobiłem z tamtym. Czasu mam dość.

Willi Mohr poszedł do Café Central na wieczorną kawę.

6

Boże Narodzenie za dwa tygodnie, a ciepło się utrzymywało i kamienna podłoga pod jego bosymi nogami była rozgrzana. Było wpół do dziewiątej i Willi Mohr właśnie się obudził. Ubrany w zmiętą piżamę, rozczochrany i ziewający otworzył drzwi. Na zewnątrz domu upał był jak biała oślepiająca ściana.

Na stopniu kamionetki siedział Santiago Alemany. W kapeluszu nasuniętym na oczy, z łokciami opartymi o kolana, bez zainteresowania ostrugiwał patyk. Obok jego stóp stała skrzyneczka z narzędziami i leżał zawór do wentyla, nowy, błyszczący miedzią.

- Dzień dobry — powiedział zsuwając kapelusz z czoła.

Willi Mohr kiwnął głową. Potem chrząknął i obojętnie splunął na ziemię.

Był zaskoczony i boleśnie dotknięty. Żeby być przyłapanym w łóżku, tego się nie spodziewał, rozejrzał się dokoła pytająco i podejrziwie.

- Musiałem zostawić samochód na dole - powiedział Santiago. - Bo właśnie urządzili ubój świni na środku ulicy-

Wypuścił patyk, ale wciąż przesuwiał palcami po nożu.

- Wkrótce Boże Narodzenie - powiedział. - Wszyscy będą się najadać do syta.

Willi Mohr spojrzawszy na nóż, wrócił do wnętrza domu. Nie był zadowolony z sytuacji i nie miał ochoty stanąć w kuchni nago, odwrócony plecami do drzwi. Z drugiej strony nie mógł przecież zabrać z sobą pistoletu i położyć go przy miednicy. Drapiąc się w pierś, rozmyślał. Wreszcie wzruszył ramionami, zdjął spodnie i zabrał się do mycia.

Gdy ponownie wyszedł, Santiago zebrał już narzędzia i stał pochylony nad silnikiem.

- To zajmie kilka godzin - powiedział.

Willi przytaknął. Przypuszczalnie zajmie to cały dzień, może i

następny jeszcze, jeżeli zechcą uruchomić ciężarówkę. A później on się nią posługiwać nie będzie. Cała ta operacja wydawała się zupełnie bezsensowna, jeżeli nie krył się w niej jakiś skryty zamysł. Może Santiago zamierzał jeździć kamionetką zamiast swym sfatygowanym formem.

- Chyba zaczniemy - powiedział Santiago.

- Najpierw trzeba spuścić olej - rzekł Willi Mohr.

Santiago wręczył mu klucz francuski.

Willi wahał się chwilę, zanim położył się na plecach, by dosięgnąć zaworu. Leżąc z głową i ramionami pod kamionetką, resztę ciała mając poza jej osłoną, był dotkliwie świadom, że jest zupełnie bezbronny. Zawór zaciął się i dobrej chwili trzeba było, żeby go odkręcić, brunatna ciecz, woda zmieszana z olejem, wyciekła z silnika i wsiąkła w wyschlą ziemię między kamieniami.

Pracowali w milczeniu, nie spiesząc się. Gdy podnieśli głowicę i zdjęli starą uszczelkę, zrobili przerwę i zjedli po kawałku chleba z kilkoma plasterkami kielbasy. Potem usiedli w skąnym cieniu pod ścianą i zapalili. Santiago powiedział:

- Mam znajomego, który jest marynarzem. Był wiele razy w Hamburgu. Twierdzi, że tam są całe ulice barów i nocnych klubów, gdzie kobiety tańczą bez ubrania, a dziewczyny w burdelach przed każdym paradują gołe. A w kioskach i w zwyczajnych sklepach z papierosami, książkami i gazetami wystawiają książki i gazety pełne nagich kobiet.

- Tak przeważnie jest - powiedział Willi Mohr.

- Ostatnio mówił, że był w takim lokalu, gdzie kobieta pokładała się z kozłem, jeżeli się jej zapłaciło dwadzieścia pięć duros.

Willi Mohr wydał usta, myśląc o tym, co mu raz mówił Hugo Spohler, że w Egipcie prostytutki leżą na wystawach nago i palą papierosa cipą, żeby dowieść swej zawodowej zręczności. Świat pełen jest przesadnych wybryków, zresztą Hugo Spohler nie był w Egipcie.

- To możliwe - powiedział.

- A w twojej części Niemiec też tak jest?

- Nie, takie rzeczy są lepiej urządzone w Niemieckiej

Republice Federalnej.

- Gdzie?

- To znaczy, w Niemczech Zachodnich.

- A jakie są kobiety w twoim kraju ojczystym?

- Cóż, nie pokładają się z kozłami — powiedział Willi Mohr.

Niezbyt go bawiła ta rozmowa i wolałby ją skończyć, ale spojrzawszy na Santiaga zrozumiał, że nawet to ostatnie pytanie zostało zadane zupełnie serio.

- Mają zupełnie inne warunki niż tu - powiedział. - Pracują, mają do czynienia z wieloma sprawami, we wszelkich możliwych zawodach. Kobieta może być kierowcą autobusu, motorniczym na kolei, robotnikiem budowlanym. Mają takie wykształcenie jak mężczyźni i zajmują zupełnie inne miejsce w społeczeństwie. Skutkiem czego mają też prawo korzystać z takiej samej wolności, jeżeli zechcą.

Wrócili do samochodu i stali teraz naprzeciw siebie pochyleni nad silnikiem.

- Wolności?

- Tak, mogą na przykład sypiać, z kim zechcą, kiedy zechcą i z tyloma, z iloma zechcą. Nie wszystkie to robią, ale niektóre.

- I nikt im nie ma za złe?

- Oczywiście zdarza się, ale nikt taki, z kim musiałyby się liczyć czy podporządkować się.

- A burdele?

- Nie ma burdeli.

- No i jak?

- Dobrze, jak mi się zdaje. To nie jest problem. Problemy są, ale zupełnie innego rodzaju.

Przez chwilę milczeli, zdzierając uszczelki i wygładzając brzegi. Willi Mohr próbnie nacisnął tłoki i stwierdził, że luz jest duży. Jednocześnie zastanawiał się nad kilkoma pytaniami, które chciał postawić. Obmyślił je sobie, ale czekał, dopiero kiedy tamten pochylił się nad silnikiem dla sprawdzenia nowych uszczelk, powiedział:

- A tu w Hiszpanii jest inaczej, prawda? Wam nie tak łatwo o kontakt z młodymi kobietami, innymi, nie tymi z burdeli?

- Tak, nie jest łatwo - powiedział Santiago.

Nie podniósł głowy przy tej odpowiedzi. Kapelusz zdjął, bo mu przeszkadzał w pracy, i Willi Mohr wpatrywał się w tył jego głowy ze sterczącym jak drogowskaz czubem ciemnych, równo przyciętych włosów.

- A te wszystkie turystki — powiedział ściskając francuski klucz. - Nie próbujecie od czasu do czasu, czy nie dałoby się przespać z którąś z nich?

Santiago podniósł głowę i spojrzał na niego, najpierw prosto w twarz, potem na rękę z francuskim kluczem.

- Zdarza się - powiedział zimno.

Pochylił się i dalej pracował. Willemu zdawało się, że na chwilę znieruchomiał, jak gdyby na coś czekając, ale może mu się tylko zdawało.

Przez resztę popołudnia nie odzywali się do siebie.

Nie zdążyli z remontem, tuż po szóstej Santiago spojrzał na zegarek, zebrał narzędzia do skrzyneczki i odszedł, nie mówiąc, czy zamierza wrócić następnego dnia.

Rano Willi Mohr nie dał się zaskoczyć. Gdy mała ciężarówka do rozwożenia ryb zatrzymała się przed domem, siedział już na schodku i czekał.

Okolo południa silnik był zreperowany, ale dopiero po kilku dalszych godzinach udało się go uruchomić. Na zakończenie napompowali opony. Była to mozolna praca, bo naciskana nogą pompka była stara i nieszczelna, więc zmieniali się przy pompowaniu. Gdy Willi napełniał ostatnie koło, stojący za nim Santiago powiedział:

- My tu mamy bardzo silne poczucie wspólnoty rodzinnej.

- Słyszałem o tym.

- Gdy coś się stanie jednemu z członków rodziny, traktujemy to bardzo poważnie.

- Ach, tak - powiedział Willi Mohr.

Nie chciało mu się nawet spojrzeć.

W chwilę później Santiago odjechał. Willi Mohr czuł, że nieprędko tu wróci.

Przeżycia dwóch ostatnich tygodni destrukcyjnie wpłynęły na Willego Mohra. Obcowanie z Santiagiem Alemany wywołało całą serię sytuacji, jednoznacznych i przez niego samego nie przewidzianych.

W dalszym ciągu był pewien, że prędzej czy później zgłodzi Santiaga, choć wciąż nie wiedział, kiedy i jak.

Po raz pierwszy od roku zdał sobie jasno sprawę ze swej samotności i wyobcowania; nie miał już na co czekać, a tym samym własne istnienie wydało mu się nagle sztuczne i pozbawione sensu.

Zakładał, że przypuszczalnie pożyje jeszcze szereg dni, ale ponieważ nie można było przejrzeć tej przyszłości a ponadto nie ograniczał jej jakiś istotny cel, wydawała mu się mętna i odstręczająca.

Gdy Santiago się wyniósł, Willego Mohra ogarnęła żądza działania, jakiej od dawna nie zaznawał. W zmęczeniu fizycznym znajdował ważną przyczynę, by niezbędną działalność myślową odsunąć przynajmniej do następnego dnia.

Z zadowoleniem stwierdził, że opał znowu się skończył, odnalazł kawałki postronka, by pójść po chrust. Wdrapywanie się pod górę w suchym, nieruchomym upale było wyczerpujące, ale obrócił dwa razy, za każdym razem wspinając się wyżej niż kiedykolwiek przedtem. Gdy wrócił, już się ściemniało, i mógł spokojnie przejść do zwykłego wieczornego programu. Mimo że czuł się zmęczony i spotniały, poszedł do jadłodajni za kościołem i po zjedzeniu obiadu jak zwykle parę godzin spędził w Café Central. Przy sąsiednim stoliku siedziało kilku robotników, pracujących przy budowie drogi z funduszu pomocy społecznej. Nic nie pili, złożyli się tylko po pesecie na wypożyczenie starej zatłuszczonej talii kart. Grali w milczeniu a ich chude, opalone twarze nie wyrażały nic prócz ubóstwa i onieśmienia.

Do domu przy Barrio Son Jofre Willi Mohr wrócił tuż po północy. Otworzył drzwi i wszedł do ciemnego wnętrza nie przekręcając za sobą klucza. Ponieważ był bardzo zmęczony,

nie chciało mu się zapalać naftowej latarni, wystarczył mu ogarek świecy, stojący w głowach posłania. Ziewnął, pomyślał, że powinien wyjść na dwór, żeby umyć zęby i wysuszyć się przed położeniem. Przyniósł z kuchni szczoteczkę do zębów i blaszany kubek i właśnie gdy szedł ku drzwiom, usłyszał, że na zewnątrz ktoś się porusza.

Znieruchomiał o dwa kroki od progu.

Był zupełnie pewien, że nikt nie szedł za nim przez zaułek, a jednak tam w ciemności ktoś był.

Ktoś, kto znajdował się tam przez cały czas, a teraz stał na schodkach tuż pod drzwiami. Klucz tkwił po zewnętrznej stronie.

Stał ze szczoteczką w jednej ręce a kubkiem w drugiej i nie mógł się zdecydować na nic.

Usłyszał słaby szelest materiału ocierającego się o drzewo i zobaczył, że klamka się porusza.

Nieruchomo wpatrywał się w drzwi, otwierające się cicho i wolniutko.

Na schodkach stał mały gwardzista o okrągłej kociej twarzy z cienkimi czarnymi wąsikami. W ręku miał karabin i obojętnie zaglądał do pokoju.

— Idziemy — powiedział.

8

W pokoju nic się nie zmieniło.

Były w nim tylko cztery meble, niewielkie biurko, obejmowana na ciemno szafa na dokumenty, czarne krzesło z poręczami i chwiejna ławka mogąca pomieścić dwie osoby a przecież wydawał się zagracony do ostateczności. Okna nie było, ale nad biurkiem wisiał portret caudilla w ciężkiej drewnianej ramie. Pod portretem w kręgu światła wiszącej lampy elektrycznej z zielonym szklanym kloszem siedział człowiek i coś pisał.

Gdy Willi Mohr wszedł do pokoju, sierżant Tornilla natychmiast odłożył pióro i wstał.

Zasalutował służbiście, wyciągnął rękę i powiedział z

uśmiechem:

- A więc znowu się spotykamy, bardzo mi przyjemnie. Przepraszam, że poprosiłem pana o przyjście tu o tej porze.

Willi Mohr wpatrując się w niego jasnoniebieskimi oczami machinalnie odwzajemnił uścisk ręki.

W bramie kolba karabinu szczęknęła o cementową podłogę. Ktoś stał tam na warcie, pewnie ten mały gwardzista o kociej twarzy i cienkich czarnych wąsikach. Ten, który go tu przyprowadził, cały czas idąc o trzy kroki za nim. Od chwili opuszczenia domu przy Barrio Son Jofre Willi Mohr nie widział go, słyszał tylko chrzęst żwiru pod jego butami.

Sierżant Tornilla obszedł biurko i bliżej przysunął ławkę.

- Ława oskarżonych - powiedział i uśmiechnął się, jak gdyby wymienili żart przeznaczony tylko dla wtajemniczonych.

Usiedli naprzeciw siebie, sierżant Tornilla wciąż się uśmiechał.

Oparł się łokciami o blat, powoli składając razem najpierw czubki palców, potem całe dłonie. Jakby mu coś ważnego nagłe przyszło na myśl, rozłączył je gwałtownie, sięgnął po paczkę papierosów za telefonem z korbką i podał ją Willemu.

Willi Mohr czuł, że musi w jakiś sposób przerwać to farsowe powtórzenie premiery, spróbował wyjąć zapalnik, ale człowiek siedzący w krześle z poręczami ubiegł go, przechylił się przez stół i podał zapalony ogień.

Sierżant Tornilla, nim odłożył zapalniczkę, chwilę ważył ją w dłoni i powiedział z uśmiechem:

- Wciąż ta sama zapalniczka. Znakomity gatunek. Niezawodna. Właściwie nie powinienem się nią posługiwać. Dobro zarekwirowane...

Znowu ścisnął czubki palców i dalej się uśmiechał.

Sierżant Tornilla zupełnie się nie zmienił od tamtej nocy sprzed dwóch i pół miesięcy. Ten sam przyjaźnie współczujący uśmiech, ten sam gatunek papierosów. Tak samo gładkie policzki i starannie wyprasowany mundur, tak samo połyskująca czapka i wypucowane bandolety. Na stole leżała para jasnobrązowych rękawiczek, poprzednim razem ich nie

było, ale poza tym wszystko wyglądało tak samo. Nawet papiery i akta zdawały się te same.

Willi Mohr założył nogę na nogę i nieprzychylnie spoglądał przez stół. Nie był zdenerwowany, ale irytowało go milczenie tego człowieka i jego nieruchome spojrzenie. Poza tym czuł senność i musiał tłumić ziewanie.

- Dlaczego kazał mnie pan tu przyprowadzić? — spytał.

Żadnej odpowiedzi.

Willi Mohr dopalił papierosa i starannie zdusił go na popielniczce. Leżały tam już cztery niedopałki

- Gdzie pan teraz mieszka? - spytał sierżant Tornilla.

- Przy Barrio Son Jofre.

- Od jak dawna pan tam mieszka?

- Od sierpnia zeszłego roku.

- Tak jest. Pana hiszpański jest znacznie lepszy. Wkrótce będzie pan mówić równie dobrze jak rodowity Hiszpan.

- Dziękuję.

- No, przesada oczywiście. Wymowa, prawda? Ale rzeczywiście mówi pan już znacznie lepiej. Od razu to usłyszałem. Zrobił pan postępy.

Znowu poczęstował bisontem i znowu zdążył podać ogień, zanim Willemu udało się sięgnąć po zapaliki.

Następnym razem ja muszę być pierwszy, pomyślał Willi Mohr.

- Do Bożego Narodzenia już tylko dwa tygodnie — powiedział sierżant Tornilla. - Obawiam się jednak, że pan będzie zawiedziony sposobem świętowania tutaj. Zupełnie nie tak jak w pana ojczyźnie. Bardzo dobrze pamiętam niemieckie Boże Narodzenie. Nawet w Rosji na froncie stawiało się choinki w rowach i bunkrach, wieszano na gałęziach papierowe girlandy, czerwone i zielone. I śpiewało się smutne pieśni. Znałem wielu pana rodaków, skarżyli się, że to nie jest prawdziwe Boże Narodzenie. Chyba jedyny raz słyszałem, że się skarżą. Opisywali, jak bywało przed wojną. Przyklejało się sztuczne brody i dawano sobie wzajemnie prezenty. Udawało się kogoś, jakąś postać, jakby karnawałową postać. Ona nawet miała jakąś nazwę, prawda?

- Święty Mikołaj.

- O właśnie. Święty Mikołaj. Tu tego nie ma. To nie jest hiszpański obyczaj. W wielkich miastach kupcy próbowali to wprowadzić, ale w głębi kraju to się nie przyjęło. Tu tyle tylko, że ludzie się odwiedzają i jedzą trochę więcej niż zwykle, jakąś paellę z mięsem. Potem w barze popijają anyżówkę. Niewiele pan zobaczy. A może pan już widział hiszpańskie Boże Narodzenie?

- Byłem tu w zeszłym roku.

- Zupełnie słusznie, zapomniałem. Od dawna pan tu jest. Ale, jak powiedziałem, niewiele pan zobaczył?

- Niewiele.

- Co innego Wielkanoc, tu jest to wielkie święto. Obchodzi się je przez wiele dni, wielkie procesje i uroczystości, kościelne i świeckie. Ale pan pewnie hiszpańską Wielkanoc też tu świętował?

- Nie.

- Słusznie. Nie był pan tu podczas Wielkanocy.

Willemu pociemniało w oczach i pomyślał: Zaraz zasnę.

Potem zauważył, że to żarówka przygasła. Światło zamigotało i zmniejszyło się tak, że tylko rozżarzony drucik widoczny był zza brudnego szkła niby zygzakowata nitka. W pokoju zrobiło się prawie zupełnie ciemno.

Sierżant Tornilla podał papierosy i zapalniczkę.

- Tutejsza elektrownia nie jest dobra - powiedział. - Stare urządzenia, bardzo niesprawne. Zimą często wysiadają, a wkrótce będzie jeszcze gorzej, kiedy zaczną się sztormy. Powinno się ją zmodernizować, ale tutejsi ludzie są zadowoleni, że jest tak, jak jest. Są dumni, że w ogóle mają elektryczność. Jak już powiedziałem, to prości, poczciwi ludzie.

Światło całkowicie zgasło, po kilku minutach zapaliło się, zamigotało kilkakrotnie i ustabilizowało się.

- No, więc znowu możemy się wzajemnie widzieć - powiedział sierżant Tornilla wesóło.

Po pauzie dodał usprawiedliwiająco:

- Wkrótce dostaniemy i będziemy mieli tu na posterunku

rezerwowo agregat. Wtedy nic takiego nie będzie się mogło zdarzyć.

Willi Mohr ziewnął, nie usiłując nawet ukryć tego. Rozmowa była nieinteresująca, zmęczyła go.

Człowiek w mundurze spojrzał na niego badawczo.

- Moja żona jest bardzo zirytowana na elektrownię. Ona ma maszynę elektryczną, dostała ją od teściów, dwa lata temu. Jak już mówiłem, moi teściowie mieszkają w Huelva. Ojciec ma tam sklep, dość duży, obecnie przekazał go memu szwagrowi. Czy pan był w Huelva? Szkoda, ładne miasto. Ta maszyna do szycia często żonę irytuje. Kiedy służyłem w Badajoz i tam mieszkaliśmy, funkcjonowała bez zarzutu, a tu nie zawsze działa. Czasem prąd jest za słaby, żeby poruszyć mechanizm, czasem w ogóle nie ma prądu. Powiadają, że to z powodu kotłów parowych. Są bardzo stare, aż dziw, że jeszcze działają.

Willi Mohr mrugając oczami patrzył na portret. Podobieństwo między caudillem i człowiekiem siedzącym w krześle z poręczami, bardziej niż kiedykolwiek uderzające, wydawało mu się teraz niemal śmiechu godne.

Wleczę mnie tu pod strażą w środku nocy, żeby gadać o kłopotach żony z maszyną do szycia. To wariat.

Tak myślał Willi Mohr.

Sierżant Tornilla umilkł. Nie odrywając od niego wzroku, wziął jakiś papier z biurka i powiedział:

- Wpłynęła skarga na pana.

Uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Osobnik nazywający się Amadeo Prunera skarży się, że kradnie pan drewno na jego ziemi.

- Nie drewno. Chrust.

- Rozumiem, ale to także nie jest dozwolone.

- Nie wiedziałem, że to jest zabronione.

- Oczywiście nie. Ale jak już panu wcześniej mówiłem, tu wiele spraw przedstawia się inaczej. Pewne rzeczy, które mogą się wydawać zupełnie bezwartościowe, mają jednakże dla swego właściciela pewne znaczenie. To jest biedny zakątek kraju, a ci, którzy tu mieszkają, to prości biedni lu-

dzie. Chcą mieć to, co do nich należy.

Willi Mohr nie wiedział, co odpowiedzieć. Był zmęczony, a to niespodziewane oskarżenie pozbawiło go w pewien sposób pewności siebie.

- Nie jest to naturalnie poważne przestępstwo, ale jednak wykroczenie. Ten człowiek skarży się i ma do tego pełne prawo. Najprościej byłoby dać mu odszkodowanie. Może tu chodzić tylko o nieznaczną kwotę, pan ma przecież pieniądze, prawda?

- Tak, trochę.

- A skąd ma pan pieniądze?

Willi Mohr nie odpowiedział.

- Dostał pan pieniądze od Santiaga Alemany, prawda?

Tornilla tylko kilka sekund czekał na odpowiedź, potem powiedział:

- Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, wspomniałem o pana koszuli. Dziś także ma ją pan na sobie. Od jak dawna ją pan posiada?

- Od tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego.

- Co to za koszula?

- Z Hitlerjugend.

- A więc podczas wojny należał pan do organizacji młodzieżowej.

- Przed wojną także. Wszyscy należeli.

- Słusznie. Należał pan do jakiejś innej organizacji?

- Nie.

- A w czasie pobytu w Niemczech Wschodnich?

- Tam także nie.

- Widział pan kiedy führera osobiście?

- Tylko raz.

- Kiedy?

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym, zdaje się.

- Nie wie pan na pewno?

- Nie jestem pewien, czy go widziałem.

- Może pan to bliżej wyjaśnić?

- To bardzo proste. Mówiono, że będzie przejeżdżać pociągiem. Ustawiono nas wzdłuż toru, z chorągiewkami i

kwiatami w rękach. Najpierw nadjechał pociąg z wojskowymi i policją, potem drugi pociąg, mający tylko dwa wagony. Wydaje mi się, że stał w oknie. W każdym razie powiedziano nam, że to on. Wszystko odbyło się szybko, nie jestem teraz pewien, czy go rzeczywiście widziałem, ale wtedy wierzyłem, że tak.

- Widzi pan, wkrótce będzie pan mówić zupełnie płynnie. Przejdźmy jednak do czego innego. Wspomniał pan, że nie był pan tu w czasie Wielkanocy. Ale wcześniej zimą był pan tu?

- Tak.

- Mieszkał pan tu w mieście?

- Tak.

- W domu przy Barrio Son Jofre?

- Tak.

- A kiedy pan stąd wyjechał?

- W końcu marca albo na początku kwietnia.

- Dlaczego pan stąd wyjechał?

Willi Mohr nie odpowiedział.

- Kiedy pan ostatni raz widział Santiaga Alemany?

- Dziś.

- A przedtem?

- Wczoraj.

- Przyszedł na pana prośbę?

- Nie.

- Więc dlaczego przyszedł?

- Nie wiem.

- Czym się zajmowaliście, kiedy był u pana?

- Reperowaniem samochodu.

- Cały czas się tym zajmowaliście?

- Przeważnie.

- Dał panu pieniądze?

- Tak.

- A przedtem ile razy?

- Raz.

- Z jakiego powodu dawał panu pieniądze?

- Nie wiem.

- Kupił coś od pana?

- Tak, w pewien sposób tak.
- Co od pana kupił? Obraz?
- Nie. Koło.
- A poprzednim razem? Wtedy też coś od pana kupił?
- Nie.
- Dał więc panu pieniądze bez żadnego powodu?
- Tak.
- Jest pan bliskim przyjacielem Santiaga Alemany?
Nie chciał odpowiedzieć, musiał się jednak zdobyć na wysiłek, żeby tego nie zrobić. Siła oporu w nim słabła.
- Czy z łatwością panu przychodzi przypomnieć sobie coś, co wydarzyło się, powiedzmy, pół roku temu albo rok temu?
- Na ogół tak.
- No więc cofnijmy się w czasie. Przez styczeń, luty i marzec tego roku mieszkał pan tu w mieście, czy tak?
- Tak.
- Kiedy opuścił pan Hiszpanię?
- W końcu marca albo na początku kwietnia.
- A kiedy pan wrócił?
- W końcu maja.
- Zgadza się. Wyjechał pan drugiego kwietnia a wrócił piętnastego maja. Co pan robił przez ten czas?
- Pracowałem na statku.
- Na jakim statku?
- Na jachcie spacerowym.
- Do kogo należał?
- Do Anglika.
- Pamięta pan, jak się nazywał?
- Thorpe.
- Zgadza się, pułkownik Thorpe. Kiedy pan pierwszy raz spotkał tego pułkownika Thorpe?
- Tuż przedtem.
- Tuż przed czym?
- Przed wypłynięciem.
- Może pan przypomnieć sobie, jakiego dnia go pan spotkał?
- Dwudziestego dziewiątego albo trzydziestego marca.

- Czy on przyszedł i namawiał pana do przyjęcia tej pracy?
- Nie.
- A więc to pan jego szukał?
- Tak.
- Aby starać się o zatrudnienie na jego jachcie?
- Tak.
- Wiedział pan, że zamierza popłynąć na Korsykę?
- Nie.
- Więc dlaczego starał się pan o to zatrudnienie?

Willi Mohr przewidział to pytanie i miał gotową odpowiedź.

Po krótkim namyśle powiedział:

- Mieszkałem tu już siedem miesięcy, chciałem opuścić ten kraj.

- Ale nie wiedział pan, dokąd zamierza się udać pułkownik Thorpe?

- Nie wiedziałem.

- Innymi słowy był pan gotów udać się gdziekolwiek?

- Tak.

- Jeżeli pan nigdy przedtem nie spotkał się z pułkownikiem Thorpe, skąd pan wiedział, że poszukuje pracowników?

- Usłyszałem o tym przypadkiem.

- Gdzie pan to usłyszał?

- W barze.

- Czyli ktoś panu o tym powiedział?

- Do pewnego stopnia tak.

- Kto to był?

- Jakiś nieznajomy. Usłyszałem to przypadkiem.

- I udał się pan do pułkownika Thorpe?

- Tak.

- A on z miejsca pana zatrudnił?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Papiery miałem nie w porządku.

- Rzeczywiście nie były w porządku. Nie miał pan wizy wyjazdowej.

- Tak, ale to się dało załatwić.

- W jaki sposób?

- Anglik załatwił.
- Kiedy?
- Następnego dnia.
- A w dzień później wypłynęliście?
- Tak.
- Wyjeżdżając miał pan przy sobie jakieś pieniądze?
- Nie.
- Zupełnie nic?
- Prawienie.
- To znaczy ile?
- Jakieś sto pesetów.
- Był pan jedynym członkiem załogi?
- Nie.
- Czyli na statku był jeszcze inny pracownik?
- Tak.
- Kto taki?
- Ramón Alemany.
- Zgadza się. Ramón Alemany. Czy panu wiadomo, gdzie ten Ramón Alemany znajduje się teraz?
- Nie.
- Jest w Hiszpanii?
- Nie.
- A więc to jego brat Santiago Alemany namówił pana do przyjęcia pracy u pułkownika Thorpe?

Willego Mohra bardzo to pytanie zaskoczyło. Bez zastanowienia powiedział:

- Ależ nie.

Sierżant Tornilla przez kilka minut milczał. Jego spojrzenie, od chwili kiedy ta seria pytań się zaczęła, spoczywało na człowieku siedzącym po przeciwnej stronie biurka, twarz jego miała wyraz powagi.

Willi Mohr patrzył w podłogę. Chciał uciec przed tym nieruchomym spojrzeniem, żeby zebrać myśli. Pod biurkiem widział nogi sierżanta Tornilli. Na błyszczących czarnych butach z cholewami nie było jednego pyłku.

- Jest pan zmęczony?

- Tak.

- Szkoda. Chętnie bym jeszcze chwilę porozmawiał. Ma pan coś przeciw temu?

- Tak.

- Szkoda. Naprawdę wielka szkoda - powiedział sierżant Tornilla zasmucony. - Chce się pan może czegoś napić?

- Chętnie. Dziękuję.

- Zaraz to załatwię. No, jak daleko zaszliśmy?

- Później popłynęliśmy na Korsykę.

Sierżant Tornilla wyciągnął rękę i wyjął z szafy na dokumenty kartonowy folder. Zrobił to z lunatyczną pewnością siebie, wcale nie odwracając spojrzenia.

- Nie - powiedział - oczywiście nie Santiago Alemany dał panu rozkaz pojechania tym jachtem.

Willi Mohr spojrział na niego pytająco.

- A więc to był Antonio Milian?

- Nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

- Nie mówi pan prawdy - smutno powiedział człowiek siedzący na krześle. - Ja sam wymieniłem je panu.

- Nie pamiętam.

- Na ogół ma pan dobrą pamięć.

Sierżant Tornilla otworzył teczkę i wyjął z niej kilka spiętych razem arkuszy papieru. Nie spojrzawszy na nie przesunął je na drugą stronę blatu i powiedział:

- Proszę przeczytać. To będzie dobre ćwiczenie, a może i treść pana zainteresuje.

Arkusze były zapisane pismem maszynowym i zdawały się częścią jakiegoś raportu policyjnego. Willi Mohr wziął je do ręki i potrząsnął głową, żeby lepiej widzieć.

- Proszę głośno - powiedział sierżant Tornilla.

Willi Mohr czytał:

Protokół żądanego przesłuchania pułkownika Thorpe, przeprowadzony na należącym do wyżej wymienionego jachcie „Monsoon” w Puerto de Soller, Majorka, prowincja Baleary, dziesiątego września. Co do danych personalnych pułkownik oświadczył, że urodził się w Anglii w 1893 roku, a od dziewięciu lat jest na emeryturze. W ciągu ostatnich czterech lat przez dłuższe lub krótsze okresy przebywał w

hiszpańskich portach śródziemnomorskich. Zajmuje się pisaniem pamiętników. Na zapytanie o związki z niemieckim poddanym Wilhelmem Mohrem opowiedział, co następuje: Tego samego dnia, gdy otrzymałem wiadomość, że nie mogę liczyć na zaangażowanie jednego z zatrudnianych zwykle przez mnie marynarzy, wieczorem zgłosił się jakiś Niemiec (Mohr) i powiedział, że podczas wojny służył w marynarce i że chciałby się zamustrować. Wydawało mi się, że bardzo mu zależy na tym wyjeździe, tak bardzo, że podejrzewałem go o zamiar niezupełnie uczciwego wydostania się z kraju. Co się jednak okazało bezpodstawne, gdyż następnego dnia bez żadnych trudności otrzymał od władz wizę wyjazdową. Zdecydowałem się zaangażować go, chociaż nie miał referencji, gdyż oboje, ja i żona, chcieliśmy jak najprędzej, póki jeszcze pogoda jest sprzyjająca, wydostać się z miejsca, gdzie, zmuszeni przez okoliczności, pozostawaliśmy znacznie dłużej, niż było naszym zamiarem. Człowiek ten (Mohr) był u mnie zatrudniony od drugiego kwietnia do dwudziestego dziewiątego tegoż miesiąca, gdy na własne żądanie zszedł na ląd w Ajaccio. W okresie pracy u mnie wypełniał swe obowiązki pilnie i jak mi się wydaje w miarę najlepszych chęci, ale jego doświadczenie nawigacyjne w codziennej pracy na pokładzie było wyraźnie ograniczone, we wstępnej rozmowie ze mną mocno widać przesadził, mówiąc o swych kwalifikacjach. Był lichym marynarzem i w przyszłości nie zamierzam przyjmować

Niemców na służbę. Kiedy drugi z moich majtków (Hiszpan, nazwiskiem Ramón Alemany) uciekł w Ajaccio, Niemiec zażądał zwolnienia go, wyraził życzenie opuszczenia statku. Nie widziałem powodu, by mu odmówić, zwłaszcza, że w innym wypadku sam byłbym zmuszony go odesłać.

Ubolewałem natomiast nad stratą drugiego majtka (Ramona Alemany), gdyż był to zręczny i pracowity marynarz. Na specjalne pytanie, jak ocenia wzajemny stosunek obu członków załogi, pułkownik Thorpe odpowiedział, że nie ma zwyczaju zwracania uwagi na sposób zachowania czy też na pozasłużbowe zajęcia swoich

pracowników i że nigdy nie rozmawiał z tym człowiekiem (Mohrem), a jeśli zwracał się do niego, to wyłącznie w sprawach dotyczących pracy na pokładzie. Miał jednak wrażenie, że ci dwaj członkowie załogi znali się dobrze jeszcze przed wejściem na pokład. O charakterze Mohra pułkownik stwierdza, że był typowo niemiecki. Żona pułkownika, señora Clementine Thorpe, obecna przy niniejszej rozmowie, mówi: Ci dwaj (Mohr i Alemany) zawsze byli razem, w wypadku zejścia na ląd, co zdarzyło się raz w porcie na francuskim stałym lądzie, gdzie jacht pozostawał przez dwa dni, i dwa razy w Ajaccio, też wychodzili razem. Dodaje, że Mohr i Alemany byli względnie schludni i sprząтали na tylnym pokładzie, gdzie mieli kwaterę. Na zapytanie, czy wiedział, dokąd Mohr zamierza się udać po opuszczeniu statku, pułkownik odpowiada, że o ile sobie przypomina, Mohr o tym nie napomknął. Na pytanie, jakie wynagrodzenie Mohr otrzymywał za swoją pracę, pułkownik Thorpe odpowiada: Zobowiązał się pracować za przejazd i utrzymanie, a więc żadnej zapłaty nie dostawał.

Willi umilkł. W gardle mu zaschło od głośnego czytania, w głowie miał pustkę.

Sierżant Tornilla przez cały czas siedział nieruchomo i trudno byłoby osądzić, czy słuchał, czy też nie. Teraz uśmiechnął się życzliwie i powiedział:

- Naprawdę znakomicie pan czyta. Podziwu godne, że w tak krótkim czasie potrafił pan tak opanować język. Ale pana j nie jest jeszcze zupełnie dobre. Okropnie twarde. Proszę powtórzyć tak: Barrio Son Jofre, J-o-f-r-e... J-o... J- o-f-r-e...

- Jofre - powiedział Willi Mohr.

- Tak właśnie, lepiej.

Wyciągnął rękę, zabrał papiery, włożył je z powrotem do kartonowej okładki. Potem wsunął skoroszyt na jego miejsce w szafie, wcale nie odwracając się.

- Jak się panu tam mieszka właściwie? Słyszałem, że ten dom jest w bardzo złym stanie. Niezbyt to dobre na tę porę roku. Noce bywają zimne i wilgotne i nawet w pańskim wieku można się nabawić bólów reumatycznych. Mojej żonie

taksówką do stolicy prowincji i pułkownikowi udało się załatwić panu zezwolenie na wyjazd. Ponieważ jest pan cudzoziemcem, a pułkownik Thorpe osobiście zna gubernatora, nie było trudności. We Francji Ramón Alemany znika, a natychmiast potem pan się zwalnia z pracy. W cztery tygodnie później wraca pan tu i wtedy ma pan pieniądze. Dawniej pokazywał się pan w towarzystwie albo w pobliżu Santiaga Alemany prawie co wieczór, a teraz nie spotykaliście się przez trzy i pół miesiąca. Potem Santiago Alemany pojawia się i daje panu pieniądze. Jest to jednak zaskakujące. Nieprawdaż?

Słowa wwiercały się w świadomość Willego Mohra, nie pozwalaly mu zasnąć i spaść z krzesła. Wciąż mrugał, ale miał trudności z wyraźnym dostrzeganiem, twarz przed nim wydawała się osobliwie nierzeczywista w migotliwym świetle małej wiszącej lampki.

- Proszę mi dać trochę wody - powiedział.

- Jest pan zmęczony i spragniony?

- Tak.

- Nie takie straszne. Może być dużo gorzej.

Sierżant Tornilla, który trzymał ręce splecione przed sobą, teraz oparł się łokciami o blat i ścisnął czubki palców.

Jego uśmiech zamarł w kącikach ust, powiedział twardo i szybko:

- Był pan w Santa Margarita?

- Tak.

- Kiedy?

- Rok temu. Tuż przed Bożym Narodzeniem.

- A przedtem?

- I raz wcześniej.

- Kiedy?

- W październiku czy w listopadzie, zdaje się, w każdym razie na jesieni.

- Niech pan spróbuje przypomnieć sobie datę.

- Tego drugiego czy pierwszego razu?

- Obu.

- Nie wiem, raz tuż przed Bożym Narodzeniem i raz

wcześniej na jesieni.

- Spróbujmy zrekonstruować wydarzenia. Pańscy norwescy przyjaciele opuścili wtedy kraj, prawda?

- Tak.

- Kiedy?

- Piętnastego grudnia.

- Odwiedził pan Santa Margaritę przed czy po ich wyjeździe?

- Ten drugi raz później, tuż przed Bożym Narodzeniem, jak powiedziałem.

Policzył na palcach.

- To musiało być osiemnastego.

- Co pan robił w Santa Margarita?

- Wynająłem samochód.

- Zgadza się, rozmawiał pan tam z majstrem budowlanym o przejściu starej ciężarówki, którą wcześniej mieli pana norwescy przyjaciele. Ale pierwszy raz, to było także w grudniu?

- Możliwe.

- Przed czy po trzecim grudnia?

- Zdaje się, że przed.

- Mogło to być na przykład pierwszego albo drugiego grudnia?

- Nie, to musiało być wcześniej. W listopadzie, a może w październiku. Deszcz padał.

- Sam pan był w Santa Margarita?

- Nie.

- Kto panu towarzyszył?

- Moi... norwescy przyjaciele.

- Jak się nazywają?

Willi Mohr nie odpowiedział.

- Nazywają się Pedersen, prawda?

- Tak.

- Zobaczmy, jakie są ich imiona... Daniel i Sig... coś w tym rodzaju, tak. Pan chyba wie, jak się nazywają?

- Tak.

- Będzie pan uprzejmy powiedzieć mi to?

Sierżant Tornilla w milczeniu czekał na odpowiedź. Popadł przez ten czas w zadumę, jak gdyby zaczął myśleć o czymś innym.

- Wie pan, jak ja się nazywam? - powiedział w końcu.

- Tak.

- Jak mam na imię także?

- Nie.

- Mówiłem to panu.

Willi Mohr zastanowił się.

- Tak - powiedział - teraz sobie przypominam.

- Będzie pan uprzejmy powiedzieć.

- José Tornilla.

- Właśnie. José Tornilla. Pańskie j w dalszym ciągu jest twarde. J-o-s-é.

- José.

- A jak się nazywają pana norwescy przyjaciele?

Milczenie.

Willi Mohr patrzył na człowieka pod portretem pochmurno, ale nie wyzywająco.

- Sądzi pan, że pana norwescy przyjaciele nie żyją?

- Tak.

- Prawdopodobnie ma pan rację. No, więc w ich towarzystwie pojechał pan do Santa Margarita. Zechce pan powiedzieć, co się tam zdarzyło.

- Pojechaliśmy, popatrzyliśmy, potem wróciliśmy.

- Tam jest kopalnia. Na kopalnię też patrzyliście?

- Nie byliśmy w niej, ale pamiętam, że widziałem z daleka.

*

- Santiago Alemany także był z wami?

- Nie.

- Nie pamięta pan daty, ale wydaje się panu, że to było w listopadzie, a w każdym razie przed trzecim grudnia?

- Tak.

- Zajmiemy się teraz przez kilka minut właśnie tymi dniami, drugiego i trzeciego grudnia. Co pan wtedy robił?

- Nie mam pojęcia.

- Pomogę panu. Drugiego grudnia wieczorem był pan w

porcie. Patrol policyjny widział pana o wpół do drugiej w nocy przy falochronie razem z pana norwesкими przyjaciółmi i z braćmi Alemany. Co tam robiliście?

- Nic.

- Co robiliście tak daleko w morzu przy falochronie?

- Kąpaliśmy się.

- O wpół do drugiej w nocy? Przy falochronie? A dlaczego nie na którymś ze zwykłych miejsc kąpielowych, bliżej miejscowości?

- Nie mieliśmy kostiumów kąpielowych.

- Kobieta też nie?

- Też.

- Podobne zachowanie nie jest dozwolone. Jest nawet specjalny przepis zabraniający tego. Wie pan o tym?

- Niedorzeczne prawo.

- Możliwe. Czy łączyły pana stosunki seksualne z tą kobietą?

- Nie.

- Praktycznie biorąc żyliście razem przez cztery miesiące. Miała jakoby być fizycznie pociągająca i niezbyt... wybredna. Nie mogła chyba nie robić na panu wrażenia. Był pan w niej zakochany?

Willi Mohr nie odpowiedział. Czuł się teraz mniej zmęczony, ale bardzo niepewny i za wszelką cenę chciał odwieść tamtego od tematu.

- Co pan właściwie chce wiedzieć? - powiedział.

- Na przykład, co się zdarzyło następnego dnia, trzeciego grudnia.

- Zdaje się, że znowu pojechaliśmy do puerto. Chwileczkę, niech sobie przypomnę, wtedy też było bardzo gorąco. Nie kąpaliśmy się, tylko poszliśmy do baru i siedzieliśmy tam do późna w nocy. To było coś w rodzaju święta. Śpiewaliśmy i piliśmy trochę. I... tak, i nic więcej.

- Bracia Alemany też byli?

- Tak. Santiago Alemany cały czas był z nami. Jego brat przyszedł później, bo był na połowie. Tak, teraz sobie przypomniałem. Byliśmy na nabrzeżu, kiedy łódź przybiła. Ojciec braci Alemany krzyczał na Santiaga, że poprzedniego dnia

nie pojechał do miasta z rybami. Potem wszyscy posz- liśmy znowu do baru.

- Co powiedział Santiago Alemany?

- Nie pamiętam. Nie jestem pewien. Aha, chyba, że samochód się zepsuł. Znowu piliśmy, potem pojechaliśmy do domu. Ja prowadziłem kamionetkę, to pamiętam.

- Prowadził pan samochód, chociaż był pan pijany?

- Tak.

- To właściwie nie jest dozwolone.

Sierżant Tornilla uśmiechnął się. Jego twarz znowu była uprzejma i dobrodusza.

- Dziś przyznał się pan już do trzech przestępstw - powiedział żartobliwie. - Na czym się to skończy!

Sięgnął za krzesło i podniósł dzbanek z wodą. Wstał, obszedł biurko dokoła, elegancki i niewzruszony jak zwykle. Willi Mohr napił się, dostał papierosa i ogień. Tamten wrócił na swoje miejsce.

- Z elektrycznością jest naprawdę kiepsko - powiedział z wyraźną troską, spoglądając na lampę, która znowu zaczęła migać.

Potem umilkł na chwilę i przyglądał się człowiekowi siedzącemu na ławce.

- Powinien pan założyć rodzinę - powiedział, wyciągniętym palcem wskazującym dotykając skórzanej ramki z trzema fotografiami. - Dla mężczyzny ważne jest mieć rodzinę. Daje mu to zupełnie inne zakotwiczenie w jego istnieniu. Sam pamiętam, jaką zmianą to było dla mnie po tylu latach w wojsku. Tego się chyba w pełni nie rozumie, póki nie ma się dzieci. Powinien się pan ożenić. Potem ma się dwie ważne sprawy, dla których się żyje: praca i rodzina. Rodzina nadaje większy sens pracy, nawet jeśli, tak jak w moim wypadku, praca nie pozwala na częste widywanie rodziny. W sposób bardziej zdecydowany rozumie się wtedy, po co się pracuje, ma się dowód, że cel, dla którego się to robi, rzeczywiście wart jest trudu włożonego w osiągnięcie go.

Willi Mohr nie słuchał. Papieros zgasł, a on, trzymając go między palcami, wpatrywał się w portret. Bo właśnie wydało

mu się, że wargi caudilla poruszają się, zupełnie tak jak za poprzednim razem, i to mu się nie podobało.

- Ma pan może w Niemczech narzeczoną? — spytał sierżant Tornilla.

- Nie.

- Ani przedtem, dawniej, pan nie miał?

- Owszem, może. Do pewnego stopnia. Raz.

- Dawno?

- Podczas wojny.

- Pan był w Polsce podczas wojny, zdaje się?

- Tak, w Gotenhafen.

- To przyjemne miasto?

- Nie, nie bardzo. Małe. Ulice szerokie, nieduże czworokątne domy. Port bardzo duży, pełen wojska.

- Ja też kilka razy byłem w Polsce. Polacy nie wywarli na mnie zbyt korzystnego wrażenia. Robili bardzo wrogie wrażenie, prawie nieprzejednane. Jak Rosjanie.

- Mieli powody. To nie była sprawiedliwa wojna, wbrew prawu.

- Słusznie. Tylko dlaczego? Ano, dlatego że została przegrana. Nawet tu uznaje się to teraz za prawdę historyczną, choć przyznaje się, iż odwrotny rezultat byłby szczęśliwszy. Wojna stała się niesłuszna dopiero w chwili, gdy została przegrana. Poza tym wynik mógłby przecież być równie dobrze zupełnie inny.

- Nie mówmy o wojnie - powiedział Willi Mohr, miażdżąc niedopałek w popielniczce.

Sierżant Tornilla podsunął mu paczkę z papierosami i już trzymał w pogotowiu zapalniczkę. Potem czekał w milczeniu.

- Gotenhafen to okropne miasto — powiedział Willi Mohr.

- Byłem tam rok, od lutego czterdziestego czwartego do stycznia czterdziestego piątego. Druga dywizja kandydatów łodzi podwodnych. Przeszło dwa tysiące ludzi stłoczonych na byłym luksusowym statku, który pomalowano na szaro. Wszystko było szare, prócz śniegu, który także robił się szary, gdy tylko dotknął ziemi. Wciąż wiało, cała ta przeklęta wojna przeciągała przez miasto jak niekończący się szary wąż.

Tabory, ciężarówki, transporty sanitarne z rannymi, szare statki wpływające i wypływające i szare głosy wywrzaskujące kłamstwa przez szare megafony. Co noc leżało się w strachu, że będą bombardować, że statek zatonie i potopimy się. I tak się w końcu stało, pięć tysięcy osób utonęło, kobiety, dzieci. I prawie połowa drugiej dywizji kandydatów łodzi podwodnej.

Umilkł.

- Jak to się stało?

- Rosjanie storpedowali statek, rosyjska łódź podwodna.

- Czytałem o tym. Podczas ewakuacji, prawda?

- Tak.

- Wielka bezwzględność.

- Wcale nie. To jest właśnie wojna, tak właśnie ma być. Zresztą czy panu się zdaje, że można coś dojrzeć w takim zamieszaniu, podczas sztormu, w środku nocy? Kobiety, dzieci. Ech!

- A panu stało się coś wtedy?

- Nic. Nigdy mi się nic nie stało. Nigdy nie widziałem wrogów, dopiero po wojnie, a wtedy to już przecież nie byli wrogowie, no nie. Takie są reguły gry. Widziałem tylko masę szarych ludzi o szarych twarzach. Tysiącami nadciągali skądś, stali na nabrzeżu i czekali. W śnieżycę. Przypuszczam, że część z nich umierała, tak mówiono, były czasem naloty. Ale tam gdzie ja byłem, nigdy bomba nie spadła, ja nic nie widziałem. I statek, na którym ja byłem, dopłynął do celu. To też był taki luksusowy statek przemalowany na szaro, chociaż starszy. I ten mnie nie zatopił.

Szkoda, pomyślał Willi Mohr. W sekundę później pomyślał o swym gadulstwie, w najwyższym stopniu zdumiony. Musi się opanować.

- Ale miał pan tam narzeczoną?

- Tak, jeżeli można to teraz tak nazwać.

- Jak się nazywała?

- Barbara.

- Niemka?

- Tak.

- Mieszkała w Gotenhafen?

- Tam miała przydział. Kobięca służba pomocnicza w marynarce.

- I gdzież ona się podziała?

- Nie wiadomo.

- Zaginęła przy storpedowaniu?

- Nie wiem, na jakim statku się znajdowała. Większość statków dopłynęła. Byliśmy przecież żołnierzami, o niczym nas nie informowano.

- Nigdy więcej nie spotkał jej pan?

- Nie. '

- A poszukiwał pan?

- Wszyscy kogoś szukali, ale nie było kogoś, kto by szukał wszystkich.

- Kochaliście się?

- Żyliśmy ze sobą.

- Czy mówienie o tej sprawie jest dla pana bolesne?

- Wcale nie. Tylko niewiele jest do powiedzenia.

- Ja tak nie sądzę - powiedział sierżant Tornilla.

Wziął leżącą na brzegu stołu fotografię i podsunął ją Willemu.

- Poznaje pan tego człowieka?

Mizerna, pospolita hiszpańska twarz. Taka jak tych robotników drogowych, może nieco bardziej ożywiona.

- Nie - powiedział Willi.

- No więc, żeglował pan razem z Ramonem Alemany przez prawie trzy tygodnie, dokładnie licząc, przez dziewiętnaście dni.

- Tak.

- Wie pan, gdzie on się teraz znajduje?

- Nie.

Odpowiadać zwięźle, myślał Willi Mohr. Nie dać mu się wciągnąć w gadaninę.

Paliły go skronie i ręce. Czuł ból w plecach, ubranie wydawało mu się wilgotne i brudne. Powietrze w małym pokoiku było zatechłe i duszne, ale sierżant Tornilla wciąż robił wrażenie zupełnie obojętnego na to wszystko.

- Pomówmy trochę o podróży na Korsykę. Mielicie ładną pogodę?

- Jestem zmęczony - powiedział Willi Mohr. - Chce mi się spać.

- Oczywiście. Powinno mi to być wcześniej przyjść na myśl. Mógłby pan przespać się tu na posterunku. Czy woli pan raczej iść do domu?

- Tak, wolę.

Sierżant Tornilla wstał i z uśmiechem wyciągnął rękę.

- Była to bardzo przyjemna rozmowa. Prawdopodobnie wkrótce znowu się zobaczymy.

Willi Mohr zachwiał się przy wstawaniu. Był mokry od potu, w oczach mu się ćmiło. A tamten wyglądał zupełnie tak samo, jak kiedy wstawał z krzesła za pierwszym razem, kiedyś, nieprawdopodobnie dawno.

- Przykro mi, że byłem zmuszony pana trudzić, a teraz do zobaczenia.

Z ubolewaniem rozłożył ręce. Uśmiech.

Potem uprzejmie otworzył i przytrzymał drzwi.

Powtórzenie premiery, pomyślał Willi Mohr, znalazłszy się w sieni. Świtający brzask kłuł w oczy.

Słońce właśnie weszło nad wierzchołkami od strony morza i zbocza gór były skapane w jasnożółtym świetle. Jakaś odrobina nocnego chłodu przetrwała jeszcze i choć było już gorąco, upał jeszcze nie dławił. Żółtozary wydłużony budynek posterunku wydawał się pusty i wymarły, nad całym krajobrazem cisza zamykała się jak sklepienie. Willi Mohr nieruchomo stał w tej wielkiej zapyłonej ciszy i spoglądał na zabudowania niepewnie rysujące się za drzewami oliwnymi. To było miasto wśród gór. Tam mieszkała pewna ilość księży, jeden lekarz, trochę oficerów i policjantów, i naturalnie ktoś, kto był właścicielem owiec i większości ziemi uprawnej, i pastwisk. A prócz tego trzy tysiące ludzi prostych, ubogich i szczęśliwych, radujących się z cudu, że dane im było obdarzyć tę miejscowość nowym pokoleniem rodu. Wiele z nich przez trzy lata prowadziło wojnę, by uniknąć przeżywania tego cudu.

Mieszkał tu ponad rok, dostatecznie długo, by poznać środowisko, nie włączając się w nie i nie prowadząc systematycznych studiów. Teraz stał i czekał, że miasto się obudzi,

zaryczy, nie będzie to ryk buntu, lecz śmiertelnego strachu i rozpacz.

Oslabły ze zmęczenia, stracił kontrolę nad swoimi myślami, które przełamały bariery, stały się impulsywne i irracjonalne.

Willi Mohr wzruszył ramionami i zaczął schodzić drogą, wijącą się między oliwnymi gajami. Droga wciąż jeszcze była równa i bez wyboi, choć w ostatnich miesiącach deszcze rozmyły brzegi i splukały większość żwiru.

Patrząc wprost przed siebie szedł przez miasto, długim krokiem, spokojnie i równo jak maszyna. Jedyne ludźmi, jakich widział po drodze, byli dwaj gwardziści, stali na środku skrzyżowania i patrzyli we wschodnią stronę. Palili, karabiny oparli o kamienną barierę na brzegu drogi.

Wszedł do domu przy Barrio Son Jofre i zamknął drzwi za sobą, ale nie przekręcił klucza. Niejasno przeczuwał, że takie drobiazgi nic już nie zmienią i nie wpłyną na jego sytuację. Nalał suse wody, a pozostałą w dzbanku resztę wypił chciwie. Przed wyjściem z kuchni, jak zwykle, nawykowo spojrzął na zegarek. Brakowało kilku minut do szóstej. Przesłuchanie nie było zbyt długie, trzy, najwyżej cztery godziny.

Zrezygnował z umycia się, wrócił do pokoju i w ubraniu położył się na materacu na wznak, twarz przykrył kapeluszem, sandałów nawet nie zdjął.

W pół minuty później uderzyła go myśl, że oni go zabiją. Przypuszczalnie nie mówiąc dlaczego i nie dając mu sposobności zgładzenia Santiaga Alemany. Ale to już nie grało roli. Chciał tylko spać.

Tuż przed utratą świadomości raz jeszcze pomyślał o Barbarze Heinemann.

W grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego Barbara Heinemann skończyła dwadzieścia jeden lat, była o dwa lata starsza od Willego. Miała metr sześćdziesiąt dwa wzrostu, ważyła pięćdziesiąt sześć kilo i miała ciemno-blond włosy upięte na karku w węzełek. W ubraniu wydawała się

okrągłutka, ale to sprawiały tylko grube pończochy i nie dopasowany mundur. Żadnych fizycznych zalet nie miała prócz młodości, ale gdy była z Willim Mohrem, stawała się niewątpliwie piękna. Raz gdy to zaznaczył, spojrzała w plamiste lustro, umocowane na drzwiach szafy, i powiedziała:

- Niech mnie licho, ty masz rację. Właściwie sama to zauważyłam.

Pokój był mały i nędzny, a żeby móc go wynająć, ukradli trzy rulony przylepców i nieprzyzwoicie dużo żelaznych porcji.

Spał z nią szesnaście razy, przedtem miał tylko mylące doświadczenia wyniesione z polowych burdeli, gdzie zużyte dziwki były ogolone ze względów higienicznych i przeważnie wzbraniały się przed zdjęciem z siebie czegoś więcej prócz wełnianych majtek. Barbara była pierwszą kobietą, którą zobaczył nago, i z zaskakującą, fotograficzną dokładnością przypominał sobie, jak wyglądała, zwłaszcza z tyłu. Padał śnieg i pokój pełen był szarobiałego miękko przepływającego światła. Stała o kilka metrów od łóżka, spokojna, odprężona, lekko pochylona, z luźno zwisającymi ramionami. Stopy ustawiła na deskach podłogi pod kątem trzydziestu stopni, prawą piętę uniosła o jakieś pięć centymetrów, tak że kolano było nieco zgięte i punkt ciężkości spoczywał na palcach i przedniej części podeszwy. Jej nogi były niezbyt szczupłe i dalekie od doskonałości, ale dość długie, o ładnie zaokrąglonych łydkach i mięśniach ud, miękkimi łukami znaczących się nad zgięciem kolanowym. Mimo że odległość między piętami była nie większa niż dwa, trzy centymetry, nogi stykały się tylko w jednym miejscu, o jakieś dziesięć centymetrów poniżej krocza, Udzie spotykały się lekkie wypukłości wewnętrznej strony ud. Nad tym punktem znów widać było między udami światło i na tym przejrzystym tle kilka delikatnych skręconych włosków. Choć robiła wrażenie krzepkiej i powyżej bioder rozrośniętej, tyłeczek miała mały, a pośladki jędrne, dobrze uformowane, tylko pod lewym znajdowała się pozioma fałdka, co sprawiało, że pośladki wydawały się niejednakowe, różnej wielkości i kształtu. Wąska szczelina między nimi znajdowała ujście w

niewyraźnym zagłębieniu, łagodnym i przyjaznym; wyżej, po obu stronach krzyża, znajdowały się zabawne dołeczki. Rozmieszczone nielogicznie, ten po lewej trochę wyżej i nieco dalej odsunięty od kręgosłupa. Biodra nie były nieestetycznie równo zaokrąglone, tylko odgraniczała je nieregularna łukowata linia, piękna a nieuchwytna, przewyższająca wszelkie geometryczne definicje. Ramiona miała nieco szersze niż biodra, a spadzisty zarys od pach do talii był miękki, czysty i prosty. Pod pokrytą puszką skórą łopatki znaczyły się lak złożone skrzydła, a nieco niżej w bruzdach wzdłuż kręgosłupa gromadził się cień. Ramiona zdawały się wolne, niezależne, nie widział dłoni, spoczywających na przedniej stronie ud, tuż pod pachwinami. Nie mógł też widzieć jej piersi, ale wiedział, że są dość małe, o bladobrunatnych regularnych kręgach wokół brodawek. Stała nieruchomo, z pochyloną głową, ze spojrzeniem skierowanym w jakiś punkt podłogi, tuż przed nią, nieco na lewo.

Nigdy nie mógł sobie w pełni uświadomić, czy tak stojącą widział ją tylko raz, czy też powtarzało się to za każdym razem, gdy byli z sobą.

W każdym razie to była pozycja wyjściowa. Potem odwracała się szybko i zręcznie i podchodziła do łóżka, a niebieskie oczy błyszczały ufnością i radosnym oczekiwaniem.

Później ze dwadzieścia razy miał sposobność stwierdzić, że jest krzepką, dobrze zbudowaną dziewczyną, ale z pewnością byłaby otyła, gdyby miała bardziej pożywny wikt. I że jej oczy błyszczą, bo jest lubieżna, bo też niewątpliwie taką była. Ale to w niczym sprawy nie zmieniało.

Gdy się spotkali, nie była niewinna pod żadnym względem, wyobrażał sobie jednak, że zmienia się razem z nim, że wykazuje mniej więcej takie same skłonności do ocknięcia się i uwolnienia, jakie on odczuwał.

Kochali się bez żadnego opanowania, na wszelkie sposoby, jakie potrafili wyliczyć, wytrwale i z systematycznym zapalem, który im samym wydawał się zadziwiający, przynajmniej na początku.

Bardzo dobrze pamiętał tę część współżycia i znowu naj-

łatwiej mu było wyobrazić ją sobie od tyłu.

Leżącą na brzuchu z policzkiem na grubej szaro nakrapianej powłoczce z rozrzuconymi udami, wspierającą się na łokciach i kolanach, próbującą zająć jeszcze lepsze położenie. Jęczała, piszczała, przesuwała językiem po dolnej wardze, a jej ciało pod nim pracowało dziko, niepowściągliwie, frenetycznie. Podczas orgazmu rozpaczliwie wierzgała, rzucała głowę w prawo, w lewo, gryzła brudną poduszkę.

Rozporządzał całą kartoteką podobnych wspomnień-obrazów, ukazujących ją przeważnie w różnych stadiach spazmu i pozycjach oddania.

Siedziała na nim okrakiem, rozszalała, zdyszana, z otwartymi ustami i szklistymi oczyma, ujeżdżając go, aż ramiona i piersi lśniły od potu, gdy osiągnęła pełnię zadowolenia, zagryzała usta i bębniła pięściami w jego piersi.

Albo leżała na boku pod ścianą, z głową opartą o szczyt łóżka, z kolanami szeroko rozstawionymi, ze stopami złożonymi razem, podeszwa do podeszwy, tak by łono stało dla niego otworem. Pieścił ją; lekko, ale metodycznie i nieubłaganie gładził to jedno miejsce, ostrożnie doprowadzane to tego, by się załamała i szlochająca, bezradna otwarła się przed nim całkowicie. Był zupełnie pewien.

To zdarzyło się któregoś z ostatnich razów, gdy już oboje zdążyli nauczyć się prawie wszystkiego o unerwieniu i centrach wrażliwości. Późny styczniowy wieczór z drzemiącymi na nabrzeżach gromadami uciekinierów, z głuchym odległym grzmotem frontu, dochodzącym zza kulis mgły i śnieżnej zawieruchy.

Były inne wspomnienia, nie przypominające fotografii, nie zimno zarejestrowane, ale te już dawno udało mu się odepchnąć, stawały się zauważalne tylko w pojedynczych wypadkach. Przede wszystkim kiedy był chory i zupełnie wyczerpany.

Na przykład jej ręce na jego ciele i te kilka razy, kiedy obudził się z głową na jej ramieniu, zamknięty w jej miękkim bezpiecznym cieple.

Barbara pod pewnym względem przypominała Hugo

Spohlera. Miała zdolność normalnego reagowania w nie-normalnych warunkach i znajdowania uproszczonych właściwych wyjść z sytuacji pozornie beznadziejnych. Prócz tego była wielkiej miary organizatorką. Miała łatwość brania się do spraw i rzeczy i uważała, że problemy są po to, żeby je rozwiązywać. To ona załatwiła pokój na strychu z żelaznym łóżkiem, i gdyby ona nie wzięła inicjatywy na siebie, nie jest pewne, czy kiedykolwiek wylądowaliby we wspólnym łóżku. To ona postarała się o opał do spękanego piecyka szamotowego, znajdującego się w kącie za szafą, ona także zaczęła rozbierać się w sekundę po zamknięciu drzwi na haczyk. Nawet o środki ochronne ona się postarała, ten najpierwszy raz, potem nigdy nie troszczyli się o ich używanie.

To ona o dwa metry od niego stała naga, z pochyloną głową i uniesioną piętą i na coś patrzyła, nim odwróciła się i spojrzała na niego oczyma błyszczącymi radosnym oczekiwaniem.

Nie była nimfomanką, co przecież mogłoby być łatwym wytłumaczeniem, a później mogłoby być ładnym wykrętem. Przeciwnie, o ile potrafił się w tym rozeznać, była zupełnie normalną młodą kobietą o normalnych reakcjach seksualnych. Po spotkaniach z nim była wesoła, zadowolona, tylko blada z wyczerpania.

Za pierwszym razem wiedziała więcej niż on, ale tylko trochę więcej niż to, co oboje wiedzieli, gdy się rozstawali. Tego był zupełnie pewien.

Ona chciała tylko posługiwać się swymi rękami, wargami, ustami, językiem, swą czułością, swym kobiecym ciałem w celu, dla którego to wszystko było przeznaczone, do którego było przystosowane. Nim będzie za późno. Podobnie jak on. A czasu mieli mało.

Samo przez się było to banalne. Wielu innych zachowywało się podobnie, właśnie wtedy i oczywiście także tam, nawet jeżeli większość musiała zadowolić się pełnymi przeciągów budami z blachy i pustymi wagonami towarowymi. Bo nawet takie warunki nic w tej sprawie nie zmieniły.

Z początku często myślał, że spotkali się zupełnie niezuzyci,

spali z sobą szesnaście razy, w różnych okolicznościach przypadkowych, najczęściej w odstępach dwu-, trzydniowych, zależnie od trudności załatwienia przepustek w tym samym terminie. Pierwszy raz wypadł w niedzielę i zastosowanie sposobów zapobiegawczych im nie wyszło. Działo się to w środku dnia, w pokoiku na poddaszu zupełnie widno, oboje nadzy, on na niej. Gdy piorun przeszył podbrzusze i okolice pachwin zaczął ogarniać paraliż, ogarnęła go stara, znana z burdeli niepewność i zamierzał wycofać się. Ale ona to natychmiast zauważyła, wysoko podciągnęła nogi, chwyciła go za jądra i zmusiła, by głęboko wstrzyknął w nią swe gorące płynne nasienie. Potem leżał w jej objęciach, a ona trzymała go tak, jak się trzyma pluszowego misia czy lalkę. Potem już żadne z nich się nie zawahało, w żadnym wypadku. I to dawało powód do zastanowienia. Nawet w dziesięć lat później.

Mało z sobą rozmawiali i tylko o tym, co teraz, nigdy o przeszłości czy ewentualnej przyszłości.

Była wesola i żywa, nigdy się nie irytowała. Nigdy nie podnosiła głosu, raz tylko płakała, zupełnie bez powodu.

Pochodziła z Królewca. I to było, z grubsza biorąc, wszystko, co wiedział o Barbarze Heinemann.

Poza tym wiedział bardzo mało.

A najżałośniejsze było, że nie wiedział, czy umarła, czy żyje.

Ewakuacja nastąpiła szybciej niż obliczano. Została przeprowadzona pospiesznie i chaotycznie, według lawiny rozkazów i kontr rozkazów. Wiele z tego, co planowano w pośpiechu, nie udało się. Na szaro pomalowany statek, który był miejscem zakwaterowania szkoły obsługi łodzi podwodnych, został storpedowany na wysokości Stolpmünde¹, przewrócił się i zatonął wraz z ponad pięćmiu tysiącami ludzi. Ilu ich było, nikt dokładnie nie wiedział. Na pokładzie było około czterystu kobiet ze służby pomocniczej, umieszczonych w łaźni, głęboko we wnętrzu statku. Jedna z torped tam właśnie trafiła i prócz dwóch wszystkie dziewczęta zginęły. Gdy wodoszczelne drzwi zamknęły się automatycznie, zostały odcięte i potopiły się jak myszy w zalutowanej puszcze

1 Obecna Ustka.

blaszanej. Nazwiska Barbary Heinemann nie było na liście pasażerów, ale liście wiele brakowało do wiarygodności. Z drugiej strony ona miała służbę specjalną gdzieś przy sztabie i bardzo możliwe, że została umieszczona na jakimś innym statku. Wiele statków dotarło do celu, podobnie jak ten stary liniowiec, na który trafił Willi Mohr. Kilka jednak zatoneło.

Jednak większość dopłynęła.

A dziesiątki tysięcy ludzi zostało na lądzie.

Równanie nie do rozwiązania.

A on niewiele zrobił, by je rozwiązać. Z początku nie miał możliwości, potem nie wkładał w to zadanie zbyt wiele energii, a z czasem zrobiło się zbyt późno.

Jeśli zdarzyło mu się myśleć o tej sprawie, wołał wyobrazić ją sobie za hermetycznie zamkniętymi drzwiami, w głębi pasażerskiego statku, który przewraca się i tonie w lodowato zimnej wodzie. Nawet jeśli nie była to najbardziej prawdopodobna możliwość. Czy jednak nie to właśnie było najbardziej logiczne?

Nie wiedział, z biegiem czasu zapomniał. Prawie o wszystkim, jednak nie o wszystkim.

Nigdy nic więcej się nie zdarzyło, nigdy innej nie spotkał, a kiedy zawierał jakąś przypadkową znajomość, przeważnie nic z tego nie wychodziło. Od dawna pogodził się z tym, że tak ma być. Jeśli gdzieś w pobliżu znajdował się dom publiczny, zdarzało mu się tam pójść. Najczęściej jednak i z tego rezygnował.

Jednak przez te dziesięć lat miał przy sobie Barbarę Heinemann. To jej ręce i ramiona śniły mu się, gdy czuł się zmęczony albo bezbronny i nie mógł obronić się przed marzeniami. Przede wszystkim jednak miał kartotekę wspomnień, gdy musiał myśleć o seksie, sięgał do rejestru jej fizycznych właściwości. Ona też była dla niego rodzajem pochlebnego zaświadczenia, gdy chodziło o kompleks niższości w tych sprawach. Nikt nigdy nie mógł posiadać kogoś dokładniej niż on ją posiadał.

Przynajmniej pod względem fizycznym.

Nie tak dawno, jakieś pół roku temu, została wyparta przez

inną kobietę, która wczesnym rankiem boso i na palcach przechodziła przez jego pokój, sądząc, że on śpi. Zwykle była otulona płaszczem kąpielowym, ale raz, w bladym przesuającym się świetle latarni morskiej, widział ją nagą, z ciałem usianym przepołowionymi perełkami. Opierał się, jak długo była, poddał się, kiedy jej zabrakło.

Później jednak Barbara Heinemann wróciła, lekko pochylona, z luźno zwieszonymi ramionami, a teraz już było tak, jakby nigdy nie odchodziła.

Barbara była też jedyną istotą, która bez sprzeciwu z jego strony mogła go dotykać, gdy spał. Niekiedy, jeśli zbudziła się pierwsza albo on zasnął przy niej z wyczerpania, budziła go. W takiej sytuacji nigdy nic nie mówiła, tylko gładziła go, aż się ocknął.

Już jako małe dziecko nie lubił, żeby mu ktoś przerywał sen i nie cierpiał, żeby go dotykano.

Tu, w domu przy Barrio Son Jofre, z początku nie mógł przywyknąć nawet do tego, że kot, gdy mu było zimno, wsuwał się pod jego koc.

10

Willi Mohr poczuł rękę na ramieniu i otworzył oczy. Spał głęboko, coś mu się śniło, sen był niewyraźny, kiedy poczuł rękę na ramieniu, uświadomił sobie, o kim śnił. Duża opalona ręka z szerokimi, wypukłymi paznokciami i rozsuwanym pierścionkiem z czerwonym kamieniem. Gwardzista w średnim wieku, o nalanej sennej twarzy, ze sterczącymi siwiejącymi wąsikami. W lewej ręce trzymał karabin, kolbę oparł o podłogę. Willi Mohr szybko odsunął jego dłoń i usiadł.

- Nie słyszał pan mojego pukania - powiedział gwardzista usprawiedliwiająco.

Willi Mohr otrząsnął się i spojrział na zegarek. Wskazywał za kwadrans ósmą. Za otwartymi drzwiami świeciło ranne słońce. Od powrotu do domu z poprzedniego przesłuchania minęły dwie godziny. - Idziemy - powiedział gwardzista, zarzucając karabin na ramię.

Zeszli w dół stromym, krętym zaułkiem i skręcili w prawo na główną drogę. Minęli skrzyżowanie, szli przez Avenida Generalisimo Franco, przecięli na skos rynek z pompą i kadzią do prania i z trzema kawiarenkami. Willi Mohr jak zwykle szedł krokiem lekkim i sprężystym, to on narzucał tempo, gwardzista z siwiejącym szczeciniastym wąsem szedł o pół kroku za nim, trzymając się lewej strony. Mimo że odpoczynek był krótki i niespokojny, Willi Mohr nie czuł się senny ani zamroczony i z nienaturalną niemal ostrością dostrzegał po drodze różne szczegóły. Przestał się zastanawiać, jego ruchy i poczynania były machinalne i precyzyjne, jak gdyby wykonywał dobrze wyćwiczony program. Przy Café Central przystanął i postawił gwardziście to samo co poprzednim razem pytanie. Tamten wzruszył ramionami i oparł karabin o kant stołu. Wypili wermut i poszli dalej, w pewnej mierze wszystko było tak, jak być powinno. Był w drodze do sierżanta Tornilli, będą siedzieć naprzeciw siebie w pozbawionym okien pokoiku z portretem, szafą na dokumenty, wiszącą lampą z zielonym kloszem, będzie bardzo zmęczony i spragniony, nagle dostanie wody i wszystko się skończy, będzie mógł pójść do domu i znowu się położyć. W porządku było także, że to człowiek z siwymi wąsikami go prowadził, a nie jakiś inny gwardzista, na przykład ten mały z kocią twarzą. Tuż przed wejściem na prostą zwirowaną drogę między drzewami oliwnymi, w jakichś drzwiach ukazała się tłusta, nędznie ubrana kobieta i pociągnęła gwardzistę za rękaw. Przypuszczalnie była to jego żona, był zawstydzony i niezadowolony z jej ukazania się. Dał znak aresztantowi i wszedł z nią do wnętrza domu. To wykraczało poza schemat i skutkiem tego było momentem irytującym. Willi Mohr czuł się źle potraktowany i wciąż przestępował z nogi na nogę, stojąc na wyboistej ulicy i słuchając podniesionych głosów. Mały dzieciak z umorusaną buzią, w krótkiej, jasnożółtej trykotowej koszulce stanął w

otwartych drzwiach i przyglądał mu się. Po chwili gwardzista wrócił, podniósł dziecko, klepnął w gołą pupę i cmoknął w oba policzki. To go nieco rozweseliło, bo gdy już szli dalej, uśmiechnął się i powiedział usprawiedliwiająco:

- Kobiety...

Posterunek wydawał się cichy i spokojny. Pasiasta czerwono-żółta flaga zwisała nieruchomo w bezwietrznym powietrzu. Willi Mohr spojrział na zegarek i stwierdził, że pięćdziesiąt pięć minut upłynęło od wyjścia z domu przy Barrio Son Jofre. Gwardzista lekko zapukał do drzwi pokoju przesłuchań. Potem je uchylił, zajrzał i natychmiast zamknął. Wskazał wąską ławeczkę w sieni i powiedział:

— Proszę poczekać.

Potem poszedł w głąb sieni, otworzył jakieś boczne drzwi i zniknął. Willi Mohr czekał, pochylony, z łokciami opartymi o kolana. Nic nie miał przeciw czekaniu, poza tym znajdował pewne zadowolenie w fakcie, że - jak mu się zdawało

- pierwszy stawiał się na spotkanie. To wzmocniło w nim zaufanie do siebie i stanowiło jakiś nieco przyjemniejszy punkt wyjściowy. Mózg jego funkcjonował teraz trochę lepiej, nie był jednak w stanie wyznaczyć jakichś linii kierunkowych czekającej go rozmowy ani też skoncentrować się na terażniejszości czy najbliższej przyszłości. W pewnej mierze myślał, ale to była tylko chaotyczna i kapryśna seria żywych obrazów. Siedząc pochylony, wpatrywał się w gładki cement i myślał o kamiennej podłodze w domu przy Barrio Son Jofre, a w chwilę później o francuskim kluczu, jaki ścisnął w ręce dwa dni temu, gdy Santiago Alemany stał po drugiej stronie silnika, a jego czaszka znajdowała się w odległości pół metra. Zabrnąwszy tak daleko, próbował zawrócić i od początku zrekonstruować łańcuch asocjacji. Nie przypominał sobie wszystkich ogniw, ale przypuszczałnie większość. Przemyślał rodzaje podłóg w ogólności, później myślał o blachach w ładowni na kwaterze w Gotenhafen i o lakierowanych deskach podłogi w pokoiku na poddaszu, o nogach Barbary Heinemann i jej różowych piętach, i jak to było, trzymać je w dłoni, potem myślał o innej kobiecie i o jej lewej piersi, która

leżała w jego ręce jak małe przestraszone zwierzątko, i o kociaku, którego raz złapał, kiedy był dzieckiem, o szczeniaku z czarną plamą na oku, i o dźwięku, jaki się rozległ, kiedy ten drugi szczeniak, ten prawie zupełnie czarny, uderzył o zbocze góry, i o mężczyźnie w niebieskich spodniach i czarnej wełnianej koszulce, którego miał przed sobą na czworakach, który jęczał i skomlał, usiłował wpełznąć pod mały przyśrubowany stolik, i o koncentrycznych kręgach na wodzie, i o zwichrzonych, równo przyciętych brązowych włosach Santiaga Alemany - i znalazł się u celu. To ostatnie ogniwo łańcucha dotknęło go tak boleśnie, że poczuł mdłości, upał na czole, gwałtownie potrząsnął głową i przeszedł do obserwowania tego, co się wokół dzieje. A nie działało się właściwie nic. Dwa razy zadzwonił telefon i ktoś musiał go natychmiast przyjąć, bo za każdym razem odezwał się tylko jeden sygnał. Chuda Świnia, będąca widać własnością posterunku, przeszła pod drzwiami, gnuśnie chrząkając i długim czarnym ryjem obwąchując ziemię. Z koszar wojskowych w drugiej stronie miasta słychać było pojedyncze strzały, osioł zaryczał, w dali zabrzmiała salwa wybuchów, przypuszczalnie z miejsca, gdzie prowadzono roboty drogowe.

Gdy minęło dokładnie pół godziny, gwardzista z siwiejącymi wąsikami wyszedł do sieni, z gołą głową i w rozpiętym mundurze. Wziął Willego Mohra za ramię, lekko i uprzejmie, poprowadził kilka kroków przez sień, bez pukania otworzył drzwi i wepchnął go do pokoju przesłuchań.

Willi Mohr stanął tuż za progiem.

Drzwi za nim natychmiast się zamknęły, kroki żandarma ucichły w oddali.

Lampa pod sufitem paliła się, a wisząca pod zielonym kloszem chmura dymu z papierosów zaczęła się właśnie rozpyływać i niknąć.

Pod nią w kręgu światła siedział sierżant Tornilla i pisał.

A więc był tu przez cały czas.

Odłożył pióro, wstał, wyciągnął rękę. Willi Mohr wziął ją apatycznie i zdążył pomyśleć: Wszystko możesz powiedzieć

prócz tego jednego. Tego jednego. Tego jednego.

Sierżant Tornilla wskazał ławkę, ale nie powtórzył żadnego ze starych frazesów i udało mu się to zrobić w sposób wysoce artystyczny, zupełnie jakby chciał zaznaczyć, że nawet malutki żarcik staje się zupełnie chybiony, jeśli się nim posłużyć o jeden raz za wiele.

Mundur wydawał się jeszcze bardziej nieskalany i świeżo wyprasowany niż przedtem. Biały kołnierzyk koszuli lśnił i chyba sierżant musiał się ogolić najdalej przed godziną. Stał uprzejmie, dopóki tamten nie zajął miejsca, potem dopiero przysunął swoje krzesło i usiadł za biurkiem, złożył czubki palców i pokiwał głową.

- Powinien pan być posłuchać mojej rady - powiedział z ubolewającym uśmiechem - powinien pan być zostać tu na posterunku. Oszczędziłoby to cennego czasu.

Willi Mohr nie odezwał się.

- Przepraszam, że to mówię, ale powinien pan być umyć się i przebrać. I ogolić. Mam nadzieję, że coś pan jadł?

- Jest pan zbyt troskliwy.

- Ależ nie. Przeciwnie, to moja wina, że znajduje się pan w takim stanie. Powiniennem być wyraźniej przedstawić sytuację i bardziej zdecydowanie nalegać, by pan został. Nie rozumiem mego roztargnienia.

Westchnął samooskarżająco i zmarszczył czoło.

- Spał pan jednak czy nie?

- Tak.

- Zawsze coś.

Willi Mohr czekał na papierosa, ale nie dostał.

Widział rozek zielonej paczki bisontów, leżała na swoim miejscu koło telefonu. Tak się przyzwyczaił do tego, że go częstują papierosami, iż trzeba było długiej chwili, nim przyszło mu na myśl, że może palić własne. Miał przy sobie paczkę ideali, ale jak zwykle nie miał zapalek. Po namyśle przypomniał sobie, że kilka godzin temu położył je obok świecy, co zwykle robił kładąc się do łóżka.

- Czy mógłbym dostać ognia?

- Wkrótce - powiedział sierżant Tornilla.

Uśmiechnął się, ale nie wyjął zapalniczki.

Dalej natomiast lustrował Willego Mohra, który czekał z niezapalonym papierosem w ustach. W pokoju słychać było tylko brzęczenie much, wirujących wokół lampy, czasem leciutki trzask, gdy któraś z nich uderzała o klosz.

Minęła minuta, może dwie. Uśmiech powoli zamierał na ustach sierżanta Tornilli i gdy się znowu odezwał, głos jego brzmiał sucho i urzędowo.

- Tak więc opuścił pan Hiszpanię drugiego kwietnia na pokładzie jachtu „Monsoon” razem z państwem Thorpe i z Ramonem Alemany?

- Tak.

- Żeby popłynąć na Korsykę?

- Tak.

- Bezpośrednio tam?

- Nie.

- Wstępowaliście do jakiegoś innego portu po drodze?

- Tak.

- Jaki to był port?

- Port Vendres.

- Zgadza się. Port Vendres we Francji, tuż przy granicy, na północ. Dlaczego pułkownik Thorpe zawiął do tego portu?

- Chciał kupić jakieś części rezerwowe, których tu nie mógł dostać.

- Czy pan wiedział, że macie odwiedzić ten port, nim wypłynęliście?

- Nie.

- A więc było dla pana niespodzianką, że pułkownik Thorpe nie płynie prosto na Korsykę?

- Tak.

- Schodził pan na ląd w porcie Vendres?

- Tak.

- Razem z Ramonem Alemany?

- Tak.

- W jakim celu zszedł pan na ląd?

- Bez specjalnego celu.

- Co robiliście?

- Nic, poszliśmy do baru, rozglądaliśmy się.
- Wchodziliście na pokład jakiegoś innego statku w porcie?
- Nie.

Kogo odwiedziliście?

- Nikogo.

Cały czas byliście razem?

- Tak. W każdym razie prawie.

Co pan rozumie przez prawie?

Ramón Alemany odszedł na chwilę, a ja zostałem w barze.

- Na jak długo?

Może godzinę.

- Co robił przez ten czas?

Był u kobiety, powiedział mi potem.

A co powiedział, zanim poszedł?

- Nic. Po prostu wyszedł i jakiś czas go nie było.

- Czy ma pan powód sądzić, że nie mówił prawdy?

- Nie, wcale nie.

- Ramón Alemany interesował się kobietami?

Willi Mohr wyjął z ust nie zapalony papierosa i obracał go w palcach.

- Słyszał pan pytanie? Czy Ramón Alemany interesował się kobietami?

- Tak.

- Bardzo?

- Tak.

- Skąd pan to wie?

- Często mówił o kobietach.

- A pan sam? Pan się nie interesuje?

- Nie w ten sposób.

- Jak mógł pan godzinami przesiadywać w barze, nie mając pieniędzy?

- Wypiłem tylko szklankę wody mineralnej.

- I to wszystko, co pan robił w Port Vendres? Wypił pan szklankę wody?

- Tak.

- No, a potem popłynęliście na Korsykę?

- Tak.

- Mielicie w podróży piękną pogodę?
- Prawie za piękną. Było zupełnie bezwietrznie i cały czas mieliśmy włączony silnik pomocniczy. Anglik był bardzo niezadowolony.

- Podobnie jak z pana był niezadowolony?

- Tak, ale w tym wypadku ze skąpstwa.

- A potem wpłynęliście do Ajaccio. Ile dni tam staliście?

- Sześć albo siedem, póki byłem na pokładzie.

- I w tym czasie Ramón Alemany zniknął?

- Tak.

- Jakiego dnia?

- Dwudziestego pierwszego maja.

- Skąd pan wie, że akurat tego dnia?

- Po prostu pamiętam datę.

- A mnie się tak wydaje: Po południu dwudziestego drugiego odkryto, że nie ma go na pokładzie, skąd pan wie, że wyszedł poprzedniego dnia a nie tego samego dnia, kiedy odkryto jego nieobecność, rano?

Willi Mohr zgniótł papieros. Milczał, patrząc przez stół posepnie i przekornie.

- Znał pan pewnie jego plany, czy tak?

- Nie.

Willi od tak dawna skupiał się przed tym odcinkiem przesłuchania, że następne pytanie było zaskoczeniem.

- Uważa pan, że źle was traktowano na jachcie?

- Nie, było znośnie.

- Jedzenie dostawaliście dobre?

- Względnie.

- A gdzie sypialiście?

- Na tylnym pomoście.

- Pan razem z Ramonem Alemany?

- Tak.

- Jak wyglądało na tym pomoście?

- To było małe trójkątne pomieszczenie pod pokładem z miejscem na stół i dwie koje.

- A więc było tam bardzo ciasno?

- Tak.

- Koje były umieszczone naprzeciw siebie?

Willi Mohr chwilę się wahał.

- Tak - powiedział.

- Pamięta pan dobrze, jest pan pewien?

- Tak.

- Osobliwe - powiedział sierżant Tornilla.

Wyciągnął rękę, wyjął z szafy teczkę, otworzył i podsunął mu papier przez stół.

- Proszę przeczytać głośno - powiedział.

Był to znowu arkusz maszynopisu z numerem dziennika w prawym górnym rogu. Tekst był dość krótki. Willi Mohr odchrząknął i przeczytał:

— Zgodnie z poleceniem przeprowadziłem w tym dniu inspekcję niektórych pomieszczeń na statku Spacerowym „Monsoon”, należącym do poddanego brytyjskiego pułkownika Archibalda Thorpe, który przebywał tu od sierpnia tego roku. Pomieszczenie, w którym marynarze (w liczbie dwóch) mają kwaterę, znajduje się pod pokładem w przedniej części statku. Powierzchnia podłogi, w formie trójkąta, wynosi trzy metry kwadratowe i jest częściowo zajęta przez umocowany do podłogi stół, mający metr długości i osiemdziesiąt centymetrów szerokości, i dwa mniejsze ruchome stołki bez oparcia. Miejsca do spania (w liczbie dwóch) mieszczą się w zaokrąglonych z obu końców wnękach czy też alkowach, uplasowanych jedna nad drugą wzdłuż tej ściany pomieszczenia, która jest po lewej stronie statku. Wyjście jest lukiem w suficie, wiedzie do niego drabina, umocowana w odległości mniej więcej czterdziestu centymetrów od głów sypialnych wnęk (które od strony nóg są nieco węższe). Żeby wyjść, trzeba się wspiać w głowach górnej alkowy. Na pytanie, który z wymienionych członków załogi sypiał w której wnęce, pułkownik Thorpe odpowiada, że nie wie, gdyż nie ma zwyczaju wchodzić do danego pomieszczenia, może wydawać rozkazy wołając przez luk. Zona pułkownika Thorpe, señora Clementine Thorpe, natomiast twierdzi, że marynarz Mohr (Niemiec) sypiał w

górną wnęce, zaś marynarz Alemany (Hiszpan) w dolnej, może to powiedzieć z całą pewnością, gdyż wiele razy w ich obecności dokonywała inspekcji tego pomieszczenia. Dodaje, że pomieszczenie zawsze było bardzo porządnie sprzątnięte, gdy Mohr i Alemany znajdowali się na pokładzie.

Posterunek policji, Puerto de Soller, Majorka, Baleary, 15 września, dyżurny: Juan...

... nie, nie mogę odcyfrować podpisu.

- To nie ma znaczenia - powiedział sierżant Tornilla.

Wyciągnął rękę po papier, odłożył go na właściwe miejsce.

- Ten, kto to pisał, jest jeszcze gorszym marynarzem niż pan - powiedział żartobliwie.

Uśmiechnął się przyjaźnie i przez kilka sekund zabawiał się stykaniem czubków palców.

- Ale to nie przeszkadza, można zrozumieć, o co mu chodzi, prawda?

Willi Mohr nie raczył odpowiedzieć, zresztą pytanie można było uważać za retoryczne. Wolał w milczeniu zgłębiać rezultat swego pierwszego bezpośredniego kłamstwa.

Człowiek w mundurze nie przestawał się uśmiechać.

- Kto właściwie sprzątał? Czy pan?

- Tak.

- Sprzątał pan po Ramonie Alemany także, kiedy odszedł?

- Tak.

Zmęczenie zaczynało wracać. Oczywiście nie należało odpowiadać, pomyślał Willi Mohr.

Sierżant Tornilla wziął paczkę papierosów bisonta, stuknął nią o blat, tak że jeden papieros wysunął się w połowie, i grzecznie poczęstował. Potem wyjął z kieszeni zapalniczkę i podał ogień.

- Palić przed sjeżdżalnią to złe przyzwyczajenie - powiedział.

Ja sam temu ulegam czasami, zwłaszcza gdy mam jakąś męczącą pracę. Kiedy jestem w domu, żona mnie powstrzymuje. Jak już mówiłem, wiele przemawia za tym, żeby się ożenić. Pan powinien założyć rodzinę.

Bawił się zapalniczką, patrząc na Willego Mohra, który

głęboko zaciągnął się papierosem.

- Czyli - powiedział podsumowując - nie wie pan, gdzie się podział Ramón Alemany, ani w jaki sposób wydostał się ze statku. Nie zauważył pan, kiedy opuścił pokład, zabierając z sobą wszystkie rzeczy, jest pan natomiast pewien, że uciekł wieczorem dwudziestego pierwszego, a nie rankiem dwudziestego drugiego. Jolka, którą się najwidoczniej posłużył, została odnaleziona dopiero w dwa dni później, dryfowała poza obrębem portu. W jaki sposób się tam znalazła, pan oczywiście nie wie.

Willi Mohr palił.

- Jest pan natomiast pewien, że Ramón Alemany nie wrócił do Hiszpanii i że nie ma go tu obecnie, to już poprzednio mówił pan wielokrotnie.

Otworzył teczkę i znowu wyjął jakiś papier, ale nie podał go, tylko sam pobieżnie przejrzał tekst pisany na maszynie.

- To jest pana własne sprawozdanie, jakie pan złożył żandarmerii w Ajaccio dwudziestego czwartego kwietnia - powiedział. — Przypuszczam, że pan je tak dobrze pamięta, że nie musi pan go ponownie odczytywać? Jest tu czarno na białym, że gdy się pan obudził dwudziestego drugiego rano, Ramona Alemany nie było, jego rzeczy również zniknęły. Ponieważ na pokładzie nie została żadna łódka, nikt inny nie mógł się o tym dowiedzieć, póki pułkownik Thorpe i jego żona nie wrócili tegoż dnia wieczorem. Gdzie oni właściwie byli?

- U jakiegoś znajomego na wsi, za miastem. Marett czy jakoś tak.

- Zgadza się. Mazetti nazywał się ten przyjaciel, ściślej mówiąc major. Ma pan dobrą pamięć. Zresztą wtedy pan także nie wiedział, dlaczego Ramón Alemany uciekł ani dokąd się udał. No cóż, nie jest to zbyt interesujące.

Wsunął zapalniczkę do kieszeni szybkim ruchem, jakby gotów był przejść do czegoś innego. Gdy znowu przemówił, żartobliwy ton zniknął.

- Dwie daty mnie interesują znacznie więcej niż dwudziesty drugi kwietnia. Mianowicie poprzedni dzień i dzień w

dwa tygodnie później, ściślej określając, piąty maja. Spróbujemy zrekonstruować te dwa dni. Przede wszystkim dwudziesty pierwszy kwietnia, zanim pan odkrył, że Ramón Alemany zniknął. Co pan porabiał tego dnia?

Willi Mohr przesunął po twarzy wierzchem dłoni, jakby chciał zetrzeć zmęczenie i zmieszanie. Był to punkt rozstrzygający, wiedział, że musi być bardzo ostrożny.

- Wydaje mi się, że byliśmy tam trzy dni - powiedział z wahaniem.

- Zgadza się, przybyliście do Ajaccio osiemnastego. Kiedy zszedł pan na ląd pierwszy raz?

- W dzień po przybyciu.

- Razem z Ramonem Alemany?

- Tak.

- A dwudziestego pierwszego, co się wtedy stało?

- Rano odwiozłem na ląd Anglika i jego żonę. Mieli odwiedzić tych Mazettich.

- Wiedział pan, że zamierzają tam zostać na noc?

- Tak.

- Zdarzało się, że opuszczali statek na tak długo?

- Nie, to było pierwszy raz.

- A czy nie powinien był ktoś zostać na statku pod nieobecność pułkownika i jego żony?

- Oczywiście, ktoś musiał mieć służbę, żeby ich przywieźć, gdy zechcą wrócić na pokład. Staliśmy przy jednej z boi przed falochronem. Anglik zwykle, kiedy chciał, żeby go zabrać, dawał z mola sygnał gwizdkiem.

- Było więc postanowione, że albo pan, albo Ramón Alemany zostanie na pokładzie?

- Tak.

- A jednak obaj zeszliście na ląd, gdy tylko się upewniliście, że pułkownik Thorpe opuścił statek?

- Tak.

- I zostawiliście jacht bez dozoru?

- Tak.

- Nie było to zgodne z obowiązkiem, prawda?

- Nie.

- Mielicie może jakąś ważną sprawę, wymagającą obecności was obu?

- Nie.

- Czy to pan wpadł na pomysł, żeby zejść na ląd?

- Nie.

- A więc Ramón Alemany?

- Tak.

- Dlaczego pan z nim poszedł? Mógł pan przecież zostać na statku?

Willi Mohr nie od razu odpowiedział, gdyż patrzył na portret caudilla. W końcu rzekł:

- Nie mogłem pozwolić, żeby poszedł sam.

Odpowiedź była niebezpieczna, ale prawdopodobna.

Następne pytanie sierżanta Tornilli wskazywało, że albo ignorował logiczny ciąg dalszy, albo też odkładał go na jakąś późniejszą chwilę. Powiedział:

- A więc zeszlście na ląd, co nastąpiło później?

- Połaziliśmy trochę, porozglądaliśmy się.

- Jak długo?

- Całe popołudnie.

- I nie stało się nic godnego uwagi?

Willi Mohr znowu przyglądał się portretowi. Fotografia była mocno wyretuszowana i wokół jajowatej głowy generała niewyraźnie widniała gloria światła. Do dolnej listwy ramy była przyśrubowana mosiężna tabliczka, by zyskać na czasie Willi mozolnie sylabizował napis:

General Franco, el invicto Caudillo,
bajo cuya espada invincible se cubren
de gloria los Ejércitos nacionales, el
general Franco, al frente del movimiento
Salvador, vindica ante el mundo entero,
con una emoción de admiración y respeto
universales, el nombre sagrado de nuestra
querida España, Caudillo de España por
la gracia de Dios.

Rozumiał tylko mniej więcej sens tej tyrady, natychmiast |
cdnak pomyślał o robotnikach budujących drogę z funduszu

pomocy społecznej i o Asturyjczykach wzdłuż drogi do Santa Margarita, i o zakonnicach ze strzykawkami i w li rudnych czarnych welonach. Potem uświadomił sobie, że w pokoju panuje cisza i opuścił wzrok na sierżanta Tornillę, który milcząc czekał na odpowiedź, ze znieruchomiłym spojrzeniem i złożonymi czubkami palców.

- Ramón Alemany pił - powiedział Willi Mohr.

- Dużo?

- Tak.

- Upił się?

- Tak.

- Często się upijał?

- W czasie podróży pierwszy raz.

- Czy były jakieś nieprzyjemności?

- Policja przyszła.

- Został zatrzymany przez policję?

Nie, ale odstawili nas na brzeg i polecili mi zabrać go na pokład.

A pan nie pił?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bardzo rzadko piję.

- Przecież sam pan mówił, że upił się pan w puerto; czyż nie?

- To było dużo dawniej.

- Słusznie, to było dużo dawniej.

Sierżant Tornilla przyjrzał mu się długo i z namysłem, nim pozornie na chybił trafił wziął z biurka jakiś papier.

Dobrze, to oszczędzi panu przykrości głośnego czytania raz jeszcze.

Uśmiechając się spokojnie przesunął wzrokiem po zapisanym arkuszu. Potem spojrzał na Willego Mohra i powiedział, jakby w odpowiedzi na pytanie, które wcale nie zostało postawione:

- Señora Thorpe raz jeszcze. Ta dama zdaje się lubi mówić o tym, co wie. Po jakimś czasie dobrowolnie przyszła do mego kolegi na Majorce i opowiedziała to. Usłyszała tę historię od kogoś przypadkiem w Ajaccio, kiedy pan już wy-

jechał, bardzo ją to wzburzyło, gdyż zawsze dbała o to, by zatrudnieni na pokładzie „Monsoona” starali się zachowywać poprawnie i godnie. Miała widać chęć poświadczyć zalety pana charakteru. Wedle mego informatora zeznała, że Niemiec był rozważny i nic mu nie można było zarzucić, podczas gdy ten drugi sprawował się jak Świnia.

Odłożył papier do teczki i dodał:

- Tym razem nie wspomniała o sprzątaniu.

Ten mały żarcik jak zwykle zapowiadał nowy akt i zmianę sceny. Tornilla wyprostował się, położył ręce na stole, opierając dłonie o brązowy bibularz, jak gdyby zamierzał wstać.

- Przechodzimy do drugiego dnia - powiedział - czyli do piątego maja. Co robił pan tego dnia?

Willi Mohr w przecuciu niebezpieczeństwa powstrzymał oddech. Teraz poczuł wielką wyzwalającą ulgę.

- Nie wiem - powiedział.

- Niech pan spróbuje przypomnieć sobie.

- Nie pamiętam nawet, gdzie wtedy byłem.

- W Ajaccio.

- Możliwe.

- To był ostatni pana dzień na Korsyce.

- Ach, tak.

- W jaki sposób opuścił pan wyspę?

- Statkiem.

- Dokąd pan popłynął?

- Do Marsylii.

- Skąd pan wziął bilet?

- Kupiłem.

- W Ajaccio po odejściu z jachtu przebywał pan jeszcze dziesięć dni. Czy tak?

- Tak.

- Gdzie pan mieszkał?

- W pensjonacie.

- Co pan robił przez te dziesięć dni?

- Nic.

- Wychodził pan?

- Rzadko.

- Na kogo pan czekał?
- Na nikogo.
- Rachunek za hotel zapłacił pan?
- Tak.
- A za bilet okrętowy?
- Tak.
- W Marsylii był pan w hiszpańskim konsulacie?
- Tak.
- Dlaczego?
- Żeby dostać wizę wjazdową.
- Opłatę stemplową pan uiścił?
- Tak.
- A potem pan tu przyjechał?
- Tak.
- Za podróż sam pan zapłacił?
- Tak.
- Zawsze bardzo skrupulatnie płaci pan za siebie.
- Tak, jeśli mam pieniądze.
- W konsulacie płacił pan w walucie francuskiej?
- Nie.
- Wjeżdżając do kraju miał pan przy sobie pieniądze, choć przy kontroli walutowej na granicy nie zgłosił ich pan?
- Tak.
- Od kogo dostał pan te pieniądze?

Willi Mohr nie odpowiedział na pytanie. Uporczywie wpatrywał się w lśniące czarne cholewy pod stołem i czekał, że pytanie zostanie powtórzone lub zastąpione przez inne. Sekundy mijały, tworząc długi szereg minut milczenia. Jeszcze jedna. I następna. I następna. I jeszcze jedna. I jeszcze jedna. Oczywiście mylnie oceniał czas, minuta nie mija tak szybko. Rzucił okiem na zegarek. Za dziesięć dwunasta. Zaczął obserwować wskazówkę, wędrującą wokół tarczy, małymi, krótkimi kroczkami. Jeden obrót - dwa - trzy - cztery - pięć - sześć - siedem - osiem — dziewięć - dziesięć.

Wzdrygnął się i odkrył, że zgubił się w rachunku. Podniósł głowę. Sierżant Tornilla wciąż siedział i przyglądał mu się wsparty rękami o stół. Jednak spojrzenie jego nie miało już tej

ostrości, a twarz o pełnych policzkach i mocno zarysowanych ciemnych brwiach zdawała się odprężona i pozbawiona wyrazu.

Dostał wylewu i stracił mowę, powiedział Willi Mohr bezgłośnie sam do siebie; w sekundę potem pomyślał, że jeśli to ma być żart mający na celu deprymujące przewlekanie, to działanie jego jest chybione. Usiłował patrzeć prosto w piwne oczy, ale wytrzymał tylko kilka sekund.

Załżył nogę na nogę i znowu zaczął przyglądać się portretowi, raz jeszcze przesyłabizował napis na mosiężnej tabliczce. Potem chrząknął i powiedział:

- Co znaczy to, co napisano pod portretem?

Sierżant Tornilla nie poruszył się i nie odpowiedział.

Willi Mohr odkrył, że nie jest mu wygodnie, i znowu zmienił pozycję. Usiłował przestawić się, myśleć o czymś postronnym, na przykład o kocie czy psie, ale nie udało się, zamiast ulgi poczuł rosnącą potrzebę mówienia albo słuchania, czy przynajmniej ruszania się.

Nasłuchiwał, ale słyhać było tylko ciszę. Człowiek w mundurze nie wydał żadnego dźwięku, nawet bzykanie much ustało. Spojrzawszy w górę Willi dostrzegł, że tylko dwie nędzne muszki krążą wokół lampy, cały czas trzymając się naprzeciw siebie, rozdzielone szklanym kloszem, pochłonięte groteskowym niemym tańcem na karuzeli.

Pogrzebał w kieszeni, sprawdzając, czy ma ideale, wyjął paczkę, położył na brzegu stołu, chwilę siedział z nie zapalonym papierosem, trzymając go w odległości kilku centymetrów od warg, nim spytał spokojnie i uprzejmie:

- Czy zechciałby pan dać mi ognia?

Milczenie.

Po kilku minutach Willi Mohr wyjął z ust papieros i starannie wsunął do paczki. Potem siedział nieruchomo. Nie próbował spojrzeć tamtemu w oczy, natomiast intensywnie wpatrywał się w jego ręce. Czytał kiedyś czy może słyszał, że żaden człowiek nie oprze się irytacji, jeśli ktoś demonstracyjnie przygląda się jego rękom.

Ręce sierżanta Tornilli leżały nieruchomo. Palce były krótkie

i odrobinę tłustawe, lekko tylko opalone i starannie wypiełgnowane, z ładnie wypolerowanymi paznokciami.

Willi Mohr podniósł rękę i podrapał się w kark. Zrobił to zupełnie odruchowo i niesłuchanie go to zirytowało. Gdy znowu poczuł swędzenie, opanował się i ręce pozostały nieruchome.

Nieco później musiał znowu zmienić pozycję, bo mu prawa noga zdrętwiała. A jeśli już się poruszył, skorzystał z okazji, by podrapać się w głowę i między łopatkami. To był poważny błąd, uznał to natychmiast za poważny błąd, zachował się jak mała zamknięta w menażerii, poza tym był to postępek zupełnie bezsensowny, bo swędzenie stało się dokuczliwsze i rozszerzyło się na inne części ciała.

Zastanawiał się nad panującą ciszą. Mimo swej elastyczności od początku była ciasna, zamknięta i kompletna, lecz w miarę rozciągania się zaczęła wibrować. Im dłużej się przeciągała, tym była kruchsza, tym większa częstotliwość wibrowania. Niewątpliwie istniał jakiś punkt pęknięcia, ale położenia tego punktu w czasie nie znał ani on, ani sierżant Tornilla. Wiedział, że prędzej czy później otworzy usta i zacznie mówić. Odpowie i odpowiedź będzie wyczerpująca. Potem będzie po wszystkim. Ale przedtem cisza musi osiągnąć punkt pęknięcia. Może nie tak odległy. Czuł, że wewnętrzny nacisk rośnie w nim, natarczywy, rozsadzający. Już od wielu miesięcy miał świadomość istnienia tego nacisku, ale nigdy nie był tak silny, tak wyczuwalny.

Dziwne, ale wcale nie czuł senności. Zresztą nic dziwnego. Rozstrzygnięcie było zbyt bliskie.

Mimo wszystko dalej szukał wyjścia, rejestrował możliwości.

Było ich tylko trzy. Że człowiek po tamtej stronie stołu załamie się, że ktoś wejdzie do pokoju, że telefon zadzwoni.

Mogło także zgasnąć światło, ale to nie spowodowałoby jakiegóż istotniejszej zmiany.

Myśl, że Tornilla mógłby się załamać, była zupełnie nie-realna, nikt też najprawdopodobniej nie wejdzie do pokoju. Pozostawał więc tylko telefon. Wprawdzie nigdy nie zdarzyło mu się słyszeć, żeby dzwonił, ale też nigdy przedtem nie był tu w dzień. Coraz bardziej pogrążał się w świecie urojeń, myśląc:

Któryś raz musi stać się pierwszym razem.

Przez godzinę prawie wszystkie jego myśli skierowane były na telefon, potem postanowił liczyć do tysiąca, wolno, bezgłośnie, dla siebie tylko, bez poruszania wargami, a jeżeli nie zadzwoni, nim doliczy...

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem...

...pięćset dziewiędziesiąt osiem, pięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, sześćset, sześćset jeden...

Willi Mohr zemdleł, spadł z ławki. Leżał na kamiennej podłodze, prawie na boku, z odrzuconą głową i podkurczonymi nogami.

Sierzant Tornilla pochylił się nad stołem, opierając ręce o blat.. Poruszył ramionami, nogami, pogimnastykował palce. Potem ziewnął, wyjął z zielonej paczki papierosa, zapalił. Palił garbiąc się nieco i lewym łokciem opierając o poręcz krzesła. Badawczo przesunął czubkami palców po policzku w kierunku brwi, jakby chciał sprawdzić, czy zarost jest już wyczuwalny. Patrzył wprost przed siebie i wydawało się, że nic właściwie nie widzi.

Gdy z papierosa zostało jakieś cztery centymetry, zgasił go starannie w popielnicze, zgiął w pół i rozgniół niedopałek. Znowu ziewnął, odsunął szufladę i wyjął z niej tubkę simpatiny. Wytrząsnął na dłoń dwie małe tabletki i chwilę się im przyglądał, nim sięgnął po stojący za krzesłem dzbanek i popił pigułki łykiem wody.

Potem wstał i z dzbankiem w ręce obszedł stół.

Willi Mohr otworzył oczy. Miał mokrą twarz i zobaczył błyszczące czarne cholewy o kilka centymetrów przed sobą.

Sierzant Tornilla nie pochylił się, stał wyprostowany z dzbankiem w ręce i zdawał się mu przyglądać z niedorzecznej wysokości.

Gdy Willi Mohr dźwignął się i oparł na łokciach, Tornilla postawił dzbanek na chwiejnej ławce i wrócił na swoją stronę stołu.

- Proszę usiąść - powiedział.

Willi Mohr posłuchał. Usadowił się na ławce, podniósł dzbanek do ust. Pił długo, długimi gulgocącymi łykami.

Sierżant Tornilla przyglądał się, siedząc w takiej samej jak poprzednio pozycji.

- No? Od kogo dostał pan te pieniądze? - spytał po chwili.

Willi Mohr czuł się teraz znacznie pewniej, mimo że przed chwilą musiał upaść, mimo że wciąż jeszcze czuł próżnię w głowie. Telefon wprawdzie milczał, coś nieoczekiwanego zdarzyło się jednak, i to nie on przerwał milczenie. Zerknął na zegarek, który wskazywał kwadrans po drugiej. A więc to poprzednie milczenie liczyło sobie już ponad dwie godziny. To nowe trwało zaledwie minutę.

- Od Ramona Alemany.

- Dał więc panu jakieś dwadzieścia tysięcy pesetów? Niewątpliwie dość znaczna suma.

- Nie, ja je ukradłem.

Tamtego ta odpowiedź jakby wcale nie zaskoczyła i nie zdziwiła. Natychmiast zadał pytanie:

- Nie wydaje się panu dziwne, że aż tyle pieniędzy można... ukraść ubogiemu rybakowi, jakim był Ramón Alemany?

- Owszem - powiedział Willi Mohr.

Sierżant Tornilla uśmiechnął się życzliwie i sięgnął do kieszeni.

- Prosił pan o ogień, proszę bardzo - powiedział.

Willi Mohr zapalił jednego ze swych żółtawych tanich papierosów.

- Moja niemczyzna nie jest tak dobra, żebym mógł poprawnie przetłumaczyć ten napis pod portretem, spróbuję jednak. Zobaczmy, to powinno brzmieć mniej więcej tak: Generał Franco, zwycięski Wódz, pod którego niezwyciężonym mieczem armia narodowa spowiła się chwałą, generał Franco, który na czele ruchu wyzwolenczego przed całym światem obronił i usprawiedliwił naszą kochaną Hiszpanię, i utwierdził jej święte imię w sposób budzący wszędzie falę zachwytu, uznania i podziwu. Wódz Hiszpanii z mocy łaski Boga. Mniej więcej tak.

- Dziękuję.

- Niestety nie potrafię dostarczyć panu tłumaczenia, które oddałoby pełną sprawiedliwość słowom. Znaczna część

piękności przepada. Wasz język jest pełen siły, ale brak mu poetyczności. Mam nadzieję, że udało mi się wyjaśnić treść. Te słowa były prawdziwe, gdy je pisano, i w dużej mierze wciąż są takie. Tu i dla nas. Ale pan nie dość długo tu przebywa, żeby móc to pojąć.

Willi Mohr przyglądał się sierżantowi z tępym zdumieniem.

- Nie można brać dosłownie każdego słowa, tak samo jak niektórych urywków Biblii — powiedział sierżant Tornilla.

Willi Mohr poczuł, że szczęki mu drgnęły. Po raz pierwszy od wielu lat był bliski wybuchnięcia śmiechem.

Tornilla, patrząc na niego badawczo, z somnambuliczną pewnością siebie sięgnął po któryś ze swych papierów.

- W pana personaliach brak pewnego szczegółu - powiedział.

- Czyżby?

- Nie zostało podane wyznanie.

- Nie.

- Zakładam, że nie jest pan katolikiem?

- Słusznie.

- A więc protestantem?

- Nie.

- Do jakiej społeczności wyznaniowej pan należy?

- Do żadnej.

- Co pan przez to rozumie⁹

- Dokładnie to, co powiedziałem. Przez przypadek zostałem ochrzczony w Kościele luterańskim, ale wystąpiłem z niego przed siedmiu laty. Mam nawet zaświadczenie.

- Czyli wtedy, kiedy mieszkał pan w Niemczech Wschodnich. Pod przymusem.

- Wcale nie. O ile zauważyłem, wolno tam było czcić, co się komu podobało, Buddę, Boga, pioruny czy cokolwiek innego. Miałem w pracy kolegę, który nosił w klapie oznakę przynależności do partii komunistycznej i jakiś katolicki emblemat.

- Nawet niezły katolik może być komunistą.

- Nie, to wydaje się nieprawdopodobne, w każdym razie nie może być dobrym komunistą.

F - W komunizmie nie ma nic dobrego, nie ma więc i dobrych komunistów.

- Ach, tak.

- A pan? Wierzy pan w Boga?

- Nie wiem.

- Co to znaczy, że pan nie wie?

- W dalszym ciągu dokładnie to, co powiedziałem. Zagadnienie mnie nie interesuje. O ile jestem w stanie zrozumieć, nie ma znaczenia, czy jest tysiąc, czy jeden Bóg, czy też nie ma go wcale. W każdym razie nie ma to znaczenia za życia.

- A gdyby pan nagle umarł?

- Mam nadzieję, że umrę nagle.

- Bez przygotowania i bez możliwości godziwego pochówku?

- Mój ojciec umarł przed siedmiu laty, niestety, niezbyt nagle. Pogrzebem zajął się jego przyjaciel i dobry znajomy. Pewien konduktor kolejowy. Nie sądzę, żeby jakiś ksiądz mógł to lepiej zrobić.

Sierżant Tornilla poczęstował go papierosem, podał ogień.

- Jest pan bardzo nieszczęśliwy?

- Nie.

Willi Mohr rzucił okiem na portret i wzruszył ramionami.

- W każdym razie nie z tego powodu - powiedział.

- A więc z Gotenhafen pojechał pan do Flensburga?

Tornilla zmienił temat bez żadnego przejścia i potrwało z pół minuty, nim Willi Mohr zdołał odpowiedzieć:

- Tak, przez Kilonię.

- Jak długo pan tam przebywał?

- Do końca wojny.

- Dalej się pan tam szkolił?

- Tak, w szkole torpedowej. Nawet tego dnia, kiedy Anglicy weszli, rano mieliśmy jeszcze lekcję.

- Podziwu godne.

- Tak pan sądzi?

- A później?

- Ruszyłem do domu.

- Do Turyngii?
- Tak, Amerykanie się stamtąd wtedy wycofali. Zajmując za to kawałek Berlina.
- Jak się pan dostał do domu?
- Do jakiejś miejscowości na południe od Hanoweru pociągami towarowym. Jechał bardzo wolno, staliśmy stłoczeni w odkrytych wagonach. Ostatni kawałek przeszedłem piechotą.
- Czy pana miasto rodzinne było bardzo zmienione?
- Nie. Rosjanie postawili wielkie drewniane rusztowanie na rynku. Kiedy je zobaczyłem, myślałem, że to jakieś urządzenie, na którym będą zabijać ludność, ale to był gong, posługiwali się nim do zwoływania żołnierzy na jedzenie.
- A pana dom? Został zniszczony?
- Nie, był zupełnie nietknięty, miasto nie leżało na linii frontu i prawie nie było bombardowane.
- Pana rodzice żyli?
- Tak, ale ojciec chorował i już nie wrócił do zdrowia.
- Czy było wam bardzo ciężko?
- Pierwszej zimy brakowało jedzenia, potem się poprawiło.
- Został pan członkiem partii komunistycznej?
- Nie, mówiłem już, że polityka mnie nie interesowała.
- Tak, już to pan wcześniej stwierdził. Udało się panu znaleźć pracę?
- Tak. W firmie dekoratorskiej w Jenie. Malowałem szyldy i transparenty.
- Jak długo pan tam pracował?
- Pięć lat.
- Dlaczego pan przestał pracować?
- Pokłóciłem się z właścicielem.
- Dlaczego?
- Twierdził, że sabotuję jego działalność i wypowiadałem się wrogo o państwie. Złożył nawet na mnie doniesienie do policji.
- Był komunistą?
- Przeciwnie, i bał się, że ktoś to odkryje.
- W jaki sposób się poróżniliście?
- Zupełnie śmieszna sprawa. Ten człowiek był idiotą i w

dotadku tchórzem. Prezydent, nazywał się Pieck, miał wygłosić w Jenie mowę, dostaliśmy zamówienie na wielki transparent z jego portretem. Wykonałem to w zwykły sposób, wieloczęściową litografię nakleiłem na karton, ponieważ podobizna nie pokryła całej powierzchni, pociągnąłem kilka razy pędzlem od portretu w kierunku brzegów. Sądziłem, że to będzie wyglądać jak aureola czy promienie słońca, czy coś w tym rodzaju, że to dobrze wypadnie. Posługiwałem się okrągłym pędzlem, na końcu każdego pociągnięcia zostawało półokrągłe zakończenie. Wmówił sobie, że to wygląda jak lufy armatnie wystrzelające z głowy prezydenta i że wszystkich nas za to zesłał na Syberię. Miał kręcika na punkcie Syberii. Dlatego pobiegł do policji z doniesieniem na mnie.

- Co policja zrobiła?

- Wyśmiała go.

- A co pan zrobił?

- Postanowiłem wyjechać stamtąd.

- Dlaczego?

- Nie chciałem mieszkać w kraju, w którym słusznie czy niesłusznie ludzie ulegali tak zwierzęcemu strachowi, że narażali się na ogólne pośmiewisko. Zresztą zbyt dobrze tam nie było, przypuszczałem, że w angielskiej strefie łatwiej mi będzie zarobić.

- I tak było?

- Owszem, kiedy już dostałem pracę. Tam pieniądze miały większą wartość. Poza tym wszystko wydawało się jeszcze bardziej bezsensowne.

- Gdzie pan pracował?

- W wędrownym balecie na lodzie, coś w rodzaju cyrku występującego przez cały rok. W Niemczech, we Francji, w Luksemburgu.

- Co pan tam robił?

- Prowadziłem ciężarówkę, pomagałem przy ustawianiu i rozbieraniu areny, namiotów, trybun. Nic trudnego, tylko ciężka praca fizyczna.

- Zarabiał pan dużo?

- Nie tak wiele, ale nie miałem prawie żadnych wydatków,

mogłem zaoszczędzić prawie całą płacę.

- Oszczędzał pan w jakimś celu?
- Żeby tu przyjechać i malować.
- Marzył pan o zostaniu artystą?
- Nie.
- Przecież chciał pan malować?
- Nie, niczego nie chciałem.
- A teraz zajmuje się pan malowaniem?
- Nie.
- Więc po co pan tu siedzi?

Willi Mohr podniósł głowę i napotkał po tamtej stronie stołu nieruchome życzliwe spojrzenie.

- Teraz już nie wiem - powiedział.
- Trzeba mieć wiarę, trzeba czegoś chcieć - powiedział sierżant Tornilla, lekko potrząsając głową.
- Możliwe - przyznał Willi Mohr.

Przez chwilę siedział milcząc i z roztargnieniem patrząc na Tornillę. Przestał go traktować jak dręczyciela, wcale już nie pragnął, by przesłuchanie się skończyło. Przeciwnie, zaczął doznawać osobliwego uczucia wspólnoty z tym pokojem i tym przerażającym, uśmiechniętym człowiekiem, który nigdy się nie pocił i nie dał się wytrącić z równowagi. Był bardzo zmęczony i chaotycznie myślał o wszystkim naraz. Nagle znowu zaczął mówić.

- To żalosne wierzyć, chcieć, ale czasami można zazdrościć tym, którzy to robią. Tam w Jenie poznałem dziewczynę, która była w partii. Była redaktorką w gazecie pisującej o traktorach, zamawiała u nas plakaty, rozmawiałem z nią. Dostyc często się spotykaliśmy. Była entuzjastką, wciąż mówiła o wszystkim, na wszystko miała poglądy. To było śmieszne.

- Ona także była pana... narzeczoną?

- Nie, ona w takich sprawach była nieśmiała, peszyła się okropnie, kiedy się jej dotknęło, i z podwójną szybkością mówiła, o czym się tylko dało, najczęściej o kolektywizacji i wzroście produkcji. Nigdy nic nie wyszło. Raz mało już brakowało, ale prócz sukienki nic z siebie nie zdjęła. Potem

spociała się, cała była mokra i wyglądała, jakby chciała uciec i gdzieś się ukryć. To mnie ścięło, potem się z niej wyśmiewałem, a ona płakała. Ale naprawdę była pełna entuzjazmu. Pamiętam, miała gazety z Niemiec Zachodnich, oglądała ogłoszenia o strojach, nylonach i różnych takich, mówiła, że bardzo by chciała mieć to wszystko. Wtedy już postanowiłem, że drapnę, więc powiedziałem, że jest prosty sposób sprawienia sobie wszystkich bluzek i pończoch, jakie zechce. Wystarczy pojechać do Berlina i przejść przez granicę. Ale ona powiedziała, że my coś znacznie ważniejszego już mamy, a wszystko inne też będziemy mieli. Z latami, ona ma czas, może poczekać. Właściwie dlaczego mówi pan po niemiecku?

- Dlatego, że pan jest zmęczony - powiedział sierżant Tornilla.

Willi Mohr chwilę siedział milcząc, potem powiedział jakby sam do siebie:

- W ostatnich dniach zastanawiałem się, czy nie powinienem tam wrócić i odszukać ją. Ale i na to też jest oczywiście za późno. Spotkała pewnie kogoś, kto nie jest takim niedołągą jak ja. Można będzie pewnie znaleźć kogoś podobnego, chociaż większość dziewczyn jest zupełnie inna. Jeżeli się kiedyś stąd wydostanę.

- Właśnie, jeżeli się pan stąd wydostanie - powiedział sierżant Tornilla.

Poważnie pokiwał głową i ostatecznie znowu poczęstował go papierosem.

- Pan rzeczywiście zbłądził - powiedział.

Zapaliwszy papierosa, chwilę siedział z zapalniczką w ręce i patrzył na migotliwy błękitny płomyk. Potem zdmuchnął go i jakby mimochodem dodał:

- Są pewne rzeczy, o których mi pan nie opowiedział. Proponuję, żeby pan to teraz zrobił.

Willi Mohr opornie potrząsnął głową.

- Nie - powiedział.

Tornilla uśmiechnął się ubolewająco i otworzył jedną ze swych teczek.

- Czasami ten, kto błądzi, bywa bez winy - powiedział. - A jednak powoduje niepowetowane szkody i ich następstwa jego przede wszystkim dotyczą. Prawdziwym złoczyńcą jest ten, kto innych wprowadza w błąd i prowokuje ludzi do popełniania czynów, sprzecznych z ich rozsądkiem, ich instynktem samozachowawczym i ich wolną wolą. Dam panu kilka konkretnych przykładów tego, co mam na myśli. Zeszłoroczne zamieszki w kopalni cynku w Santa Margarita są panu znane, ale chyba niewiele pan wie o ich praktycznych konsekwencjach.

Wyjął gruby plik i niedbale przekartkował raport.

- Powinien tu być wykaz - powiedział - tak, mamy go. Dziesięciu ludzi zostało zamordowanych, trzech inżynierów tłum zmasakrował, jeden gwardzista, jeden człowiek z Policia Armada i pięciu żołnierzy zginęło podczas przywracania porządku. Gwardzista i trzech żołnierze pochodzili stąd, z miasta. Gwardzista osierocił żonę i troje dzieci, żołnierze byli młodymi rekrutami, ich rodzice żyją, a jeden z nich był jedynym synem w rodzinie. Wartość strat: milion pesetów. Może mi pan powiedzieć, jaki to miało sens?

Zrobił krótką pauzę i z powagą obserwował siedzącego na ławce.

- Oczywiście żadnego. Kto ponosi winę? Chyba ten, kto sprowokował zbrodnię i włożył broń w ręce prostych, nieświadomych istot, które nie wiedzą, jak ani w jakim momencie broń powinna być użyta. Wspomniałem przedtem, że zdarzają się u nas jeszcze wyjątki tu i ówdzie, są nieliczne, lecz trzeba je eliminować. Prócz tego są zagraniczni prowokatorzy, którzy nadużywają naszej gościnności. To oni ponoszą winę.

Willi Mohr zgniótł niedopałek w popielniczce i usiłował skoncentrować się na tym, co tamten mówi. Nigdy przedtem nie słyszał o zamieszkach w Santa Margarita, ale był świadom, że wreszcie trzyma koniec nitki, gdzieś prowadzącej. Dokąd, nie wiedział.

- Cóż, to się wydarzyło, nim ja tu przybyłem - powiedział sierżant Tornilla — ale ponieważ pan wtedy już tu mieszkał, myślałem, że ta sprawa może pana zainteresować. Zdarzyło

się to w nocy na trzeciego grudnia, wtedy, kiedy pan zabawiał się kąpaniem nago razem z tą Norweżką, o ile się nie myłę.

Włożył zszywkę raportu do teczki.

- Jak wielu tych... tych zbłąkanych przypląciło życiem - powiedział Willi Mohr.

Nie chciał jeszcze całkowicie porzucić tematu.

- O, pewna część, nie pamiętam liczby. I oni naturalnie zupełnie niepotrzebnie umarli. Wszystko razem było zupełnie bezsensowne. Nikt nie miał najmniejszego pożytku czy radości z tej sprawy, nawet komuniści, którzy to w ruch puścili. Kilkuset robotników przez kilka godzin strajkuje. Po tem koniec strajku.

- A gdyby wystarczająco wielka ilość zrobiła to jednocześnie w wystarczająco wielu miejscowościach?

- Więcej strajków nie będzie - oświadczył sierżant Tornilla - w każdym razie nie w tym dystrykcie. Wie pan chyba, że strajki są niezgodne z prawem?

- Tak

- Są niezgodne z prawem, dlatego że są pozbawione sensu. dlatego że mogą tylko szkodę wyrządzić. Są po prostu wyrazem niewiedzy. Dawniej, w mrocznych latach przed 1936, ciągle zdarzały się strajki. Kraj ubożał, nie można było utrzymać porządku, wszędzie chaos, bałagan, wszystko zatrute zagranicznymi kłamstwami i zbrodniczymi ideałami.

Odłożył teczkę i dodał:

- Tu już nigdy więcej się to nie powtórzy.

Po raz pierwszy od wielu godzin jakieś rozproszone odgłosy z zewnątrz przeniknęły zza ciemnobrunatnych masywnych drzwi. Stukot podkutych butów i kolb karabinowych. Podkute buty i kolby karabinów stukwały o cementową podłogę sieni, słyhać było nawet jakieś okrzyki, krótkie, urywane i ostre jak rozkazy. Prawdopodobnie odbywało się coś w rodzaju zbiórki.

Tu, w pokoju przesłuchań, także przybył jakiś nowy dźwięk, rytmiczny i zgrzytliwy.

Człowiek siedzący za biurkiem nakręcał zegarek. Miał go na przegubie lewej ręki, na szerokiej złotej bransoletce, półukrytej pod mankietem. Willi nigdy nie zauważył, by

lerżant spoglądał na zegarek.

Zmiana warty - powiedział Tornilla. - To znaczy, że sješta się skończyła. Nam nie dane było wyspać się dzisiejszego dnia, prawda? No cóż, odbijemy to sobie innym razem.

Zsunął mankiet na właściwe miejsce, nie kontrolując czasu. Zegarek był duży, solidny, miał dodatkowe guziczki do stopowania i chronometrycznego pomiaru. Chwilę przysłuchiwał się tupotowi oddalającej się straży, potem powiedział niedbale:

- W ciągu tyłu tygodni na jachcie powinien pan być dość dobrze poznać Ramona Alemany. Lubił go pan?

- Nie.

- Jakie miał usposobienie?

- Dość prymitywne.

- Opinia zgadzająca się z tym, co słyszałem. Nie miałem przyjemności zetknąć się z nim osobiście.

- Ach tak.

- Zresztą, niewielka strata. Czy był fizycznie silny?

- Względnie.

- No cóż, mój informator mógł przesadzić. Jego brat jest jakoby zupełnie inny, czy to prawda?

- Tak.

- Zgadza się, mówiono mi o tym. Z nim też się nigdy nie zetknąłem.

To nie było pytanie i Willi Mohr nie musiał odpowiadać, dzięki czemu odczuł taką wdzięczność, jak gdyby został obdarowany wytęsknionym a nieoczekiwanym przywilejem.

Willi Mohr, tępo wpatrując się w człowieka ubranego w mundur, wolno formułował pytanie, które z niewiadomego powodu chciał mu postawić:

- Pan zabijał ludzi, prawda?

Sierżant Tornilla uśmiechnął się ubolewająco i rozłożył ręce.

- Tego nie można było uniknąć będąc dziesięć lat żołnierzem - powiedział. — A i potem się zdarzało. Służba nie zawsze bywała tak przyjemna jak teraz.

- I jakie samopoczucie?

- Dziękuję, znakomite. Nie jestem zbyt zmęczony, roz-

mowa mnie ożywiła.

- Pytałem, jakie samopoczucie wywołuje zabijanie i świadomość, że trzeba będzie to znowu robić.

- Jeśli o mnie chodzi, zdarzało się to tylko na wojnie i w sytuacjach równających się wojnie. Przede wszystkim takich sytuacji się nie analizuje, a poza tym problem jest przeważnie natury technicznej.

- Dziękuję. Czy ma pan coś przeciw temu, że pytam?

- Wcale nie.

- Że ja... można powiedzieć... przejąłem przesłuchanie?

- Jakie przesłuchanie?

Tornilla wydawał się szczerze zdziwiony, co zdarzało się po raz pierwszy w czasie ich spotkań. Rozejrzał się po stole, jakby czegoś szukał wśród papierów.

- A rzeczywiście - powiedział - ten człowiek w sprawie drewna, Amadeo Prunera. Chyba pan nie zapomniał?

- Nie-powiedział Willi Mohr.

Sierżant Tornilla wstał, obszedł stół dokoła.

- To była bardzo przyjemna i pożyteczna rozmowa - oświadczył. - Mam nadzieję, że zbytnio pana nie wymęczyłem.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę, by pomóc dźwignąć się Willemu.

- Spodziewam się też, że wybaczy mi pan ciekawość i natrętność, jeśli raz jeszcze wspomnę o tych szczegółach, o których nie chciał mi pan opowiedzieć. Gdyby pan w najbliższym czasie zmienił zdanie, proszę przyjść. Tak, w każdym wypadku będzie pan oczywiście mile widziany, o tym nie muszę chyba zapewniać?

Podprowadziwszy Willego Mohra do drzwi, zatrzymał się z ręką na klamce i powiedział:

- W przeciwnym razie możemy się już więcej nie zobaczyć. Przykro mi, że nie miałem sposobności obejrzenia pana malowideł.

Otworzył drzwi i podał Willemu rękę. Jego dłoń była sucha, a uścisk mocny i serdeczny.

Z cienia sieni Willi Mohr wyszedł w ciężki zatęchły popo-

łudniowy upał.

Dopiero w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od bramy zauważył, że kapelusz trzyma w ręce, przystanął, by go włożyć. Wcisnąwszy go mocno na głowę, odwrócił się i spojrzał na posterunek, który w białym kurzu podobny był do wydłużonego szarożółtego bloku skalnego.

Czarne i czerwone linie wibrowały mu przed oczyma, a jednak wyraźnie widział sierżanta Tornillę.

W eleganckim zielonym mundurze stał pod flagą na szeroko rozstawionych nogach. W kąciku ust miał papieros, wycierał prawą dłoń czystą chusteczką.

- Następnym razem złamie mnie — powiedział Willi Mohr sam do siebie.

Wszedł między jedwabście szare drzewa oliwne i pomyślał: Pewnie niedługo.

Rozdział szósty

1

W nocy z trzynastego na czternastego grudnia zaczęło padać. Najpierw wielkimi rzadkimi kroplami, potem gęstymi strużkami, a o świcie ulewa tworzyła zwartą ścianę za oknami. Ludzie w mieście otoczonym górami, zbudziwszy się, błogosławili deszcz.

Padał równo, beznadziejnie, ogłuszająco w swej szarej monotonii, i po początkowym ochłodzeniu nastąpiło surowe zimno, wżerające się w kamienne ściany, wciskające się do wnętrza domów. I nie było na to żadnej rady, gdyż deszcz właczał dym w kominy, dusił żar na otwartych paleniskach.

Z początku wyschła ziemia chciwie wchłaniała wilgoć, stopniowo jednak nasyciła się.

Trzeciej doby zawaliły się cztery domy, gdyż grunt pod nimi rozmiękł i ściany pękały.

W jednym wypadku stało się to nieoczekiwanie, w środku nocy i kilka osób zostało zdruzgotanych przez gruz, rozłupane belki i ostre szarawe kamienie. Po tym nieszczęściu wielu usiłowało podeprzeć domy deskami i palikami, ale trudno było o budulec i w miejscach bardziej narażonych ludzie nie odważali się spać pod dachem, nocowali w małych prowizorycznych chatynkach, skleconych z worków i falistej blachy.

Teraz już piąty dzień padało.

Dom przy Barrio Son Jofre stał na skale i nie wykazywał większych niż zwykle skłonności do rozpadnięcia się, ale bielone wapnem ściany pokoju na dole miały już szare plamy pleśni, a wszystkie przedmioty powleczone były wilgotną mgiełką.

Willi Mohr siedział na wiodących na górę schodkach i przyglądał się kotu, przycupniętemu przed progiem. Kot wtulał głowę między łopatki, a ogon miał wyprostowany, sztywny, gruby i nastroszony. Kot chciał wyjść, ale nawet powód tak

niezwykle ożywiający jak żądza nie był w stanie skłonić go do wyskoczenia na płuchę bez wahania. Od czasu do czasu miauczał ochryple i natrętnie i z wyrzutem spoglądał na siedzącego na schodach człowieka.

Willi Mohr uśmiechnął się do siebie i potrząsnął głową.

Dziesięć minut wcześniej on zachowywał się podobnie, i to z powodu bardziej jeszcze osobliwego. Pistolet pod materacem irytował go przez sen, a gdy go prznosił do plecaka, odkrył dwie brunatne plamy korozji na magazynku. A więc rdza powinna już przedostać się i do idealnie suchej lufy i myśl o tym, że odrobina wilgoci jest w stanie przeżreć lustrzanolśniący korytarz strachu, napełniła go wesołością, która wkrótce potem wydała się zarówno niewłaściwa, jak niepojęta.

Bronił się argumentem, że przecież posłuży się pistoletem tylko raz, i to wkrótce, a na tak niedaleką metę odrobina rdzy w wylocie nie odbije się na sprawnym działaniu broni.

Otarł się przy tym o myśl, że już niedługo pozbawi życia Santiaga Alemany. Przyszło mu to na myśl pierwszy raz od chwili, kiedy rozstał się z sierżantem Tomillą, stojącym przed posterunkiem pod obwisłą czerwono-żółtą flagą. W ostatnich dniach był zajęty tym, co się już zdarzyło, nie miał czasu zastanawiać się nad tym, co przypuszczalnie zdarzy się niebawem.

Kot wreszcie powziął postanowienie. Skurczył się i dał susa przez drzwi; zniknął w szarych strugach deszczu.

Willi Mohr drżał. Spodnie miał zmięte, a koszulę tak mokrą, że kleiła się do pleców, tęsknił do przebrania się w coś suchego, czystego, ale wiedział, że to byłby luksus, na jaki go nie stać. Zdjął natomiast koszulę i usiłował ją wyżąć, ale wyciekło tylko kilka drobnych kropel, po których ślad nawet nie został, gdy spadły na pociemniałe od wilgoci cegły schodów. Rozwiesił koszulę na drążku w próżnej nadziei, że choć trochę przeschnie. Potem wstał i znalazł w plecaku ręcznik. Jeśli nawet nie był suchy, to w każdym razie czysty, poszedł do kuchni, zdjął sandały, spodnie, kalessony. Stojąc nago na kamieniach, nacierał się systematycznie grubym ręcznikiem, zaczynając od nóg, przez biodra, brzuch, piersi, plecy. Gdy

poczuł ciepło w ciele, z grymasem niechęci wciągnął na siebie mokre ubranie, zarzucił na ramiona cienki płaszcz przeciwdeszczowy i wyszedł na ulewę.

Suka wiernie człapała przy jego boku, po kilku minutach jej czarne kudły zrobiły się płaskie i lśniące jak grzbiet foki.

- Dlaczego nie zostaniesz w domu? - powiedział Willi Mohr, trącając ją nogą.

W chwilę później pomyślał: A co ja sam robię poza domem o tej porze?

Mogło być najwyżej wpół do jedenastej, nigdy nie miał zwyczaju chodzić do miasta tak wcześnie. Lecz odgradzony przez deszcz czuł się samotniejszy niż kiedykolwiek przedtem i udęczone mrowiącym niepokojem, któremu przeciwstawić mógł się tylko fizycznie przez poruszanie się.

Willi Mohr chciał zobaczyć ludzi, słyszeć, jak rozmawiają. Po prostu tęsknił do jakiegoś towarzystwa.

Odczuwał to już od dnia poprzedzającego deszcz i był w pełni świadomy, że ta zmiana wystąpiła po osiemnastu godzinach spędzonych z Tomillą na posterunku.

Lecz nie zamierzał się do tego przyznać nawet przed sobą samym.

Na środku skrzyżowania stało czterech gwardzistów, a na Avenida Generalísimo Franco spotkał jeszcze dwóch. W spiczastych kapturach i w sięgających do pięt ciemnozielonych impregnowanych płaszczach robili dziwacznie obce wrażenie, wtapiali się jednak w otoczenie w sposób, który sprawiał, że naturalne wydawało się, iż to oni właśnie zaludniają ten deszczowy świat, nikt inny. Choć pozornie nie zwrócili na niego uwagi, a on nie mógł dojrzeć ich twarzy, był pewien, że nie zapomną o nim w swych raportach.

Mokre spodnie obijały się o nogi, gdy szedł na przelaj przez rynek, a kapelusz przemókł na wylot. Czuł, że woda wlewa mu się za kołnierz i cieniutkimi strumykami spływa po szyi i ramionach.

Przed Café Central stał szary jeep z zaciągniętym dachem z żaglowego płótna, a obok niego stał czarny renault takiego typu, jaki właśnie zaczęto produkować na licencji w

Valladolid. Były to samochody niezbyt dobre, natomiast niezwykle drogie, większa część pierwszej serii została zarezerwowana dla władz. Ta kategoria osób prywatnych, która miała dość pieniędzy, by utrzymywać samochód dla przyjemności, z reguły miała też możliwości nabywania w jakiś sposób zagranicznych wozów.

Samochód prywatny był pusty, lecz na przednich miejscach jeepa siedzieli dwaj żandarmi z Policia Armada. Palili papierosy i filozoficznie wpatrywali się w deszcz.

W lokalu kawiarni znajdowało się około tuzina osób.

W pobliżu drzwi siedzieli dwaj członkowie gwardii cywilnej i wypełniali blankiety totalizatora sportowego.

Zdjęli przeciwdeszczowe okrycia, a karabiny oparli o ścianę za stolikiem. Na marmurowym blacie leżał postrzępiony dodatek sportowy „Vanguardii”, od czasu do czasu pochylali się nad gazetą i marszcząc brwi sprawdzali tabele.

Jacyś dwaj nieznajomi pili kawę przy barze. Jeden był mały, chudy i łysy, drugi trochę wyższy i dużo młodszy, piękny jak obrazek, z przedzielonymi na boku czarnymi włosami, z dołkiem w brodzie i łagodnymi brązowymi oczami.

Najprawdopodobniej byli obcy w tym mieście, ale powierzchowność ich była tak pospolita, że mogli być kimkolwiek, od domokrażców i handlarzy skupujących ryby do wędrownych sztukmistrzów. Ich względnie przyzwoite ubranie, koszule z usztywnionymi mankietami i przypinanymi kołnierzykami i zmięte garnitury z jakiegoś granatowo-fioletowego materiału w prążki świadczyły o tym, że przybyli co najmniej z Santa Margarita, a najprawdopodobniej z głównego miasta prowincji. Łysy przewiesił swój czarny plastikowy płaszcz przez poręcz, otaczającą ladę, drugi miał na sobie płaszcz w szare cętki, cienki, wyraźnie w lichym gatunku, i przemakający przy takiej ulewie. Willi Mohr wyciągnął wniosek, że to są posiadacze czarnego samochodu osobowego, stojącego na rynku.

Pozostali goście byli robotnikami drogowymi. Siedzieli w kucki na środku podłogi wokół wielkiej kwadratowej blachy napełnionej żarzącymi się kawałkami węgla drzewnego. Twarze mieli poważne i zamknięte, żaden się nie odzywał.

Powiesiwszy kapelusz i płaszcz Willi Mohr podszedł do lady. Zamówił koniak i kawę z mlekiem, gospodarz wzruszył ramionami i zaczął przygotowywać to osobliwe zamówienie. Właściciel kawiarni był gospodarzem Willego i posiadaczem skrzypiącego łóżka z filarkami, które wciąż stało na pięterku domu przy Barrio Son Jofre. Prócz tego w ciągu minionego półrocza wielokroć ratował swego lokatora w trudnych sytuacjach. Robił to zawsze w zamian na jakiś zastaw czy inną gwarancję, ale Willi Mohr przypuszczał, że ten człowiek i bez gwarancji okazałby mu taką samą życzliwość. Wiedział, że robotnicy, zatrudnieni z funduszu walki z bezrobociem, przychodzili tu, bo było to jedyne miejsce, gdzie mogli się chwilę pogrzać nic nie pijąc, i dlatego że wypożyczenie talii kart kosztowało tu tylko dwa reale. W Cafe Central zawsze było dużo ludzi, ale przypuszczalnie bar nie był dochodowym interesem, bo robotnicy z funduszu wszyscy razem wzięci przez rok nie wydawali tyle, ile Skandynawowie w jeden wieczór u Jacinta w porcie.

Właściciel kawiarni nigdy nie był natrętny i w ogóle nie należał do zbyt rozmownych, co może w pewnej mierze wynikało z tego, że był Katalończykiem, pochodził z jakiejś miejscowości położonej w najbardziej północnej części prowincji Gerona. W ostatnim okresie Willi zaczął odczuwać sympatię do tego człowieka za sposób, w jaki traktował nieuniknione litografie caudilla i Joségo Antonia Primo de Rivery. Wciśnięte były między afisze filmów i walk byków i tak nieprawdopodobnie brudne, że z trudem można było rozpoznać, kogo właściwie przedstawiają.

Dziś gospodarz wcale się nie odzywał. Nie patrząc postawił kawę i koniak i wrócił do wycierania kieliszków.

Willi Mohr pił mleko szybko, długimi łykami, by nacieszyć się ciepłem, nim napój wystygnie. Jeep wystartował i z hukiem przejechał przez rynek. Warkot silnika natychmiast zatonął w monotonnym szumie deszczu.

Jeszcze jeden robotnik drogowy wynurzył się zza żaluzji.

Był przemoczony i oberwany, natychmiast, w zupełnym milczeniu, zrobiono mu miejsce przy blasze z węgielkami.

Dwaj mężczyźni przy barze rozmawiali przyciszonymi głosami. Z tego, co Willi Mohr zdołał uchwycić, rozmowa dotyczyła pytania, kiedy i gdzie mają zjeść obiad. Łysy, który do kawy popijał jakiś bezbarwny alkohol, odsunął opróżniony kieliszek.

- Jeszcze raz to samo — powiedział.
- Gospodarz nic nie mówiąc zdjął z półki butelkę i nalał.
- Znakomity gatunek - powiedział łysy.
- Całkiem zwyczajny - odpowiedział gospodarz.
- Papierosy też pan ma?
- Ideale.
- I żadnych innych?
- Żadnych.
- W takim razie nie. Proszę mi dać cygaro.
- Nie mam cygar.

Willi Mohr, szącąc koniak, niezbyt uważnie słuchał tej wymiany zdań. Najzupełniej codziennej, a jednak przypominającej mu sierżanta Tornillę i pokój z czterema meblami i zieloną lampą pod sufitem.

- Powinien pan tego spróbować - zwrócił się do niego łysy, wskazując swój kieliszek. - Tego właśnie trzeba przy takiej pogodzie. Wieśniacy piją to zwykle rankiem, przed wyjściem w pole.

Willi Mohr wyszedł z domu, żeby być w towarzystwie, usłyszeć głosy ludzkie. A gdy ktoś wreszcie do niego przemówił, nie podobało mu się to.

- Cazalla - powiedział tamten - prawdziwie hiszpański napój, bardzo dobry.

- Nie na wątrobę — wtrącił ten w ulsterze, piękny jak obrazek, i pociągnął łyk swego espresso.

- Ze wszystkiego trzeba korzystać z umiarkowaniem - filozoficznie odparł łysy.

Potem podniósł kieliszek w kierunku Willego i śmiejąc się powiedział:

- Zdrowia, pieniędzy i dobrej potencji.
- Na zdrowie-powiedział Willi Mohr.
- Pan musi być cudzoziemcem, to widać po zabarwieniu

skóry. Anglik?

- Nie, Niemiec.

- Tu pan mieszka?

- Tak.

Spojrzenie gospodarza, stojącego po drugiej stronie lady, spoczęło na Willim. Na krótką chwilę tylko, bez słowa, bez żadnego gestu.

- To niebywale nudne miasto - powiedział łysy. - Bogu dziękować, że jest się tu tylko w przejeździe.

Zdawało się, że rezygnuje z dalszej rozmowy; patrząc wprost przed siebie, wysuszył kieliszek do dna.

Wścibskość i oczywista gadatliwość tego człowieka zirytowały Willego. Pewnie jakiś domokrażca albo co najwyżej ostatniej kategorii urzędniczyna z administracji.

Łysy najwidoczniej nie był w stanie milczeć.

- Co za chłód - powiedział, rozprostowując palce, aż w stawach zatrzeszczało. - Trzeba by się trochę pogrzać.

Podszedł do blachy z żarem, ale nie mógł się precyzyjnie, 1) otaczający ją krąg był zwarty i nikt się nie ruszył.

- Czy to źródło ciepła jest zarezerwowane dla honorowych gości? - złośliwie zauważył ten piękny jak obrazek.

- Ścieśnijcie się, żeby pan mógł się przysunąć — powiedział gospodarz.

Robotnicy zrobili miejsce.

- Dziękuję wam, chłopcy - dobrodusznie powiedział łysy i w półprzysiadzie wyciągnął ręce nad rozsiewającymi cieleńko węgielkami.

Nikt nie odpowiedział.

Ten wysoki w ulsterze, pochyliwszy się nad ladą, zadał pytanie:

- Ci ludzie są bezrobotni?

- Deszcz rozmył miejsce ich pracy - powiedział gospodarz. - Tracą dniówki.

Po chwili łysy wrócił, zapłacił i wziął swój płaszcz.

- Pięknie - powiedział, do nikogo się specjalnie nie zwracając. — Do zobaczenia, przyjaciele.

Obcy przybysze poszli do wyjścia, nie opuścili jednak lokalu,

zatrzymali się tuż przy drzwiach. Widocznie raz jeszcze omawiali zagadnienie jedzenia.

Gospodarz, nie proszony, zdjął z półki butelkę i powtórnie nalał Willemu. Potem wytarł kieliszek i sobie też nalał.

- Ten pan ma rację — powiedział. - Cazalla dobrze robi na taką pogodę.

- Tylko jednym łykiem - dodał podnosząc kieliszek.

Mocna anyżówka zapiekła w gardle i jak ognista kula osunęła się na przeponę. Willi Mohr mimo woli otrząsnął się, to mokre ubranie wywołało lodowaty dreszcz. Dostające się z zewnątrz powietrze było ciężkie i przesycone wilgocią.

- Niech się pan pogrzeje - powiedział gospodarz.

Willi Mohr podszedł do piecyka, a otaczający go ludzie natychmiast ścieśnili się, robiąc mu miejsce. Willi Mohr przykucnął jak inni i wyciągnął dłonie do ciepła. Wszyscy byli milczący, apatyczni, pośępnie wpatrzeni w przygasający żar. Tylko siedzący na prawo od Willego poruszył się i lekko szturchnął go w bok. Był to mały, bezzębny człeczyna, o wąskiej twarzy i głęboko osadzonych oczach. Wyglądał jak inni, oberwany i wychudły, może tylko spojrzenie miał żywsze i ostrzejsze.

Tamci przy drzwiach chyba wreszcie ustalili porządek dnia. Żaluzje zachręściły za nimi, potem drzwiczki samochodu trzasnęły i włączony silnik zaterkotał. Za trzecią próbą zapalił i samochód ruszył.

- Poszły sobie te świnię - powiedział bezzębny.

Pozostali siedzieli nieruchomo. Tylko Willi Mohr podniósł głowę i pytająco spojrzął na tego, który złamał milczenie.

- Policia Secreta, tajna policja - powiedział tamten pogardliwie. - Ja zawsze i wszędzie rozpoznam te świnię, choćby się przebrali za księży albo za zakonnice.

- Może przede wszystkim wtedy — dodał i splunął na podłogę.

- Bądź ostrożny - powiedział jeden z siedzących naprzeciw.

Niemal niedostrzegalnym ruchem głowy wskazał gwardzistów, wciąż zajętych typowaniem.

- Ech, ich nie ma się co obawiać — powiedział bezzębny.

- To tutejsi, głuchną, kiedy nie są na służbie. A kim oni są? Niczym, tacy sami robotnicy i chłopci jak my, podjęli się tej zaszranego pracy, żeby żyć. Ale tamte niuchające świnie... Pomysłaby kto, słyszeliście... Papierosy też pan ma, e, tylko ideale, proszę cygaro w takim razie...

Rozejrzył się z podnieceniem i głośno zawołał do właściciela:

- Juan, a ty przecież masz papierosy, a jakby zajrzeli pod...

Urwał i nerwowo zagryzł wargi.

Właściciel kawiarni obrzucił go długim spojrzeniem i położył rękę na kranie beczuleczki z wermutem. Nalał do pełna dwie szklaneczki, ustawił na tacce i zaniósł do stolika przy drzwiach. Gwardziści nie oderwali się od sportowych kombinacji, ale jeden z nich natychmiast sięgnął po szklaneczkę i wypił.

Gospodarz wracając za ladę zatrzymał się koło Willego i uderzając tacką o nogę powiedział:

To prawda, szukają kontrabandy, kawy, zagranicznych papierosów.

Człowiek, siedzący na prawo od Willego i ssący dolną wargę bezzębnymi dziąsłami, powiedział popędliwie:

- Do diabła, szukają kogoś z nas albo jakiegoś innego biedaczyny. Już ja ich znam...

- Uspokój się - powiedział siedzący na lewo od Willego Mohra.

Był to czarnowłosy mężczyzna o żyłastych wielkich dłoniach, miał na sobie wyblakły i podarty kombinezon.

- Spokojnie, ostrożnie - odparował bezzębny ochryłym szeptem. - Nikt chyba nie przyjmuje tego tak spokojnie i ostrożnie jak my, i co otrzymujemy w zamian. Piętnaście pesetów dziennie albo nic, jeżeli jest niepogoda, albo urządzają te tam przekłete manewry. Żona i troje dzieciaków głodem mi przymiera, a ja mam być ostrożny. I zadowolony z tych trzech duros dziennie. Spotkałem takiego, co miał robotę w jakimś cholernym hotelu na wybrzeżu, gdzie nie ma studni. Wodę trzeba dowozić ciężarówkami. Formentor nazywa się ten hotel. Opowiadał mi, że ci, co mieszkali w hotelu, płacili cztery duros za szklanekę wody, a większość to wcale nie byli cudzoziemcy, większość to Hiszpanie...

słyszycie, Hiszpanie...

Umilkł i przygarbił się. Może dlatego, że pozostali zdawali się wcale go nie słuchać.

Siedzieli jak przedtem, milcząco i nieruchomo.

Prawdopodobnie wszystko to słyszeli już wielokrotnie i byli zadowoleni, bo rozmowa była jednak teraz tak przyciszona, że to, co zostało powiedziane, nie mogło dochodzić do stolika przy drzwiach. Kilku przysunęło się bliżej do ognia, który coraz bardziej przygasał.

Po chwili człowiek w kombinezonie zwrócił głowę do Willego i cicho powiedział:

- A pan ma dzieci?

Posługiwał się jakimś obcym dialektem, ale starał się mówić wyraźnie i zrozumiale.

Willi Mohr zaprzeczył ruchem głowy.

- Ja mam dwoje, chłopiec ma dziewięć lat, a córka pięć.

- Tutaj?

- Nie, daleko, w okolicy Bilbao. Ja jestem stamtąd. Kraj Basków to moja ojczyzna.

Umilkł na chwilę, potem podniósł dwa palce i powiedział:

- Mój syn już dwa lata chodzi do szkoły, nauczył się czytać i pisać. Żona przysłała mi jego pierwsze pisanie.

Wsunął rękę pod kombinezon i wyciągnął mocno poplamiony i pozawijany na rogach zeszyt szkolny.

- Chce pan zobaczyć?

Willi Mohr kiwnąwszy głową, wziął zeszyt.

- Ja nigdy nie uczyłem się pisać ani czytać - powiedział poważnie ojciec. — A mój syn już umie, choć ma dopiero dziewięć lat. Przykro, że nie mogę tego przeczytać i sprawdzić, czy dobrze pisze.

Willi Mohr ważył w ręce cienki zeszyt, wcale go nie otwierając.

- Dlaczego nic nie robicie - powiedział nagle bez żadnego zastanowienia.

- Pracuję - odpowiedział tamten ze zdziwieniem. - Pracuję i posyłam do domu zarobione pieniądze.

Po chwili milczenia dodał:

- Chociaż sam adresu na kopercie nie napiszę, pomagają mi.

- Nie to myślałem - cicho powiedział Willi Mohr.

- Wiem, co pan myślał. Pan myślał o czym innym, ale to dawno minęło, to nie było dobre. Kiedy się biliśmy z... tymi lam. Przez cały rok się trzymaliśmy i wszyscy mówili, że c*ły świat nam pomoże, ale ja nikogo nie widziałem. Mieliśmy mieć samodzielność, ale nas przecież było nie tak wielu, chociaż mieliśmy karabiny; parę starych armat i po- lazarów pancernych. Potem przyszli... ci tam, przekłeci, oni mieli samoloty, bomby, czołgi, to było dawno, w marcu 1937, a my mieliśmy tylko karabiny, biliśmy się w górach, w wąwozie, codziennie zrzucali na nas bomby, w tych bombach było coś takiego, że wszystko się od nich zapalało, to się chyba nazywa termit, i wszystko dokoła nas się paliło Przez cały kwiecień i maj tak było, a my się trzymaliśmy, potem mieli nowe samoloty, nowe bomby i armaty. Wąwóz Urquiola nazywało się to miejsce, gdzie byłem. Zabrali nam Bilbao, kiedy już nie było nas tak wielu, i to już był koniec. Nie chcę o tym mówić.

Człowiek w kombinezonie milczał chwilę. Potem roześmiał się ochryple i powiedział:

- Nic dziwnego, że człowiek nigdy się czytać nie nauczył, nie zdążył. Ale, rozumie pan, my, cośmy tam byli wtedy, nie możemy tego powtórzyć, coś takiego robi się tylko raz. Następnym razem inni spróbują, ci, którzy są młodszy, więcej się uczyli. Rok się trzymaliśmy i wiele razy daliśmy w kość tym draniom, choć mieli samoloty, bomby i czołgi. Byłem jeńcem i kiedy się wojna skończyła na dobre, nie wróciłem jednak do domu, nie znaczyło to wiele, bo przecież prawie wszyscy nie żyli, ale chciało się jednak tak bardzo. Wsadzili mnie do Formentery na sześć lat, sól tam wydobywaliśmy. Tego nie można zrobić kilka razy, nawet jeżeli się wciąż głoduje i wciąż musi się na ulicach patrzeć na tych drani.

Willi Mohr bardzo mało wiedział o tragedii baskijskiej, ale nie pierwszy raz słyszał o obozie koncentracyjnym w Formenterze.

- W kopalni soli? - spytał. - Pan był komunistą?

Człowiek w kombinezonie drgnął i mimo że przez cały czas szeptał, rozejrzał się niespokojnie dokoła i dokładnie oblizwał usta.

- Nie - powiedział - to nie... nie, niech pan nie myśli...

W tym wypadku nauczycielowi wyraźnie udało się spełnić swą powinność, nie uśmiercając ucznia. Willi Mohr zawstydził się, że zaczął tę rozmowę, a bardziej jeszcze, że upierał się przy dalszym prowadzeniu jej i zmusił tamtego do obnażenia się, do mówienia o rzeczach, o których nie chciał pamiętać. Opuścił oczy i spojrzął na zeszyt w żółtej okładce.

- To mój syn pisał - powiedział Bask. - Może pan przeczyta, jeżeli pan chce.

Willi Mohr przekartkował zeszyt. Zawierał trzy kopie, mozolnie i starannie wypisane dziecinnie wielkimi, kanciatymi i drżącymi literami. Pierwsza traktowała o Francisco Franco Bahamonde, druga o José Antonio Primo de Rivera, trzecia o Jezusie. Do każdej pogadanki była pociągnięta kolorowymi kredkami ilustracja, dzieci widocznie przerysowywały je z jakiegoś wzoru. Pierwsza była bardzo udana, i mimo różnych niedokładności można było wyraźnie rozpoznać jajowatą głowę generała, łukowatą, wysoko umieszczoną nasadę włosów i czarne trójkątne wąsiki. Ilustracja była prawdopodobnie wzorowana na tym samym oryginale, co portret w służbowym pokoju sierżanta Tornilli.

Willi Mohr na kilka sekund przymknął oczy, potem otworzył zeszyt na chybił trafił i czytał:

José Antonio Primo de Rivera był młodzieńcem, który odważniej niż dojrzały mężczyzna ofiarował swe życie za wielkość i byt kraju ojczystego w wielkiej i sprawiedliwej walce wyzwoleniczej przeciw bestialskim czerwonym hordom. Ten szlachetny młody falangista...

Zamknął zeszyt i oddał.

Bardzo dobrze - powiedział - bardzo ładnie napisane.

- A ma dopiero dziewięć lat - powiedział człowiek w podartym kombinezonie.

I schował zeszyt, patrząc nań czule i z miłością.

Willi Mohr wyprostował się i podszedł do lady, by zapła- • ić. Miał jeszcze kilka duros w kieszeni i zastanawiał się przez chwilę, czy by nie zafundować Baskom paru butelek wina. Odrzucił tę myśl. Byłby to bezsensowny gest, prawie obraźliwy. Włożył kapelusz i plastikową płachtę i wyszedł.

Ludzie otaczający węgielki zaczęli śpiewać jakąś żalosaną, sentymentalną skargę o ojczyźnie. Słowa były niewyraźne i niezrozumiałe, chwycił tylko znaczenie refrenu:

No somos de aqui - somos de Bilbao...

Nie jesteśmy stąd - jesteśmy z Bilbao...

Typujący zakłady gwardziści już wyszli, a on wcale tego nie zauważył, w drzwiach natknął się jednak na dwu innych, wchodzących właśnie. Gdy zsunęli spiczaste kaptury, poznał jednego z nich. Ten w średnim wieku z siwiejącymi włosami, który dwa razy przyszedł po niego na Barrio Son Jofre. Wyglądał na bardzo zmęczonego, oczy miał pod- puchnięte i przekrwione, poznał go jednak, uśmiechnął się, kiwnął głową i wskazując palcem na deszcz powiedział:

- Strasznie.

Na dworze nic się nie zmieniło. Wciąż padało z nie zmniejszoną siłą, równymi, gęstymi strugami. Suka człapała przy jego nodze. W barze nie zauważył jej, ale musiała tam być, leżeć pod jakimś stolikiem. Wróci do domu jeszcze bardziej przemoczony, ale to nie ma znaczenia.

W drodze powrotnej spotkał dwie istoty ludzkie i jeden samochód. Istotami ludzkimi była para półnagich dzieciaków, które wrzeszcząc bawiły się w głębokiej kałuży, żółtej od rozmięklej gliny, a samochód to był kryty gazik, wojskowa furgonetka, która przejechała awenidą tak blisko niego, że pomalowany na kolor ochronny daszek nad bocznym otworem przesunął mu się po ramieniu w chmurze małych rozpryskujących się kropeł.

Na skrzyżowaniu nie było gwardzistów.

Gdy pokonał już dwie trzecie wspinającego się w górę zaułka Barrio Son Jofre, suka zaczęła czekać i pobiegła przodem; zrozumiał, że na górze, w domu, ktoś na niego czeka.

Samochód rozwożący ryby stał obok kamionetki. Santiago Alemany siedział w szoferce i wpatrywał się w deszcz. Ubrany był w sydwestkę i krótką nieprzemakalną kurtkę, a jedno i drugie bardzo mu było potrzebne, bo pojazd nie miał drzwiczek, a przednia szyba była stłuczona. Musiało się to stać przed chwilą, gdyż resztki szkła tkwiły między drewnianą listewką a metalową ramą. Santiago odpiął kurtkę, w ręce miał swój duży fiński nóż. Zdawał się zirytowany i chyba siedząc cały czas niezamordowanie ostrugiwał jakiś kawałek drewna, bo podłoga zaślana była świeżymi wiórami.

Dojrawszy Willego Mohra wyskoczył z samochodu i powiedział:

- Godzinę już tu czekam.
- Byłem w Centralnej. Trzeba było tam przyjść.
- Nie, tu się chciałem spotkać.

Stojąc przed wejściem, Willi Mohr niezdecydowanie spoglądał na gościa, który wciąż trzymał nóż w ręce.

- Niech pan otworzy, dłużej już nie mogę czekać - niecierpliwie powiedział Santiago.

Willi Mohr wzruszył ramionami i odwrócił się, żeby włożyć klucz w zamek. Myślał przy tym: Teraz podniesie nóż i pchnie mnie w plecy, ale to już nie ma znaczenia.

Drzwi otwarły się, zawiasy zaskrzypiały, nic się nie stało.

Willi Mohr odsunął się na bok i przepuścił Santiaga Alemany, który nim przekroczył próg, wsunął nóż do pochwy i zapiął klapkę.

Willi odwrócił się raz jeszcze i spojrzał na niewielki samochód, wysoko załadowany skrzynkami z rybą. Skrzynki były starannie owiązane i przykryte wystrzępioną brezentową płachtą.

- Co się stało z szybą? - spytał.
- Strzelili do mnie - odpowiedział Santiago Alemany.
- Gwardziści?
- Nie, Policja Armada. Dwaj idioci w jeepie. Mogli mnie dogonić i zatrzymać.
- A dlaczego strzelili?
- Nie zatrzymałem się na ich sygnał. Wcale ich zresztą nie

zauważyłem.

Głos jego był napięty i niecierpliwy, wydawało się, że uważa ten epizod za nieważny i wspomina o nim tylko mimochodem.

Willi Mohr nic nie mówiąc zrzucił sandały, powiesił na gwoździu koło drzwi kapelusz i plastikowy płaszcz, potem usiadł na schodach, wiodących na pięterko, i starannie wyjął nogawki spodni, nim zaczął je podwijać.

Santiago Alemany niespokojnie chodził tam i z powrotem, szukał czegoś w kieszeniach, pewnie chciał zapalić, wiele razy niezdecydowanie spoglądał na siedzącego.

- Papierosy leżą koło plecaka - powiedział Willi Mohr nie podnosząc głowy.

Santiago wziął ideała, zapalił. Palce mu drżały, długą chwilę przyglądał się, jak deszcz zacina, jakby szukając pretekstu dla odzyskania równowagi.

- Panu podoba się sytuacja w tym mieście i w tym kraju?

- Niezupełnie - powiedział Willi Mohr.

- Chcę pana o coś prosić.

- Ach, tak.

Santiago odwrócił się gwałtownie i wyrzucił nie dopalony papieros.

- Widzi pan, co mam tam na samochodzie?

- Ryby.

- Tak, ryby. Jest tam także kilka dziwnych ryb, niepodobnych do tych zwyczajnych.

Willi Mohr nic nie powiedział. Dalej zajmował się nogawkami.

- Chciałby pan może spojrzeć na moje ryby? - pyta Santiago Alemany sarkastycznie.

- Dlaczego nie.

Santiago zaśmiał się wulgarnie, ale jakimś stłumionym, dziwnym uśmiechem. Podeszedł do samochodu, rozluźnił postronki, uniósł jeden róg brezentu. I choć dzień był jeszcze w pełni, a odległość od samochodu nie przekraczała chyba sześciu metrów, Willemu trudno było cokolwiek dojrzeć, nie mógł rozróżnić, co Santiago tam robi. Gęsty deszcz zamazywał kontury i im intensywniej Willi się wpatrywał, tym bardziej

migotało mu przed oczyma.

Santiago zdjął jedną ze skrzynek, postawił ją przy progu. Nic nie mówiąc, wrócił do samochodu, przyniósł jeszcze jedną, postawił obok tamtej.

Willi Mohr siedząc przyglądał się rybom.

- Widzi pan, co to jest - powiedział Santiago i trącił nogą pierwszą skrzynkę.

- Mątwy.

- Właśnie, najgorszy gatunek. Właściwie wcale nie wyglądają na jadalne, prawda?

- Nie wyglądają.

- Bo też nie są. Można je gotować dziesięć godzin, a one wciąż są twarde jak stara opona. A te tu?

Trącił drugą skrzynkę.

- Sardynki.

- A nie. Alachas. Najgorsza ryba ze wszystkich. Właściwie nie warto ich na ład wyciągać. A jednak tacy, którym się najgorzej powodzi, jadają je, solą je w kamiennych garach.

- Ach, tak.

Santiago wyciągnął klucz, przełożył i zamknął drzwi od wewnątrz.

- Proszę sięgnąć na dno tej skrzynki - powiedział.

Willi Mohr pochylił się i wsunął rękę przy brzegu. Nieapetyczne mątwy, zimne i kleiste, w zwiotczałym galimatiasie splątanych macek tkwiły grudki z sepiowo barwiącą wydzieliną.

- Nie tam - powiedział Santiago - na środku.

Willi Mohr zirytowany, że doznaje uczucia wstrętu, wsunął palce w zimny, lepki śluz. Potem podniósł głowę i spojrzał na Santiaga, który stał nad nim w ciemności, czarny i lśniący w mokrym przeciwdeszczowym ubraniu.

- Nie chodzi o to, żeby grzebanie w tym sprawiało przyjemność - powiedział Santiago. - Chociaż to jest najlepsza skrzynka. Ta druga jest gorsza. Alachas mają najostrzejsze płetwy ze wszystkich ryb. Mam też cztery skrzynki z odpadkami z rzeźni, flaki, na pół zgniłe świńskie żołądki i dwa świdy morskie. Jak je wziąć gołą ręką, podziurawią skórę, a

jak w rękawiczkach, to je zniszczą.

Przyklął, obie ręce zanurzył aż po łokcie, jak chochle, i zaczął przerzucać mątwy do drugiej skrzynki. Dopiero gdy resztkę odgarnął ku brzegom, Willego uderzyło, że skrzynka jest niezwykle głęboka i stabilna.

Na nie heblowanych deskach, między bryłkami sepii i oderwanymi mackami leżał rozebrany na części karabin maszynowy. Mimo złego oświetlenia Willi dojrzał, że był wysmarowany grubą warstwą jakiegoś zielonego, drobnoziarnistego tłuszczu.

Żaden z nich się nie odezwał. Santiago zrobił się nagle zupełnie spokojny, tak jak Willi Mohr. Jego oddech przestał być nierówny i zdyszany, siedział w kucki, opierając ręce o uda, a zasmarowane dłonie zwiesił między kolanami.

- Mam cztery takie i sześć pistoletów maszynowych. Tam. A pod platformą trzysta magazynków amunicji i dwa tuziny granatów ręcznych.

- I skąd to wszystko? - spytał Willi Mohr.

- Z morza.

Deszcz szumiał z nie słabnącą siłą.

- Nie na naszej łodzi. Dawniej bywało, jak było nas dwóch. Ojciec by się wściekł, gdyby wiedział. On wierzy w możliwość przystosowania się, jak większość w jego wieku. Są wypaleni, mówią, że kiedyś dali z siebie wszystko za wszystkich.

- A kto to zabiera na ląd?

- Ktoś inny. Nikt o tym nie wie, tylko ja i on. A teraz pan.

Po krótkiej chwili dodał:

- Coś jest nie w porządku. Potrzebuję pomocy. Od pana.

Znowu cisza. Siedzieli wsłuchując się w deszcz. Potem

Willi Mohr wytarł palce o schody i powiedział:

- A jeżeli odmówię?

Kot wśliznął się przez dziurę w drzwiach, mokry, nieszczęśliwy, z długą krwawiącą rysą od pyszcza do oka. Santiago Alemany wyciągnął finkę, pogrzebał nią w skrzynce z alachas, wyszukał płaską czerwoną rybę, jedyną wśród wszystkich połyskujących niklem. Podniósł ją za ogon i położył przed kotem.

- Wtedy zabiję pana - powiedział.

- Jeżeli się uda.

- Tak, jeżeli się uda.

Kot obwąchał rybę, położył na niej łapę, przechylił głowę w bok i wgryzł się, miażdżąc jej grzbiet.

- Co się nie udało? - spytał Willi Mohr.

- Coś się dziś dzieje. Wielki nalot. Poznają. Na drodze z portu były dwie kontrole drogowe i ci dwaj idioci w jeepie.

- I stało się coś?

- Przy pierwszej kontroli zatrzymali mnie i sprawdzili wóz, ściągnęli plandekę i zajrzeli do skrzynek tych z wierzchu. Tam nigdy nic nie ma. Zobaczyli to gówno i odpadki z rzeźni i dali spokój. To byli tutejsi ludzie, oni nigdy nie są groźni. Tyle razy mnie już zatrzymywali, że ostatnio tylko pobieżnie to robią. Raz doprowadziłem ich do tego, że cały samochód mi zryli i wyrzucili ryby na drogę. Spro... jak to się mówi...

- Sprowokowałem.

- Właśnie. Sprowokowałem ich. Od tamtej pory nie są tak dokładni. Druga kontrola przepuściła mnie od razu. A potem ten patrol z Policia Armada. Ustawili jeep pod drzewami, nie widziałem ani ich, ani ich sygnału, póki do mnie nie strzelili; kula przeleciała przez szoferkę i rozwalila szybę. Ci wcale nie mieli ochoty babrać się w rybach ani wyłazić na deszcz. Ten, który strzelił, dla żartu pewnie to zrobił. Powiedział, że to musiał być rykoszet.

Santiago Alemany wstał i poszedł po papierosy.

- Nie mam odwagi teraz jechać dalej — powiedział. - Po tamtej stronie gór na autostradzie jest jeszcze gorzej. Tam to dopiero są prawdziwe zasadzki. W nocy albo wcześniej rano nalot się skończy, zawsze tak bywa.

Zapalił dwa papierosy od jednej zapalki, jeden dał Willemu. Potem kopnął skrzynkę.

- To trzeba dowieźć na miejsce w nocy, najpóźniej rano.

Jakieś pół minuty stał paląc w milczeniu. Wreszcie dookończył:

- ...tak powiedzieli.

- Kto?

- Za dużo pan pyta.

- Antonio Milian?

Santiago drgnął i powiedział gwałtownie:

- Co pan o nim wie?

- Nic. Słyszałem tylko to nazwisko.

- Gdzie?

- Na policji.

- Oni mieli tam pana? Nie powinienem był przyjeżdżać.

Urwał i dodał z namysłem:

- Ale gdzież ja mogę pójść. Nigdzie, pan i ja...

Umilkł.

Willi Mohr doznał niewyraźnego zdziwienia, że wcale się nie dziwi i że rozmowa przebiega tak naturalnie i logicznie.

Postawił jeszcze jedno pytanie:

- Dlaczego pan to robi? Dla pieniędzy?

- Myślę, że nie, teraz już nie. Zresztą oni nie płacą dobrze. Z początku robiłem to dla pieniędzy. A potem coś się stało, mniej więcej przed rokiem zeszłej jesieni. Słyszał pan o buncie w Santa Margarita?

- Tak. Trochę.

- Czterdziestu albo pięćdziesięciu ludzi tam zamordowano. Nie mieli amunicji ani granatów ręcznych. A wie pan dlaczego?

- Nie.

- Dlatego, że ja tam nie dojechałem. Chociaż mówili, że to ważne, chociaż obiecałem to zrobić i nawet już wziąłem pieniądze. Bo co zamiast tego robiłem? Kąpałem się razem z panem i z...

Urwał nagle i z trzaskiem uderzył prawą zwiniętą pięścią w otwartą lewą dłoń.

- A oni się tam jednak bili, chociaż nie mieli czym. Jakiś sens w tym musiał być. Teraz też powiedzieli, że to ważne, i tym razem to dotrze na miejsce. Nic mi nie przeszkodzi.

Jego oddech stał się ciężki, a głos nagle wrogi.

- Nawet pan.

- Musi pan zrozumieć, że mnie to właściwie nie obchodzi - powiedział Willi Mohr uprzejmie i ozięble.

Nie podobała mu się ta zmiana tonu. Poza tym zawsze źle na niego działało nie kontrolowane wyrażanie uczuć.

- Co zamierza pan zrobić?

- Złożyć te rzeczy tu, a zabrać je w nocy albo rano, kiedy już pościągają patrole. Po południu, jak zawsze, pojedę do miasta z rybami. Mimo wszystko są też cztery skrzynki, które trzeba tam sprzedać.

- A co z bronią i amunicją?

- Złożę je w podwórzu albo tu na piętrze.

- Za domem jest kupa śmieci, lepiej tam.

- Ponieważ już tu po pana byli, jest jednakowo niebezpiecznie, gdziekolwiek się to schowa.

- Kupa śmieci nikomu na myśl nie przyjdzie. Leży tam już dużo starych blach i innych rupieci, jest czym przykryć. Słoma też jest w podwórzu.

- Może i racja - powiedział Santiago. - Biorę się do roboty. Sjesta się niedługo skończy.

Willi Mohr dotknął rozebranego na części karabinu.

- Dobry sprzęt - powiedział. - Kto tę broń dostanie?

- Nie wiem. Ten, komu jest potrzebna.

Santiago szybko i zręcznie z powrotem wrzucił do skrzynki kleiste mątwy. Potem otworzył drzwi, za którymi deszcz tworzył gęstą żywą kurtynę.

- Ta pogoda to ratunek - powiedział. - Widoczność nie dalej niż na dziesięć metrów. Jeżeli ktoś przyjdzie, to mój samochód się zepsuł, więc muszę pożyczyć kamionetkę i przeladowuję.

- Tak, może być.

Santiago podniósł skrzynkę z rybami, podobnymi do sardynek, lecz mającymi ostre płetwy.

- Pomoże pan?-spytał.

Willi Mohr podniósł się na zeszywniałych nogach, owinał się płaszczem i dźwignął skrzynkę z mątwami, trzymając ją w objęciach, wyszedł boso na dwór, obaj okrążyli dom.

Kwadrans tylko zajęło im przeniesienie z samochodu na śmietnik ośmiu skrzynek i zalutowanych pojemników z nabojami i granatami, nikt niepożądany nie zjawił się w tym

czasie. Gdy przykryli skrzynki starymi, wyrzuconymi na śmietnik trzcinowymi matami i zgniłą słomą z szopy, Santiago odsznurował resztę ładunku i nie odrywając oczu od roboty powiedział:

- Wrócę wieczorem albo w nocy.

Potem podparł ramieniem i popchnął małą ciężarówkę, a gdy się potoczyła, wskoczył do szoferki. Pojazd zniknął w deszczu, nim zjechał w zaułek, w każdym razie nie było słyhać, czy silnik zapalił.

Willi Mohr został na płaskim kamieniu przed drzwiami, wyciągnął kolejno bosc nogi, by deszcz spłukał z nich glinę, potem wyciągnął ręce, bo cuchnęły rybą i zgniłymi flakami.

Gdy tak stał, spory kawałek tynku oderwał się od ściany i upadł na rozmiękłą ziemię. Zdawało mu się, że poprzez szum deszczu doszedł huk strzału, ale mógł się mylić.

2

Willi Mohr w ciągu całego popołudnia i wieczoru ani na chwilę nie opuszczał domu. Kilka razy pomyślał, że powinien postarać się o coś do jedzenia, ale wystarczyło, by przypomniał sobie mątwy i odpadki, żeby natychmiast stracić apetyt. Chociaż był mokry, a w domu wszystko przesyciała kwaśna wilgoć, wcale nie czuł się źle i nie marzył.

Chociaż całej historii z przemytem broni nie przypisywał większego znaczenia i był pewien, że nikt nie znajdzie tego kompromitującego dobra na śmietniku, odczuwał wciąż rosnące napięcie w związku z najbliższą przyszłością. Wiedział, że coś się stanie, tylko nie wiedział co.

Przez większą część popołudnia, siedząc na schodach, zastanawiał się. Ponad godzinę wertował swój paszport. Skrupulatnie studiował różne wizy i stemple z datą wyjazdu i przyłapał się nagle na zastanawianiu się, kiedy, gdzie i z jakiego powodu paszport zostanie następnym razem ostemplowany.

Chwilami jego rozmyślenia były splątane i niezdyscyplinowane. Wprawdzie wydarzenia dnia wzbogaciły go o całą wiązkę nowych faktów i nici przewodnich, nie był jednak w

stanie uporządkować ich czy podążyć ich tropem. Nic już nie dawało się dopasować do schematu, który sobie stworzył i którego się od dawna trzymał. Równanie nie zgadzało się, choć powinno, wskutek czego istnienie przestawało być proste i bezproblemowe.

Jeśli rzecz miała się tak, że zaczynała mu powracać ochota do życia, stawało się to w najniewłaściwszym momencie.

Nawet gdy już ciemność zapadła, Willi Mohr wciąż siedział na schodach rozmyślając, ale za wiele było klocków w lej łamigłówny. Przeszedł więc do nasłuchiwania. Ulewa wciąż trwała z tą samą monotonną siłą, ale ktoś, kto wsłuchiwał się w nią naprawdę uważnie, mógł zaobserwować pewne niuanse, na przykład, że czasami słabła, by wkrótce potem jeszcze bardziej przybrać na sile. Zupełnie jak gdyby deszcz żył, oddychał.

Była dziewiąta. Zamknął drzwi, odpiął pasek, wyciągnął koszulę ze spodni i położył się na materacu, pod kocem, który był napuchnięty i rozłazący się jak zmurszały papier pod prasą.

Zasnął po dwudziestu minutach, przedtem miał jednak chwilę seksualnego podniecenia. Tak nagłego i gwałtownego, że jego fizyczna manifestacja była zbyt niepohamowana, by próbować powstrzymania jej siłą woli. Był tylko jeden sposób uwolnienia się.

Leżąc na wznak Willi Mohr widział przed sobą nagie kobiety. Barbarę Heinemann i Norweżką, która mieszkała na piętrze, i - dość dziwne - także dziewczynę z dziennika dla traktorzystów. (Jej właściwie nigdy nie widział rozebranej, a ten jeden jedyny raz, gdy odważył się przesunąć palcami po jej policzku, szyi i niżej pod sweterek, zarumieniła się, spociła i gadała dalej. Pamiętał kruchy obojczyk i delikatną pierś pod stanikiem i sweterkiem. Leżała w jego ręce jak przestraszone zwierzątko, miękkie, ciepłe, małe, kryjące twarde pyszczek w zagłębieniu dłoni. Ona, z pochyloną głową, przez cały czas mówiła, szybko, zwięźle, przeważnie o produkcji). Przebieg był gwałtowny i ściśle mechaniczny. Skurcze zaczęły się w jądrach, rozszerzyły się na całą dolną część ciała. Potem napięły się mięśnie ud i łydek, a także wszystkie żyły, najpierw w nogach, a zaraz potem w szyi,

ramionach, potem tama runęła, zwała się w czerwony pulsujący tuman mgły.

Był niemal nagi, bo miał tyle przytomności umysłu, by zdjąć spodnie i kalesony, rozpiąć koszulę, leżał w ciemnym, ociekającym wilgocią pokoju, sam, z łomocącym sercem na wacianym materacu, który zaczynał pleśnieć.

Po kilku minutach odnalazł wilgotne ubranie, wciągnął je na siebie.

Osiemnaście miesięcy minęło od czasu, gdy był w burdelu w Kolonii. Potem raz tylko miał sposobność w Marsylii na początku maja, ale wtedy co innego go zaprzętało. Zupełnie naturalne, że się onanizował, irytowało go to jednak. Przed wszystkim wydawało mu się żałośnie śmieszne.

Zasnął, obudził go warkot silnika. Była pierwsza. Wciąż padało. Santiago Alemany wszedł, wynurzył się z ciemności w mokrym, błyszczącym impregnowanym ubraniu. Zdjął sydwestkę i powiedział:

- W całej prowincji aż roi się od policji i wojska. Dwa razy mnie zatrzymywano, gdy tu jechałem. Ostatni raz myślałem, że mi rozbiorą samochód.

Wyjął papierosa i zapalił od naftowej latarki.

- Trzeba to dostarczyć jutro przed sjeścią. Akcja może zostanie przesunięta, ale ten, z którym rozmawiałem, nie przypuszcza, żeby miała być wstrzymana.

- Jaka akcja?-spytał Willi Mohr.

- Strajk. Czterystu robotników z fabryki Santa Margarita zaczyna strajk jutro po południu. Przedtem muszą dostać ten ładunek.

- Nie mam pewności, czy gwałt jest dobrą metodą - powiedział Willi.

- Strajki, jakie teraz można zorganizować i w jakimś stopniu przygotować, nie są duże. Ponieważ wszystkie nI,rajki są nieduże, lokalne tylko, tłumi się je zawsze siłą. A leżeli już tak jest, nie miałyby sensu, żeby robotnicy pozwolili wyróżnić się jak stado baranów, bez żadnego oporu. Ważne jest przecieź, żeby pokazali, że są jeszcze ludzie, li l.órzy mają odwagę bić się, i że możemy mieć pomoc z zew-

mjrtr, broń na przykład. W ten sposób umożliwi się przeprowadzenie kiedyś, później, większych akcji, takie akcje nie muszą być zbrojne, a jednak mogą okazać się skuteczniejsze.

Willi Mohr przyglądał mu się z zaciekawieniem. Santiago uśmiechnął się bezradośnie.

- Ja tego nie wymyśliłem. Wie pan, kto mi to mówił?

- Nie.

- Ten, o którym pan już dziś wspomniał.

- Antonio Milian?

- Tak, jego kiedyś o to wszystko pytałem.

- Gdzie on jest teraz?

- Nie mam pojęcia.

- Czy on ma brodawkę między brwiami?

- Skąd pan wie? Spotykał go pan? - głos Santiaga znowu zabrzmiał podejrziwie.

- Nie. Pokazano mi jego fotografię na posterunku.

Santiago pałac przykucnął koło lampy. Teraz zgniotł niedopałek o podłogę i wstał.

- Broń trzeba natychmiast stąd zabrać. To nie jest dobra kryjówka.

- I chce pan teraz popróbować? W nocy?

- Nie, jutro przebiję się przy dziennym świetle. Ale teraz przeniosę wszystko w pewniejsze miejsce, tylko kawałek stąd przy drodze do puerto. Przed południem nie mogłem zabrać przez te jeepy.

- A patrole?

- Ściągną je późną nocą albo o świcie.

- Równie dobrze może to tu zostać. Ta kupa śmieci nie jest zła.

- Kiedy wyjeżdżałem z miasta, przestało tam padać. Tu też przestanie, może w nocy, może jutro wczesnym rankiem. A wtedy ten dom razem z tą kupą odpadków i ze wszystkim będzie widoczny z odległości tysiąca metrów dla każdego, kto spojrzy z góry. A tam w górach zawsze ktoś jest. Ja mam w tym wprawę, od dawna się tym zajmuję, dawniej była kawa, papierosy. Zawsze coś tam było, od maleńkości pamiętam. Książdz, znaczy, któryś tam z księży, tyłu ich było, powiedział

raz, że jestem zgubiony. A ojciec powiada, że łotr ze mnie. Chociaż dzięki mnie ma więcej pieniędzy niż inni tutejsi rybacy. On jest dziwny. Nigdy nie robi nic przeciw n i m, choć przez całą wojnę był na pokładzie „Libertad”, był pod Cabo Palos, gdzie odnieśliśmy wielkie zwycięstwo, T e r a z już nie i nie godzi się z tym, że ja to robię. On uważa, że kto raz został pobity, ten nigdy się nie podniesie. Wielu z tych, którzy brali udział, myśli zupełnie tak samo.

- Może nie ma się czemu dziwić.

- Może i nie ma. A co do mnie on ma rację. Ja jestem nicpoń.

Santiago wyjął z kieszeni prymkę tytoniu do zucia i jednym mocnym uderzeniem noża odciął kawałek.

- Dobry nóż - zauważył Willi Mohr.

- Wszystkie moje narzędzia są znakomite - powiedział Santiago i roześmiał się głośno.

Willi Mohr spojrział na niego i zobaczył pod rondem sydwestki błyszczące egzaltacją oczy. Opalona, pełna napięcia twarz błyszczała, nie od deszczu, od potu.

- Żegnam - powiedział Santiago. - Teraz muszę Wyładować.

- Pomogę.

- Nie trzeba. Panu nic do tego.

- A jednak pomogę.

Po omacku okrążyli dom, potykając się i ślizgając po wystających z rozmięklej ziemi kamieniach. Deszcz padał jeszcze obficiej niż dotąd, prostopadłe strugi spadały z hukiem, jakby ulewa w przewidywaniu końca chciała dać z siebie wszystko.

Przenoszenie w ciemności było uciążliwe i, choć uwijali się jak mogli, czterdzieści minut zajęło załadowanie skrzynek na ciężarówkę. Santiago potknął się i wpadł pod ścianę. Skrzynka wysunęła mu się z rąk i części pistoletów maszynowych poleciały w glinę razem z płataniną nadgniłych flaków i śmierdzących świńskich żołądków. Padając uderzył kolanem o kamień i trudno mu się było poruszać. Więc Willi Mohr zgarnął ohydłą breję do skrzynki, a Santiago, oparty o węgiel, świecił mu latarnią przysłoniętą połą płaszcz.

Gdy skrzynki były już ustawione na platformie, dobrze obwiązane, umocowane i obciążone plandeką, weszli do domu i zamknęli za sobą drzwi. Praca była wyczerpująca i obaj dyszeli ciężko. Obaj byli spoceni i na wskroś przemokli, a mimo że ulewny deszcz ich opłukiwał, ręce i nogi mieli umazane gliną.

Santiago oparł się o ścianę tuż przy drzwiach i głęboko odetchnąwszy powiedział z trudem, zacinając się:

- Mam nadzieję, że przy skrzyżowaniu nie ma patrolu. Mógłbym więc zjechać stąd z wygaszonymi światłami i nie włączając silnika przez całą drogę.

Willi Mohr przytaknął.

- Mógłby pan zejść pierwszy i sprawdzić. Zatrzymam ciężarówkę przy końcu zaułka i zaczekam. Jeżeli tam na dole będzie ktoś, niech pan zaraz wraca. Policzę do stu, nim zwolnię hamulec. A jeżeli nie, jeżeli droga będzie zamknięta, włączę silnik i pojedę w drugą stronę.

Willi Mohr znowu skinął głową.

Po chwili dodał:

- Okay, więc ruszamy.

- Tak - powiedział Santiago.

I zapanowała cisza. Na zewnątrz deszcz szumiał z apokaliptyczną siłą. Santiago wciąż opierał się o pobielaną ścianę zszarzałą od wilgoci. Willi Mohr stał na środku pokoju z szeroko rozstawionymi nogami. Żaden z nich się nie poruszał.

Czas mijał. Może upłynęło tylko kilka minut, nieprawdopodobnie długich.

- Gdzie jest mój brat? - spytał Santiago.

- Nie żyje.

- Wiem. Ale gdzie jest?

- Na dnie morza.

- Jak umarł?

- Ja go zabiłem.

Kot wsunął się przez dziurę w drzwiach, mokry, chudy, z zadrapaniami wokół oczu. Miauczał żałośnie, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

- Kto zabił Dana Pedersena? - spytał Willi Mohr.

- Mój brat.
- A Siglinde?
- Ja.
- Jak?
- Nożem. Od tyłu.

Żaden z nich nie poruszył się. Kot siedział między nimi, wylizywał sobie futerko, wetknąwszy głowę pod pachę.

- Może mi pan nie uwierzy - powiedział Santiago Alemany - ale to wcale nie było zamierzone, nie od początku. Robiąc to, uważałem, że jest to jedyne rozwiązanie. Ramón nie chciał... to było wydarzenie... przymusowe.

Willi Mohr odnotował w pamięci ostatnie słowa „una coza forzada”. Dobre wyrażenie.

- To nie jest usprawiedliwienie — mówił Santiago. — Nie było zaplanowane, ale wiedziałem, że może się nagle zdarzyć. Nigdy niczego tak nie chciałem, jak tej dziewczyny. Dwustu ludzi, którzy mi zaufali, zawiodłem, dla możliwości zobaczenia jej w kąpieli. A potem nie wiedziałem, co robię. Jednak wszystko było przypadkiem. Pan nie zabił Ramona przypadkiem.

- Nie - powiedział Willi Mohr.

- To było zaplanowane. Podszedł go pan.

- Tak, zwłaszcza pod koniec. W każdej minucie przez dwadzieścia dni oszukiwałem go. Długo trwało, nim zrozumiał.

- On nie był bystry w myśleniu. Zwłaszcza przez ostatnie pół roku.

Rozmowa toczyła się w spokojnym tonie. Wciąż stali nieruchomo.

- Wziął pan pieniądze, które miał przy sobie — powiedział Santiago z roztargnieniem, jak gdyby myślał o czym innym.

- Częściowo.

- To nie były jego pieniądze. Miał je doręczyć w miejscu kontaktowym. Na Korsyce.

- Nie wiedziałem. Gdybym wiedział, wcale by mnie to nie obchodziło.

- Wszystko było błędem. Przez cały ostatni rok o niczym

innym nie myślałem, tylko o tych ludziach. Nie nadaję się do zabijania.

- Ja też nie.

Patrzyli na siebie, milcząco, bez wyrazu.

- Pora już ruszać - powiedział Santiago Alemany odrywając się od ściany.

Już z ręką na klamce zatrzymał się i odwrócił głowę.

- Co zamierza pan teraz zrobić? - spytał.

- Pojechać do domu.

- Do swojego kraju?

- Tak.

Santiago otworzył drzwi, wyszedł. Willi Mohr podążył za nim.

Gdy Santiago wdrapał się do szoferki, Willi Mohr wsparłszy się ramieniem o platformę popchnął samochód, który lekko stoczył się po łagodnej pochyłości, Willi poczuł tylko, że oddala się od niego. Idąc po omacku przez kręty wąski zaułek, dziwił się, że Santiago potrafi przejechać tędy bez świateł. Nagle wpadł na róg platformy i zrozumiał, że dotarł do szosy. Mijając samochód, zabębnił palcami w błotnik, by dać znać, że już idzie. Na skrzyżowaniu nie było żadnego patrolu. Przeszedł jeszcze dziesięć metrów w jedną, potem w drugą stronę, nic nie zauważył. Stał więc na brzegu drogi i oparty o kamienną barierę czekał. W kilka sekund później samochód rozwożący ryby przetoczył się. Słyszał chrobot ładunku i plusk błota pod kołami, ale dostrzegł tylko jakiś niewyraźny zarys poruszający się w ciemności.

Wracał do Barrio Son Jofre idąc tak, jakby postradał wzrok i słuch. Wciąż się potykał, a na górze w zaułku parę razy wpadał na ściany i wystające narożniki zabudowań. Przywykł do tego, że posiada intuicyjną zdolność orientowania się w terenie, teraz zupełnie go zawodziła, jak u kota, któremu obcięto wąsy. Myślał jednak i raz po raz stawiał sobie pytanie: Co by się stało, gdyby przerwał rozmowę i poszedł do plecaka po pistolet albo gdyby Santiago Alemany wyciągnął nóż?

Wszedł do mieszkania. Naftowa latarnia wciąż się paliła. Zauważył, że podłoga jest mokra i zabłocona, a przemoknięty kot wlaź na posłanie i na pościeli utworzyła się wokół niego wielka mokra plama.

Zdjąwszy płaszcz przeciwdeszczowy zauważył, że nogi ma umazane gliną, a rękawy ubrudzone rybimi odpadkami. Śmierdziały. Poczul obrzydzenie i rozejrzał się bezradnie. Poszedł w kąt, gdzie leżał plecak, brudna bielizna i przybory malarskie. Odsunąwszy to wszystko, wyciągnął podłożony pod nie rozcięty worek.

Strzepnąwszy go kilkakrotnie, położył worek na materacu, ściągnął ubranie i z sandałami w ręce wyszedł przed drzwi. Chwilę stał na schodkach, by deszcz opłukał mu całe ciało, potem włożył mokre sandały i wrócił do wnętrza. Wytarł się workiem, który był tak szorstki, że pozostawiał czerwone pręgi na skórze. Potem zamknął drzwi, odsunął mokrego kota i wlaź pod koce. Przed zgaszeniem lampy wypalił papierosa i spojrzął na zegarek, dochodziło już wpół do czwartej.

Był zdenerwowany i roztrzęsiony, wcale nie chciało mu się spać. Wiedział, że to, co na zakończenie powiedział do Santiago Alemany, było prawdą. Gdyby tylko mógł się stąd wydostać, pojechałby do domu. Do Dornburga czy Jeny, może do Berlina, to nie ma większego znaczenia. Najchętniej do Dornburga, matka nie jest jeszcze tak stara, prawdopodobnie żyje. Nie zdawał sobie jeszcze w pełni sprawy z motywów, ale chyba nie ze względu na matkę chciał wracać do domu. Tego był pewien. Wiedział też, że już nie zabije Santiaga, nie ma więc powodu zostawać tu dłużej, niż jest konieczne.

A właściwie dlaczego miałyby to w ogóle być konieczne? Co powiedział Tornilla, gdy się rozstawali, stojąc przy drzwiach?

W przeciwnym wypadku może się już nie zobaczymy.

Niewątpliwie to był przeciwny wypadek.

Willi Mohr dalej rozmyślał, trzeźwo, rzeczowo. Prawdopodobnie wcale już nie zaśnie, więc gdy tylko się rozjaśni, trzeba wziąć się do pracy. Zniszczy notes z zapiskami, wyrzuci

pistolet, bo mógłby mieć nieprzyjemności, gdyby znaleziono broń w jego bagażu. Łatwo go ukryć w kupie śmieci za domem. Potem załaduje rzeczy na kamionetkę i pojedzie do stolicy prowincji. Powinien tam zdążyć przed dwunastą i przede wszystkim oddać paszport do wstemplowania wizej wyjazdowej. To, że nie ma pieniędzy, nie powinno być większym problemem. Ostatecznie konsulaty Republiki Federalnej będzie mu musiał pomóc. Wszystko to wydawało się mało ważne, byle tylko wydostać się z tego domu, być daleko od tych gór, tych kamiennych uliczek, tych twarzy. Po raz pierwszy miasteczko w górach wydało mu się śmiertelną pułapką, a rok, który tu spędził, okresem paralizującej choroby.

Pierwszy raz także poczuł się wolny od wspomnień tego dnia, gdy czekał na portowym nabrzeżu, od wspomnień ostatnich minut spędzonych z Ramonem Alemany w kajucie na jachcie Anglika.

Nie chciał już nikogo zabijać, chciał żyć.

Jest szansa, myślał, to było, minęło, to mnie już nie obchodzi.

To mnie już nie obchodzi. Kilka razy powtórzył to sobie w myśli, później wargi ułożyły się do wymówienia tych słów.

Leżąc w ciemności Willi Mohr szepnął: To mnie już nie obchodzi.

Teraz chciałbym zasnąć, pospać kilka godzin, zbudzić się, kiedy będzie jasno.

Pomyślał także: Może przestanie padać.

Rozległo się pukanie do drzwi, niezbyt mocne, ale natarczywe i wytrwałe.

- Idę-zawołał.

Pukanie nie ustawało. Ktoś tam stał i w szumie ulewy nie mógł pewnie dosłyszeć dźwięków dochodzących z domu.

Willi Mohr po omacku szukał zapalek. Zawilgły i z dziesięć zepsuł, nim udało mu się zapalić latarnię. Owinął się kocem, wsunął nogi w sandały i podszedł do drzwi.

Otworzył, pewien, że zobaczy Santiaga Alemany, ale na schodach stał ktoś w długiej ciemnozielonej pelerynie ze spiczastym kapturem, tak dokładnie osłonięty przed deszczem,

że nie widać było ani twarzy, ani rąk.

Gwardzista nie mówiąc przestąpił próg.

Willi Mohr omal nie wybuchnął śmiechem. Ten człowiek znalazł się w pokoju, jak gdyby wyrósł spod podłogi. Wyglądał jak Marsjanin z popularnej serii rysunkowej w gazecie, choć można go było także wziąć za nie w pełni jeszcze ustawiony namiot albo za udaną figurę z karnawałowej maskarady.

Spod przeciwdeszczowej osłony wysunęło się ramię w zielonym suknie i manipulowało przy spiczastym kapturze, by ściągnąć go z niepraktycznej lakierowanej czapki. Jednocześnie z otworu peleryny wyjrzała lufa pistoletu maszynowego.

Willi Mohr nigdy jeszcze nie widział tego człowieka. Był młody, o pełnych policzkach i rumianej cerze, ale głos jego wydawał się ostry i zimny.

- Pan jest Willi Mohr, czy tak?

- Tak.

- Muszę prosić o udanie się ze mną na posterunek.

Willi Mohr skinął głową.

- Proszę się ubrać. To pilne.

Willi Mohr wciągnął na siebie mokre łachy. Przez ten czas człowiek w nieprzemakalnej pelerynie, nie ruszając się z miejsca, rozglądał się po pokoju.

Gdy wyszli i Willi Mohr zamknął drzwi, tamten wyciągnął rękę po klucz.

- Proszę mnie to oddać. Ja się tym zajmę. Proszę na lewo, idę tuż za panem.

Padło rzeczywiście trochę mniej, ale wciąż było ciemno. Mimo że szli przez miasto, Willi Mohr nie zauważył żadnego światła i prócz szumu deszczu słyszał jedynie urywane, krótkie instrukcje niewidocznej postaci postępującej za jego plecami. Proszę prosto dalej. Tu skrócić na lewo. Uwaga, tu jest kilka schodów. Proszę prędzej.

Oświetlenie uliczne było wygaszone. Widać elektrownia wysiadła.

Co za miasto, myślał Willi Mohr.

Nie czuł się zdenerwowany perspektywą spotkania z Tonillą. Wydawało mu się, że już zna tego człowieka i jego

obyczaj, i myśl o zmianie przesiąkniętego wilgocią domu przy Barrio Son Jofre na względnie przyjemne wnętrze pokoju przesłuchań nie wydawała mu się odstręczająca. Możliwe, że trzeba będzie kilka godzin spędzić w celi, jak za pierwszym razem, ale i to nie odgrywało większej roli. Jeśli o rozmowę chodzi, dokładnie wiedział, co mówił poprzednio i co powinien teraz powiedzieć. Może nawet będzie w pokoju blacha z żarzącymi się węgielkami. Ta myśl ożywiła go i skłoniła do przyspieszenia kroku. Gwardzista kilkakrotnie go ponaglał, co znaczyło, że sierżant Tornilla siedzi już na swoim miejscu w kręgu światła, padającego z lampy z zielonym kloszem, i czeka na niego. Ponieważ nic nie miał przeciw ponownemu spotkaniu z nim, nie było powodu, by pozwolić mu czekać dłużej niż konieczne. Poza tym on sam miał to i owo do zrobienia, gdy się rozwidni, zależało mu na tym, żeby przesłuchanie nie przeciągnęło się długo.

Willi Mohr wiedział, że to ostatni dzień jego pobytu w tym górskim mieście. Był to jednocześnie pierwszy od bardzo dawna dzień, w którym widział przed sobą jakąś nadzieję.

Szli już tą prostą drogę między drzewami oliwnymi.

- Trochę bardziej w prawo - powiedział żandarm dotykając jego pleców. - Już dochodzimy.

W budynku nie świeciło się ani jedno światło.

Już byli w sieni. Za Willim podkute buty stuknęły o cement. W pięć sekund później gwardzista otworzył drzwi i pchnął go przez próg.

4

Pokój był duży, zimny, o bielonych ścianach, cementowej podłodze, wypełniony oślepiającym światłem benzynowej latarni, wiszącej pod sufitem.

Willi Mohr, zmieszany, rozejrzał się, mrużąc oczy przed zimnym, jasnym światłem. Urządzenie było spartańskie. Na środku stał długi, mocny stół, a na nim jakieś porozrzucane papiery i stara amerykańska maszyna do pisania. Wokół stołu z pół tuzina prostych twardych krzeseł, w głębi pokoju małe

okienko zaciągnięte czarną roletą. W rogu żelazny piecyk, od którego zalatywało dymem. To wszystko.

Przy jednym końcu stołu siedział wysoki oficer w rozpiętym mundurze ze złocistymi naszywkami na ramionach. Przed nim leżała lakierowana czapka z haftowanym złotym otokiem, a obok rapcie i pas z pochwą pistoletu. Willi Mohr widział go już przedtem i pamiętał nawet, jak się nazywa: porucznik Pujol.

Obok porucznika, nonszalancko pochylony nad stołem, stał ten mały łysy, który poprzedniego dnia pił anyżówkę w Café Central. Marynarkę powiesił na poręczy krzesła, był w pasiastej niebieskiej koszuli z gumkami na rękawach i żółtymi spinkami w mankietach. Nieco dalej siedział ten piękny jak obrazek młodzieniec, gładko uczesany, z dołkiem w brodzie. On nie zdjął marynarki, ale rozpiął kołnierzyk i odwrócił się tak, że mógł położyć ręce na oparciu krzesła. Jego łagodne brązowe spojrzenie wyrażało obojętność i niezadowolenie, kołysał się wraz z krzesłem w przód i w tył.

Czwartą osobą był gwardzista w zielonym drelichowym mundurze i brązowych krótkich butach. Klęczał pochylony nad stołem i regulował siatkę na benzynowej latarni przy pomocy blaszanego klosza w kształcie stożka.

Łysy spojrział na nowo przybyłego bez zainteresowania i spytał:

- Zrewidowaliście go?

- Nie - odpowiedział konwojujący gwardzista, który wszedł za Willim, depcąc mu po piętach, i wciąż stał tuż za nim.

- Na litość boską, zrobić to zaraz.

Gwardzista zdjął Willemu kapelusz i płaszcz i pomacał go trochę po kieszeniach i nogawkach spodni. W końcu powiedział:

- Nic nie ma.

- Dobrze - powiedział łysy. - Możecie odejść.

Potem odwrócił się do siedzącego przy stole oficera i podjął rozmowę przerwana pewnie, gdy drzwi się otwały.

- Posłał więc pan do elektrowni. I czego się posłaniec dowiedział?

- Naprawiają linię. Poza tym rurą odprowadzająca parę

pękła.

- A telefon?

- Nie wiadomo, nie mamy żadnej wiadomości - powiedział porucznik Pujol.

Miał spocone czoło, wydawał się zmęczony i poirytowany-

- To u was zawsze tak bywa - powiedział człowiek w pasiastej koszuli oskarżycielskim tonem. - Od ośmiu godzin nie ma światła, od pięciu godzin telefon nie działa. Piecyk dymi. Dobrze, że choć dom stoi.

Porucznik Pujol nie odpowiedział.

- To więc jest facet, którego przesłuchujecie od trzech miesięcy?

- To jest Willi Mohr - odparł porucznik Pujol.

- Tak, wy i wasi eksperci. Gwardia dobra jest, żeby chłopów straszyć, ale nie do takich spraw. Zresztą to nie pana wydział, nie ma więc powodu do jakichkolwiek pretensji. A gdzie jest ten ekspert?

- Nie wiem.

- Przecież pan jest jego szefem, czy tak?

- Tak, formalnie.

Łysy westchnął i pochylił się nad stołem.

- I jak idzie? Prędko będziecie gotowi?

Gwardzista w drelichu skończył manipulowanie przy lampie i zdawał się całkowicie zajęty słuchaniem.

- No więc - powiedział szybko - teraz jest okay.

- Zechciejcie więc zapalić - spokojnie i uprzejmie powiedział ten piękny jak obrazek.

Gwardzista chwilę szukał czegoś po kieszeniach, prawdopodobnie zapalek. Znalazszy je wreszcie, długo guzdrał się z pudełkiem, nim udało mu się zapalić. Napompował więcej benzyny i rażące światło rozlało się po podłodze.

- Nie można więcej? - spytał siedzący na krześle.

Gwardzista jeszcze kilka razy poruszył pompką, białe światło wzmochno się.

- Więcej nie mam odwagi - powiedział - może wybuchnąć.

- Przywieźliśmy ją z sobą, więc jest to rzecz solidna - powiedział łysy. - Ale dobrze jest jak jest. Proszę osłonić i

powiesić.

Gwardzista w drelichu pokręcił śrubkami i udało mu się obniżyć czarny klosz o dwie trzecie. Potem wszedł na krzesło i z trudem zaczepił lampę na dwóch hakach wbitych w sufit.

- Nie z tej strony, idioto - powiedział człowiek w pasiastej koszuli.

W końcu lampa zawisła jak trzeba. Jaskrawe światło padło na ostro ograniczoną przestrzeń przed stołem.

- Dawać tu tego nieboraka, żebyśmy to już mieli z głowy

- powiedział łysy.

Gwardzista podszedł do drzwi, wziął Willego Mohra za ramię i podprowadził do stołu. Światło było tak silne, że Willi nikogo nie mógł dojrzeć, słyszał tylko głosy. Wymacał krzesło i usiadł.

- O ile mi wiadomo, nikt was do siedzenia nie zapraszał.

Wstać!

To ten młodszy z cywilów.

Willi Mohr wstał.

- Czy mam teraz protokołować?

To gwardzista w drelichu.

- Nie, później zapiszemy całe zeznanie.

Teraz to łysy.

Willi Mohr czuł, że ogarnia go wściekłość. Że powoli i nieustępliwie wzbiera w nim zimny, ponury gniew. Umysł miał teraz jasny i zupełnie spokojny.

- Co to za zabawa? - powiedział. - Amerykański film gansterski?

- Nie otwierać gęby, kiedy was nie pytają.

- Proszę natychmiast odwieźć mnie do mego mieszkania i zostawić mnie w spokoju. Jestem obywatelem innego państwa i bez względu na to, co się zdarzy, zawiadomię o wszystkim przedstawicielstwo dyplomatyczne. Jeżeli chcecie mnie o coś zapytać, powinniście przedtem porozumieć się z najbliższym niemieckim konsulatem. Poza tym nie wiem, kim jesteście.

- Ci panowie są ze służby bezpieczeństwa — powiedział porucznik Pujol.

Willi Mohr opuścił spojrzenie, by choć do pewnego stopnia

uniknąć niszczycielskiego białego światła. Usłyszał, że ktoś się roześmiał, przypuszczalnie młodszy z dwóch cywilów, ale tym, który pierwszy się odezwał, był jego kolega, człowiek w koszuli w paski.

- Tak się rzecz ma. Możemy zrobić tę grzeczność i od razu powiedzieć, że gra skończona. Pańscy przyjaciele złożyli wyczerpujące zeznania, wydali pana. Pozostaje panu tylko zrobić to samo.

- Nie mam żadnych przyjaciół.

Oczy Willego nie mogły się przyzwyczaić do tego światła, nie był w stanie nic dojrzeć. Ale głosy z drugiej strony stołu docierały do niego twarde i metaliczne, ulewa pytań i twierdzeń. Dwaj przedstawiciele Policja Secreta mówili na przemian, nigdy nie wpadając sobie w słowo. Młodszy z nich zawsze posługiwał się najostrzejszymi sformułowaniami i najgroźniejszym tonem.

- Jesteście komunistycznym prowokatorem nasłanym tu z Niemiec Wschodnich.

- Ach, tak.

- Gdzie ukryliście broń?

- Nie wiem.

- Lepiej się nie upierać, może to mieć bardzo nieprzyjemne skutki.

- Jak długo byliście w Hiszpanii?

- Nie wiem.

- Gdzie jest Antonio Milian?

- Nie wiem.

- Radzę nie utrudniać, odpowiadać na nasze pytania.

- Ach, tak.

- W Moskwie wasz szkolono?

- Nie wiem.

- Kiedy wysłano transport do Sant Ponsa?

- Nie wiem.

- Kto przerzuca transporty?

- Nie wiem.

- Nie rozumiecie, że sytuacja jest w pełni wyjaśniona, wiemy wszystko, przeciwstawianie się tylko pogarsza waszą

sytuację.

- Nie.

- Antonio Milian i Baltazar Rodriguez zostali aresztowani. Centrala w Santa Margarita wykryta. Cała wasza organizacja została rozbita. Chcecie wiedzieć więcej?

Willi Mohr uśmiechnął się słabo. Czuł się zupełnie spokojny i mimo że nie mógł dojrzeć żadnego z dręczycieli, przejrzał ich. Nic nie wiedzieli, zwłaszcza o nim, większość z tego, co mówili, była prawdopodobnie bluffem albo półprawdą.

W dalszym ciągu zasypywali go pytaniami i oskarżeniami, nazwiskami, których nigdy nie słyszał, datami i cyframi, które nic absolutnie mu nie mówiły, a on cały czas wymiennie udzielał tych samych odpowiedzi: nie, ach, tak, nie wiem, oczywiście.

Jak długo to już trwa, nie wiedział i nie miało to żadnego znaczenia.

Stopniowo ich pytania i twierdzenia stawały się coraz bardziej naciągnięte.

- Czy wiecie, że waszą matkę Rosjanie wywieźli na Syberię?

- Oczywiście.

- Nie uważacie, że to poświęcenie jest bezsensowne, że zmusimy was do przyznania się?

- Nie.

- Wiemy, że wczoraj dostaliście transport broni.

- Ach, tak.

- Gdzie ją schowaliście?

- Nie wiem.

- Wiemy także, że wy i wasi przyjaciele, którzy uciekli z kraju, wszyscy należycie do partii komunistycznej.

- Ach, tak.

- Nie uważacie, że przyjemną lampkę wam zapaliliśmy, można czytać jak z nut.

- Nie.

- Przyjemnie stać w takim świetle?

- Oczywiście.

- Może macie pragnienie?

- Nie wiem.

- Kropli wody wam nie damy i nie ruszycie się z miejsca, póki nie nabierzecie rozumu.

- Ach, tak.

- Tym razem odwołujemy się do waszego instynktu samozachowawczego i dajemy wspaniałomyślną propozycję.

- Ach, tak.

- Jeśli powiecie wszystko, co wiecie, unikniecie wszelkiej kary prócz wydalenia z kraju. To naprawdę wielkoduszna oferta.

- Oczywiście.

- Nam można ufać. Nie jesteśmy barbarzyńcami, porucznik może zaświadczyć, że dotrzymujemy obietnic. Zgadza się?

- Nie wiem.

- Jeżeli w ciągu dziesięciu minut nie przyznacie się, osobiście postawię wam kilka pytań, a będzie to dużo mniej przyjemne niż dotychczas.

- Ach, tak.

- Gdzie jest broń?

- Nie wiem.

- Współprzestępcy z Villanueva zostali aresztowani i przyznali się.

- Ach, tak.

- Nie musicie nikogo kryć, was nikt nie krył. Przemytnicy zrzucają towar na ląd w Villanueva, to już wiemy. Możecie się więc spokojnie przyznać.

- Nie wiem.

- Zostało jeszcze osiem minut, pamiętacie chyba, co mówiłem dwie minuty temu.

- Nie.

Lampa pod sufitem eksplodowała z trzaskiem, siatka zasyczała wściekle, przepalona przez tlen, gdy powietrze się wdarło. Rozgrzane odpryski szkła trafiły Willego Mohra w twarz, prawie tego nie zauważył.

W zbiorniku wciąż było nadciśnienie i opary benzyny wydobywały się na zewnątrz z sykiem, który szybko przyćmiał. Lampa zgasła. Willi Mohr z uśmiechem spojrzął na obecnych.

- Mocna rzecz — zauważył.

- Zamknąć pysk - z irytacją powiedział młodzieniec z wypomadowanymi włosami.

On także zdjął marynarkę i przysiadł bokiem na brzegu stołu. Łysy rozpiął kołnierzyk i, siedząc rozparty w krzesło, obgryzał żółty ołówek i ze zdumieniem wpatrywał się w lampę.

Porucznik Pujol trwał w niezmienionej pozycji,- nogi skrzyżowane, mundur rozpięty.

Willi Mohr czuł, że jest w zdumiewająco dobrej kondycji, spokojny, trzeźwo myślący. Przed oczyma wirowały mu jeszcze oślepiająco białe punkciki światła, ale znowu mógł dojrzeć otaczające go przedmioty i czuł się pewnie. Przypuszczalnie nie odważą się przeciągać tego zbyt długo.

Milczenie przerwał porucznik Pujol.

- Odwołuję się do pana rozsądku - powiedział - mówię jak mężczyzna do mężczyzny. Jestem oficerem i szefem policji w tym okręgu, proszę, by zechciał pan powiedzieć wszystko, o czym pan wie. Robię to jako reprezentant prawa i rządu, ale także jako człowiek honoru. Niech pan przestanie poniżać się odgrywaniem tej komedii. Jeśli pan coś wie, proszę powiedzieć. Daję panu słowo honoru hiszpańskiego oficera, że zostanie pan potraktowany poprawnie i humanitarnie. Jeśli ci panowie zapewniają, że jedyną ewentualną karą będzie wydalenie, może pan liczyć na mnie jako świadka i gwaranta tej obietnicy.

Łysy czknął. Otrząsnąwszy się jakby ze zdumienia, odwrócił się, by sięgnąć do kieszeni marynarki po cygaro.

Willi Mohr spokojnie patrzył na porucznika Pujola, starannie formułując w myśli to, co zamierzał powiedzieć.

Uznawszy, że jego znajomość hiszpańskiego na to nie wystarczy, spytał:

- Mówi pan po niemiecku albo po angielsku?

- Tak, po angielsku jako tako.

- Dobrze. Powiem wszystko, co wiem. Czyli nic. Wszystko to jest pomyłką, a ja nie jestem winien temu, o co mnie podejrzewacie i obwiniacie. Zapewniam pana, że nie należę do żadnej partii, że nigdy nie byłem komunistą, że nikt mnie

tu nie przysłał. Przyjechałem tu jako turysta, nigdy nie przemyślałem broni ani nie uprawiałem żadnej propagandy. I to wszystko, co mam do powiedzenia w tej sprawie. Nie będę grać komedii, jak pan to określił, ale nie będę też odpowiadał na następne wasze pytania, póki nie otrzymam zezwolenia na skontaktowanie się z moim konsulem. A teraz żądam, by mnie wypuszczono.

Porucznik Pujol zwrócił się do pozostałych i tłumaczył, długo i starannie. Nie wydawało się, by jego przemowa wywarła jakiegokolwiek wrażenie.

Willi Mohr czuł, że zimna wściekłość zaczyna mu rozsądzać czoło, czyniąc go bystrzejszym i pewniejszym siebie.

- Nim na dobre zamilknę - oświadczył - chcę jeszcze panu osobiście coś powiedzieć. Pan nie powinien odwoływać się do honoru oficera, jak długo pozwala pan, by ci tam tak pana traktowali... ci kretyni. Chyba tak się mówi po hiszpańsku? Na moje oko jest pan tylko ich podwładnym i reprezentantem nędznego, skorumpowanego rządu. Prócz tego jest pan tchórzem. A teraz już słowa więcej nie zamierzam powiedzieć.

Porucznik Pujol poczerwieniał, twarz mu stężała. Ręce mu dygotały, gdy dotykał pasa i bandoletów. Zagryzając wargę wyciągnął szeroki pas ze sprzączek pochwy pistoletu. Potrójnie go złożywszy, wstał.

- Żądam natychmiastowego przeproszenia — powiedział.

Willi Mohr nie odezwał się.

- Pan słyszał, co powiedziałem. Żądam przeproszenia, teraz, natychmiast.

Dwaj panowie z bezpieczeństwa przyglądali mu się z zainteresowaniem.

Postąpił krok i stanął przed Willim Mohrem nieco z boku w odległości mniejszej niż długość ramienia.

- Żądam przeproszenia - powtórzył.

Willi Mohr spojrział na niego zuchwale. Nie odważy się, pomyślał chłodno.

Tamten twarz miał wciąż purpurową, ale w jego oczach pojawił się dziecinny niemal wyraz niepewności i błagania.

- Prosić o wybaczenie — powiedział.

To nie był rozkaz, tylko prośba. Willi Mohr nie odezwał się.

Porucznik Pujol zamachnął się i z całej siły uderzył go złożonym pasem w twarz.

Pas trafił w kość policzkową tuż pod lewym okiem, a ciężka metalowa sprzączka w grzbiet nosa. Piekący ból pod okiem i rozsadzający głowę huk, gdy kość nosowa pękła, sprawiły, że Willi Mohr wbrew woli cofnął się o krok. Tak bardzo nie bolało i czuł niemal zdziwienie, gdy zahamowany nagle dopływ powietrza do nosa sprawił, że krew zaczęła ściekać po wargach i brodzie. Zakręciło mu się w głowie, zaćmiło w oczach, dostrzegł jednak, że okrągła twarz oficera wyraża tylko zdumienie i zmieszanie. Mimochodem też zauważył, że łysy obcina właśnie koniuszek cygara.

- To już lepiej, poruczniku - powiedział ten z przedziałkiem. Zeskoczył ze stołu i wyjął z kieszeni marynarki parę rękawiczek.

- Trzeba to było zrobić trzy miesiące temu - dodał obchodząc stół.

Wciągnął rękawiczki, kilkakrotnie poruszył palcami, jakby chciał je rozprostować.

- No - powiedział i uderzył.

Był to znakomity cios, mocny, szybki, precyzyjny, trafił tuż pod żebra, między pępek a górną krawędź kości biodrowej. Willi Mohr nie upadł, tylko wciągnął powietrze i jęknął z otwartymi ustami.

- No - powiedział człowiek z przedziałkiem i ze zdumiewającą dokładnością uderzył w to samo miejsce.

Willi Mohr jęczał głośno, pociemniało mu w oczach.

- Daję wam piętnaście sekund. Potem to powtórzę.

- Nie zna pan Vicenta - powiedział łysy. - On może długo, tyle ile trzeba.

- Czy to naprawdę konieczne? - spytał porucznik Pujol.

- A kto zaczął? - powiedział Vicente. - To przynajmniej podłogi nie zaświni.

Znowu uderzył, trzeci raz w to samo miejsce. Willi Mohr upadł. Leżał na boku zwinięty w kłębek, z ramionami przy-

ciśniętymi do przepony.

- No - powiedział Vicente pochylając się nad nim. - I tym razem piętnaście sekund. Potem będzie gorzej.

Zdjął rękawiczki, przeszedł na drugą stronę leżącego, z roztargnieniem spojrzął na zegarek, i od tyłu kopnął leżącego, trafiając szpicem buta dokładnie między nogi.

Ból był nieprawdopodobnie dotkliwy i przenikliwy. Willi Mohr zawył głośno i urywanie, przeturlał się na drugi bok, wysoko podciągając nogi. Podświadomy zabieg ochronny. W kilka sekund później przewrócił się na wznak i leżał nieruchomo z półprzymkniętymi oczyma, wyciągniętymi nogami i ramionami szeroko rozrzuconymi.

- Cholera - powiedział Vicente i na próbę kopnął go poniżej lewego kolana.

Willi Mohr nie zaregował.

Nie był jednak nieprzytomny. Nieprawdopodobny ból ustał, nie czuł w ogóle, czy ma jeszcze jakiś organ bądź część ciała, która mogłaby go jeszcze zabołec. Słuch jednak funkcjonował. Słyszał, co mówią obecni w pokoju.

- To się już na nic nie zda - powiedział Vincente.

- Wszystko razem strata czasu - powiedział łysy. - Gdzie jest raport dotyczący tego wypadku? I po dłuższej chwili:

- Co to jest? Jakaś rozprawa doktorska? Gdzie jest człowiek, który to sporządził?

- Nie wiem - powiedział porucznik Pujol.

- Kto to jest Santiago Alemany? Niewiarygodne niedbalstwo. Czy w ogóle są jakieś dowody przeciw temu kretynowi, czy też zupełnie bez potrzeby traciliśmy tu nad nim czas?

- Tym wypadkiem zajmował się sierżant Tornilla.

- Przyjmujemy do wiadomości. Najlepiej, żeby on sam w dalszym ciągu się tym zajmował. Telegraf funkcjonuje?

- Otwierają o siódmej.

- Cóż, znakomicie. O tej porze pewnie połowa prowincji już będzie ogarnięta buntem, a my tu siedzimy. Tu się chyba nic nie zdarzy. Ludzie, którzy wytrzymują waszą elektrownię, nie przemycają broni. Wszystko to jest oczywiście całkowitą pomyłką.

Nieco później:

- Przestało padać.

- Pierwsza dobra wiadomość od czasu, jak tu przyjechaliśmy. Zostawiamy to w pana i sierżanta rękach. Tak z pewnością będzie najlepiej dla obu stron.

- Rozwidnia się.

- Zatroszczcie się o to, żeby ten bydlak wam nie umarł. Mogłyby być nieprzyjemności. Jeżeli raz jeszcze zostaną tu odkomenderowany, poproszę o zwolnienie.

- U diabła, chyba nie umarł?

Potem zapanowała cisza.

Willi Mohr nie umarł. Zasnął.

5

Całkowicie wrócił do przytomności; w pokoju był jedynie protokolant w drelichowym uniformie.

Nawiązali rozmowę.

- Umyłem tylko pana i obandażowałem twarz. Zabiorę pana do lekarza.

- Nie trzeba.

- Porucznik tak powiedział. To rozkaz.

- Nie warto.

- Chwileczkę, pomogę panu. Tak, jednak trzyma się pan na nogach i krew już nie leci.

- Która godzina?

- Po ósmej. Czy mogę panu...

- Nie. Już powiedziałem. Nie trzeba.

- Mogę zadzwonić do lekarza. Światła jeszcze nie ma, ale telefony działają.

- Nie warto. Sam pójdę, jeżeli będzie trzeba.

- Panu trudno będzie iść.

- Wkrótce będzie lepiej. Gdzie jest sierżant Tornilla?

- Nie wiem, może w swoim pokoju. A jeżeli nie, to wkrótce przyjdzie.

Willi Mohr opuścił pokój, kiedy wolno zmierzał ku drzwiom, zapaliło się światło elektryczne.

Wyszedł do sieni, w odległości jakichś pięciu metrów od drzwi pokoju, w którym zwykle bywał.

Drzwi Tornilli były zamknięte, na pukanie nikt nie odpowiedział. Przeszedł na przeciwną stronę sieni i usiadł na ławce.

Ostrożnie dotknął wypukłego i z pewnością bardzo nieumiejętnie założonego opatrunku. Składał się chyba wyłącznie z waty i pasków przylepca. Nos miał całkowicie zatkany, ale to uszkodzenie nie bardzo bolało, słabo tylko i ćmiąco. Natomiast w pachwinach piekło jak ogniem i całe podbrzusze było jakies zdrętwiałe, półmartwe. Ból w przeponie dawał się jakoś znieść, choć czuł go przy każdym oddechu. Dopasował swe rozbite ciało do ławki. O niczym nie myślał. Czekał.

Przestało padać, ale ten skrawek nieba, który mógł dojrzeć, wciąż był szary, zaciągnięty chmurami.

Siedział już tak chyba z pół godziny, kiedy do sieni wszedł porucznik Pujol.

Wydawało się, że z początku zamierzał minąć siedzącego na ławce nie zauważając go, potem zwolnił jednak kroku i odwrócił się.

- Był pan u lekarza? - spytał.

- Nie.

- Dlaczego pan tu siedzi?

- Czekaam na sierżanta Tornillę.

- Dlaczego?

- Chcę z nim porozmawiać.

- Nie wiem, kiedy przyjdzie. Może mógłby pan pomówić ze mną.

- Wolę zaczekać.

- Jak pan chce.

Zamierzał pójść dalej, ale raz jeszcze zatrzymał się i powiedział z wahaniem:

- Muszę zaznaczyć, że ja... że ubolewam nad tym, co się stało w nocy... w dużej części była to pana własna wina, jednak...

Urwał, a Willi Mohr nic nie powiedział. Porucznik Pujol, zmieszany, zakaszłał i poszedł do siebie.

W godzinę później sierżant Tornilla zsiadł z roweru przed

bramą. Odprowadził rower na stojak za bramą, wyjął z futerału pęk kluczy i otworzył drzwi swego pokoju.

- Dzień dobry — powiedział przyjaźnie do siedzącego na ławce. - Nie wygląda pan zbyt dobrze. Nawet bardzo żałośnie.

Przed przekroczeniem progu zdjął szcztokę z haczyka po wewnętrznej stronie futryny i starannie usunął kilka okruchów gliny z cholew długich butów. Był, jak zawsze, wyświeżony, odprasowany i starannie ogolony.

- Czekał pan na mnie? - powiedział. - Mam nadzieję, że niezbyt długo.

- Chcę z panem pomówić.

- Chętnie, proszę wejść.

Przytrzymał drzwi, w które Willi Mohr wszedł chromając.

- No, proszę, nasi maszyniści raz jeszcze dokonali cudu - powiedział sierżant Tornilla, przekręciwszy włącznik.

Willi Mohr, nie czekając na zaproszenie, usiadł na ławce, a tamten obszedł biurko, poprawił kozią skórę na swoim fotelu i usiadł. Zajrzał za telefon i potrząsnął głową. Potem wyciągnął jedną z szuflad i rozjaśnił się. Wyjął nie naruszoną paczkę bisontów, rozciął nożyczkami opakowanie, stuknął paczką o kant blatu i poczęstował.

Willi Mohr odmownie pokręcił głową.

- Chcę z panem pomówić - powiedział.

- Ach, prawda. Mam bardzo dużo roboty, ale dla pana zawsze znajdę czas. Przykro mi, że musiał pan czekać, ale ja miałem rzeczywiście bardzo pracowitą i uciążliwą noc.

Z ubolewaniem przyjrzał się Willemu i pospieszył dodać:

- Tak, choć oczywiście nic to nie znaczy w porównaniu z tym, co pan przeżył. Panu chyba zdarzyło się coś złego. Mam nadzieję, jak już powiedziałem, że nie czekał pan zbyt długo. Byłem tu około siódmej, ale wtedy pana nie widziałem.

Umilkł.

Willi Mohr potrząsnął głową i chrząknął, by wypróbować gardło. Zanim zdążył coś powiedzieć, Tornilla podniósł palec i przerwał mu:

- Proszę się jednak nie spieszyć. Nie musi pan tego robić ze

względu na mnie.

Usadowił się wygodnie, przygotował do słuchania.

- Pan mówił, że coś przed panem ukrywam - rzekł Willi Mohr. - Miał pan rację. Ramón Alemany nie uciekł z jachtu w Ajaccio. Ja go zabiłem. To nie był nieszczęśliwy wypadek, tylko morderstwo, dokładnie zaplanowane i przemyślane. Potem odkryłem pieniądze i ukradłem mu je, prawie trzydzieści tysięcy pesetów.

W pokoju zapanowała cisza. Po kilku minutach sierżant Tornilla powiedział:

- Będzie dla pana pomocą, jeżeli coś powiem? Mogę na przykład spytać: Dlaczego pan to zrobił?

- Sądziłem, że on zabił Dana Pedersena, Skandynawa, u którego zamieszkałem po przybyciu tu, i że zgwałcił jego żonę Siglinde Pedersen. Nie mogłem tego udowodnić, ale mnóstwo podejrzanych szczegółów upewniło mnie, że mam rację. Chciałem pomsty i całymi miesiącami śledziłem Ramona Alemany i jego brata. Dlatego zaciągnąłem się do tego Anglika. Potem czekałem tylko na okazję. Nie spuszczałem go z oczu, osaczyłem go, on to wreszcie zrozumiał i coraz bardziej się bał. Był fizycznie odważny, moralnie tchórzliwy.

Znowu nastąpiła pauza. Wyglądało na to, że Tornilla zastanawia się, w jaki sposób mógłby okazać się pomocny. W końcu powiedział życzliwie:

- A kiedy to się stało?

- Wieczorem dwudziestego czwartego kwietnia, kiedy francuska policja odstawiła nas do nabrzeża. Upił się dlatego, że się bał. Ja cały czas zdawałem sobie z tego sprawę. Był oszalały z przerażenia. Kiedy już jakąś godzinę byliśmy w kajucie, trochę otrzeźwiał, przypuszczam, że też ze strachu. Wtedy oskarżyłem go o to, co według moich przypuszczeń zrobił. A potem świadomie odwróciłem się do niego plecami. Ale cały czas miałem się na baczności. Chciałem, żeby to on zaczął, żeby wykonanie wyroku nastąpiło z jego inicjatywy. Przewidywałem, że jedynie w ten sposób potrafię go zabić. Okazało się, że dobrze to sobie wykalkulowałem, a jednak było to bardzo trudne. Gdy odwróciłem się plecami,

wyciągnął nóż, rozbroiłem go. Próbował mnie zabić gołymi rękami. Cały czas był ze strachu. To było okropne. Był silny, miałem jednak pod każdym względem przewagę. Nawet fizyczną, byłem wtedy w bardzo dobrej formie. Powaliłem go, pełzał po podłodze, skamłając, błagając o życie, wzywając świętych, ludzi i bogów, na zmianę to przyznawał się, to przysięgał na swoją niewinność. Próbował uciec, ale nie miał się gdzie schować. Wiele minut trwało, nim go uderzyłem tak mocno, że wreszcie stracił przytomność. Wiele razy z całej siły tłukłem jego głową o podłogę. Może wtedy umarł. Nie wiem. Zebrałem wszystkie jego rzeczy do worka, włożyłem też dla obciążenia kilka dużych kamieni. Wtedy właśnie odkryłem pieniądze i ukradłem je. Potem powiosłowałem do opuszczonego jachtu i zabrałem stamtąd łańcuch kotwiczny. Zniosłem ciało do jolki i okręciłem je łańcuchem mnóstwo razy. Opłynąłem molo aż do wyjścia w otwarte morze, wiedziałem, że tam jest głęboko, zepchnąłem do wody ciało i marynarski worek. Po powrocie zostawiłem linkę zwieszoną, a jolkę spuściłem. Potem sprzątnąłem wszędzie i położyłem się. Nie mogłem zasnąć i od tamtej nocy nie mogę zapomnieć o żadnym szczególe tego wydarzenia. Tak było i jeżeli pan chce spisać protokół, zanim mnie pan zamknie, mogę go podpisać.

Tornilla poruszył się, ale Willi Mohr ciągnął dalej:

- Proszę zaczekać, jeśli pan może. Jest jeszcze kilka spraw, o których chcę powiedzieć. Wróciłem tu, bo postanowiłem, zanim mnie złapią, zabić także Santiaga Alemany. Przez cały czas wierzyłem, że to zrobię, ale nie zrobiłem, choć wiele razy miałem okazję. Mam przecież pistolet, który udało mi się przemycić, kiedy przyjechałem do Hiszpanii.

- Gdzie on jest teraz? — spytał Tornilla.

- W domu. Przy Barrio Son Jofre. Leży w plecaku na samym wierzchu.

Zapukano do drzwi i gwardzista, którego Willi nigdy przedtem nie widział, wszedł z telegramem. Tornilla rozerwał i przeczytał marszcząc brwi. Potem znowu spojrzął na Willego Mohra i uśmiechnął się.

- Służba - powiedział. - Pełna komplikacji. A telefony

znowu nieczynne. Proszę mówić dalej.

- Jeszcze jedno chcę powiedzieć. Wiem, o co mnie pan podejrzewał. Właśnie pod tym względem jestem prawie zupełnie niewinny. Nie uprawiałem żadnej politycznej działalności i nie przemyślałem broni. I o tym wszystkim prawie nic nie wiem. O wydarzeniach w Santa Margarita, o których pan wspomniał, nigdy przedtem nie słyszałem. Przysięgam, że to prawda. Nigdy nie przewoziłem broni z miejsca na miejsce i nie robiłem nic, co byłoby niedozwolone.

Sierżant Tornilla spoważniał i wykonał jeden ze swych stałych gestów. Zetknął czubki palców obu dłoni.

- Wierzę panu — powiedział.

- Prawie zawsze mówiłem panu prawdę. Przemilczałem tylko dwie rzeczy. Że zamordowałem Ramona Alemany i że zamierzam pozabawić życia także jego brata. Nie wiem, dlaczego o tym wszystkim teraz opowiadam. Nie dlatego, że mnie tak okrutnie potraktowano tu na posterunku dziś w nocy. W każdym razie wydaje mi się, że nie dlatego.

Znowu zapanowała cisza.

Nagle zadzwonił telefon, głośno i przenikliwie.

- No, proszę - powiedział Tornilla. - A od wczorajszego wieczoru prawie bez przerwy nie działał. Pan pozwoli...

Podniósł słuchawkę i zdawał się słuchać jakiegoś meldunku. Parę razy potakiwał, ale wypowiadał tylko pojedyncze słowa, najczęściej tak lub nie.

Raz tylko powiedział:

- To się okaże za kilka godzin.

Odłożył słuchawkę, coś zanotował na kartce papieru, potem powiedział:

- Przepraszam, nie liczyłem na pańską wizytę, więc muszę jednocześnie kilka spraw załatwiać.

Willi Mohr chwilę siedział w milczeniu, oddychając ciężko i nierówno, ale to z powodu zatkanego nosa.

- Myślę, że to już wszystko - powiedział.

Po dalszych kilku minutach dodał:

- Właściwie dziś właśnie zamierzałem stąd wyjechać.

Tornilla okazał pewne zdziwienie, unosząc brwi i prze-

chylając głowę w bok.

- Ach, tak? Zamierzał pan opuścić nasz kraj?

- Tak.

- Nie czuje się pan tu dobrze?

- Nie. Im więcej widzę, tym gorzej się czuję. Jeśli trafnie oceniam sytuację, to wydaje mi się ona nietrwąca. I odstręczająca.

- Gdzie zamierzał pan jechać?

- Do stolicy prowincji. A potem do domu.

- Do Niemiec Zachodnich?

- Nie, do Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

- Żeby zostać komunistą?

- Nie wiem.

- Pan jest rzeczywiście zagubiony - powiedział Tornilla ze smutkiem.

Znowu milczenie, długie i czujne, jak gdyby obaj na coś czekali.

Człowiek w fotelu wpatrywał się w swego interesanta, nieprzerwanie i z namysłem. Po długotrwałym milczeniu rzekł wreszcie:

- Pan spodziewa się, że ja coś zrobię?

Willi Mohr rozejrzał się zmieszany.

- Oczywiście, że mnie pan zaaresztuje - powiedział wzruszając ramionami.

- Dlaczego?

- Przecież zamordowałem człowieka.

Sierżant Tornilla długo wyjmował z paczki i zapalał papierosa. Parę razy wydmuchnął dym, śledząc go spojrzeniem, póki się nie rozplątał pod lampą z zielonym kloszem.

- Choćbym chciał, nie mogę pana zamknąć za przestępstwo popełnione w innym kraju. Nie ma zwłok i nikt nie stwierdził, że Ramón Alemany nie żyje. Prócz pana. Pan chyba słyszał o corpus delicti? Poza tym, jeżeli pana relacja jest zgodna z prawdą, wypadek ten trzeba by uznać za zabójstwo w obronie własnej. Nawet postawiony przed sądem, będąc jednocześnie jedynym świadkiem, najprawdopodobniej zostałby pan uniewinniony.

- Ale przecież ja go naprawdę zabiłem.
- Nawet mnie udało się to w końcu pojąć — powiedział sierżant Tornilla z przyjaznym uśmiechem.
- Musiałem to zrobić, nie mogłem zwrócić się do policji, nie było żadnych dowodów i nie znałem języka.
- Rozumiem.
- Ale co zamierza pan zrobić?
- Nic. Cóż mógłbym zrobić?
- To znaczy, że mogę stąd wyjść?
- Oczywiście.
- I wyjechać dziś, jeżeli zechcę?
- Nie mogą panu przeszkodzić. Oczywiście, jeżeli nie popełni pan przedtem jakiegoś przestępstwa. Czy zapłacił pan Amadeo Prunerze za chrust?
- Nie.
- Niech pan to zrobi.
- Mam przecież jeszcze pistolet.

Sierżant Tornilla uśmiechnął się tajemniczo. Wyciągnął jedną z szuflad i położył na stole Walthera. Willi Mohr natychmiast go poznał po plamach rdzy. Do kolby przyczepiony był ostemplowany kartonik.

- Z pewnych powodów dziś wczesnym rankiem dokonano rewizji w pana domu. Moi ludzie znaleźli to w plecaku, jak mi powiedziano. Nie było żadnego powodu, by zabrać stamtąd cokolwiek więcej.

Wskazując na pistolet, dodał z wyrzutem:

- Niezbyt dobrze się pan z nim obchodził. Cóż, nie zostanie panu zwrócony. W takich wypadkach karą jest strata przedmiotu zarekwirowanego. Otrzyma pan natomiast pokwitowanie. Już dziś zlecę wysłanie go.

- A więc mogę sobie iść?

- Oczywiście.

- I wyjechać?

- Oczywiście.

- Nie przyjechałem do Hiszpanii, żeby przemycać broń.

- Wierzę panu.

- Wyjadę jak najszybciej. Może jeszcze dziś.

Sierżant Tornilla wstał.

- Mam wprawdzie wątpliwości, czy pańska decyzja jest rozsądna, ale to nie moja rzecz.

Delikatnie wziął Willego za ramię i podprowadził do drzwi, otworzył je i wyciągnął rękę.

- Życzę szczęścia - powiedział.

Willi Mohr zatrzymał się w progu.

- Ja naprawdę wyjadę - powiedział. -1 nie zamierzam... Już nie zamierzam pozbawić życia tego drugiego.

Tornilla nad jego głową spoglądał na dwóch gwardzistów, którzy w bramie ładowali amunicję na wózek. Potem powiedział z roztargnieniem:

- I w tym punkcie wierzę panu. Zresztą byłoby na to za późno. Santiago Alemany został aresztowany w puerto dziś rano tuż przed szóstą, jako podejrzany o wiele ciężkich przestępstw. Stawiał opór i został zraniony, nim go ujęto. Dość ciężko, jak mi się zdaje. Przewieziono go do szpitala wojskowego, kilka mil stąd, i jak słyszałem, lekarze nie robią nadziei. Teraz, po kilku godzinach, on już przypuszczalnie... zresztą, nic o tym nie wiem...

Zadzwoił telefon. Uśmiechnął się przepraszająco i zamknął drzwi za Willim Mohrem.

6

Powoli, niezdarnie i kuśtykając Willi Mohr szedł prostą drogą między drzewami oliwnymi. Potem wszedł w wąską wyboistą ulicę, przy której mieszkał gwardzista z siwymi wąsami, przeciął rynek, nie spojrzawszy na Café Central i podążał dalej awenidą z jej poszarzałymi od deszczu fasadami domów i z ozdobną kamienną okładziną. Miał zupełną pewność, że idzie tą drogą po raz ostatni.

Przez całą drogę sam sobie powtarzał kilka łatwych i uproszczonych stwierdzeń. Nic mnie to już nie obchodzi. Teraz już minęło. Wszyscy nie żyją, już mnie to nie gnębi. Chcę żyć. Teraz mam szansę.

Chociaż Tornilla wcale tego nie powiedział, doszedł do

przekonania, że Santiago Alemany dostał postrzał w brzuch i umarł dopiero w trzy, cztery godziny później.

Podczas całej wędrówki przez miasto nie zauważył ani jednego przechodnia, nic w ogóle. Dopiero gdy dotarł do wejścia w zaułek Bario Son Jofre, przystanął, by przysłuchać się czemuś, co nie od razu rozpoznał. Ale już po kilku sekundach zrozumiał, że to szum i plusk strumieni spływających z gór przez wydrążone pod ziemią koryta.

Drzwi domu były zamknięte, klucz tkwił po zewnętrznej stronie. Wszedł, rozejrzał się, wszystko było jak przedtem, tylko przybyły liczne ślady zabłoconych stóp.

Znowu wyszedł przed dom. Ciężarówka stała tam jak zawsze. Siedem miesięcy minęło od czasu, gdy nią jechał, ale niewiele ponad tydzień od próbnego zapuszczenia silnika, więc powinien funkcjonować. W zbiorniku było dość benzyny, starczy do stolicy prowincji.

Samolot leciał nisko nad miastem, nad grzbietem górskim uniósł się nieco. Powolny, szary samolot wojskowy, nie rozpoznał, jaki to typ, w każdym razie daleko mu do nowoczesności. Ponieważ nigdy przedtem nie widział nad miastem samolotu, przeprowadził go wzrokiem i ten epizod przywrócił mu nagle poczucie rzeczywistości i otaczającego go świata.

Rozejrzał się i zauważył to i owo. Na przykład sukę zwiniętą u jego nóg i małego bosego chłopca stojącego w cieniu domów zaułka, i to, że słońce zaczyna się przebijać przez warstwę chmur po wchodniej stronie, nad morzem. Co zrobić z suką? Zabrać z sobą? Wygnać ją? Znaleźć kogoś, kto by się nią zajął? Tylko kogo?

Zastanawiając się nad tym problemem, wszedł do pokoju i zaczął dość bezładnie zbierać porozrzucane rzeczy.

Był właśnie w kuchni, kiedy na rozjaśniony słońcem brzeg podłogi padł cień i rozległo się pukanie do drzwi, zdecydowane i energiczne.

Na schodkach stał mały gwardzista o kociej twarzy.

Nie, pomyślał Willi Mohr, to niemożliwe. To nie może być prawdą.

Gwardzista wsunął rękę w zanadrze i wyjął brązową kopertę

z urzędowym stemplem.

- Od sierżanta Tornilli - powiedział salutując.

Gwardzista odszedł, nim Willi Mohr zdążył rozerwać kopertę i stwierdzić, że zawiera pokwitowanie na pistolet.

W lewym górnym rogu pokwitowania przypięta była karteczka, na której sierżant Tornilla starannym, w tył odchylonym piśmem przypominał:

Chyba pamięta pan o Amadeo Prunerze?

Willi Mohr poczuł ucisk bandaża na twarzy. Chyba dlatego, że się uśmiechnął. A uśmiechnął się, bo już od bardzo dawna, od ponad roku tak się nie przestraszył.

Znowu zabrał się do zbierania swych rzeczy, bardziej systematycznie, choć leniwie i trochę lunatycznie. Pomyślał o suce i mruknął:

- Muszę ją zabrać ze sobą.

Coś zaszeleściło przy drzwiach, odwrócił się. Ten mały oberwaniec, którego zauważył przedtem w zaułku, postawił na progu jedną nogę, ostrożnie, w każdej chwili gotów do ucieczki.

- Pan jest Niemiec?

Willi Mohr skinął głową.

- Ale na pewno?

Chłopiec postąpił dwa kroki, ostrożnie i podejrzliwie, jak kot w obcym domu. Wyciągnął zaciśniętą pięść, otworzył ją, na brudnej dłoni leżał zmięty i mocno zwinięty strzęp papieru.

Willi Mohr nic nie rozumiał i kilka sekund upłynęło, nim zdecydował się sięgnąć po karteczkę i rozprostować ją. Na odwrotnej stronie starej koperty coś napisano ołówkiem, nierówno i wężykowato, jakby pisano po ciemku.

Zabrać, 600 metrów od skrzyżowania boczna droga
prawo lewo druga zagroda od rozstaju. Opuszczona.

W dużym domu pod schodami.

Zostawić S. Margarita garaż Fontaneta.

prawa przy wjeździe brązowy Dodge załadowany
drzewem. Nikogo w garażu. Koniecznie przed trzecią.

Ostatnie zdanie piszący podkreślił niepewną ręką, a nieco niżej bardzo pospiesznie nabazgrał jeszcze pięć słów:

Wpadłem teraz posyłam pieniądze benzyna.

Willi Mohr dwukrotnie przeczytał tekst. Jego mózg kojarzył powoli i niepewnie. Długo patrzył na chłopca, nim spytał:

- Kto ci to dał?

- Santiago, panie.

- Pokazywałeś to komuś?

- Nie, panie.

- A ty sam przeczytałeś?

- Nie umiem czytać, panie.

- Jak tu trafiłeś?

- Biegłem, ale nie odważyłem się przyjść wcześniej.

- Gdzie jest Santiago?

- Nie wiem. Wbiegł do składu ryb i huknęło. Gwardziści też tam byli.

Chłopiec mógł mieć z jedenaście lat. Był obszarpany i brudny, widać było, że musiał się bardzo spocić, bo na ciemnej twarzy znaczyły się jaśniejsze bruzdy. Sięgnąwszy pod lichą koszulinę, wygrzebał zwitek wystrzępionych banknotów.

- To wszystko, panie.

Banknoty były stupesetowe. Willi Mohr podziękował, potem dwa z nich dał chłopcu, który otworzył usta ze zdumienia.

- Możesz iść — powiedział Willi Mohr — ale musisz przyrzec, że nic nikomu nie powiesz.

- Tak, panie - powiedział dzieciak, cofając się ku drzwiom.

- Zresztą, zaczekaj jeszcze.

Willi Mohr oddzielił jeszcze dwa banknoty. Zawinał je starannie w kawałek pakunkowego papieru, na którym napisał czerwoną kredką, przypadkowo leżącą na schodach: Dla Amadeo Prunery za chrust od Niemca.

- Weź to, idź i usiądź sobie gdzieś, tak żeby nikt cię nie widział. Czekaj, aż zobaczysz, że wyjeżdżam stąd samochodem. Potem poczekaj jeszcze dwie godziny, a potem odnajdziesz tego, kto się nazywa Amadeo Prunera, i dasz mu to.

- Nie mam zegarka, panie.

- Słuchaj dzwonięcia z kościoła. Jak dzwon uderzy trzy razy, możesz iść. Zrozumiałeś?

- Tak, panie.

Dziecko wycofało się ku drzwiom, zniknęło.

Willi Mohr usiadł na schodach wiodących na górę i wpatrywał się w otwarte drzwi. Rój much wirował w przebijającym się przez chmury słońcu. Siedział tak zupełnie nieruchomo ze dwadzieścia minut.

Potem spojrzał na zegarek. Wskazywał kwadrans po pierwszej.

Wstał i wzięwszy miotłę poszedł sprzątnąć w samochodzie. Następnie zaczął wynosić z domu swą chudobę. Niewiele tego było i po dziesięciu minutach wszystko zostało upchnięte między i pod ławkami, ubranie, przybory malarskie, obrazy. Do kieszeni włożył tylko dwie rzeczy: paszport i notes.

Wróciwszy na poprzednie miejsce na schodach, Willi Mohr rozwinął papierek od Santiaga i przeczytał go z dziesięć razy. Potem poszedł do kuchni, podarł papierek i strzępki położył na palenisku. Wyjął notes, systematycznie jedna za drugą wyrwał wszystkie kartki, zmiął każdą oddzielnie, ułożył z nich kupkę na palenisku, potarł zapalką o siarniczkę i zapalił. Stał, póki mała piramidka nie zmieniła się w popiół, bielejący na okopconych kamieniach.

Willi Mohr opuścił dom przy Barrio Son Jofre, zamknął drzwi pozostawiając w nich klucz. Wziął sukę za skórę na karku i wsadził na platformę. Potem pochylił się nad chłodnicą i pokręcił korbą. Długo to musiał robić, nim silnik zakroczył i po jeszcze jednym obrocie zawarczał.

Jeszcze raz rozejrzał się i pomachał na pożegnanie kotu, który właśnie przemykał zza węgła.

- Cześć - powiedział Willi Mohr.

Wdrapał się na kamionetkę i ruszył.

Na skrzyżowaniu dróg stało dwóch gwardzistów z karabinami na plecach. Palili. Jeden podniósł rękę w niewyraźnym geście, który mógł oznaczać zarówno pozdrowienie, jak i znak zatrzymania się.

Willy Mohr zahamował. Jeden z gwardzistów niedbale spojrzał na bagaż, uchylił róg koca i na chybił trafił wsunął rękę pod stos odzieży, płócien i różnych rupieci. Drugi poszedł do szoferki i krzyknął:

- Przeprowadza się pan?

Willy Mohr wychylił się i starał się również zagłuszyć huk silnika:

- Tak, ale zaraz wracam. Jadę tylko do puerto, zostawić sukę.

- Tyle kłopotu z suką. Mogę ją panu zastrzelić, jeżeli pan chce - odkrzyknął gwardzista.

Roześmiał się i machnął ręką. Willy Mohr odjechał.

Boczna droga była wąska, kręta i kamienista, kamionetkę zarzucało raz po raz. Pierwsza z opuszczonych zagród leżała tuż za rozstajem, a druga znajdowała się o jakieś sześćset, siedemset metrów dalej. Willy Mohr wjechał na kamienisty dziedziniec i stanął.

Było to dobrze wybrane miejsce, wciśnięte między porośnięte krzewami, niedostępne skały, dobrze ukryte przed wglądem przez zdziczałe tarasowato opadające pola. Dom mieszkalny, zbudowany z kanciastych bloków żółtego kamienia, był na pół ruiną. Żuraw wyschłej studni ukośnie sterczał w niebo jak nagrobna pamiątka daremnego rolniczego trudu.

Wewnątrz domu powietrze było rozgrzane i zatechłe. Stopy grzęzły w rozmokłej po deszczu glinie klepiska. Ciężki smród i miriady bzycających much wskazywały drogę do skrzynek ustawionych pod zapadniętymi schodami.

Willy Mohr wyciągnął skrzynki jedną po drugiej, przewracał je do góry dnem i wynosił broń do kamionetki. Pozostawały kupki ryb i odpadków z rzeźni. We flakach i świńskich żołądkach roiły się już robaki.

Z pół godziny pracował nad właściwym załadowaniem. Broń, granaty ręczne i amunicja zostały dobrze ukryte pod jego skromnym dobytkiem. Pozostał mu pistolet maszynowy, którego nie miał odwagi ukryć. Niosąc go do studni próbował odcyfrować czeski napis na lufie. Wpuścił broń do wyschłej studni i wrócił do samochodu, zszedł z ciężarówką i włączył silnik. Gdy obejrzał się przy pierwszym zakręcie, zwierzę było już daleko w tyle.

Gwardziści przy skrzyżowaniu nie zostali zmienieni. Gdy

przejeżdżał, uśmiechnęli się i zasalutowali niedbale.

Willy Mohr wy dostał się na główną drogę. Nacisnął pedał aż do oporu i wjechał w pierwszą pętlę serpentyny. Wysoko ponad sobą widział przełęcz w górskim łańcuchu, którego kontur migotliwie rysował się na jasnym tle rozświetlonego nieba.

Kamionetka pomrukując i trzeszcząc pięła się w górę.

Napięcie sprawiło, że poczuł ból w przeponie. Musiał wciągnąć brzuch i pochylić się nad kierownicą.

Potem pomyślał, że jest mało prawdopodobne, by była jeszcze jakaś blokada w tym dystrykcie o tej porze dnia, a jeśli jest jakaś, to po tej stronie przełęczy. Po drugiej stronie jechało się z góry, a potem zaraz będzie w sąsiednim dystrykcie i będzie mógł znowu skorzystać z przywileju należnego mu jako cudzoziemcowi.

Uspokoił się, przypomniał sobie gwardzistów na skrzyżowaniu. Będą się śmieli widząc nadbiegającą sukę, pomyślał, że zdążyła przybiec z puerto. Miał nadzieję, że jej nic zastrzela.

Był już w połowie serpentyny. Przełęcz zdawała się wznosić tuż nad nim. Czuł, że stanowi jedność z samochodem, funkcjonuje jak integralna część racjonalnej, świadomej celu maszynierii. Stary silnik brzęczał i warczał, ale czuł go, wiedział, że nie zawiedzie.

Niebo zupełnie się przejaśniło, słońce piekło w plecy i ramiona. Następny zakręt. I następny. I następny. Powoli, ale jednak był już prawie na szczycie. Wiedział, że z każdym metrem zmniejsza się możliwość, by ci z posterunku zadali sobie trud wjechania tu, pedału na swych rowerach. Bezpośrednio potem pomyślał, że właśnie popełnia przestępstwo, które mu z góry chciano przypisać.

Tuż przed przełęczą wyminął wózek zaprzęgnięty w osła, a wyładowany łachami i złomem żelaznym.

Przejechał ostatnią pętlę. Był na samej górze.

Przełęcz była pusta.

Wygasił silnik, ciężarówka stoczyła się ze szczytu, postawił stopę na hamulcu i stanął przy niskiej kamiennej barierze.

Po drugiej stronie szczytu droga przedstawiała się zupełnie inaczej. Nie wiała się serpentydami, tylko prowadziła w dół długim śmiałym łukiem wzdłuż górskich zboczy. Stąd, z góry, mógł objąć wzrokiem wiele kilometrów drogi w głąb sąsiedniego dystryktu. Cały odcinek, jaki mógł dostrzec, był pusty i cichy, ani pojazdów, ani ludzi.

Siedział jednak, wsłuchując się w twarde, metaliczny, urywany dźwięk silnika, który stygł. Czekał, aż ten staruszek z wózkiem złomu go minie, wreszcie przeczłapał, z pochyłą głową, w takim samym rytmie jak osioł.

- Dzień dobry - powiedział staruszek nie podnosząc oczu.

— Dzień dobry — powiedział Willy Mohr.

Obserwował wózek, póki nie stał się maleńkim punkcikiem, który zniknął w dali za wystającą skałą.

Przez cały czas poruszał się w jednakowym tempie. Nikt go nie zatrzymywał. Droga wolna.

Willy Mohr zwolnił pedał, ciężarówka toczyła się początkowo wolno, potem z coraz większym przyspieszeniem. Uśmiechnął się, poczuł ucisk plastra. Po raz pierwszy w życiu robił coś pożytecznego, co wydawało mu się usprawiedliwione i sensowne. Rozkoszował się tą sytuacją i świadomością, że panuje nad cicho staczającym się wozem. Połowę jezdni, czasem nawet więcej, zajmowały usypiska kamieni i żwiru, które deszcz splukał z gór. Ale on umiał prowadzić wóz i omijał je bez większej trudności.

Miał już dość dużą prędkość i przy wejściu w pierwszy ostry zakręt zaczął wyhamowywać. Mechanizm zaciął się na ułamek sekundy, potem zupełnie puścił i pedał hamulca nieodwracalnie opadł.

Zdążył pomyśleć: To nic, wyhamuję silnikiem.

Wyjechał z krzywej i zobaczył gwardzistę wypadającego na drogę i dającego znak zatrzymania. Dwaj inni stali na skraju drogi. Ich rowery leżały pod krzakiem.

Nie miał wyboru. Przejechał. Gwardzista na jezdni ledwie zdążył uskoczyć, gdy go mijał, potem został za nim. Nikt nie strzelił.

Wcale nie czuł strachu. Z szybkością błyskawicy przemknęła

mu myśl, że przejechał i właściwie ma jeszcze szanse wydostania się. Przede wszystkim powinien oddalić się od nich, a poza tym jest ze dwadzieścia sposobów oszukania ich. Może skrócić w pierwszą lepszą boczną drogę. Może zatrzymać się przy pierwszej odpowiedniej kryjówce, wyładować to przemycone dobro, zawrócić, a potem je zabrać. Może...

O trzysta metrów poniżej miejsca zatrzymania stał rower oparty o ścianę skalną. A nieco wyżej na zboczu góry leżał ten gwardzista w średnim wieku, o sennej twarzy i szczeniastych siwych wąsach. Wymierzył spokojnie i zastrzelił Willego Mohra z odległości mniejszej niż pięćdziesiąt kroków, ze zwykłego sześciomilimetrowego rowkowanego karabinu wojskowego.

Kula trafiła od przodu, przebiła kość piersiową i wyszła o jakieś dwa centymetry na lewo od kręgosłupa. Willy Mohr prawdopodobnie już nie żył, gdy gwałtownie pociągnął kierownicą w lewo, tak że ciężarówka skręciła i uderzyła w niską barierę przydrożną.

Po długim deszczu powietrze było lekkie i czyste i sierżant Tornilla usłyszał strzał. Stał o dwa kilometry dalej na skrzyżowaniu, gdzie stara droga nadbrzeżna od puerto łączyła się z główną szosą.

Spojrzał na zegarek, odkręcił nakrętkę wiecznego pióra. Zapisał czas na małej karteczce, złożył ją i wsunął do kieszeni na piersi.

—Dwadzieścia osiem na trzecią—powiedział sam do siebie.

Wkrótce potem zobaczył unoszący się w nieruchomym powietrzu cienki słup wirującego czarnego dymu.

Sierżant Tornilla odwrócił się i podszedł do staroświeckiej czarnej taksówki, zaparkowanej pod drzewem świętojańskim.

- No tak - mruknął. - Czyli tym razem tak. Ale będzie gorzej. Stajemy się osamotnieni.

Stojący w pobliżu gwardzista pomyślał, że nie dosłyszał rozkazu.

- Nie zrozumiałem - powiedział stojąc na baczność.

— Czego? Nie, to nic nie było. Wracamy.

W kilka miesięcy później Hugo Spohler i sierżant Tornilla siedzieli pod chroniącym od słońca daszkiem Café Central i pili przedobiedni aperitif.

Hugo Spohler przybył do puerto piętnastego kwietnia i następnego dnia pojechał autobusem do miasta, żeby przejrzeć rzeczy pozostałe po Willim Mohrze. Policja złożyła je w drewnianej skrzyni, którą wstawiono do jednej z przybudówek na dziedzińcu posterunku, sierżant Tornilla podążył tam razem z nim, by otworzyć i zerwać plomby. Dzień był gorący i upał w krytym blachą schowku nieprawdopodobny, lecz Tornilla zdawał się tego nie zauważać, choć miał na sobie ciężkie buty z cholewami, białą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i nienagannie wyprasowany mundur.

- To powinno być wszystko - powiedział. - Miał prócz tego pistolet, psa i kota. Pistolet musieliśmy skonfiskować, pies został zastrzelony przez policję, a kota nie udało się złapać. Pewnie jest tam dalej, jeżeli Baskowie, którzy się tam wprowadzili, nie zjedli go.

- W Rosji w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim koty były zaliczane do delikatesów - powiedział Hugo Spohler.

- Tak rzeczywiście było.

- Ach, więc pan też tam był?

- Błękitna dywizja, trzecia brygada.

- SS, piąty pułk pancerny.

Hugo Spohler opróżnił skrzynię i posegregował jej zawartość, układając ją w kupki na podłodze.

- Większość z tego nadaje się do wyrzucenia - powiedział. - Właściwie tylko obrazy są coś warte. Ale niezbyt wiele namalował, biorąc pod uwagę, że był tu półtora roku.

- Odniosłem wrażenie, że w miesiącach poprzedzających nieszczęście coraz bardziej oddawał się rozmyślaniom.

- Pan go znał?

- Tak, kilkakrotnie się spotkaliśmy.

- On nigdy się właściwie nie nadawał do życia - powiedział Hugo Spohler.

Rozłożył płótno na podłodze i przyglądał im się taksująco.

- Interesowało mnie to - powiedział Tornilla.

- Wielokrotnie mówiliśmy, że powinienem przyjść i obejrzeć jego malowidła, ale nie doszło do tego.

- Proszę jedno zatrzymać sobie, jeśli ma pan ochotę.

- Poważnie pan to mówi?

- Oczywiście, proszę wziąć, które się panu podoba.

- Bardzo mi się podoba ten dom z kaktusami. Prawdziwie oddaje naturę, bardzo piękna praca.

- Tak, on był zdolny. Proszę, niech pan bierze.

- Ale pod jednym warunkiem. Że zrobi mi pan ten zaszczyt i zje obiad ze mną i moją żoną.

- Dziękuję, bardzo chętnie.

Później, w Café Central sierżant Tornilla wskazując na zwinięty obraz, powiedział:

- Będzie to właściwie jedyna pamiątka, jaką stąd zabiorę. Dlatego cieszę się podwójnie.

- Przenosi się pan?

- Tak, za kilka tygodni do Asturii. Należę do grupy specjalnej, często bywamy przenoszeni służbowo. Trochę to uciążliwe, kiedy się ma rodzinę. Mam dwóch synów, dwanaście i dziesięć lat, wkrótce ich pan zobaczy.

- Ja też mam dwoje dzieci, trzyletniego chłopca i roczną dziewczynkę. Nie ma nic cenniejszego nad rodzinę.

- Ma pan zupełną rację.

- Proszę mi powiedzieć, właśnie mi to na myśl przyszło, spodziewałem się znaleźć w jego rzeczach coś w rodzaju dziennika, obiecał mi, że będzie go prowadzić.

- Niestety, nie mogę panu pomóc. W każdym razie nie było go wśród tego, co ocalało. Może miał go przy sobie. Rozumie pan, w tym nieszczęśliwym wypadku samochód przewrócił się, wszystko z niego zostało wyrzucone. Potem zsunął się w dół i spłonął. Ciało było niemal spalone.

Obiad był znakomity, po obiedzie wypili kilka kieliszków Jaime Primero w cienistym patio za domem. Sierżant Tornilla zdjął mundur i zmienił długie buty na filcowe pantofle. Jego żona wycofała się wraz z dziećmi, sami

siedzieli w wygodnych koszykowych fotelach, trawiąc jedzenie.

- Błękitna dywizja - powiedział Hugo Spohler - była znakomitą jednostką. Wysokie morale bojowe i dobre prowadzenie taktyczne. Gdyby wszystkie odcinki frontu były obsadzone tak pierwszorzędnymi żołnierzami, wyniki byłyby zupełnie inne.

- To prawda. Jednostki zastępcze nie dorastały. Myślę zwłaszcza o Włochach. Ich zdyscyplinowanie było niewystarczające i nawet kierownictwu brakowało woli walki. Nie potrafiło utrzymać ludzi, zmusić do wytrwania pod ogniem, reakcją była panika, której zawsze byli bliscy. Zauważyliśmy to już podczas wojny domowej.

- Inni też się podobnie zachowywali. Po naszej prawej flance mieliśmy rumuński pułk. Taktyka ich sztabu była ohydna, a poziom żołnierza jeszcze gorszy. Zapewniam pana, że oficerowie paradowali sobie w lakierowanych sztylpach o dwadzieścia, dwadzieścia pięć kilometrów za frontem. Kiedy zaczęła się kontrofensywa, żadnego z nich nie było. Bolszewicy przeszli przez front, w niespełna godzinę przerwali go na przestrzeni dziesięciu kilometrów. To właśnie jest tragiczne. Przegrać z powodu niezdarności sprzymierzeńców.

- Ma pan zupełną rację. Wojna nie musiała być przegrana. Gdybyśmy utrzymali front przez zimę, w wiosennej ofensywie przetrącilibyśmy im grzbiet i wszystko byłoby inaczej. Ale niełatwo było utrzymać linię, skoro jej dwie trzecie było obsadzone przez Włochów, Węgrów i Rumunów.

- Popełniano też oczywiście strategiczne błędy. Gdyby myśl führera: jednokierunkowe uderzenie zamiast trójkierunkowego, nie została zaprzepaszczona przez sztab generalny, już pierwszej jesieni wzięlibyśmy Moskwę.

Na ten temat rozprawiali jeszcze godzinę.

zł 650,-

Ali-Baba

ISBN 83-07-01847-1

